

RICHARD KADREY

PONURY PIASKUN

Tłumaczył
Adrian Napieralski



ZYSK I S-KA

Tytuł oryginału
SANDMAN SLIM

Copyright © 2009 by Richard Kadrey
Copyright © for Polish translation by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2011

Redaktor prowadzący
Tomasz Zysk

Redaktor
Krzysztof Jenek

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna M. Damasiewicz

Ilustracja na okładce
© hektor2 | Shutterstock.com
© Mika Shysh | Shutterstock.com

Wydanie I
Oddano do druku w 2010 r.

ISBN 978-83-7506-672-2

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Dla Nicoli

*Jęcząc, pomnąc win bezdroże,
Wstydem me oblicze gorze,
Szczędź mnie, błagam, Panie Boże*

– DIES IRAE, MSZA ŻAŁOBNA

*Im głupszy jesteś w oczach ludzi, tym
bardziej zaskoczeni będą, kiedy ich zabijesz*

– WILLIAM CLAYTON

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Ginger Clark, Dianie Gill, Emily Krump, Holly Frederick i Jackowi Womackowi, którzy każdego dnia uciekają przed CHUD-ami. Dziękuję Nicoli Ginzler i Pat Murphy, które w dalszym ciągu ignorują brakujące cmentarze. Dziękuję Dino de Laurentiisowi, Lorenzo De Maio, Edowi Wacek i Igorowi de Laurentiisowi, którzy są szynką w kanapce dinozaurowo-pornograficznej. Dziękuję chłopakom z Night Shade, Liminals, Gusowi i Kathy.

Dziękuję również szczególnie Tomowi Waitsowi za pozwolenie mi na użycie niektórych jego wspaniałych tekstów. Jeśli umrę pierwszy, będziesz mógł sobie zrobić ksylofon z moich kości.

Dziękuję Sergio Leone, braciom Shaw, Wernerowi Herzogowi, Davidowi Lynchowi, Takashi Miike i Richardowi Stanleyowi za fantastyczne zabijanie.

Budzę się na stercie tłących się śmieci i liści na starym cmentarzu Hollywood Forever, położonym nieopodal parkingu Paramount Studio przy Melrose, choć te ostatnie szczegóły docierają do mnie dużo później. W tej chwili potrafię stwierdzić tylko tyle, że wróciłem oraz że się palę. Umysł nie zdążył jeszcze na dobre zaskoczyć, ale ciało wie już wystarczająco wiele, by stoczyć się z płonącego syfu i tarzać tak długo, aż przestanę czuć płomienie.

Kiedy mam pewność, że jest już po wszystkim, gramolę się na nogi i otrzepuję skórzaną kurtkę. Przesuwam dłońmi po tyłku i nogach. Nie odczuwam prawdziwego bólu, jedynie kilka pęcherzy pod prawym kolanem i na łydce. Dżinsy trochę mi skruszały, ale ciężka skóra, z której wykonano kurtkę, ochroniła mi plecy. Nie jestem specjalnie poparzony, tylko trochę osmalony i zdezorientowany. Chyba już od dawna się nie paliłem. Ale mam szczęście. Zawsze miałem. W przeciwnym razie mógłbym wczłogać się do tego świata i skończyć jak brykiet w ciągu pierwszych pięciu minut. Ci skurwiele o czarnych sercach tam, na Dole, mieliby ubaw po pachy, gdybym skończył z powrotem w Piekło tuż po tym, jak udało mi się stamtąd wymknąć tylnymi drzwiami. Pierdolić ich. Jestem w domu i żyję, choć nieco mnie ta podróż zmaltretowała. Nikt nie twierdzi, że narodziny są łatwe, a ponowne narodziny musiały być dwa razy trudniejsze niż ta pierwsza podróż ku światłu.

Światło.

Moje ciało już nie płonie, ale oczy gotują się w oczodołach. Ile minęło czasu od chwili, kiedy po raz ostatni widziałem słońce? Tam, w tej dupie stworzenia, panował mdły, niekończący się, karmazynowy półmrok. Nie potrafię wam nawet opowiedzieć o kolorach cmentarza, na którym stoję, gdyż czuję przeszywający ból za każdym razem, kiedy tylko próbuję otworzyć powieki.

Mrużąc oczy niczym kret, biegnę w cień kolumbarium i klękam z czołem przyciśniętym do chłodnej, marmurowej ściany. Przykładam dłoń do twarzy. Daję sobie dobre pięć czy dziesięć minut, po czym opuszczam je i pozwalam oczom przywyknąć do krwistoczerwonej poświaty sączącej się spomiędzy powiek. Powolutku, przez następne dwadzieścia minut, stopniowo otwieram oczy, wpuszczając do środka prażące słońce Los Angeles. Mam nadzieję, że nikt nie widzi mnie przykucniętego przy ścianie. Pomyślaliby zapewne, że zwariowałem i zadzwonił po gliny, a ja nie mógłbym absolutnie nic na to poradzić.

Mięśnie w kolanach i nogach zaczynają już protestować, kiedy otwieram całkowicie oczy

i nie zamykam ich więcej. Siadam i opieram się o chłodny budynek, zrzucając z siebie napięcie. Choć mogę już widzieć, nie ma mowy o tym, żebym wyszedł na pełne światło dnia. Siedzę więc w cieniu i oceniam sytuację.

Ciuchy mam przypalone, ale da się je nosić, o ile zignoruje się smród palonych śmieci. Mam na sobie starą koszulkę zespołu The Germs, którą moja dziewczyna znalazła dla mnie w sklepie ze starociami w Zachodnim Hollywood, przechodzone czarne džinsy z dziurami na kolanach, parę starych roboczych buciorów i podniszczoną, skórzaną kurtkę motocyklową, której strategiczne elementy połączono ze sobą czarną taśmą samoprzylepną. Obcas prawego buta mam luźny, odkąd wykopałem Jezusa żywego z jakiegoś złamasa, który próbował na skrzyżowaniu wyciągnąć jakąś mamuszkę z kierownicy i zwinąć jej wóz. Nie znoszę glin i pierdolonych świętoszkowatych bohaterów, są jednak sprawy, których nie toleruję, kiedy dzieją mi się przed samym nosem. To, oczywiście, miało miejsce wcześniej, zanim wylądowałem tam na dole. Trudno stwierdzić, jak zareagowałbym dziś na taką samą scenę. Pewne też wbiłbym but w dupę złodzieja samochodów, ale nie wiem, czy pozwoliłbym mu odejść.

Teraz absorbują mnie ważniejsze rzeczy – mam na sobie te same ciuchy, które założyłem w dniu, kiedy zostałem porwany przez demona. Kiedy grzmotnąłem o ziemię tam, na Dole, byłem nagi. Wtedy dosięgła mnie pierwsza salwa śmiechów. Podnosiłem się niezdarne, próbując utrzymać się na nogach, ale za moment porzygałem się przed tłumkiem gapiących się na mnie upadłych aniołów. Później śmiechy wiązały się głównie z nadużyciem fizycznym i upokorzeniami ze strony tego czy innego psa piekielnego. Uwierzcie mi na słowo – Piekło to trudna przeprawa.

Od bardzo dawna nie widziałem już tego ubrania. Przeglądam kieszenie, by sprawdzić, czy nie mam w nich pieniędzy lub innych przydatnych drobiazgów. Niewiele znajduję. W kieszeniach mam dwadzieścia trzy centy i puste różowe pudełko po zapalniczkach z nazwiskiem i adresem poręczyciela kaucji z Hollywood. Nie mam nawet kluczy do mieszkania ani starej impali, którą zostawił mi ojciec.

Macam tuż nad prawą kostką i przepelnia mnie poczucie szczęścia. Czarne ostrze wciąż tam tkwi, przytroczone do mojej nogi dwoma pasami ze skóry bazyliuszka. Wsuwam dłoń pod koszulkę i czuję pod nią łańcuszek z zawieszoną na nim dużą, srebrną monetą Veritas. Skoro jestem na Ziemi, to znaczy, że wciąż mam dostęp do Sali Trzynastu Drzwi, choć nie czuję jej ani nie widzę. A więc udało mi się przeszmuglować z Piekła trzy przedmioty. To wcale nie taka prosta sprawa. Oczywiście żaden z nich nie zmienia faktu, że nie mam pieniędzy, dokumentów i wozu, moje ciuchy są na wpół spalone i nie mam gdzie się zatrzymać, a do tego nie mam pojęcia, gdzie właściwie jestem, choć ten ponury parking przyczep kojarzy mi się z Los Angeles. Kurewsko dobry początek. Jestem chyba pierwszym zabójcą w historii, który musi żebrać o naboje.

Powoli, wciąż na wpół oślepiiony, zmierzam ku głównej bramie cmentarza. Tam składam

ręce w miseczkę, by nabrać wody spływającej ze szczytu fontanny rozważań. Upijam kilka łyków, a resztą obmywam twarz. Jest chłodna i doskonała jak pierwszy pocałunek. Wtedy to do mnie dociera. To nie żadna diabelska iluzja, czar czy gra wymyślona, by złamać mojego ducha. Naprawdę jestem w domu.

No dobrze, to gdzie, do jasnej cholery, wszyscy się podziali? Na zewnątrz dostrzegam coś, co miałem nadzieję dostrzec. Na północ od miejsca, w którym stoję, w oddali, widzę wielkie, białe litery tworzące wyraz „Hollywood”. Przycupnięty na brązowych, porośniętych suchymi krzakami wzgórzach nigdy dotąd nie wyglądał tak pięknie. W drugim kierunku, w stronę Melrose jadą kolejne samochody, ale jest ich stanowczo zbyt mało. W dodatku na ulicy w ogóle nie ma ludzi. Niedaleko bramy cmentarza znajduje się kilka małych domów. Zielone trawniki przyozdobiono światełkami, plastikowymi reniferami i nadmuchiwanymi bałwanami. Na niektórych drzwiach zawieszono wieńce. Ja pierdołę, to święta! Z jakiegoś powodu jest to nagle najśmieszniejszym odkryciem w całym wszechświecie, stoję więc i rechoczę jak idiota.

Ktoś wpada na mnie ostro od tyłu. Wesołość gwałtownie pryska. Obracam się i staję twarzą w twarz z młodym typkiem wyglądającym na jakiegoś kierownika. Przystojniak mogący uchodzić za dublera Brada Pitta, ze starannie przystrzyżonymi włosami, w dwurzędowej marynarce, która musiała kosztować więcej niż mój samochód. Skąd on się tu wziął, do jasnej cholery? Muszę się wziąć w garść. Na Dole nikt nie zdołałby podejść do mnie w taki sposób.

Brad Pitt robi kilka sztywnych kroków do tyłu.

– Co jest, kurwa? – ryczy, jakby to była moja wina, że wlaź mi w dupę. Choć nie jest wcale gorąco, poci się jak koń wyścigowy. Ma szybkie, nerwowe ruchy jak zepsuta zabawka. Patrzy na mnie tak, jakbym właśnie zarznął mu psa.

– Spokojnie, Trump – odpowiadam. – Wpadłeś na mnie.

Ociera górną wargę grzbietem dłoni. Trzyma coś w ręce, ale porusza się tak niezdarnie, że to upuszcza. Brad zaczyna się schylać, ale w końcu robi krok do tyłu. Na chodniku między nami leży plastikowy woreczek z około setką małych, białych jak śnieg bryłek kokainy. Uśmiecham się. Witamy w świątecznym Los Angeles. Przywitaj się ze Świętym Mikołajem szykującym się do imprezy, którą bez wątpienia sobie odpuszczę.

Patrzę ponownie na faceta, ale zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć, ten sięga do marynarki. Chwytam go za rękę w tej samej chwili, w której wyciąga pistolet obezwładniający. Wykręcam mu nadgarstek i popycham, przez co traci równowagę i wali się ciężko na chodnik. Nawet nie pomyślałem o tym, co robię. Moje ciało poleciało na autopilocie. Jakaś część mojej mózgowicy chyba wciąż działa prawidłowo.

Brad Pitt się nie rusza. Upadł na pistolet, który wciąż wciska mu się w żebra. Kopię broń poza zasięg jego rąk i dotykam szyi. Jest zimny, ale ma szybki puls. Kto powiedział, że crack nie jest dobry dla zdrowia? W klapie marynarki ma szpilkę z maleńką choinką. To sprawia, że

znów myślę o świętach, o przebywaniu gdzieś bez przyjaciół i o tym, że przydałby mi się teraz mój własny Święty Mikołaj. Uznaję, że przy cmentarzu przy Melrose nie znajdę nikogo bliższego dobremu samarytaninowi niż mój nowy przyjaciel. Sprawdzam pospiesznie, czy ulica wciąż jest pusta, wsuwam do kieszeni jego pistolet obezwładniający, a następnie zaciągam faceta na cmentarz, za krzaki.

Wychodzi na to, że gość jest Świętym Mikołajem, Wrózką Zębuszką i Króliczkiem Wielkanocnym w jednej osobie. Jego portfel ze skóry węgorka wypchany jest setkami, łącznie przynajmniej kilka patoli. Choć ten podrygujący skurwysyn był tak napieprzony koką i opętany paranoją, że próbował porazić mnie prądem tylko dlatego, że stałem na ulicy, czuję drobne ukłucie wstydu, kiedy wywracam mu kieszenie. W swoim czasie robiłem mnóstwo wątpliwych rzeczy, nigdy jednak nikogo nie obrabowałem. Tego tutaj nie mogę teoretycznie określić jako rabunku. Brad Pitt mnie zaatakował. W innych czasach zatrzymanie rzeczy należących do tego faceta podchodziłoby po prostu pod zbieranie łupów wojennych. Poza tym jest mi to wszystko potrzebne. Wróciłem z niczym. Nie mam żadnych przyjaciół i żadnego planu.

Biorę jego forszę, okulary przeciwsłoneczne firmy Porsche, nienaruszoną jeszcze paczkę gum Black Black i marynarkę, która ciśnie nieco w ramionach, ale ogólnie da się znieść. Zostawiam mu swoją przypaloną skórzaną kurtkę, jego karty kredytowe, kluczyki do samochodu i wielką paczkę świątecznego cracku. Dodam ten incydent do listy grzechów, za które odpokutuję później. Dziesięć minut spędzone z powrotem na Ziemi, a rachunek już puchnie.

Otwieram paczkę gum kofeinowych i żuję jedną po drodze. Jakoś nie mogę pozbyć się z gęby smaku płonących śmieci.

Czuję się, jakbym szedł na nogach należących do kogoś innego, chwiejnie i chaotycznie. Potykam się o jakieś nierówności i ze strachu niemal nie wyskakuję ze skóry, kiedy nadeptuję na piszczącą zabawkę, którą porzucił na ulicy jakiś dzieciak. Chuckiem Norrisem to ja nie jestem. Krew w końcu jednak zaczyna płynąć i znów czuję, że nogi stanowią część mojego ciała. Nie idę w żadnym konkretnym celu czy kierunku. Chcę wrócić do domu, ale boję się, że Azazel wysłał swoje pajęczki – sukinsyny wielkie jak rottweilery. Jeszcze nie jestem gotów stawić im czoła. Pociągam za łańcuszek pod koszulką i wyciągam monetę Veritas.

Moneta ma jakieś pięć centymetrów średnicy, jest srebrna i ciężka. Wokół krawędzi, pismem infernalnym wypisano słowa: NIE MA JAK W DOMU. Dobrze. Jest przytomna i zuchwała jak zawsze.

Jedną stronę monety pokrywa obraz gwiazdy porannej – Lucyfera – na drugiej widnieje okrągły kwiat o wielu płatkach, przypominający chryzantemę. To asfodel, słowo infernalne, które tłumaczy się jako „nabożeństwo wieczorne”. Kwiaty śpiewają hymny, które upadłe anioły zwykły śpiewać w Niebie. Po śpiewaniu przez cały dzień fałszywych hosann, po przekręceniu wszystkich słów, każdego wieczoru duszą się ich korzeniami i umierają.

Następnego dnia zmartwychwstają i zaczynają od nowa. Tam, na Dole dzieje się tak pewnie już od miliona lat i większość Infernali wciąż uważa to za doskonałą rozrywkę. Infernalny humor jest bardzo specyficzny. Co więcej, poza Lucyferem i jego generałami większość żołnierzy Piekła sprawia, że Beverly Hillbillies* wyglądają jak Okrągły Stół z hotelu Algonquin*.

Trzymając dużą monetę między kciukiem i palcem wskazującym, podrzucam ją w górę, myśląc: Hollywood czy dom? Veritas spada stroną asfodela skierowaną do góry. Wszystko wiadomo. Veritas nigdy nie kłamie i daje lepsze rady niż większość ludzi, których znam. Zakładam ją z powrotem na łańcuszek i skręcam na północ, w stronę Hollywood.

Do Sunset Boulevard mam jakieś dwa kilometry drogi. Kiedy docieram na miejsce, jestem wyczerpany, a efekty nie do końca odpowiadają moim oczekiwaniom. Podczas mojej nieobecności Hollywood Boulevard przeżyła załamanie nerwowe. Puste witryny sklepowe. Śmieci porzucane na ulicy. Pozostały tylko duchy – cienie uciekinierów i dilerów stłoczone za pozamykanymi na klucz drzwiami. Pamiętam Sunset Boulevard pełen szalonych dzieciaków, drag queens, zwariowanych naśladowców Dylana i turystów szukających czegoś więcej niż tylko kolejnej działki. Teraz to miejsce wygląda jak zbity pies.

Jestem wykończony chodzeniem na tych obcych nogach i pocę się w marynarce Brada Pitta. Powinienem zabrać samochód tego idioty. Mógłbym zostawić go bezpiecznie na Boulevard. Pewnie jednak rzuciłbym kluczyki któremuś z tych ulicznych dzieciaków przykucniętych pod budynkami, tylko po to, by przekonać się, czy została choć odrobina życia w tych martwych oczach.

Zagłębiając się dalej w Hollywood, mijam Ivar Avenue i spostrzegam zabawny szyld otoczony płonącymi pochodniami tiki. BAMBUSOWY DOM LALEK. Pamiętam tę nazwę. To klasyczny film kung-fu, którego akcja rozgrywa się w więzieniu dla kobiet. Widziałem go, kiedy byłem na Dole. Diabeł kradnie kabel. Kto by pomyślał?

W Bambusowym Domu Lalek jest chłodno i panuje tam półmrok, mogę więc zdjąć okulary Brada Pitta bez obawy o to, że zemdleję. Na pomalowanych na czarno ścianach wiszą stare plakaty z Iggym i Circle Jerks, ale już za barem dostrzegam same liście palmowe, plastikowe tancerki hula i kokosowe miseczki do orzeszków. W lokalu nie ma nikogo poza barmanem i mną. Siadam na stołku w głębi baru, z dala od drzwi.

Barman kroi limonki na plasterki. Przerzywa na moment, by skinąć głową w moim kierunku. Sprawnie operuje nożem trzymany w prawej dłoni. Zaskakuje drugą część mojego mózgu i zaczynam go oceniać. Ma krótko przycięte, czarne włosy i siwiejącą bródkę. Wygląda na dużego w swojej hawajskiej koszuli. Były zawodnik z drużyny futbolowej. Może bokser. Widzi, że mu się przyglądam.

* Znany amerykański serial komediowy emitowany w latach 1962-1971 (przyp. tłum.).

* Nieformalny klub towarzyski zrzeszający znanych pisarzy, krytyków, muzyków, aktorów oraz inne postaci ze świata kultury. Działał na początku XX wieku w hotelu Algonquin na Manhattanie w Nowym Jorku (przyp. tłum.).

– Fajna marynarka – rzuca.

– Dzięki.

– Szkoda, że cała reszta ciebie wygląda tak, jakby właśnie wypadła diabłu z dupy.

Nagle zaczynam się zastanawiać, czy nie jest to jakaś infernalna zasadzka i rozważam, czy zdążę w porę sięgnąć po pistolet obezwładniający Brada Pitta albo nóż. Chyba widzi wyraz mojej twarzy, bo obdarza mnie szerokim uśmiechem i teraz już wiem, że żartował.

– Spokojnie, człowieku – mówi. – Kiepski żart. Chyba miałeś gówniany dzień. Czego się napijesz?

Nie jestem pewien, jak na to pytanie odpowiedzieć. Jeszcze wczoraj polowałem na wodę, która czasami skapywała ze sklepienia wapiennych jaskiń pod Pandemonium. Najczęściej piłem samogon Infernali, znany pod nazwą Aqua Regia – rodzaj wysokooktanowego wina zmieszanego z odrobiną anielskiej krwi i ziół, przy którym kokaina przypominała miętówki. Aqua Regia smakowała jak pieprz kajeński z benzyną, ale była tam i potrafiłem ją utrzymać w żołądku.

– Jacka Danielsa.

– Na koszt firmy – mówi barman i nalewa podwójnego.

Słyszę dziwną muzykę. Coś nietypowego i tropikalnego, przeplatanego świergotem sztucznych ptaków. Na barze leży pudełko od płyty kompaktowej. Hawajski zachód słońca i nazwisko MARTIN DENNY. Zawijam gumę w serwetkę i sączę whiskey. Smakuje dziwnie, jak coś, co może pić tylko człowiek, ale przynajmniej zmywa resztę śmieciowego posmaku.

– Co to, kurde, za miejsce?

– Bambusowy Dom Lalek. Największy i jedyny klub punk-tiki w całym Los Angeles.

– Tak, zawsze uważałem, że coś takiego jest tutaj niezbędne. – Siedzę przy barze i czegoś mi brakuje. – Zapomniałem fajek. Mogę pożyczyć jedną?

– Przykro mi, stary. Zakaz palenia w barach w Kalifornii.

– Kiedy to wprowadzili? To idiotyczne.

– Zgadza się całkowicie.

– Przynajmniej jestem w domu na święta.

– Blisko. O jeden dzień za późno. Święty Mikołaj coś ci przyniósł?

– Pewnie tę podróż. – Popijam alkohol. A więc już po świętach, choć wciąż na tyle świątecznie, że ulice są opustoszałe i nikt nie widzi, jak czołgam się do domu. Fart.

– Masz dzisiejszą gazetę? – pytam.

Wsuwa rękę pod bar i rzuca mi przed nos złożony na pół egzemplarz „L.A. Times”. Podnoszę gazetę, starając się nie patrzeć na nią zbyt gorączkowo. Nie mogę nawet przeczytać nagłówek. Nie mogę skupić się na niczym poza datą w górnej części strony.

Jedenaście lat. Nie było mnie jedenaście lat. Kiedy zszedłem na Dół, miałem dziewiętnaście lat. Teraz jestem już właściwie starym człowiekiem.

– Masz tam odrobinę kawy?

Kiwa głową.

– Tak właśnie przegapiłeś święta. Stracony weekend. Zdarzyło mi się to kilka razy.

Kawa jest cudowna. Gorąca. Trochę gorzka, jakby parzyła się przez dłuższy czas. Wlewam do niej resztkę Jacka Danielsa i wypijam. Pierwsza doskonała chwila od jedenastu lat.

– Jesteś stąd?

– Tu się urodziłem, ale nie było mnie przez jakiś czas.

– Biznes czy przyjemności?

– Uwięzienie.

Ponownie się uśmiecha. Tym razem normalnie.

– Jak byłem młody i głupi, odsiedziałem sześć miesięcy za kradzież aut. Za co cię wsadzili?

– Prawdę mówiąc, nie jestem do końca pewien. Prawdopodobnie znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

– To ci przywróci uśmiech. – Uzupełnia mi filiżankę i nalewa do szklaneczki Jacka Danielsa. Ten barman to chyba najfajniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

– Dlaczego wróciłeś?

– Zamierzam zabić parę osób – wyjaśniam mu. Wlewam Jacka do kawy. – Pewnie dużo osób.

Barman chwyta szmatkę i zaczyna polerować szklanki.

– Cóż, zapewne ktoś zasłużył.

– Dzięki za zrozumienie.

– Zakładam, że trzy do pięć procent populacji to nieskruszone, zasrane pendejos, którzy na nic więcej nie zasługują. – Wciąż poleruje tę samą szklankę. Jak dla mnie jest już wystarczająco czysta. – Poza tym czuję, że masz swoje powody.

– Jak najbardziej, Carlos.

Przestaje polerować.

– Skąd wiedziałeś, że mam na imię Carlos?

– Pewnie mi powiedziałeś.

– Nie, nie powiedziałem.

Patrzą mu przez ramię, na ścianę za barem.

– Tamta nagroda nad kasą. „Carlos, najlepszy szef na świecie”.

– Potrafisz to odczytać z tego miejsca?

– Na to wygląda. – Skąd jego imię wpadło mi do głowy? Dziwna sprawa. Czas się zwijać.

– Ile jestem winien?

– Na koszt firmy.

– Jesteś taki miły dla każdego aspirującego zabójcy, który tu wpada?

– Tylko dla takich, którzy wyglądają, jakby właśnie wyleźli z płonącego budynku i nie

pobrudzili sobie przy tym marynarki. I lubię powtarzalny biznes. Może kiedyś tu wrócisz.

– Chcesz, żeby twoim klientem był ktoś, kto – jak to określiłeś – wypadł diabłu z dupy?

– No jasne. – Odwraca wzrok, jakby zastanawiał się, co jeszcze dodać. – Jest kilku takich. Biali chłopcy. Wszyscy wytatuowani jak pieprzeni Aryjczycy. Pojawiają się tutaj i chcą kasy za ochronę. Dużo więcej, niż mogą zarobić w takim małym barze.

– I uważasz, że mogę coś zrobić w tej sprawie.

– Wyglądasz mi na kogoś, kto może wiedzieć, jak należy postąpić w takiej sytuacji. Na kogoś, kto... – znów to spojrzenie i poszukiwanie słów – no wiesz, kto się nie boi.

Mógłbym przysiąc, że powiedzenie tego sporo go kosztowało. Czy to dlatego przysłała mnie tutaj Veritas? Jestem tu od kilku godzin i już mam wchodzić w jakąś karmiczną zemstę? I to przy rzezi, którą zaplanowałem, a której jeszcze nawet nie zacząłem? Nie, to nie miało żadnego sensu.

– Przykro mi. Nie wydaje mi się, żebym był w stanie ci pomóc.

– A co powiesz na to? Darmowa wóda. Do tego wieczorami darmowe żarcie. Dobre burgery, żeberka i tamales. Jesz i pijesz za darmo, aż do zamknięcia.

– To niezła oferta, ale nie sądzę, bym mógł tutaj pomóc.

Odwraca wzrok i dalej poleruje szklanki.

– Jeśli zmienisz zdanie, to oni przychodzą w czwartki po południu, kiedy mamy dostawy.

Wstaję i kieruję się w stronę drzwi. Kiedy jestem w połowie drogi do wyjścia, słyszę za plecami jego głos.

– Hej. – Przesuwa coś po kontuarze. Paczka fajek American Spirit, bez filtra. Pod celofanową owijkę wcisnął płaskie pudełko z zapalkami. – Weź je. Ja też nie mogę tutaj palić.

– Masz tego więcej? – pytam, zakładając okulary Brada Pitta.

– Nie.

– To była zajebista pierwsza randka, Carlos. – Cholera. Kiedy ktoś oddaje ci swoje ostatnie fajki, masz u niego dług.

Świergot ptaszków Martina Denny'ego towarzyszy mi do samych drzwi.

Jak się okazuje, nie potrzebuję już okularów. Kiedy wchodziłem do Bambusowego Domu Lalek, musiało być później, niż sądziłem. Słońce już prawie zachodzi, a na Boulevard zapalają się światła. Zawsze wołałem Hollywood nocą. Lamy uliczne, blask samochodowych reflektorów i migoczące neony przy pułapkach na turystów zmiękczej kątów proste i linie, które rujną to miejsce. Boulevard jest prawdziwa tylko nocą, kiedy panują zarówno blask, jak i czerń, a w każdym cieniu kryją się obietnice. Jakby ta ulica powstała specjalnie z myślą o wampirach. Z tego, co wiem, to prawda.

Tak, wampiry istnieją. Trzeba uważać.

Wchodząc głębiej do centrum Hollywood, liczę do jedenastu. Jedenaście parkometrów. Jedenaście dziwek czekających na swój pierwszy poświęcony przysmak. Jedenastu aktorów, o których nigdy nie słyszałem, i jedenaście gwiazd na chodniku.

Jedenaście lat. Jedenaście pieprzonych lat, a ja wracam do domu z kluczem, nożem i monetą, za którą nie kupię filiżanki kawy.

Trzy, pięć, siedem, jedenaście, dobre dzieci, nie grymaście.

Mija jedenaście lat, a ja wracam w dzień po świętach. Czy ktoś próbuje mi coś sprzedać?

Wyciągam jednego american spirit Carlosa i zapalam. Dym przyjemnie rozplywa się w płucach. Znow czuję, jakby ciało należało do mnie. Jestem sobą. Nie mam tylko pewności co do reszty świata.

Kim, do kurwy nędzy, są ci wszyscy ludzie na Boulevard dzień po świętach? Jak mam się wmieszać między nich? Kilka przecznic stąd, w barze, pracuje fajny gość. Wykonywał tylko swoją robotę, ale miał w dłoni nóż i mogłem tylko tworzyć listę wszystkich sposobów, w jakie mógłbym go zabić.

Dociera do mnie, jak nieprzygotowany jestem do powrotu, jak wszystko, co miało sens na Dole, jest dziwne i żalosne tutaj. Wszystkie umiejętności, które rozwinąłem – jak przyciągnąć przeciwnika w pobliże, jak zabić, cała magia, której się nauczyłem lub którą ukradłem – w tym jasnym i obcym miejscu nagle stają się całkowicie bezużyteczne. Jestem jak facet w podkutyh buciorach w świecie baletnic.

Kończę pierwszego papierosa i przypalam drugiego. Świat jest dużo głośniejszym i dziwniejszym miejscem, niż pamiętam. Muszę brać się do roboty i przestać wrzeszczeć we własnej głowie. Myślenie zostawmy filozofom, jak zwykł powtarzać mój nauczyciel w szkole. A może to był Lucyfer? Albo recytatorzy homilii.

Muszę się skoncentrować na tym, co ważne, na przykład na planach odnalezienia i zarżnięcia w najbardziej bolesny sposób sześciu zdradliwych sukinsynów, którzy ukradli mi życie. I zrobili coś jeszcze gorszego. Kiedy o tym myślę, mam zawroty głowy. Widzę twarz kobiety.

Na imię ma Alice. Jest jedyną istotą, którą kiedykolwiek kochałem, jedyną osobą, na której kiedykolwiek mi zależało. Jeśli Niebo cokolwiek znaczy, Alice powinna wyjść za mąż za jakiegoś chuderlawego gitarzystę w obcisłych spodniach ze skóry, którym musi się opiekować w tych wielkich, świetlistych lochach przy Wilshire. Albo ustatkowałaby się, wyszła za dentystę, utyla i jeździła minivanem pełnym wrzeszczących dzieciaków. To również byłoby w porządku. Ale jej nie przydarzy się już nic takiego. Nic nie przydarza się bowiem zamordowanym kobietom, no, chyba że ktoś się zainteresuje, jak doszło do ich śmierci.

Czy gdyby Alice tu była, w ogóle rozpoznałaby mnie pod tymi wszystkimi bliznami? W Bambusowym Domu Lalek wisiało lustro, ale uważałem na to, by się w nim nie przejrzeć. Idąc wzdłuż Boulevard, zerkam ukradkiem na swoje odbicie w przyciemnionych szybach martwych witryn sklepowych. Jestem większy niż przed zejściem, mam więcej mięśni i więcej blizn, choć, według ludzkich standardów, wciąż jestem chudy. Rozpoznaję jeszcze surowe rysy swojej twarzy, choć bardziej kojarzy mi się ona z kamieniem niż z ciałem. Moje

policzki i podbródek wyrzeźbione są w betonie. Oczy są ciemnymi, błyszczącymi kulami, a usta mają kolor brudnego śniegu. Jestem zombie z filmu George'a Romero, tyle że nigdy jeszcze nie byłem martwy. Tylko wypoczywałem w krainie zmarłych. Niespodziewanie nachodzi mnie ochota, by zacisnąć ręce wokół wymyślanego męża grubej Alice i zmiążyć go jak balonik.

Nagle staję w miejscu.

Po raz pierwszy fantazjuję na temat zabijania poza Kręgiem. Co za głupia i niebezpieczna myśl. Coś takiego jest w stanie odwieść mnie od faktycznej roboty lub nawet zabić. Wtedy wrócę do Piekła z niczym, a to już z całą pewnością wywoła lawinę śmiechów.

W ten sposób wracam myślami do pytania za sześćdziesiąt cztery tysiące dolców: dlaczego Veritas posłała mnie w tym kierunku? Fajnie jest znaleźć się z powrotem na znajomym terenie, mogłem jednak skończyć z powrotem na cmentarzu. I niepotrzebny był mi barman z ofertą roboty i paczką darmowych fajek. Z kieszenią pełną setek Brada Pitta jestem bogaczem z nożem w bucie. Dlaczego więc tutaj się znalazłem?

Fajcę, idąc przez przecznicę z dwoma sklepami z alkoholem, pustym antykwariatem, martwym sklepem z płytami i sex shopem ukrytym za szczelnie zamkniętymi żaluzjami. Kiedy rozmyślam o tym, jak porąbane jest to miasto, skoro zamykają tu nawet sklepy z pornolami, w głowie zapalają mi się lampki jak w elektrycznym bilardzie samego Boga.

Znam odpowiedź. Wiem, po co tu jestem.

Skreca z Boulevard w Las Palmas, kołysząc się na swoich małych nóżkach. Zmierza w stronę miejsca zwanego Max Overdrive Video. Przed frontowymi drzwiami musi się chwilę przygotować – przenieść kubeczek z kawą do jednej ręki, chwycić zębami brzeg torebki z paczkami i wykonać mały taniec dupą, żeby wytrząsnąć klucze z kieszeni i wejść do sklepu.

Patrzę na niego z drugiej strony ulicy, upewniając się jednocześnie, że nie mam przywidzeń. Kiedy wchodzi do sklepu, przez moment widzę jego twarz.

To Kasabian, jeden z moich znajomych ze starego kręgu magii. Jeden z sześciu na mojej liście.

Jednak dostałem prezent od Świętego Mikołaja.

Max Overdrive Video zajmuje oba piętra starej hollywoodzkiej kamienicy, weekendowego azylu, zamieszkałej przez bogaczy w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy ta okolica należała do najwspanialszych miejsc w całym znanym wszechświecie. Kasabian krąży po Max Overdrive Video, jakby był właścicielem. Chyba powinienem tam pójść i zapytać go, czy nim jest.

Zapadła już noc i otaczają mnie tłuste, dojrzałe cienie. Przecinam ulicę i wybieram jeden ciemny i pulchny przy bocznej ścianie Max Overdrive, obok restauracji ze zdrowym żarciem. Zerkam przez ramię, by upewnić się, że ulica jest pusta, po czym wskakuję w cień. Klucz łaskocze mnie w pierś, kiedy wchodzę do Sali Trzynastu Drzwi.

Mijam Drzwi Lodu i cicho wkraczam w cień po drugiej stronie.

Jestem w tylnej części sklepu, w sekcji z pornografią. Światła są tutaj pogaszone, więc mogę spokojnie się rozejrzeć.

Po prawej mam drzwi do toalety pracowniczej, schowane za półkami z pornołami. Kawalek dalej dostrzegam zamknięte łańcuchem schody prowadzące w górę. Resztę sklepu zajmują starannie ustawione regały z płytami DVD i kosze z kasetami VHS. Chyba coś się zmieniło w ciągu tych jedenastu lat. Teraz już nawet porno na tyłach jest na płytach. Jedyne kasety, na które natrafiam, niedbale wrzucono do kosza z wyprzedażą. VHS umarło. Warto o tym pamiętać, nie chcę w końcu wyglądać jak jeden z Beverly Hillbillies, kiedy będę rozmawiał z ludźmi. Powinienem usiąść i przygotować listę wszystkiego, co w tym czasie przegapiłem. Skoro nie można już palić w barach, to jakie inne okrucieństwa popełnił jeszcze ten świat?

Kasabian stoi z frontu sklepu, za ladą, i przegląda rachunki. Podczas mojej nieobecności stracił trochę włosów, ale nadrobił to wagą. Nigdy nie był specjalnie szczupły, ale teraz nabrał naprawdę dziwnych kształtów. Nie takich jak u facetów z brzuchem i cyckami. On poszerzył się w poziomie, jak nie do końca nadmuchany balon. To na swój dziwny sposób godne podziwu. Jego podbródek i bandzioch poddały się sile grawitacji, przez co bardziej przypomina śnieżnego bałwanka niż Orsona Wellesa.

Idę powoli głównym przejściem w stronę lady, zerkając w kąty i upewniając się, że jesteśmy sami. Kasabian jest pogrążony w myślach i coś liczy. W połowie drogi do lady wyciągam z kieszeni marynarki pistolet obezwładniający Brada Pitta i chowam go za plecami.

– Dobry wieczór, Kas. Dawnośmy się nie widzieli.

Podskakuje ze strachu i zrzuca na podłogę stertę rachunków. Staję w takim miejscu, by mieć pewność, że mnie widzi, ale jednocześnie tak, by cień skrywał moją twarz.

– A ty kto, kurwa? Wypadaj z mojego sklepu. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Właśnie minęły święta, Kas. Nie masz wolnego dnia?

– Wszyscy są na wakacjach. Kim jesteś?

– Miałeś radosne święta w tym roku? Zaśpiewałeś „sto lat” małemu Jezuskowi? Może wybrałeś coś sobie w Baby Gap?

– Czego chcesz?

– Wiesz, co zrobiłem w święta? Uciąłem łeb potworowi. Potem zrobiłem to samo facetowi, który był jego właścicielem.

– Chcesz pieniędzy? Bierz. To był parszywy dzień, a ja już wpłaciłem cały utarg ze świąt, więc masz gówniane szczęście.

Kasabian był królową dramatu już od pierwszego naszego spotkania, nie mogę się więc oprzeć, żeby nie pokazać mu przedstawienia w stylu Vincenta Price’a.

– Nie chcę twoich pieniędzy, Kas. Chcę twoją duszę – mówię i wychodzę z cienia, żeby mógł mi się lepiej przyjrzeć.

Reakcja jest dokładnie taka, jakiej się spodziewałem. Otwiera usta, ale nie wydaje

żadnego dźwięku. Jedna dłoń wędruje w górę, by przysłonić tę otwartą japę i zdławić cichy krzyk. Cofa się od lady z szeroko otwartymi oczami.

Wybaczcie mi, Boże, Lucyferze i wszyscy anieli na górze i dole, ale to jest zabawne. To jak bilet na kolejkę górską.

– Zamknij mordę, Kas. Wyglądasz jak jedna z tych nadmuchiwanych owieczek reklamowanych na okładkach pism pornograficznych. – Zatrzymuję się jakieś trzy metry od lady, pozwalając mu się napatrzyć. – Co masz dla mnie na święta? Racja, dałeś mi to jedenaście lat temu. Potępienie. Fajny prezencik.

Opuszcza ręce i opiera się na ladzie jak pijak, który próbuje się zdecydować, czy upaść na twarz, czy na plecy. Odbezpieczam pistolet obezwładniający.

– Nic się nie stało. Wiem, że niczego dla mnie nie masz. Ale ja z kurewską pewnością mam coś dla ciebie, Kas. Usiądź Świętemu Mikołajowi na kolanach, to ci pokażę.

Robię jeden krok w stronę lady, a Kasabian odsuwa się o jeden. Potem robi coś wyjątkowo zabawnego. Podnosi ręce i trzyma w nich broń – colta peacemakera kaliber .45. Ulubiony gnat Wyatta Earpa. Pakuje mi pięć czy sześć kulek w pierś i brzuch, całkowicie rujnując mój występ.

Upadam na kolana, robi mi się ciemno przed oczami. Pistolet obezwładniający ląduje na podłodze, a ja tuż obok niego. Czuję, jak moje płuca wciągają powietrze. Czuję, jak bije mi serce. Oba organy zdają się niewiele sobie robić z tego, co się wydarzyło. Zabiera mnie śmierć, miękka i ciepła jak szlafrok wyjęty prosto z suszarki. Moje serce się zatrzymuje.

* * *

Kiedy byłem na Dole, przydarzyło mi się coś zabawnego. Stałem się wyjątkowo trudny do zabicia. Kiedy się tam pojawiłem, byłem pierwszym i jedynym żywym człowiekiem, jaki kiedykolwiek postawił stopę w Piekło. Byłem prawdziwym wybrykiem natury podziwianym na przedstawieniach. Zapłać dolara i zobacz Jimmy'ego, chłopaka o psiej gębie. Później, kiedy zmęczeni się poklepywaniem mnie, przyglądaniem się i wystawianiem niczym rasowego pudła, uznali, że zabawnie byłoby zobaczyć, jak umieram. Kazali mi walczyć na arenie i nieźle na tym zarobili. Wyobraźcie sobie finał Super Bowl co tydzień czy dwa.

Oczywiście w takim miejscu jak Piekło i znajdująca się w nim arena odchodziło mnóstwo kantowania. Infernale nie przepadają za przegrywaniem w zakładach nie mniej niż ludzie. Przed niemal każdą walką pojawiał się przekupiony trener czy inny przydupas z małym prezencikiem. Wciskali mi specjalną broń. Dawali diaboliczne prochy. Szeptali szatańskie zaklęcia prosto do ucha. To wszystko pomagało, choć nie zmieniło mnie w Supermana. Kluto mnie nożami i włóczniami. Palono mnie. Zostałem niemal rozdarty na pół przez coś przypominającego gigantycznego kraba, na dodatek ziejącego ogniem i wrzeszczącego głosami wszystkich dusz, które pochłonął. Moje żebra i czaszka zostały rozbite do konsystencji żelu.

Ale nie umarłem.

Nie wiem, czy sprawiły to zaklęcia, prochy, Aqua Regia, czy po prostu porządny tryb życia, ale zmieniałem się. Za każdym razem, kiedy powinienem umrzeć, a nie umierałem, stawałem się silniejszy. To z kolei oznaczało, że następny atak musiał być mocniejszy, szybszy i wścieklejszy od poprzedniego. Po pewnym czasie nie mogłem się już nawet doczekać, aż spuszczą mi wpierdol. Każdy bowiem zmieniał mnie, a ta zmiana oznaczała, że staję się odporny na tego typu atak w przyszłości. Pod koniec byłem jak opancerzony Brudny Harry z krwi i kości.

Kiedy w końcu klasa rządząca, tradycyjne Infernale i inne paskudztwa, zdecydowała, że czas się mnie pozbyć, było już za późno. Stałem się zbyt silny i robiłem dużo ciekawsze rzeczy niż mordowanie na arenie. Zabijałem na zlecenie Infernali poza areną, a to oznaczało, że byłem chroniony z wysoka przez siły dużo mroczniejsze niż sztamkowe typki w stylu „ogon i widły”.

Z drugiej jednak strony, nigdy dotąd mnie nie zastrzelono.

– Stark? – mówi Kasabian z odległości miliona kilometrów. – To naprawdę ty? – Śmieje się cicho, nerwowo. – Mason się zesra, jak się dowie.

Moja lewa ręka wystrzeliwuje w górę, chwyta wciąż ciepłą lufę czterdziestki i ściąga ją na podłogę. Gruby paluch Kasabiana wciąż tkwi w kabłaku, więc łąduje razem z gnatem. W tym czasie moja prawa dłoń wciska się w but i uwalnia nóż z czarnej kości. Skręcam ciało w stronę Kasabiana i zataczam ostrzem łagodny łuk. Głowa Kasabiana spada na podłogę i toczy się niczym dynia. Reszta ciała wali się na podłogę.

Głowa Kasabiana zatrzymuje się przy regale z nowymi filmami Disneya i zaczyna zawodzić.

– O, Boże! O Jezu! Kurwa! Ja nie żyję! – Zawodzi całkiem nieźle. Na Dole stałem się kimś w rodzaju konesera od zawodzenia, a to jest naprawdę pierwsza klasa.

– Nie żyję! Nie żyję!

Gramolę się niepewnie na nogi, podnoszę wrzeszczący melon Kasabiana za kłaki, wciskam czterdziestkę za pasek spodni i chwytam go za kostkę prawą ręką. W takiej sytuacji człowiek chce pozbyć się dowodu, zawlec gdzieś ciało. Pewnie pomyślicie, że najprościej byłoby zarzucić je sobie na ramię w strażackim stylu, ale podnoszenie bezwładnego ciała przypomina raczej zapasy z dziewięćdziesięcioma kilogramami galarety. Wije się, wysuwa i odmawia posłuszeństwa. Wleczenie jest wolniejsze, ale mniej męczące.

Ciągnę Kasabiana na górę. Jego głowa wciąż wrzeszczy wniebogłosy, a ciężki tors dudni o schody za nami.

Piętro to jedno wielkie pomieszczenie. Jest przestronne, z fajnym, dużym oknem na jednej ścianie, ale skromnie umeblowane. Stoi tam łóżko, dwa krzesła i stół zavalony magnetofonami, nagrywarkami DVD i wielką kolorową drukarką – mała piracka fabryka filmów. Zostawiam ciało przy drzwiach i stawiam głowę na blacie. Pistolet rzucam na łóżko.

Kasabian wciąż zawodzi jak potępieniec, co wychodzi mu całkiem dobrze jak na faceta bez płuc.

Chwytam krzesło i stawiam tuż przed nim. Wygrzebuję papierosa z poplamionej już krwią marynarki Brada Pitta, zapalam go i wydmuchuję dym prosto w twarz Kasabiana.

– Czujesz? To znaczy, że nie jesteś martwy.

Przestaje się wydzierać i patrzy na mnie. Zauważa jednak swoje ciało na podłodze i znów zaczyna drzeć japę. Zaciągam się powoli i dmucham na niego wspaniałą, rakową chmurą.

Milknie i w końcu skupia się na mnie.

– Stark? Ty nie żyjesz.

– Powiedz mi, Kas, jak to jest obudzić się w najgorszym z miejsc, jakie można sobie wyobrazić? Ty oczywiście masz więcej szczęścia ode mnie, bo wiesz, dlaczego tutaj jesteś.

– Pierdol się! Myślisz, że tak ci dobrze poszło? Użyłeś magii. Cała Sub Rosa będzie wiedzieć, że tu jesteś. Mason się dowie. Zabije cię.

Wydaję z siebie dźwięk jak w teleturniejach.

– Spróbuj zgadnąć jeszcze raz, tłusciochu. Nóż nie zakłóca eteru i nie zostawia żadnych magicznych śladów. Ostrze w technologii stealth. Nie zabija ofiar, jeśli mu nie nakażę.

– O, Boże, zobacz, co narobiłeś.

– Bóg wyjechał w interesach, Kas. Mów do mnie.

Patrzy na mnie swoimi dużymi, księżycowymi oczami.

– Myślałem, że nie żyjesz. Kiedy zniknąłeś, wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz. Czy to, co zrobił Mason, zadziałało?

– Byłem żywy i spędziłem jedenaście lat w Piekło, więc tak, można chyba powiedzieć, że zadziałało.

– W jaki sposób udało ci się przeżyć coś takiego? Mason miał co do ciebie rację.

– A co takiego powiedział?

– Że byłeś jedynym naprawdę dobrym naturalnym magiem, jakiego w życiu spotkał.

Słyszając te słowa, muszę się uśmiechnąć.

– Cały Mason. To dla mnie komplement. Ale nazywa mnie wielkim magiem, żeby móc nazwać siebie jeszcze większym.

Odwracam się, jakbym rozglądał się po pomieszczeniu, ale tak naprawdę cholernie bołą mnie flaki. Jestem poparzony i posiniaczony w miejscach, gdzie weszły pociski, i z całą pewnością mam kilka połamanych żeber. Rano wszystko będzie w porządku, ale dziś wieczorem już za wiele nie pospaceruję. Nie zamierzam jednak dać Kasabianowi satysfakcji, pokazując, że wszystko mnie boli.

– Zatem to musi być prawda. Przeżyłeś Piekło i wróciłeś.

– Moim celem było skrócenie ci karku. Tobie i pozostałym. – Stary gniew powraca niczym gorąca kipiela, ale nie zamierzam tracić kontroli. To za bardzo wystraszyłoby Kasabiana, a ja straciłbym źródło informacji. Muszę złapać oddech. Nie zaplanuję niczego,

biegając dookoła i szczekając jak wściekły pies. – Jeśli chcesz wiedzieć, na Dole nie używałem żadnej magii. Nasza magia budzi tam tylko politowanie. Po prostu nie działa. Równie dobrze można by wykrzykiwać przepisy na ciastka. – Uspokajam się, zaciągając papierosem. – Nie pamiętam nawet zbyt wiele z magii, której używaliśmy w Kręgu, choć na Dole poznałem ze dwie sztuczki. Magia Infernali, każdy jej kawałeczek, służy tylko po to, abyś płakał przez całą drogę do domu.

– Zamierzasz mnie zabić?

– Czy nie zauważyłeś przypadkiem, że odciąłem ci głowę? Gdybym chciał cię zabić, to już byłbyś martwy.

– Dlaczego mnie szukałeś? Czy chodzi o dziewczynę?

– Nie chcę jeszcze o niej rozmawiać.

Nie mogę jeszcze o niej rozmawiać.

– Czego chcesz, człowieku?

– Chcę was wszystkich. Wszyscy tam byliście, kiedy Mason zsyłał mnie na dół.

– Ja niczego nie zrobiłem.

– Racja. Ty tylko tam stałeś. Wiedziałeś, co się kroi i tylko tam stałeś.

– Nie wiedzieliśmy, co się wydarzy.

– Ale wiedziałeś, że Mason zamierza się mnie pozbyć.

Kasabian zaczyna coś mówić, ale odwraca wzrok.

– Co wam obiecał Mason?

– Czego dusza zapagnie. Wszystkie nasze marzenia miały się spełnić, o ile zamkniemy gęby na kłódki. Trudno było się oprzeć.

– A więc powiedziałeś „tak”, a Mason cię orznął i porzucił tutaj. Co za niespodzianka. Dlatego jesteś ostatnim z Kręgu, którego muszę zabić.

– Dlaczego?

Marszczy czoło, jakby informacja o tym, że zginie ostatni, zraniła jego uczucia.

– Ponieważ jesteś głównie wart. Mag trzeciej kategorii i istota ludzka drugiej. To dlatego Mason i pozostali zostawili cię na ołtarzu. Jesteś balastem.

– Chcesz znaleźć pozostałych z Kręgu i potrzebujesz mojej pomocy.

– Dużo chcę, ale od tego możemy zacząć. – Wiercę się na krześle w poszukiwaniu pozycji, w której nie będą mnie tak rżnęły żebra. Nie znajduję takiej. – To gdzie się teraz podziewają te fajne dzieciaki?

– Odbiło ci? Zdajesz sobie sprawę, co każdy z nich by mi zrobił, gdybym ci powiedział?

Kiedy byłem na Dole, sporo się nauczyłem na temat stosowania gróźb. Niech będą wielkie. Niech będą odrażające. Nie mów, że skopiesz komuś tyłek. Powiedz, że wyrwiesz mu język i nalejesz ciekłego azotu do gardła, wytniesz flaki szpikulcem do lodu, zamkniesz dziurę szkłem i zrobisz z tego akwarium. Trzeba być jednak ostrożnym z groźbami. Niektórzy Infernale i ludzie nie wiedzą, kiedy należy się wycofać, i wtedy należy zrobić swoje. Nie

dzieje się tak zbyt często, ale zawsze jest taka możliwość.

– Wiesz, co zamierzam ci zrobić? – pytam cicho i spokojnie. – Widzisz tamto ciało? Zamierzam zawlec je do najgłębszej i najciemniejszej części Griffith Park i zostawić kojotom.

– Proszę, nie rób tego!

– Więc powiedz mi o pozostałych. Gdzie jest Mason?

Mason był szefem naszego magicznego kręgu, który zmienił mnie w pana Green Jeans dla swego Kapitana Kangaroo. Był utalentowanym magiem i zawsze korzystał z okazji, by móc o tym przypomnieć. Przyszedł ze świata pieniędzy. Przynajmniej tak się zachowywał. Prawdę mówiąc, nikt z nas nie wiedział zbyt wiele o jego życiu poza Kręgiem. No, może z wyjątkiem Parkera. Ci dwaj trzymali się blisko. Parker był zbirzem o posturze boksera i dostatecznych umiejętnościach magicznych, by być naprawdę niebezpiecznym. Mason dostrzegł w tym pewne możliwości i zmienił gościa w swojego pitbulla. Mason nigdy nie miał krwi na rękach, gdyż Parker z największą przyjemnością załatwiał takie sprawy za niego.

To właśnie Mason wyszedł z propozycją, by wołać na mnie Jimmy, gdyż na imię mam James. Nikt inny nigdy nie nazwał mnie Jimmy, bo po prostu na to nie pozwoliłem. Zawsze używano mojego nazwiska, Stark, ponieważ imię pozostawało sprawą rodzinną. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Mason je poznał.

– Jaja sobie robisz? Czy ja wyglądam na kogoś, kto wciąż trzyma z Masonem? Wypożyczam kretnom porno i filmy ze Schwarzeneggerem – mówi Kasabian. – Nie widziałem go od tamtej nocy i, prawdę mówiąc, jestem z tego powodu zadowolony. Kiedy zniknąłeś, te demony, czy cokolwiek to było, naładowały go mocami. Jak Supermana. Nie, bardziej jak Hulka. Zmienił się na naszych oczach. Jego skóra, kości, całe ciało nabrało dziwnych kształtów. Zaczął się świecić i wyglądało, jakby pod skórą coś mu pełzało.

– Wygląda na to, że dali mu zajebisty ładunek nebiro.

– Co to jest nebiro?

– Pasożyty. Żywią się energią swojej ofiary. Żywiciel nie pada trupem tylko dlatego, że nebiro wydzielają ponadnaturalną energię. Srają magią, która dosłownie ładuje żywiciela, utrzymując go wraz z pasożytami przy życiu. Infernale żrą to paskudztwo jak prażoną kukurydzę. Nie wiedziałem, że to działa również na ludzi.

– Cokolwiek się wydarzyło, on nie był już Masonem. Stał się Masonem i czymś jeszcze. Jak starszy brat Boga, który podbiera mu kasę, kradnie furę i rżnie jego laskę. Tym jest teraz Mason. Facet niczego się teraz nie boi. Zwinął manatki i zabrał ze sobą Parkera.

Wiem, że mówi prawdę. W ten sam dziwny sposób, w który w mojej głowie pojawiło się imię Carlosa w Bambusowym Domu Lalek, zyskuję pewność, że Kasabian nie kłamie. To trochę niepokojące, kiedy wiesz coś i jednocześnie nie rozumiesz, skąd to wiesz, ale tym zajmę się później.

Strzepuję popiół z papierosa i wsuwam go Kasabianowi między wargi. Zaciąga się kilka razy i chyba uspokaja. Kiedy kończy, wrzucam fajkę do popielniczki na stole. Nie chcę dłużej

palić po tym, jak on go dotykał.

– Będę miał do ciebie dużo więcej pytań w ciągu kilku następnych dni. Może tygodni. Aż nie załatwię sprawy do końca. Bądź ze mną szczerzy, nie kłam, a być może zwrócę ci ciało.

– Siedzieć tu i czekać, aż dopadnie mnie Mason. Co za słodki interes.

– Pracuj ze mną, a nie przyjdzie tu po ciebie.

W oczach Kasabiana zapanowała pustka, jakby wpatrywał się z oddali w coś, czego ja nie widzę.

– Masz rację, wiesz? Jestem gównem wart – mówi. – Cała reszta ma wpływy, kasę i intratną robotę. A mnie wycięli. Ja nie mam niczego.

– A więc również masz powód do zemsty.

– Myślisz, że bym się nie zemścił, gdybym potrafił? Popatrz na mnie! Musiałem nawet ukraść ten durny sklep, żeby zarobić na życie. Potem przychodzi do mnie martwy facet i ucina mi łeb. Tak, z całą pewnością nadaję się do tego, żeby załatwić Masona Faima.

– Nie, ja się do tego nadaję. Ty tylko wskażesz mi drogę.

– Już ci powiedziałem, nie wiem, gdzie on jest. Odszedł. On jest jak pieprzony mafijny don.

– A co z innymi?

– Prosisz o zbyt wiele, stary.

– Nie. Proszę dokładnie o to, co mi się należy. – Wyciągam kolejnego papierosa. Nie chcę przechodzić do następnej sprawy. – Powiedz mi, Kas, powiedz tak, jakby od tego zależało twoje życie. Kto zabił Alice?

Oczy Kasabiana miotają się na wszystkie strony, jakby szukał przycisku katapulty. Rozpoznaję to paniczne spojrzenie. Czuję niemal, jak przyspiesza jego serce. Nie ma wprawdzie ciała, ale być może wciąż jest z nim w jakiś sposób połączony.

– Wiesz o tym? Zszedłeś tak głęboko i wiesz o tym?

– Mów do mnie, Kas. Kojoty wzywają.

Patrzę na podłogę, ale nie ruszam się. Jeśli się poruszę, pęknie jak szkło. Nie jestem w stanie o niej rozmawiać. Podnoszę wzrok, by spojrzeć w oczy Kasabianowi. Gdyby dysponował ciałem, pewnie rzuciłby się do ucieczki.

– Niewiele wiem. Mason i reszta nie wpadają, by pogadać o starych czasach. Słyszę te same plotki co inni. Dotarło do mnie, że zrobił to Parker.

– Mason go wysłał?

– Parker się nie wysra, dopóki mu Mason nie pozwoli, więc tak, z całą pewnością kazał mu to zrobić.

– Dlaczego? Po co miałby to robić po tych wszystkich latach?

– Nie wiem, stary. Naprawdę.

Patrzę Kasabianowi w oczy i wiem, że nie kłamie. Jest całkowicie spanikowany, kiedy przysuwam się bliżej. Kiedy biorę żarzące się papierosa z popielniczki i daję mu go

skończyć, wygląda na tak poruszonego, jakby miał się za chwilę rozplakać.

Moja Alice nie żyje i jestem sam.

– Opowiedz mi o sklepie – mówię. – Ile osób tu pracuje?

– Cztery czy pięć. Dzieciaki z college’u. Przychodzą i odchodzą. To się zmienia wraz z klasami czy wakacjami. Allegra jako jedyna ma poukładane w głowie.

– Kim ona jest?

– Zarządza interesem. Ja nie lubię siedzieć z klientami.

– Ona pilnuje biznesu, a ty możesz zostać tutaj i kopiować filmy.

– Robimy to, co konieczne, by przetrwać. Nie mów, że ty nie zrobiłeś kilku numerów, kiedy siedziałeś w Piekle.

– Nawet nie masz pojęcia – odpowiadam. – O której otwieracie rano? Czy Allegra otwiera sklep?

– O dziesiątej. Tak, ona to robi.

Przy drzwiach prowadzących na schody stoi szafa. Zamykam drzwi i otwieram ją. Jest pusta, nie licząc metalowych półek sięgających pasa. Wciągam ciało do szafy, po czym wkładam do środka głowę Kasabiana. Stawiam ją na najwyższej półce.

– Miewam napady klaustrofobii – ostrzega.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Nie mogę go zostawić na zewnątrz, ktoś mógłby tu wejść i go zobaczyć. Jest jeszcze mała łazienka, ale nie ma mowy, żeby Kasabian przyglądał się, jak sikam rano. Na jednej z dolnych półek stoi mały przenośny telewizor. Podłączam go do prądu, włączam i bawię się chwilę staromodną anteną z drutu. Znajduję miejscowe wiadomości i stawiam odbiornik na półce z Kasabianem.

– Może to złagodzi twój ból.

Kasabian marszczy czoło.

– Kutas z ciebie, Jimmy.

– Ale nie zawsze nim byłem, co? – Zamykam drzwi szafy do połowy i zatrzymuję się. – Jeśli jeszcze raz powiesz na mnie Jimmy, zabiję te drzwi gwoździami. Będiesz mógł narzekać na klaustrofobię przez kolejne pięćdziesiąt lat w ciemnościach. – Zamykam drzwi i przekręcam klucz.

Siadam na łóżku wyczerpany i obolały. To był dzień pełen wrażeń. Wylądowałem tu z niczym, a skończyłem z nową marynarką i kieszenią pełną forsy. Mam się nawet gdzie kimnąć i umyć twarz. Amerykański sen.

Wyciągam się na łóżku i wtedy dociera do mnie jeszcze jedno. Chyba siedzę w biznesie wideo. Cholera, nawet robotę znalazłem.

Chcę pójść zmyć krew, która wysycha mi na brzuchu i piersi, ale kiedy próbuję stanąć, żebra wystrzelują ponad próg tolerancji bólu i przekonują mnie, że mogę poczekać z tym do rana. Zrzucam marynarkę Brada Pitta i kładę się ostrożnie. W momencie kiedy dotykam głowę poduszki, odpływam całkowicie.

Alice miała krótkie, ciemne włosy i niemal czarne oczy. W dolnej części karku miała wytatuowane kolce róży. Była szczupła, a jej ręce i nogi zdawały się niemożliwie długie. Byliśmy ze sobą od trzech czy czterech tygodni. Kiedy pewnej nocy leżeliśmy w jej łóżku, powiedziała niespodziewanie:

– Potrafię czarować. Chcesz zobaczyć?

– Oczywiście.

Wyskoczyła naga z łóżka. Blask świec i ulicznych latarni przemknął po jej ciele, ukazując mięśnie pracujące pod skórą i sprawiając, że tatuaże na ramionach, plecach i piersiach zatańczyły niczym tancerki w jakiejś niezwyklej sali balowej.

Podeszła do toaletki i za pomocą kredki do oczu narysowała sobie nad górną wargą mały, zawinięty wąsik. Kiedy wróciła do łóżka, trzymała kapelusz i talię kart. Usiadła, założyła kapelusz i kazała mi położyć się na pościeli.

– Wybierz kartę – poleciła. Wybrałem jedną. Waleta karo. – Teraz włóż ją do środka, gdzie chcesz. Nie będę patrzyła. – Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

– Już, Merlinie – powiedziałem.

Przesunęła dłonią nad talią, wymamrotała jakieś wymyślone zaklęcie i przetasowała karty na moim brzuchu.

– Czy to twoja karta? – zapytała, trzymając jedną w dłoni.

Walet karo.

– Zgadza się – odparłem. – Jesteś niesamowita.

– Wiesz, jak to zrobiłam?

– Magia?

Odwróciła talię w taki sposób, abym mógł zobaczyć karty. Składała się z pięćdziesięciu dwóch identycznych waletów karo.

– To nie jest prawdziwa magia.

– Wykiwałam cię.

– Oszustka. Odwróciłaś moją uwagę.

– Potrafię namieszać mężczyznom w głowach.

– Żebyś wiedziała.

Wsunęła się pod pościel, wciąż w kapeluszu i z wąsem, i w ten sposób się kochaliśmy. Kapelusz spadł, ale wąs został do rana.

W noc po sztuczce z kartami opowiedziałem Alice o magii. Wyjaśniłem jej, że ona istnieje naprawdę i że jestem magiem. Zdążyła już polubić mnie na tyle, że nie zadzwoniła po gliny i karetkę z wariatkova, ale spojrzała na mnie w taki sposób, jakbym właśnie oświadczył jej, że jestem królem leśnych ludzi. Zgasilem więc płomień jednej z zapalonych świec i sprawilem, że wskoczyła mi w dłoń. Rzuciłem czar na stare magazyny, brudne koszule i ulotki z chińskiej knajpy leżące na podłodze, po czym uformowałem z nich kształt kobiety i nakazałem mu kroczyć po mieszkaniu niczym modelce. Sprawilem, że wrzeszczący kot

sąsiada mówił po rosyjsku oraz że tatuaże Alice zaczęły się przemieszczać pod skórą niczym małe filmy.

Szalenie jej się to spodobało. Wykrzykiwała jak dziecko: „jeszcze, jeszcze!”. Nie chciała za to niczego poważnego. Każdy, komu kiedykolwiek zademonstrowałem działanie magii, reagował w ten sam sposób – jak można jej użyć, żeby się wzbogacić? Użyjmy jej do zmanipulowania giełdy. Stańmy się niewidzialni i obróbmy bank. Rzućmy urok, żeby gliny nas nie widziały.

Alice nie prosiła o nic takiego. Pokazałem jej magię i to jej wystarczyło. Nie zaczęła się natychmiast zastanawiać, co magia może dla niej zrobić. Kochała samą jej istotę, co oznaczało, że może pokochać mnie, ponieważ nie zamierzałem nikomu zapewnić bogactwa. Nie byliśmy ze sobą jeszcze wystarczająco długo i nie miała jeszcze co do mnie pewności. To nie miało znaczenia. Byłem już niemal całkowicie w niej zakochany i gotów czekać tak długo, jak to będzie konieczne.

Trwało to dwa kolejne dni.

Stała przed moimi drzwiami z pudełkiem z jakiegoś sklepiku z artykułami magicznymi w Chinatown.

– Ja też znam magię – oświadczyła.

– Przekonajmy się.

Magiczne pudełko miało rozmiar dwóch pudełek zapalek. Uniosła wieczko. W środku sterczał jej palec owinięty w dolnej części w zakrwawioną bawełnę. Palec zgiął się i wyprostował. Uniosła dłoń w taki sposób, żeby pokazać mi środkowy, odcięty palec, najtańszy z tanich żartów. Oczywiście niczego sobie nie odcięła. Wsunęła go w otwór w dolnej części pudełka, w którym w środku była już bawełna i sztuczna krew. To była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Pocałowałem ją i zabrałem do środka. Nigdy nie rozmawialiśmy o możliwości jej wprowadzenia się. Po prostu przyszła i już została, ponieważ wiedziała, że to jest jej miejsce.

Później, kiedy leżeliśmy z Alice w łóżku, wciąż pijani po świętowaniu pierwszego miesiąca, powiedziałem jej, że miałem sen o podróży samochodem i lunchu w jakimś przydrożnym barze. Powiedziała kelnerce, że jedziemy do Vegas, by udzielił nam ślubu sobowtór Elvisa, i pokazała wszystkim zaręczynowy pierścionek. To było magiczne pudełko, które wciąż tkwiło na jej palcu. Kiedy skończyłem jej opowiadać sen, ugryzła mnie lekko w ramię.

– Widzisz? – powiedziała. – Mówiłam ci, że znam magię.

* * *

Budzę się gwałtownie, słysząc trzask zamykanych na dole drzwi. Siadam, z ulgą przyjmując fakt, że już nie bolą mnie żebra. Dobry nastrój jest jednak krótkotrwały, kiedy spostrzegam, że pomieszczenie wygląda jak po kiepskim dniu w rzeźni. Zakrwawiona

marynarka i koszulka wciąż leżą na podłodze, tam, gdzie je zostawiłem. Jestem pokryty zaschniętą krwią, której znaczna ilość zmieniła się w karmazynowe plamy testu Rorschacha na całym łóżku.

Rzucam marynarkę i koszulkę na brudną pościel i ściągam wszystko z łóżka na podłogę. W łazience zużywam większość papierowych ręczników, żeby oczyścić się z krwi. Rany po pociskach są tylko czarnymi wypustkami otoczonymi psychodelicznymi, niebiesko-czerwonymi siniakami. Jeśli wykręcę się w odpowiednią stronę, czuję w środku pociski kalibru .45 jak żelki w kisielu. Kiedyś będę musiał coś z nimi zrobić, ale jeszcze nie teraz.

Mokre papierowe ręczniki rzucam na pościel z zakrwawionymi ciuchami. W małej szafce pod zlewem znajduję rolkę czarnych worków na śmieci. Odrywam jeden i wciskam do środka pozostałości po ostatniej krwawej nocy.

Wówczas dociera do mnie, że wciąż mam problem. Właśnie wyrzuciłem połowę ubrań i pozostały mi tylko klejone taśmą buty oraz przypalone džinsy, które zaczynają pękać i rozpadać się w kilku miejscach. Przez moment rozważam możliwość zdjęcia koszulki z ciała Kasabiana, ale to zbyt odrażające, nawet dla mnie. Poza tym otwarcie drzwi szafy sprawi, że głowa znów zacznie ujadać.

Przeszukuję pomieszczenie, otwierając pudła, szukając czegoś, co mogły pozostawić dzieciaki z college'u. Trafiam w dziesiątkę – pod stołem na tyłach znajduję karton pełen firmowych koszulek. Są czarne z wielkim białym napisem MAX OVERDRIVE VIDEO na plecach. Na przedzie nadrukowane są identyfikatory z tekstem: „Cześć! Jestem Max”. Słodkie.

Stoję przez chwilę przy drzwiach, nasłuchując krzątaniwy Allegry na parterze. Potrafię ją sobie niemal wyobrazić. Młoda, znudzona i poirytowana faktem, że musi otwierać sklep tuż po świętach. Wyczuwam jej myśli. Stara się o czymś nie myśleć, kiedy prostuje półki i liczy gotówkę w kasie. Otwieram cicho drzwi i zaczynam schodzić, ale odwracam się i wracam na górę. Czterdziestkapiątka i pistolet obezwładniający Brada Pitta leżą na podłodze. Wciskam je pod materac i schodzę na dół.

Allegra stoi przy drzwiach, oświetlona blaskiem poranka. Nie wygląda na starszą ode mnie, kiedy zesłano mnie do Oz. Może wystarczająco dorosła, by pić. A może nie. Nie maluje się przesadnie. Cień wokół oczu, błyszczący na ustach. Jest szczupła i ma skórę w kolorze kawy z mlekiem. Mogłaby być młodszą siostrą Foxy Brown, tyle że ma gładko ogoloną głowę. Jej płaszcz i spódnica pochodzą z lumpeksu, ale buty wyglądają na drogie. Dziewczyna ze szkoły artystycznej z priorytetami.

Podnosi wzrok, kiedy odpinam łańcuch u dołu schodów.

– Witam. Ty musisz być Allegra.

Odwraca głowę w moim kierunku.

– Kim jesteś? Gdzie jest pan Kasabian?

– Kasabian musiał wyjechać z miasta. Jakiś kryzys rodzinny. Jestem jego starym

przyjacielem. Zajmę się tym miejscem podczas jego nieobecności.

Chyba nie powiedziałem tego, co trzeba. Allegra jest zła. Próbuje zamaskować to zaskoczeniem, ale jej to nie wychodzi.

– Poważnie? – pyta. – A prowadziłeś już kiedyś sklep z filmami?

– Nie.

– Jakakolwiek styczność z detalem?

Przechodzę na front i opieram się o ladę, po drodze poszukując śladów krwi. Dostrzegam tylko kilka kropel. Zwykle nie krwawię długo, a ciuchy Brada Pitta chyba wchłonęły większość tego, co ze mnie wyciekło.

– Wyjaśnię to, dobra? Kiedy mówię, że zajmę się tym miejscem, to nie oznacza, że zamierzam cokolwiek robić. Najczęściej będę po prostu wychodził albo przesiadywał na górze.

– Aha – rzuca jeszcze chłodniej niż poprzednio. Wie doskonale, czym zajmuje się Kasabian na piętze i nie aprobeuje tego. Dziewczynka z Los Angeles z sumieniem. Takie są równie rzadkie jak jednorożce.

– Nierobienie niczego to również styl zarządzania pana Kasabiana. Dobrze się wpasujesz.

– Jej serce przyspiesza, a źrenice rozszerzają się. Dlaczego, do jasnej cholery, zauważam takie detale?

Marszczy czoło, opuszcza wzrok, a potem podnosi go na mnie.

– Proszę, nie mów mu, że tak powiedziałam.

– Potrafię dochować tajemnicy.

Jej oddech zwalnia. Odpręża się odrobinę.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Wal.

– Co się stało z twoim ubraniem?

– No tak. Miałem mały wypadek, kiedy przyjechałem do miasta – odpowiadam, uśmiechając się z zakłopotaniem. To wyraz twarzy, który dziewczyny lubiły, kiedy byłem młody i nie całkiem oszepecony. Rozmawiając z młodą laską, z którą mógłbym poflirtować w poprzednim życiu, zapominam na moment, że nie jestem już ani młody, ani przystojny. Zmieniam wyraz twarzy na coś bardziej neutralnego.

– Chyba muszę skołować sobie kilka rzeczy. Co myślisz?

– Daj sobie spokój. Słyszałam, że palone ciuchy są teraz w modzie.

– Stark.

– Stark. Tak po prostu, jak Madonna?

– Albo Cher.

– Dobra, panie Stark.

– Stark. Żadnego „panie”. Tylko Stark.

– Dobra, Tylko Stark. Pierwsza sprawa – odchodzę. Potrafiłabym poprowadzić ten interes

przez sen, ale pan Kasabian najwyraźniej nie ufa mi wystarczająco, skoro sprowadza – wybaczyć proszę – bandziora, który ma mieć na mnie oko. Wielkie, kurwa, dzięki, ale nie.

– Ostatnią rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy, jest pilnowanie ciebie. Prawda jest taka, że nie mam się gdzie zatrzymać, a Kasabian powiedział mi, że mogę się kimnąć na górze. Zajmowanie się sklepem to kwestia czysto honorowa. Jeśli o mnie chodzi, ty tutaj rządzisz. Prowadź ten interes tak, jak tylko sobie chcesz.

– Wciąż wyglądasz mi na kogoś, kogo chyba nie powinnam znać.

– Tak, już to mówiłaś. – Robię krok do przodu, zastanawiając się, czy ona się cofnie. Stoi. Nerwowa, ale dzielna. Już ją lubię. – Posłuchaj, bandzior to ktoś, kto dba tylko o siebie. A ja dbam o swoich przyjaciół. – Pojawia mi się przed oczami twarz Alice, niczym przypomnienie o tym, jak puste potrafią być takie obietnice. Dobre intencje i forsa niczego ci na tym świecie nie ułatwią. Niechętnie odsuwam Alice w mrok. – Zostań tutaj, a gwarantuję, że będziesz pracowała w najbezpieczniejszym sklepie z filmami w całym Los Angeles.

– Wcale nie jest tutaj tak strasznie.

– Poza tym, niezależnie od tego, ile płaci Kasabian, ja daję ci pięćdziesięcioprocentową podwyżkę.

To przyciąga jej uwagę.

– Możesz to zrobić?

– Nie ma tu nikogo, kto by mi tego zakazał. Uważam, że póki technicznie zajmuję się tym miejscem, mogę płacić ludziom, ile tylko zechcę.

– Kiedy wróci pan Kasabian?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, jak to jest z tymi problemami rodzinnymi. To może potrwać.

Kiwa głową, spuszcza wzrok i podnosi go.

– Dobra. Zostaję. Na razie.

Alleluja.

– Dziękuję, Allegra.

– Nie ma za co, Tylko Stark.

* * *

Czekam godzinę na piętrze, aż sklep zapełni się klientami. Kiedy na dole panuje wystarczający gwar, uznaję, że mogę zajrzeć do Kasabiana i mieć spokój, jeśli zacznie znów wrzeszczeć.

Jest dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Kiedy mnie spostrzeża, nie wrzeszczy, tylko pojękuje.

– Na litość boską, wpakuj mi kulkę w łeb albo zmień ten pieprzony kanał!

W telewizji leci właśnie jakiś talk-show. Starszy facet w garniaku i tleniona blondyna rozmawiają o aktorce, o której nigdy nie słyszałem, i o producencie makaronu, który zmieni życie każdego człowieka.

- Proszę, wyłącz to gównno.
- No nie wiem... To chyba naprawdę dobry producent makaronu.
- Pierdol się.
- Masz samochód?

Gapi się w telewizor, ignorując mnie. Wyciągam rękę i ściszam dźwięk.

- Kluczyki mam w prawej kieszeni.

Obracam jego bezwładne ciało, żeby sięgnąć do kieszeni. Mam je.

- Co to za wóz?
- Oddaj mi ciało.
- Gdzie jest Mason?
- Nie wiem.
- Nie wierzę ci.

- Uwierz mi, gdybym wiedział, jak wysłać cię do Masona, zrobiłbym to w mgnieniu oka.

Potem zapytałbym go, czy mogę popatrzeć, jak urywa ci jaja.

Włączam głos w telewizorze i zamykam szafę. Ze środka dobiegają stłumione przekleństwa.

Chwytam worek z zakrwawionymi rzeczami oraz pościelą i schodzę na dół, do sklepu. Za ladą stoi Allegra i jeszcze jeden chłopak, zajęci obsługą klientów. Za sekcją z pornografią znajduje się mały składzik z tylnym wyjściem ze sklepu. Wyciągam ostrze z kości i próbuję sztuczki, która działała w Piekło. Przykładam czubek do zamka, wciskam go do środka i przekręcam. Zamek się otwiera.

Za sklepem jest niewielki zaułek z kilkoma kontenerami na śmieci. Wrzucam worek do jednego z nich i kieruję się w stronę wylotu na ulicę.

Pogoda jest bardzo przyjemna. Słonecznie, ale jeszcze nie gorąco. Dziś czuję się dużo bardziej ludzki i uspokojony, ot, kolejny zwykły koleś z czterdziestką wciśniętą za pasek, spieszący w jakieś miejsce. Wieczorem przeliczyłem pieniądze Brada Pitta i wyszło mi dwa dwieście, mogę więc spokojnie kupić wszystko, czego potrzebuję.

Naciskam raz za razem przycisk otwierania drzwi na pilocie i mój dobry nastrój pryska, kiedy w końcu słyszę świergot wozu Kasabiana. Biały chevrolet aveo z wgniecionym kufrem. Tylko wypożyczalnie samochodów kupują białe amerykańskie wozy, co oznacza, że chevy Kasabiana jest nie tylko ręką, ale na dodatek używanym. Ale kto jest bardziej żalony: facet, który jeździ używanym ręką czy ten, który go kradnie?

Dziwnie jest zaczynać wszystko od początku. To całkowicie zmienia skalę ludzkich ambicji. Zamiast fantazjować na temat wyglądu rezydencji, którą kupisz sobie po wygraniu na loterii, zadajesz sobie pytania w stylu: czy mam skarpetki? Szczoteczkę do zębów? Koszulkę, która nie jest poplamiona krwią?

Pieniądze również są dziwne, jeśli nie używało się ich przez dłuższy czas. W Piekło stosuje się głównie system wymiany. Zwłaszcza wśród potężnych i wpływowych kupowanie

czegokolwiek jest wielkim towarzyskim faux pas. Oznacza to bowiem, że nie masz niczego dobrego na wymianę lub nie jesteś wystarczająco bystry, żeby załatwić sobie to, czego szukasz. Rulonik Brada Pitta wyglądał na fortunę, kiedy go liczyłem, ale wydają większość w ciągu kilku godzin.

Wielka forsa idzie na kilka wybranych rzeczy. Nowa para podkutych stałą butów Caterpillar. Stal jest zawsze dobrym rozwiązaniem. Kupuję również długi, lekki płaszcz. Nie bez przyczyny wszyscy ci szpiedzy i agenci noszą coś takiego w starych filmach. Są wystarczająco obszerne, by ukryć mnóstwo grzechów, szczególnie takich z pociskami. Wybieram więc długi, kredowoszary płaszcz w butiku z używanymi ciuchami w West Hollywood. Cokolwiek cięższego od jedwabiu wyglądałoby w Los Angeles po prostu śmiesznie, a noszenie czarnego płaszcza to znak, że słuchasz za dużo gotyku.

Na Melrose lansują się rekiny biznesu filmowego, a w kafejkach na kawę i burgery w cenie liftingu spotykają się motocykliści z gatunku tych, co to mają bogatych starych. Przed lokalami stoją długie, błyszczące rzędy harleyów po czterdzieści kawałków sztuka, które nigdy nie widziały pyłku kurzu czy plamy od błota. Choć ci klauni wyzwalają dziwne odczucia w moim ego, wiem dobrze, że wiąże się z nimi jedna dobra sprawa. Żądają najlepszego dostępnego sprzętu motocyklowego.

W sklepie dla harleyowców, który bardziej kojarzy się z muzeum, kupuję skórzane spodnie i wzmocnioną kurtkę ze skóry. Po tym, jak mnie postrzelono i niemal obezwładniono pistoletem, podoba mi się pomysł warstwy kevlaru między światem a mną. Wybieram również bluzę z długimi rękawami, z wszytymi panelami kevlarowymi. Zamierzam założyć bluzę pod płaszcz i mam tylko nadzieję, że nie jest na tyle obszerna, że będę wyglądał jak robot w szlafroku.

Zakładam nowe buty, spodnie i kurtkę motocyklową w jednej z przebieralni, wrzucam moje popalone ciuchy do kosza i wychodzę ze sklepu. To już chyba wszystko, myślę. Ostatni materialny łącznik z moim poprzednim życiem. Pozostała już tylko koszulka z The Germs, teraz cała we krwi i podziurawiona kulami, wciśnięta pod materac w Max Overdrive. Być może powinienem wyrzucić ją razem z całą resztą, ale dostałem ją od Alice, pozostanie więc ze mną, dopóki ostatecznie nie szczenę.

Kiedy wcześniej zaparkowałem aveo, zostawiłem czterdziestkępiątkę pod siedzeniem kierowcy. Wracając, robię małą zamianę: wkładam broń do torby z nowym płaszczem, zostawiając kluczyki od wozu na siedzeniu. Może poślakami się na niego jakiś zdesperowany dzieciak albo kilku bezdomnych zrobi sobie z niego mieszkanie. Biorę swoje torby i idę wzdłuż Melrose w poszukiwaniu nowego wozu.

Istnieje tylko jeden sposób na to, by ukraść wóz i nie poczuć się winnym z tego powodu, a mianowicie ukraść najdroższą furę, jaką tylko uda się znaleźć. W ten sposób masz pewność, że ubezpieczono ją na najwyższą kwotę i cokolwiek się wydarzy, właściciel jest chroniony. Wybieram czarnego mercedesa S600, podchodzę do drzwi kierowcy i zasłaniając widok

ciałem, wsuwam kościany nóż do zamka. Wstrzymuję oddech. Samochód wydaje z siebie pojedynczy świergot i zamek się otwiera. Wsuwam się do środka wraz z torbami, powtarzam numer z nożem w stacyjce i po chwili silnik pomrukuje. Sprawdzam lusterka i okna. Nikt nawet na mnie nie patrzy. Naciskam pedał gazu i włączam się mercedesem w popołudniowy ruch.

* * *

Budynek jest jak Sfinks – wieczny i niezmienny – dokładnie taki, jak zapamiętałem. Te same kraty z kutego żelaza w oknach na parterze. Przez szyby z zatopioną drucianą siatką w oknach na piętrze widać zakurzone firany i postrzępione żaluzje. Łatwo zlokalizować okno zarządcy budynku: pozostały na nim fragmenty złotych liter, które kiedyś układały się w nazwę firmy. Zamiast firan w oknie zarządcy wisi folia. Zawsze się zastanawiałem, co się tam dzieje, że z taką desperacją odcina się od światła. Pewnego dnia będę musiał się tego dowiedzieć.

Obserwuję budynek przez czas niezbędny do wypalenia trzech fajek. Nie dzieje się nic nietypowego, nawet interesującego. Przejeżdżają samochody. Starsza kobieta ciągnie na smyczy dwa zmęczone teriery.

Nie jestem pewien, czy mądre byłoby wejście do budynku w biały dzień, ale nie wyczuwam też żadnych demonicznych wibracji. Ściągam Veritas z łańcuszka i podrzucam ją w samochodzie. Wejść do środka czy nie? Moneta upada poranną gwiazdą do góry. Infernalny skrypt wokół krawędzi mówi: wracaj do sklepu i pogadaj z ładną dziewczyną. Nieźle. Moja magiczna moneta chce mnie położyć z nią do łóżka. Choć doceniam tę myśl, pora jest niezbyt dobra. Wsiadam z samochodu, wciskam broń pod kurtkę i przebiegam przez ulicę w stronę budynku.

Frontowe drzwi są jak zawsze zamknięte, ale boczne, przy rampie załadunkowej, są szeroko otwarte. Na prawo od wejścia jest winda towarowa. Ściągam w dół górną kratę, która zamyka drewniane szczęki windy, i uderzam bokiem pięści w przycisk trzeciego piętra. Winda trzęsie się i rusza w górę.

Mogłem pozostać po drugiej stronie ulicy i przyjść tu pod osłoną cienia. Mogłem wejść pod osłoną cienia prosto do swojego mieszkania. Pierdolę to. To mój dom. Wejdę przez drzwi.

Kiedy winda dociera na trzecie piętro, podnoszę kratę i biegnę prosto głównym korytarzem, a następnie w lewo. Moje mieszkanie jest na końcu po lewej, na tyle daleko, że mogę wziąć rozbieg. Drzwi wykonane zostały z solidnej stali i są doskonale osadzone na dwóch ciężkich, metalowych zawiasach. Kiedyś bym o czymś takim nawet nie pomyślał, ale teraz jestem nieco silniejszy. Robię kilka długich kroków, podnoszę nogę i uderzam obcasem w drzwi. Otwierają się z trzaskiem, a zardzewiały mechanizm zamka wyskakuje w powietrze niczym metalowe frisbee. Czterdziestkępiątkę trzymam uniesioną w górze, gotów na

wszystko.

– No, no – mówi dwustuletni Francuz siedzący w głębokim fotelu. – Całkiem długo to, kurwa, trwało.

* * *

Wstaje ze zużytego, zielonego fotela. Jest nieco wyższy i cięższy, niż pamiętam, wciąż jednak nosi tę samą brodę w kolorze soli z pieprzem i krótko przystrzyżone włosy. Ma imponujący rzymski nos i ciemne oczy, które w innych okolicznościach mogłyby należeć do twojego ukochanego wujka w świąteczny poranek lub do wkurwionego bandziora, który szykuje się do użycia wiertarki na twoim czole.

Patrzę na niego, tak po prostu. Zwykle lubię słuchać, jak Vidocq krzyczy „kurwa”, bo wymawia to z charakterystycznym akcentem. Z drugiej strony, na liście dziesięciu osób, których nigdy bym się tutaj nie spodziewał, on zajmuje wszystkie pięć pierwszych miejsc. Trwam w miejscu, nie przemieszczając się na lewo ani prawo, ustawiając ciało w taki sposób, by w razie potrzeby wybiec bez patrzenia.

– Vidocq? Co ty tu robisz?

– Tak witasz przyjaciela po tylu latach? – pyta, odkładając na podłogę podniszczoną książkę, którą czytał. – Czekałem na ciebie, doglądałem ci mieszkania. Myślałeś, że zająłem dla siebie tę gównianą, betonową dziurę?

Unoszę czterdziestkę i celuję mu w głowę.

– W jakich okolicznościach się poznaliśmy, starszku?

– Ach, myślisz, że to nie ja, co? Że to jakaś pułapka. Też bym tak pewnie pomyślał na twoim miejscu. – Podnosi kielich napełniony po brzegi winem tak czerwonym, że wygląda na czarne. – Spotkaliśmy się w klubie. Teraz jest zamknięty. Krwawy Południk. To było jeszcze zanim poznałeś swoją kochaną Alice. Siedzieliśmy obaj przy barze, flirtując z tą samą dziewczyną, która stała między nami. Żaden z nas nie miał wtedy w kieszeni więcej niż kilka dolców, rzuciliśmy więc niewielki urok na barmana, żebyśmy mogli płacić za wszystkie drinki wciąż tą samą forszą. Kiedy się zorientowaliśmy, co robimy, zapomnieliśmy o dziewczynie i zaczęliśmy rozmawiać o tym, kim jesteśmy, kogo i co znamy, a biedny barman dostał od nas za cały wieczór kilka dolarów.

– Niewielka strata, z tego, co pamiętam. Dziewczyna była ładna, ale niewiele warta.

– To tak jak my, z tego, co pamiętam. Nasza nagła utrata zainteresowania nieźle ją uraziła.

– W następnym życiu będę kupował jej drinki i wysłuchiwał jej opowieści przez całą noc.

– W następnym życiu.

Broń zaczyna mi nagle ciążyć w dłoni. Opuszczam ją. Vidocq, wyższy ode mnie o głowę i o połowę szerszy, podchodzi i zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Dobrze cię widzieć, chłopcze – mówi.

Podobnie jak budynek, Vidocq nie zmienił się ani trochę. Wygląda na jakieś czterdzieści pięć lat, ale jest wystarczająco stary, by opowiadać o dźwięku opadającej gilotyny ścinającej arystokratów podczas rewolucji francuskiej.

Rozglądam się po pokoju. Nie wygląda to dobrze. Gdzie są wszystkie moje rzeczy? Gdzie rzeczy należące do Alice?

– Od jak dawna tu mieszkasz? Gdzie się wszystko podziało? – pytam.

– Alice wyprowadziła się kilka miesięcy po twoim zniknięciu. Uratowałem twoje rzeczy i to, co zostawiła w sypialni.

– Dokąd poszła?

– Wprowadziła się z kimś do mieszkania w Echo Park. To tam była, kiedy wydarzyły się te straszliwe rzeczy.

– Mason ją zamordował. Możesz to powiedzieć. – Czuję się głupio, ale muszę go o to zapytać: – Ten ktoś, z kim się wprowadziła, to dziewczyna czy facet?

– Nie, to przyjaciółka – odpowiada. – Alice miała kochanków po twoim odejściu, ale z żadnym z nich nie była na poważnie. Złamałeś jej serce. Nie była już tą samą dziewczyną.

Podchodzę do blatu, który oddziela salon od kuchni. Czajnik na piecu wygląda znajomo, ale nic poza nim. Nie jestem nawet pewien tego czajnika.

– Zadbales o nią?

– Tyle, ile mogłem. Nie chciała widzieć nikogo kojarzącego się z tobą z tamtych czasów. A już na pewno nikogo związanego z magią.

To było do niej podobne. Nie lubiła Masona ani nikogo innego z Kręgu. Kiedy zniknąłem, chciała jak najbardziej oddalić się od magii. Nie uciekła jednak wystarczająco daleko. Powinienem jej powiedzieć, żeby wyjechała z miasta, jeśli cokolwiek mi się przydarzy. Powinienem jej zapewnić plan ucieczki. Ale co mogło mi się przydarzyć? Byłem złotym chłopcem. Byłem kuloodporny.

– Dzięki, że próbowałeś – mówię. – I dzięki za przypilnowanie tego miejsca. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym tu wszedł i zastał jakiegoś obcego dupka.

Vidocq podnosi butelkę wina ze stolika, bierze dla mnie kieliszek z kuchni i napełnia go po brzegi. Nalewa też do swojego, podnosi go i obaj pijemy. Siadam na kanapie.

– Co tam u ciebie? Co porabiales, kiedy mnie nie było?

– Pracowałem. W tych czasach praca to wszystko, co mam – mówi. – Kradzieże pozwalają się utrzymać, a praca ukazuje mi oblicze Boga. Złodziejstwo jest jak alchemia, wiesz? W obu tych dziedzinach próbujemy znaleźć to, co jest piękne i ukryte, a potem sprawić, by było nasze.

– To zabawne. Znamy się już tyle czasu, że nie pamiętam, abyś zagrzał gdzieś miejsce dłużej niż kilka tygodni. Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako kogoś, kto płaci za czynsz i prąd.

– Nie obrażaj mnie. Nie zapłaciłbym złamanego centa za tę norę. Użyłem starego

cygańskiego eliksiru, vin de mémoire manquée. Wymalowałem ściany, okna, podłogę i sufit, et voilà! Twój dom już nie istnieje. Nie jest widoczny ani zapamiętany, poza oczywiście takimi jak my. Sub Rosa.

Sub Rosa. Od dawna nie myślałem o Sub Rosa.

Vidocq jest Sub Rosa. Tak samo jak Kasabian, Mason i cała reszta z Kręgu. Ja też jestem Sub Rosa, choć wtedy nie myślałem o sobie w ten sposób, pomimo że w Południowej Kalifornii jest nas pewnie z kilka tysięcy.

Sub Rosa to tajemni ludzie, którzy wyglądają tak samo jak ty, ale są inni. Chodzą do tego samego banku, co ty. Stoją za tobą w kolejce w fast foodzie. Żebrzą o pieniądze, które nagle i w niewyjaśniony sposób musisz wrzucić w ich brudne łapy. Niektórzy z nas rozmawiają również ze zmarłymi. Niektórzy widzą przyszłość, handlują duszami jak kartami bejsbolowymi czy przekupują anioły, by zerknąć na boską listę czynności do wykonania. W większości wypadków Sub Rosa to ludzie, o których zwyczajni zjadacze chleba nie powinni mieć bladego pojęcia. To nie tak, że was nie lubimy. Chodzi raczej o to, że gdy tylko nas zobaczycie, chcecie spalić nas na stosie.

Alchemiczne zapasy i złodziejski sprzęt Vidocqa zajmują niemal całą powierzchnię – półki z eliksirami, książki i zwoje w łacinie i grece, alembiki, próbówki i kamienie szlifierskie. W kącie na stole leżą błyskotki, które ukradł na zamówienie – japoński bibelot netsuke, diamenty luzem wysypujące się z kopert kurierskich, paszporty i dyski komputerowe. To jeden z jego mniej udanych eksperymentów zapewnił mu nieśmiertelność. Ostatnie sto pięćdziesiąt lat spędził na kradzieżach rzeczy pozwalających mu opłacać badania nad antidotum.

– Dzięki za przypilnowanie mieszkania. Cieszę się, że tu zostałeś – mówię. – Nie mógłbym tutaj mieszkać bez Alice.

Kiwa z powagą głową.

– Gdzie będziesz mieszkał?

– Zatrzymałem się u znajomego. Mam tam łazienkę, wygodne łóżko i tyle filmów, ile dusza zapagnie. Powinieneś wpaść i to zobaczyć.

– Brzmi uroczo.

– Wróciłem tutaj, żeby zabić parę osób. – Wyrzucam to z siebie, starając się jak najszybciej wypowiadać słowa. – Zamierzam zniszczyć cały magiczny krąg.

– Wiedziałem o tym już od momentu, kiedy tu wpadłeś. I rozumiem cię. Nie będę nawet próbował cię przekonywać, byś tego nie robił, ale zanim zaczniesz, powinieneś wiedzieć kilka rzeczy.

Widzę, że zapowiada się poważna rozmowa. Zapalam papierosa, a Vidocq nalewa więcej wina.

– Wiele lat temu robiłem coś, do czego teraz ty zmierzasz. Długo przed tym, nim urodzili się twoi dziadkowie. Zemsta nigdy nie jest taka, jak sobie wyobrażasz. Nie ma przyjemności i

chwały, a kiedy jest po wszystkim, żal pozostaje. Kiedy człowiek robi takie rzeczy, nigdy już nie będzie taki sam i nigdy nie powróci do swojego poprzedniego życia. Co gorsza, niezależnie od tego, ilu wrogów zabijesz, nigdy nie będziesz miał dość. Zawsze znajdzie się jeszcze jeden, który na to zasługuje. Kiedy zabijanie staje się zbyt proste, nigdy się nie kończy.

– Ty skończyłeś.

– Pragnienie wciąż we mnie tkwi, choć wszyscy ci ludzie są martwi, ci, których zabiłem, i ci, którzy zmarli śmiercią naturalną przez te wszystkie lata, kiedy się powstrzymywałem. Co więcej, kiedy to się skończyło, musiałem opuścić Paryż, wsiąść na statek i przyplłynąć do krainy cheeseburgerów i kowbojów. Wkraczasz na złą drogę, przyjacielu.

– Doceniam twoje porady. Nie martw się. Nie jestem tutaj po to, by prosić o pomoc.

– Nie bądź głupi. Oczywiście, że ci pomogę. Zawsze musimy troszczyć się o przyjaciół, nawet jeśli postępują głupio. Zwłaszcza, jeśli postępują głupio.

– Dziękuję ci, staruszk.

– Salut – odpowiada i podnosi kieliszek. Trącam jego naczynie swoim.

Kiedy kończę papierosa, wyciągam nóż, którego użyłem na Kasabianie, i podważam kilka desek pod stolikiem. Nasączone oliwą zawiniątko z bronią mojego ojca wciąż tam tkwi. Wyciągam je i układam broń na blacie, jedną przy drugiej. Dobra kopia rewolweru Navy Colt z 1861 roku, zmodyfikowana dla współczesnych naboju kalibru .44. Ciężki rewolwer LeMat z czasów wojny secesyjnej. Półautomatyczny Browning kalibru .45, którego dziadek używał podczas lądowania w Normandii. I strzelba M3 Benelli. Wszystkie będą potrzebowały solidnego wyczyszczenia przed użyciem.

Coś przechodzi Vidocqowi przez myśl. Łapię tylko fragment, zanim tę myśl odpycha. Odczuwam to jak migrenę, nóż między oczami.

– Coś nie tak? – pyta Vidocq.

– Coś dziwnego dzieje się w mojej głowie. Czuję i słyszę rzeczy, których nie powinienem. Teraz, na przykład, pocisz się i przyspiesza ci serce. Jakbyś się bał.

– Wracasz tu z Piekła, mówiąc o morderstwach, i wyciągasz spluwy spod mojej podłogi. Czy nie powinienem być nieco wystraszony za nas obu?

– Są też inne rzeczy. Stałem się odporny na śmierć. Można mnie zastrzelić, rozerwać na kawałki, pociąć sprzętem kuchennym, a ja wstanę i odejdę. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje.

– Wpadasz w Otchłań jako młody mag, a wracasz jako Superman. Jak to możliwe?

– To ty masz te wszystkie książki. Ty mi powiedz.

– Może tak jak ja zostałeś przeklęty i stałeś się nieśmiertelny.

– To, co przydarzyło się tobie, nie było klątwą. Ty uznałeś to za klątwę. Poza tym, jak już, to ci demonojebcy z Dołu sprawiliby, żeby było łatwiej mnie zabić. Wtedy szybciej bym do nich wrócił.

– Może to po prostu biologia. Jesteś pierwszym żywym człowiekiem, który trafił do Piekła. Twój stan może być naturalną reakcją biologiczną. Efekt uboczny pozostawania w tym okropnym miejscu. Może powinieneś być wdzięczny, że masz ten nowy dar i możesz zaakcentować swoje naturalne umiejętności magiczne.

– Nie ufam temu czemuś. Nie potrafię tego zrozumieć. Może to jakaś pułapka. Nic, co wydarzyło się w tamtym miejscu, nie wydarzyło się dla mojej korzyści.

– W takim razie z czasem dowiemy się, co to jest. Twoi przyjaciele z Piekła w końcu wyruszą za tobą, co?

– W końcu tak, ale nie teraz. Na dole toczy się wojna. Pierdolony chaos.

– Masz szczęście.

– Ano mam.

Biorę z kuchni ścierkę do naczyń i czyszczę z kurzu każdy egzemplarz broni. Choć była zawinięta w naoliwioną szmatę, widoczne są ślady rdzy. Później będę musiał je porządnie wyczyścić.

– Jak to było w tym Piekło? Próbowalesz uciec? Zawsze byłeś sprytnym magiem.

– Sprytna magia niewiele tam daje. Nawet kiedy stałem się silniejszy, nie mogłem rzucić najprostszego uroku, dopóki nie zacząłem się uczyć magii infernalnej.

– To w ten sposób udało ci się uciec?

– Nie. Stanowiłem własność Azazela, jednego z generałów Lucyfera. Uczynił mnie swoim specjalnym zabójcą. Powiedział, że Alice nic się nie stanie, jeśli będę posłuszny.

– A jednak coś się jej stało.

– Nie wiem, jak się o tym dowiedziałem. To jak te nowe rzeczy, które potrafię słyszeć i czuć. – Upijam łyk wina. – Zanim odszedłem, wyciąłem Azazelowi serce i położyłem je na jego ołtarzu.

– Jak się wydostałeś?

– Klucz. Klucz do dowolnego miejsca we wszechświecie, do którego chciałbym się udać.

– Masz go przy sobie?

– Jest tutaj – mówię, przykładając dłoń do piersi, jakbym składał przysięgę lojalności. – Nad moim sercem. Zabrałem jego nóż, otworzyłem się nim i włożyłem klucz do środka. Teraz mogę kroczyć pośród cieni Sali Trzynastu Drzwi. Pójść dokądkolwiek i kiedykolwiek zechcę. Z powrotem do Piekła. Może nawet do Nieba. Nie wiem. Nie otworzyłem wszystkich trzynastu drzwi.

– Umieściłeś klucz w sobie? I stworzono go za pomocą magii infernalnej? To cię zatruje.

– Wszystko, co przydarzało mi się w ciągu ostatnich jedenastu lat, było dla mnie toksyczne. Myślisz, że jeden mały kluczyk będzie teraz stanowił jakkolwiek różnicę?

– To nie jest dobre, Jimmy.

– Proszę, nie mów tak do mnie. Nie używam już tego imienia.

– A więc wciąż się ich boisz. Obawiasz się, że wytropią cię po imieniu.

– Nie, jeśli nikt nie będzie go używał.

– Twoje imię to twoja tożsamość. To rodzina. Łączy cię ze światem. Nie możesz tak łatwo się go pozbyć. – Bierze solidny łyk wina i dodaje: – Dzikie Bill.

– Tak tym bardziej do mnie nie mów.

Vidocq jest jedną z niewielu osób, które wiedzą, że moje pełne nazwisko brzmi James Butler Hickok Stark. To nazwisko Dzikiego Billa Hickoka, poza członem Stark. Nauczyłem się strzelać i doceniać broń już za młodu, gdyż byliśmy ponoć bezpośrednimi potomkami Dzikiego Billa, największego rewolwerowca na Zachodzie. „Stark” dodano nieco później, kiedy miasteczka na prerii zmieniły się w miasta, aby powstrzymać idiotów zjawiających się pod drzwiami, którzy chcieli dotknąć legendy praprapradziadka. Albo gorzej. Doszło do więcej niż kilku bójek, a nawet strzelanin. Najzabawniejsze jest to, że nikt tak do końca nie wie, czy naprawdę jesteśmy spokrewnieni z Dzikim Billem. Zostawił ponoć po sobie kilka bachorów w Kansas i Missouri, więc to całkiem możliwe. Równie dobrze może to być jednak tylko legenda. Moja rodzina nigdy nie pozwala stanąć faktom na drodze do dobrej opowieści.

– Dzikie Bill nie żyje. Jestem po prostu Stark.

– To twoja rodzina, twoja tożsamość. Nie możesz tak po prostu uciec od swojego nazwiska.

– Mogę i uciekłem. Szukam Masona. Zostawił mnie Piekłu w zamian za władzę, a teraz zamierzam mu odplacić. Wiesz, gdzie on jest?

– Nikt już nie widuje monsieur Faima. Podobnie jak Bóg stanowi wielką tajemnicę. Co zrobisz, kiedy go odnajdziesz?

– Zabiję go.

– I co potem? – Vidocq odstawia kieliszek i wyłamuje palce. – To, czego chcesz, może okazać się niemożliwe. Mason jest teraz bardzo potężny. Bardzo dobrze chroniony.

– Dotarłem do mnóstwa doskonale chronionych Infernali. Przy okazji nauczyłem się paru sztuczek. Chcesz wiedzieć, jaka była pierwsza lekcja?

– Powiedz mi, proszę.

Podnoszę niewielką fiolkę z rtęcią ze stolika i potrząsam nią, obserwując odbłaski światła na srebrnej powierzchni.

– Tutaj, w amerykańskim Mieście Aniołów, magowie martwią się o dobro i zło. Biała magia przeciwko czarnej.

– Wszyscy magowie myślą o tych różnicach.

– Nie, na Dole nie myślą o nich. Infernale rozumieją coś, czego my nie pojmujemy – że nie ma białej magii. Nie ma czarnej magii. Jest tylko magia. Za pomocą zaklęcia leczącego możesz zabić tak samo łatwo, jak za pomocą klątwy. Gdybyś teraz doznał zawału serca, mógłbym rzucić zaklęcie, które spowolniłoby twoje serce. Mógłbym ustawić twoje ciśnienie krwi, podnieść je lub obniżyć. Ale mogę też użyć tych samych zaklęć w sytuacji, kiedy nie masz zawału. Mogę tak obniżyć ci ciśnienie krwi, że zemdlejesz. Zwolnić i zatrzymać serce. I

byłbyś równie martwy jak po użyciu klątwy.

– To nie jest Piekło, chłopcze. Ludzie by się domyślili. Tutaj istnieją zasady.

– Nie dla mnie. Nie wiem nawet, czy tutaj wykryliby moją magię. Czy w ogóle naruszyłaby eter.

Vidocq podnosi, a następnie z trzaskiem odstawia kieliszek.

– Więc dlaczego jej nie użyjesz? – pyta głośno. – Śmiało, wykryj teraz miejsce, w którym przebywa Mason.

Odstawiam rtęć i rozglądam się po nieznanym znajomym pokoju.

– Nie mogę. Nie wiem, co się wydarzy. Magia może w ogóle nie zadziałać, może też wypalić jak fajerwerki podczas Super Bowl. Nie mogę zaryzykować i ujawnić komukolwiek, że wróciłem.

Vidocq uśmiecha się i kiwa do mnie palcem.

– A więc przy całej tej mocy zarazem nie masz jej wcale. To dość zabawne, nie sądzisz?

– Mam broń.

– Tak, pokonasz wszystkich Sub Rosa spluwami. Kolejne gówno w stylu Brudnego Harry’ego.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Są pewne rzeczy, których używałem na arenie. Będę musiał skonstruować trochę broni. Potrzebny mi ktoś, kto potrafi pracować z metalem.

– Pozwól mi pomóc – mówi szczerze Vidocq. – Pomogę ci ochronić ten twój plan przed utratą kontroli. Wiem, że wróciłeś do Le Merdier, tego gównianego świata, ale gdzie indziej miałbyś się udać? Musisz tutaj żyć. Musisz mieć nazwisko. Musisz znów być człowiekiem.

Jak to powiadano w tej starej niedzielnej szkółce – jeśli zbyt długo walczysz ze smokami, stajesz się jednym z nich. To chodziło mi po głowie przez wiele lat, wystarczająco długo, żebym uznał, iż wolę być smokiem niż owieczką pędzoną na pożarcie. Może w innej, łagodniejszej wersji tego świata mógłbym odejść z Kręgu, zająć się nauką zen i wybaczyć im wszystko, co mi zrobili. Ale nie wybaczę im Alice. Tego nigdy nie wybaczę. Może ja nie jestem wart tego, żeby zabijać, ale ona z całą pewnością tak.

– Muszę już iść. Mam spotkanie z kimś – kłamię. Kładę broń z powrotem na szmaty i zawijam ją. Trochę mi wstyd, czuję się, jakbym sprawił staremu człowiekowi zawód. Nie patrząc mu w oczy, pytam: – Chcesz się jutro spotkać?

– Oczywiście.

Docieram do drzwi, unikając kolejnego niedźwiedziego uścisku.

* * *

Prowadzę mercedesa na zachód, w kierunku innego miejsca w mieście, które przyprawia mnie o takie same ciarki jak moje stare mieszkanie.

Zjeżdżam z Sunset w Laurel Canyon Boulevard. Przejście z Hollywood do Beverly Hills

jest zawsze nagłe i zaskakujące jak przerwienie przełącznika. Spaliny autobusów i pasażerów z zakładami kosmetycznymi ustępują miejsca krótko przyciętym, zielonym trawnikom i okazałym domom. To nie jest Beverly Hills z filmów, ale jego starsza część. Domy są duże, ale nie należą do tych fantastycznych rezydencji na pokaz. Żyją tutaj głównie starsze pokolenia.

Mijam Mulholland i skręcam w prawo, w labirynt ulic, które noszą wspólną nazwę Doña. Doña Isabel. Doña Marta. Doña Sarita. Kiedy znajduję właściwą Doñę, parkuję wóz i siedzę przez chwilę w zamyśleniu. Powinienem przewidzieć coś takiego. Od chwili mojego powrotu wszystko układało się aż za bardzo po mojej myśli. Brad Pitt nie był moim powitaniem na tym świecie. To jest.

Nie ma potrzeby wysiadać z samochodu, ale i tak to robię, a następnie przechodzę przez ulicę na pusty plac, gdzie niegdyś stała rezydencja Masona – miejsce, w którym spotykał się nasz magiczny krąg. Pusta parcela wyraźnie nie pasuje do tego doskonałego krajobrazu, jak gwiazdka pokazująca zgniłe zęby w wartym milionem dolców uśmiechu. Piaszczystą ziemię porastają wysokie chwasty. Dostrzegam wypłowiały szyld z nazwą agencji wynajmu nieruchomości i komunikatem: „Już wkrótce!” na samej górze, ale nic nie wskazuje na to, by od lat ktokolwiek postawił tutaj stopę.

Słońce szybko zachodzi. Kiedy wiatr nabiera prędkości, zaczynam odczuwać chłód. Wiem, że to wszystko siedzi w mojej głowie. Nawet w Boże Narodzenie w Los Angeles nie jest tak zimno, ale to nie powstrzymuje mnie przed szczekaniem zębami.

Noc nadchodzi szybko. Wracam do mercedesa, wsiadam i zapalam jednego z ostatnich papierosów z paczki, którą dał mi Carlos. Patrzę na pustą parcelę i zastanawiam się, co się wydarzyło. Nie wygląda to na pożar domu. Z tego, co pamiętam, ta dzielnica położona jest na podłożu skalnym, więc rezydencja zapewne nie rozpadła się podczas trzęsienia ziemi. Po prostu sobie poszła. Wiem, że powinienem zrobić obchód tego miejsca i poszukać czegoś, co mogłoby mnie naprowadzić na trop Masona i pozostałych. Ale nie dzisiaj. Znowu czuję ten sam silny odór gówna i siarki, który towarzyszył mi podczas wleczenia do Piekła przez podłogę w piwnicy. Zostaję w samochodzie i kiedy kończę ostatniego papierosa, pstrykam peta na jeden z wypielęgnowanych trawników i odjeżdżam.

* * *

Porzucam mercedesa kilka przecznic od Max Overdrive. W innych okolicznościach byłbym załamany, będąc zmuszonym pozbyć się tak wspaniałej maszyny, ale Los Angeles jest prawdziwym salonem samochodowym, a teraz, kiedy dowiedziałem się, jak mój nóż radzi sobie z zamkami i stacyjkami, wiem, że nigdy nie pozostanę bez kółek.

Biorę tłuste zawiniątko z bronią i torby z nowymi ciuchami. Kiedy docieram do sklepu, okazuje się, że drzwi są zamknięte, ale pukam w szybę i Allegra wpuszcza mnie do środka.

– Niech to szlag – rzuca. – Nieźle sprzątasz.

– Dzięki. – Miło jest usłyszeć komplement od ludzkiej kobiety. Te kilka miłych słów,

które usłyszałem przez ostatnie jedenaście lat, pochodziło głównie od Infernali, którzy wyglądali jak coś, co właśnie wyrzygał wąż.

– Zgubiłeś klucz?

– Zapomniałem go zabrać. W ostatnim czasie nie musiałem nosić ze sobą kluczy.

– To gdzie mieszkałeś, że nie potrzebowałeś kluczy? – Patrzy na coś, co zaczęło właśnie wydawać dźwięki w jej dłoni. Wygląda to tak, jakby pilot od telewizora wydymał małą maszynę do pisania, a to jest ich mały bachor. Pisze coś kciukami na małej klawiaturze i uśmiecha się.

– Czym się tam bawisz?

– Nigdy nie widziałeś czegoś takiego? To BlackBerry.

– To jakiś telefon? Ale ty na nim piszesz.

– Ach, teraz rozumiem. Byłeś w śpiączce od lat siedemdziesiątych. Nie. Porwali cię obcy.

– Przyłapałaś mnie. Klatuu barada nikto.

– *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia, co?* Jeden z moich ulubionych filmów z dzieciństwa.

– Mój też. No to dlaczego piszesz na tym swoim urządzeniu BlackBerry?

– Tylko BlackBerry. Tak jak ty, Tylko Stark. – Obraca gadżet, żebym mógł się lepiej przyjrzeć. – Możesz przez niego rozmawiać lub pisać wiadomości. To jak e-mail, tyle że wiadomość dociera od razu. Słyszałeś o e-mailach, co?

– Pewnie. Ale po co pisać coś do innej osoby? Nie łatwiej zadzwonić?

– Czasami pisanie jest zabawniejsze. Albo, tak jak teraz, jeśli wysyłasz komuś adres, lepiej go zapisać.

– A co to jest, to na ekranie?

– To Google Maps. Sprawdziłam adres, żebym mogła dać Michelle wskazówki. – Klika i malutki ekran zmienia się. – Widzisz? Łączysz się z siecią i wprowadzasz adres.

– Masz w tym Internet? Gdybym zdobył Internet, mógłbym szukać różnych rzeczy, prawda? Nazw, miejsc, historii?

– Po pierwsze, nie zdobywa się Internetu. To sieć i nie zdobywasz jej. Po prostu jej używasz. I tak, możesz szukać, czego tylko chcesz.

– Mogę coś takiego kupić?

Patrzy na mnie w taki sposób, jakbym naprawdę spędził dziesięć lat na Marsie.

– Oczywiście. Musisz tylko zorientować się, jakiego modelu potrzebujesz. – Wpisuje kilka kolejnych słów do BlackBerry i wsuwa go do kieszeni.

– Dzięki.

– Nie ma problemu. Muszę już iść, spotkać się ze znajomymi. Zamkniesz za mną?

– Pewnie. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Od dłuższego czasu nie korzystałem z kluczy. Cóż za idiotyczne pytania zadawałem.

Widziałem to w jej oczach. Zastanawia się, czy mam nierówno pod sufitem, czy może dopiero co wyszedłem z paki. Co gorsza, zastanawia się, czy nie zrobiłem czegoś Kasabianowi. I jeszcze się zastanawia, co mam w tej natłuszczonej szmacie. Będę musiał zacząć zamykać górne drzwi na klucz. Koniecznie muszę też coś zrobić z jej podejrzeniami, ale nie wiem jeszcze co, i dziś wieczorem tego nie wymyślę. Zabieram torby i tobolek z bronią na górę i rzucam na łóżko. Jutro zajmę się tym całym BlackBerry. Kiedy będę miał Internet, sieć czy jakkolwiek się to teraz określa, zapoznam się ze światem i przestanę mówić jak przybysz z obcej planety.

Podchodzę do szafy Kasabiana i otwieram ją.

– Witaj, skarbie. Dobrze spałeś?

W telewizji puszczaają teledakupy. Jakiś facet w stroju kucharskim wymachuje sprzętem kuchennym.

– Widziałeś kiedyś te noże, stary? Muszę kupić sobie taki zestaw. Przecinają puszkę z colą i cegły.

– Jeśli kiedykolwiek zacznę zreć cegły, wpadnę do ciebie i je pożyczę. Myślałeś nad naszą wczorajszą rozmową? Na przykład nad tym, gdzie mogę znaleźć starych znajomych?

Kasabian nie patrzy na mnie, wciąż gapi się w telewizor.

– One nigdy nie rdzewieją, wiesz? I nie potrzeba ich ostrzyć. Są niesamowite. Prawie jak magiczne.

– Naprawdę nie jesteś teraz w takim położeniu, żeby sobie z kimś, kurwa, pogrywać.

W końcu przenosi na mnie wzrok.

– Tak sądzisz? Widzisz, ja uważam, że jestem teraz w dokładnie takim położeniu, dzięki któremu mogę robić, cokolwiek mi się żywnie podoba. Chcesz mnie zabić? To dalej. Nie miałem wcześniej zajebistego życia, a teraz nie mam już niczego.

– Nie dostaniesz z powrotem ciała. Pewnego dnia, może tak, ale nie teraz.

Powraca do oglądania telewizji.

– Poznałeś Allegre? To prawdziwe dzieło sztuki, naprawdę niezła cipka. Nie, żebym ją zerznął czy coś, ale zbliża się Nowy Rok i wyobrażam sobie szampana, parę tabletek gwałtu i możliwość sprawdzenia, czy dół jest równie ogolony jak góra.

– Cokolwiek sobie wyobrażasz, jesteś tylko gównem na dwóch nogach.

– Nie mam nóg, dupku. – Spogląda w stronę swojego ciała. – Och, czyżbym uraził seryjnego mordercę? Tak mi przykro. Zamordowałeś już dzisiaj kogoś? Uciąłeś łeb jakiemuś kumpłowi?

Rozpoznaję tę postawę, bunt rodem z filmów klasy B. Próbowałem tego samego w Piekle. Trudno jest wystraszyć kogoś, kto uważa, że nie ma już nic do stracenia. Sztuczka polega na tym, żeby mu przypomnieć, że zawsze jest jeszcze coś do stracenia. Na przykład rodzinę czy przyjaciół. Dla takiego pojeba jak Kasabian zademonstrowanie możliwości utraty przeszłości jest bardzo proste.

Wyciągam jego spluwę spod łóżka, zawijam ją w ręcznik z łazienki i oddaję trzy strzały w stronę jego ciała.

– Ochujałeś!? – wrzeszczy. – Będę tego potrzebował!

– Całego? Masz dwa kolana, dwie nerki. Można żyć z jedną sztuką.

– Pierdol się, ty chory skurwysynu!

– Odpowiesz na kilka pytań, czy mam się pobawić w Williama Tella?

– Wiesz, ta sytuacja doskonale wyjaśnia, dlaczego Masonowi tak łatwo było cię sprzedać i dlaczego nas wszystkich gówno to obchodziło.

– Tak? Dlaczego?

– Ponieważ jesteś takim kutasem. – Unosi brwi, spodziewając się mojej reakcji. Nie reaguję. – Wtedy, w Kręgu, byłeś tylko narwanym dzieciakiem i miałeś całą tę moc. Większą niż którykolwiek z nas, z Masonem włącznie. Ale czy ciebie to obchodziło? Nie. Wszystko przyszło ci zbyt łatwo. My musieliśmy męczyć się, poznając najprostsze zaklęcia. Ty nawet nie próbowałeś udawać, że czytasz te księgi. Wystarczyło, że zrobiłeś coś nieznacznego na miejscu, a z dupy wyfruwały ci aniołki. Wiesz, jak się przez ciebie czuliśmy?

– A więc wysłaliście mnie do Piekła, bo zraniłem wasze uczucia?

– Nie, ponieważ zraniłeś uczucia Masona. Nigdy mu nie odpuszczaliś.

– Jeśli robiłem Masonowi koło dupy, to tylko dlatego, że na to zasługiwał. Zawsze rozchodziło się o bycie wielkim magiem. On w ogóle nie chciał uczyć się niczego z magii. Nie chciał nawet się nią pobawić. Od razu chciał być Leksem Luthorem. Nie dałbym mu tylu powodów do zmartwienia, gdybym wiedział, że taki z niego wrażliwiec.

– Widzisz? Wciąż to robisz. Ale mimo wszystkich tych twoich gównianych popisów, Mason cię pokonał, prawda? Potrafiłeś wyciągnąć magię z samego powietrza, ale to on miał prawdziwą moc, a ty skończyłeś jako przydupas dla demonów na jedenaście lat. Każdego wieczoru przed snem przypominam sobie wyraz na twojej gębie, kiedy wciągali cię do Piekła.

Nie patrząc nawet, w co celuję, wystrzeluję kilka kolejnych naboju w stronę jego ciała.

– Przestań! Przestań, do kurwy nędzy! Co chcesz wiedzieć?

– To samo, co chciałem wiedzieć wczoraj. Gdzie cała reszta z Kręgu? – Rzucam broń na łóżko. Boże, ale chce mi się palić. – Spróbujmy z innej strony. Ty jesteś tutaj, więc gdzie jest Jayne-Anne?

Gdyby Donald Trump i Zła Wiedźma z Zachodu mieli dziecko, to byłaby to Jayne-Anne. Wygląda jak dzikuska z kasą i gustem, jak chodzi o ciuchy, ale pod warstwą Versace to Godzilla z cyckami. Nie jest tak potężnym magiem jak Mason, ale jest zaraz po nim najbardziej skoncentrowana i bezwzględna. I na swój sposób pewnie jeszcze gorsza od Parkera.

– Nie wiem. Słyszałem, że złapała jakieś kontakty w branży filmowej.

– A Księżycowa Wisienka?

Otwórz pedofilskie pudełko ze słodyczami, a ze środka z pewnością jako pierwsza wypadnie Księżycowa Wisienka. To typowa dziewczyna z gangu, która zbyt poważnie traktuje mangę i anime. One wszystkie marzą o tym, by być Czarodziejką z Księżyca, ale Wisienka ma wystarczające umiejętności magiczne, by to osiągnąć. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, była prawdziwą gotycką lolitką emanującą ostrym seksem i wyglądającą na dwanaście lat.

– Też nie wiem. Ktoś powiedział, że prowadzi jakieś spa czy klinikę chirurgii plastycznej dla bogatych dupków.

– Miło słyszeć, że wszyscy używają swoich nowych mocy do tak chwalebnych celów.

– Wszyscy musimy jeść. Ja obecnie nie, ale mówię ogólnie.

– Gdzie jest TJ?

Wywraca oczami, kiedy wypowiadam to imię.

– Ten pieprzony hipis. Po tym, jak dopadli cię Czyhacze, przez kilka dni wrzeszczał jak mała dziewczynka. Niektórzy ludzie nie nadają się do prawdziwego życia.

Mianem „Czyhaczy” Sub Rosa określają wszystkich ukrytych, magicznych, mistycznych lub wynaturzonych, którzy nie należą do nich. Najady są Czyhaczami. Tak samo jak zombie czy wilkołaki. Gliniarze działający pod przykryciem są czasami ukryci i czasami wynaturzeni, ale nie są Czyhaczami. To po prostu kutasy.

– Gdzie on jest?

– Gryzie glebę w Woodlawn. Mały sukinsyn powiesił się w tydzień po twoim odejściu. Chyba nie potrafił wyrzucić z głowy tych wszystkich potworów.

Biedny, głupi dzieciak. TJ był jeszcze młodszy ode mnie. Mógł mieć wtedy jakieś szesnaście czy siedemnaście lat. Ale Kasabian ma rację: niektórzy ludzie nie są stworzeni do tego, by oglądać mroczną stronę lub mieć do czynienia z gorszymi obszarami życia. TJ nigdy nie pasował do naszej wilczej watahy. Na swój sposób cieszyłem się, że odszedł. Wcale nie miałem ochoty na niego polować.

– Kwestię Masona i Parkera omówiliśmy już chyba wczoraj. Mason znikł i zabrał Parkera ze sobą. Wszystko się zgadza?

– Tak. I nie pytaj mnie o nich, bo nic nie wiem. Ludzie widują czasami Parkera na mieście. Zwykle na krótko przed tym, kiedy jakiś wścibski mag kończy ze złamanym karkiem.

Myśl o takim wściekłym psie jak Parker i naśladowcy Dartha Vadera jak Mason przebywających na wolności z głowami pełnymi infernalnej magii nie poprawia mi humoru. Poza tym obaj mogli się zadekować dosłownie wszędzie, od Glendale po Birnę.

– Wróciłeś już na stare śmieci? Ładnie tam, co?

– Co się tam stało?

– Nie wiem. Może Mason zabrał dom ze sobą. Znalazłeś cokolwiek ciekawego w środku?

– W środku czego? Domu nie ma. Co miałbym tam znaleźć?

– Ależ z ciebie tępy skurwysyn. Piwnica wciąż istnieje. Musisz zejść na dół. – Kasabian patrzy na mnie uważnie. – Co, podjechałeś tam i zaraz wróciłeś? Pięknie, twardzielu.

Pięknie. Teraz będę musiał zagrzebać się jak świstak do piwnicy Masona, w to samo miejsce, w którym wezwał tych, którzy mnie zabrali na Dół. Ten plan nie może po prostu nie wypalić.

Kiedy odwracam się, by odejść, Kasabian krzyczy za mną:

– Hej, dupku, przekazałem ci informacje! Daj mi przynajmniej fajkę!

– Skończyły się, więc dziś obaj pocierpimy. Jutro kupię.

Odsuwam się od szafy, ale tuż przed zamknięciem drzwi dodaje:

– Byłbym zapomniał. Twój samochód był zaparkowany w dwugodzinnej strefie i obawiałem się, że dostaniesz mandat, więc się go pozbyłem.

– Co zrobiłeś?

– Słodkich snów.

* * *

Siedzę na skraju łóżka, marząc o papierosie, ale nie mogę się zmobilizować, żeby wyjść na zewnątrz i poszukać nocnego sklepu. Kule w mojej piersi sprawiają ból. Jedna z nich ociera chyba o żebro. Wstaję i zaczynam krążyć po pokoju, przesuwając meble, otwierając szafki i przekopując się przez sterty pustych opakowań po płytach DVD. W końcu na dnie kartonu wypełnionego pokiereszowanymi kasetami z pornografią – nie chcę nawet się zastanawiać, w jaki sposób znalazły się w takim stanie – znajduję tanią bezimienną wódkę w plastikowej butelce z zakrętką. W szkole nazywaliśmy tego typu alkohol Szatańskim Deszczem, od tytułu jednego z tych starych horrorów. Uśmiecham się na to wspomnienie. Wódka pali mnie w gardło i smakuje jak płyn do szyb wymieszany z kwasem akumulatorowym.

Aż nie mogę uwierzyć, że jakaś drobna, śmieszna część mnie odczuwa współczucie dla takiej świni jak Kasabian. Spędzić całe życie na podlizywaniu się i usługiwaniu mądrzejszym i bardziej utalentowanym magom, a potem dać się im wydymać jak laska z balu maturalnego – to musi boleć. To jak ostateczne potwierdzenie najgorszych obaw, że naprawdę jesteś frajerem.

Ja, z drugiej strony, byłem dokładnie takim kutasem, jakim określił mnie Kasabian. Kiedy on męczył się z zaklęciem lewitacji na poziomie przedszkolnym, a Mason nałogowo popisywał się nowymi czarami duchowymi lub ognistymi kulami, ja zapieprzałem przez magię w taki sam sposób, jak zapieprzałem przez wszystko inne – bez większego wysiłku.

Magia naprawdę nigdy nie stanowiła dla mnie trudności. Podczas przyjęcia z okazji moich piątych urodzin uniosłem w powietrze kota nad Tiffany Brown, rudowłosą równolatkę, która bardzo mi się podobała, a następnie spuściłem jej go na głowę. Tiffany nie załapała żartu i to był koniec mojego pierwszego romansu.

Kiedy miałem dwanaście lat, nauczycielka na zajęciach artystycznych kazała nam zrobić zwierzątka z gliny. Zrobiłem kilka tłustych ptaszków, a następnie sprawiłem, że zaczęły fruwać po sali, po czym wyleciały przez okno. Zawiesili mnie za to na tydzień, choć nikt nie był w stanie dokładnie określić przyczyny.

Wtedy nie wiedziałem nawet jeszcze, że posługuję się magią. Jedyne, co wiedziałem, to to, że potrafię robić zabawne sztuczki i rozśmieszać inne dzieciaki.

Moja rodzina nigdy na ten temat nie rozmawiała, choć wszyscy wiedzieli, co potrafię. Stawałem się niebezpieczny, kiedy chorowałem. Tłukłem szyby spojrzeniem. Gorączka prowadziła do wzniesienia pożarów. Dopiero gdy ojciec sprezentował mi starą, oprawioną w skórę księgę zatytułowaną *Krótką historia i zarys sztuk magicznych*, dowiedziałem się, że moje umiejętności noszą konkretną nazwę. Od razu wiedziałem, kim jestem. Nie czarodziejem czy czarownikiem. Tacy występowali w bajkach Disneya. Byłem magiem. Kilka lat później odkryłem, że istnieją inni magowie, a kilku z nich zaprosiło mnie do swojego małego Kręgu. Potem spróbowali mnie zabić.

Siedząc na łóżku Kasabiana i chlejąc jego ohydną wódkę, wyobrażam sobie Jayne-Anne, Wisienkę, Parkera i Masona jak siedzą wysoko nad miastem, w jednym z tych domów zawieszonych na zboczu wzgórza, i bawią się w wywoływanie trzęsień ziemi. Każde z nich wie, że przeżyje. Przeżyją nawet bez pomocy magii, gdyż to ich największy talent. Wkrótce znajdą się na kolejnym wzgórzu, patrząc w dół na zwykłych ludzi. Oni są silni, a my jesteśmy słabi, ponieważ nie potrafimy tego, co oni robią, żeby dostać się na to wzgórze.

Oczywiście mają rację. My nie będziemy czołgać się w gównie, kościach i ciałach zmarłych. Zgodnie z ich definicją, jesteśmy naprawdę słabi, niezależnie od tego, jak bardzo próbowalibyśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy tak zimni, twardzi i zdeterminowani jak oni.

Z drugiej strony fajnie byłoby pewnej nocy wspiać się na wzgórze i podłożyć trochę dynamitu na podporach podtrzymujących te ich domy. Wskoczylibyśmy na dach, jak dzieciaki wskakujące na sanki w śniegu, i zjechali w dół, aż ich jasne, kolorowe rezydencje roztrzaskałyby się w morzu.

Pociski w piersi i rozmowa z Kasabianem – niełatwo będzie dziś zasnąć. Wódka Kasabiana to niezła trucizna, ale uciszy hałas w mojej głowie, a to wystarczy.

Kiedy w końcu odpływam w alkoholowy niebyt, jestem z powrotem w Piekło. Leżę w syfie na arenie. Mam rozcięty brzuch i trzymam wnętrzności w dłoniach. Bestia, z którą walczyłem – przypominający byka srebrny stwór z tuzinem ostrych rogów – leży kilka metrów dalej. Zawsze zmuszali mnie do walki z dziwnymi zwierzętami. Przez długi czas nie byłem świadomy, że jest to kolejna obelga Infernali. Zrobili ze mnie bestiari. Ta rozrywka w rzymskim stylu – zabawny sposób na wykorzystywanie najgłupszych, najbardziej skretyniałych i niezdarnych wojowników. Bestiari nie byli wystarczająco dobrzy, by stawiać czoła ludziom, więc walczyli ze zwierzętami. Po co marnować ludzkiego gladiatora na kogoś, kto może obciąć sobie nogę podczas próby zaatakowania przeciwnika? Poza tym zabawnie

było oglądać, jak zwierzęta pożerają przygłupów. Nadal zresztą jest.

Para infernalnych niewolników służących na arenie rzuca mnie na nosze i zabiera na zaplecze. W kwaterach dla wojowników stary, pomarszczony nauczyciel infernalnych gladiatorów podaje mi butelkę Aqua Regia. Tak wygląda opieka medyczna w Piekło. Szpital w butelce. Później ten sam Infernal wraca z igłą i nicią z sierści wilkołaka, po czym zaszywa mnie.

Później, w nocy, posyła po mnie Azazel, mój pan niewolników. Co z tego, że masz świeże rany – wzywa, musisz iść. Ma przynajmniej tyle rozumu, że wysyła parę krzepkich potępieńców, którzy zanoszą mnie do jego pałacu na noszach.

Żaden z pałaców w Piekło nie dorównuje rozmiarem i pięknem pałacowi Lucyfera. Lucyfer mieszka na szczycie wieży z kości słoniowej, wysokiej na wiele kilometrów. Z dołu nie widać nawet szczytu. Żartowano nawet, że zbudował ją tak wysoką po to, by móc zastukać miotłą w podłogę Nieba, kiedy ci na górze zachowują się zbyt głośno.

Czterej ulubieni generałowie Lucyfera mają swoje własne pałace.

Azazel to numer dwa na jego liście, więc jego pałac ustępuje rozmiarami i pięknem tylko pałacowi Belzebuba. Ten ostatni jest prawdziwym faworytem Lucyfera. Podczas gdy pałac Azazela zbudowany jest w całości z płynącej wody, siedziba Belzebuba powstała z błota i łajna pokrytego ludzkimi kośćmi. Trudno nazwać ją piękną, ale robi odpowiednie wrażenie.

Wewnątrz pałacu Azazela widać gotyckie łuki i witraże w klasycznym, katedralnym stylu. Wyłożona dywanem nawa prowadzi do ołtarza na przeciwległym końcu, gdzie Chrystus na gigantycznym zegarze co godzinę posuwa Maryję Dziewicę.

– Użyjesz tych swoich umiejętności z areny, żeby zabić dla mnie Belzebuba – mówi Azazel.

– Nie zasługuję na noc wolnego? W kupie trzyma mnie tylko kawałek gównianego sznurka i dobre chęci.

Uśmiecha się, pokazując setkę ostrych zębów.

– Doskonale. Dzięki temu nikt nie będzie cię podejrzewał. Co ważniejsze, nie będą podejrzewać mnie. – Podaje mi coś: zaostriżony kawałek skręconego metalu, jak długi szpikulec do lodu. Już to kiedyś widziałem. To ulubiona broń generała Beliala. – Zostaw to na miejscu, ale nie zapomnij zanurzyć go w krwi Belzebuba. – Przerzywa. – I załóż rękawiczki. Nie chcę, by skalał go twój ludzki smród. Muszą uwierzyć, że zrobił to Belial.

– Pałac Belzebuba to pieprzona forteca, w której przebywa dziesięć razy więcej żołnierzy i zwierząt obronnych niż tutaj. I on wie, że ja dla ciebie pracuję. Jego strażnicy nigdy nie pozwolą mi się do niego zbliżyć.

Azazel znów pokazuje zęby. Lubi to robić. Kiedyś to sprawiało, że byłem bliski zsikania się w gacie. Teraz to tylko rytuał, podobnie jak pies kęsający innego psa w gardło, żeby przypomnieć, kto jest samcem alfa.

Azazel sięga do szaty zrobionej z migoczącej, złotej wody i wyciąga ciężki, mosiężny

klucz.

– Słyszałeś kiedyś o Sali Trzynastu Drzwi? – pyta. – Ten klucz cię tam zabierze. Sala prowadzi do każdego miejsca we wszechświecie, włączając w to sypialnię Belzebuba.

Wręcza mi klucz. Jest cięższy, niż na to wygląda, i dziwnie miękki. Spostrzegam, że wcale nie jest zrobiony z mosiądzu. To żywa skóra, którą obciągnięto kość.

– Za godzinę wejdiesz do Sali Trzynastu Drzwi przez cień za ołtarzem. Tam przejdiesz przez Drzwi Ognia. To portal śmierci. Zaprowadzi cię bezpośrednio do ofiary. Kiedy zabijesz Belzebuba, zostawisz broń Beliala i wrócisz tutaj.

Obracam klucz w dłoniach. Powinienem chyba odczuwać przerażenie z jego powodu, ale tak nie jest. Jest w nim coś zwierzęcego, kojarzy mi się z domowym pupilkiem, który chce zadowolić swojego pana.

– Myślisz pewnie, że dałem ci narzędzie do ucieczki, prawda? – pyta Azazel.

– Ucieczki? Ja kocham to miejsce, szefie. Dlaczego miałbym kiedykolwiek zechcieć stąd uciec?

Dotyka krawędzi klucza opuszką palca.

– Lucyfer może opuścić Piekło i przenosić się swobodnie przez kosmos, ale my jesteśmy powiązani z tym miejscem, przekłęci przez niebieskiego wroga. Znalazłem drogę wyjścia. Nie dla mnie, ale dla kogoś takiego jak ty. Powinieneś jednak pamiętać, żeby nie odchodzić zbyt daleko. Choć nie mogę opuścić Piekła, mam trochę wpływów w twoim świecie, wśród ludzi oddanych Piekłu. Wykiwaj mnie, spróbuj ode mnie uciec, a coś przerażającego przydarzy się osobie, którą kochasz. Tej pięknej dziewczynie, którą zostawiłeś. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem.

– Nie opuścisz tego miejsca. Kiedyś może tak, ale nie teraz i nie w najbliższym czasie. – Azazel odwraca się i oddala. – Trzymaj klucz przy sobie. W ten sposób będzie wiedział, że należy otworzyć dla ciebie drzwi. Zaczekaj godzinę, zanim pójdziesz. Muszę być w innym miejscu, kiedy to się wydarzy.

Posłuszny mały niewolnik, robię to, co każe pan. Czekam godzinę i wślizguję się w cień za ołtarzem. Przechodzenie w tę całkowitą ciemność przypomina spadanie w zimnym powietrzu.

Znajduję się w półokrągłym pomieszczeniu z – cóż za niespodzianka – trzynastoma drzwiami. Każde z nich zdają się wykonane z innego materiału. Drewno, woda, powietrze, kamień, metal. Także bardziej abstrakcyjne budulce. Drzwi Snów poruszają się i wiją, zmieniając kształt co sekundę. Z przeciwnej strony pomieszczenia dobiega dźwięk. Podchodzę do jedynych nieoznakowanych drzwi i nasłuchuję. Coś się za nimi porusza i wie, że tutaj jestem. Coś warczy i drapie w drzwi. Potem rozlega się pisk. Przeciągły, przejmujący i wściekły zwierzęcy odgłos, który tnie mnie jak nóż przeciągany po czaszce. Tu i teraz wiem dokładnie, że zrobię to, czego zażyczy sobie Azazel, i zabiję każdego przekłętego Infernala,

którego mi wskaże. Pozostanę jego sługą tak długo, jak długo pozostawi Alice w spokoju i dopóki nie każe mi przejść przez te nieoznakowane drzwi.

Budzę się z posmakiem Piekła w gardle. Wiem, że to tylko ta kiepska wódka, ale to nie pomaga. W głowie mam pełno potworów, a ja jestem jednym z nich. Siadam, czując w nosie siarkę, i odczuwam ochotę zabicia czegoś. Chcę, aby przez okno wpadł Infernal, któremu mógłbym wykroić czarne serce swoim kościanym nożem. Pozostało tyle pytań. Czuję się tak, jakbym od chwili powrotu nie robił niczego poza gadaniem. Muszę coś zrobić. Muszę coś skrzywdzić. Muszę zabić Azazela, ale to już przecież zrobiłem.

Boję się. Kurewsko się boję. Nie wiem, co jest gorsze – Piekło czy ten durny świat, w którym nigdy nie będę w domu. Muszę jednak dalej rozmawiać z ludźmi. Muszę dalej zadawać właściwe pytania. A już zdążyłem przegapić chyba najważniejsze ze wszystkich pytań.

Staczam się z łóżka i z hukiem otwieram szafę, wrywając niemal drzwi z zawiasów. Kasabian wydaje z siebie krzyk i odwraca wzrok w moją stronę. Podnoszę jego głowę oburącz i trzymam w taki sposób, żebyśmy patrzyli sobie prosto w oczy.

– Mam do ciebie jedno pytanie i przysięgam na Boga i diabła, na wszystko święte i plugawe, że jeśli choć przez sekundę będziesz ze mną pogrywał, wrzucę cię bezzwłocznie do oceanu. Rozumiesz mnie?

– Tak – ledwie wyszeptuje to słowo.

– Gdzie jest ciało Alice?

– Nie wiem.

– Nie kłam!

– Przysięgam, nie wiem! Jezu, nie jestem aż tak popierdolony! Parker będzie wiedział. On ją zabił. Parker odpowie ci na to pytanie.

W oczach Kasabiana widać prawdziwe przerażenie.

Wciąż trzymam go w górze i ściskam mocniej, niż sądziłem. Ma czerwone policzki i zaczynają wychodzić mu siniaki. Odkładam go z powrotem na półkę i opieram się o ścianę.

Kasabian patrzy na mnie w taki sposób, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział.

– Co jest, masz niedobór cukru we krwi, czy co? Idź zjeść pączka, do kurwy nędzy.

– Później przyniosę papierosy – mówię do niego i zamykam drzwi szafy.

Udało mi się przynajmniej zadać ważne pytanie, ale nie czuję się wcale mniej poruszony. Kasabian mówił przed chwilą prawdę. Wyczuwam w jego głowie, że wymyśliłby coś, gdyby tylko potrafił wpaść na coś przekonywającego. To oznacza, że nie znajdę ciała Alice, dopóki nie dorwę Parkera. Wciąż czuję się tak zakręcony od tej całonocnej wizyty Piekła w mojej głowie, że muszę coś zniszczyć i to szybko. Nienawidzę tego uczucia. Czy istnieją jakieś szkolenia dla zabójców z zakresu panowania nad gniewem?

Z dołu dobiega mnie głos Allegry. Nie słyszałem, kiedy weszła. Mówi do swojego BlackBerry. Rozglądam się w poszukiwaniu czystej koszulki i zdaję sprawę, że wczoraj

zapomniałem je kupić. Kradnę więc kolejną koszulkę Max Overdrive z kartonu i cicho schodzę na dół. Nie mam na to nastroju, ale muszę zrobić coś teraz, żebym nie musiał zrobić czegoś gorszego później.

Allegra wciąż gada przez telefon, odwrócona do mnie plecami. Nie słyszy, jak zbliżam się do niej od tyłu. Kiedy mnie dostrzega, odwraca się i podskakuje.

– Jezu, ale jesteś cichy – mówi. A potem do swojego BlackBerry: – Nie, nie ty. Oddzwonię później. – Zdejmuje płaszcz, upycha go za ladą i zaczyna przygotowywać gotówkę i kasę na rozpoczęcie dnia. – Myślałam, że jesteś na górze. Słyszałam hałasy.

– Oglądałem film. *Diabelski pył*. Widziałaś go?

– To jakiś horror, prawda?

– Horror połączony ze spaghetti westernem. Powinnaś go obejrzeć. Bohaterka rzuca swojego chłopaka i przez pozostałą część filmu ucieka przed duchem mordercy, który jest w niej zakochany. Ucieka, ale nie jest tchórzem. Jest odważna i walczy. Spodobałaby ci się.

– Dzięki. Obejrzę. – Uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Posłuchaj, przepraszam, jeśli wczoraj powiedziałem coś głupiego. Długo nie było mnie w mieście. Dorastałem tutaj, ale równie dobrze mogłaby to być ciemna strona Księżyca.

– Czasami też się tak czuję.

– Jest jeszcze coś, co nie daje ci spokoju. Zastanawiasz się, czy siedziałem w pace. Odpowiedź brzmi: tak.

– Och. – Zabiera się za rozrywanie rolek z monetami i wrzucanie ich do korytek w szufladzie kasy. – Zastanawiałam się tylko z powodu... no wiesz, blizn.

– Czy to pomoże, jeśli powiem, że nie odszedłem z powodu czegoś, co zrobiłem, ale z powodu czegoś, czego chciał ktoś inny?

– Jesteś na jakimś zwolnieniu warunkowym czy co?

– To coś bardziej związanego z pracą do wykonania. Jeśli wszystko się uda, nie wrócę tam już wcale.

– Miałam chłopaka, którego posadzili.

– Diler, tak?

Podnosi wzrok, a zainteresowanie na jej twarzy ustępuje miejsca podejrzliwości.

– Skąd wiedziałeś?

– Dawno temu miałem dziewczynę imieniem Alice. Twoje oczy przypominają mi jej oczy, kiedy po raz pierwszy ją spotkałem. Coś zabawnego dzieje się z oczami dziewczyn, kiedy są zakochane w dilerze. To wyjątkowe spojrzenie. Coś więcej niż brak zaufania do ludzi. To tak, jakbyś próbowała się zorientować, czy należą do tego samego gatunku co ty, jakby mogli być węzami w ludzkiej masce.

Wciąż patrzy na mnie badawczo i próbuje zaklasyfikować mnie do kategorii zwierząt, warzyw lub minerałów.

– Czy możemy zmienić temat?

– Jasne. Chciałem tylko, żebyś знаła prawdę. Nie jestem wężem. Jestem takim samym człowiekiem jak ty.

Przekręca kluczyk w kasie, kasując wczorajsze transakcje i przygotowując ją na dzisiaj.

– Ale to nie jest cała prawda, co? Nie jesteś taki jak Michael, ale gdzieś, w głębi siebie jest ta odrobina węża.

– A czego się spodziewałaś? Jestem z Los Angeles.

Śmieje się. Słyszę, że jej oddech uspokaja się, a serce zwalnia. Strach jednak nie znika – jest na to zbyt bystra i uważna. Ale nie zadzwoni po gliny i nie wbije mi noża w plecy, gdy będę spał. Czego więcej można chcieć od pięknej dziewczyny?

Ruszam na górę, ale odwracam się jeszcze do Allegry.

– Jaki dziś dzień?

– Czwartek. Za parę dni Nowy Rok.

– Powinniśmy kupić szampana do sklepu. I te strzelające pojemniki z serpentyną. Wyglądają jak buteleczki. Weź trochę pieniędzy z kasy i kup coś fajnego.

– Ile mogę wydać?

– Kup cokolwiek zechcesz.

– Hej, wczoraj miałaś na sobie fajne skóry. Masz motocykl?

– Nie, ale może dziś sobie jakiś załatwię.

* * *

Kiedy byłem na Dole, Galina, jedna z wampirycznych koleżanek Azazela, lubiła opowiadać mi historie o polowaniu na ludzi. Często przytaczała szczegóły, by popsuć mi obiad. Czasami robiła to po to, by wkurwić mnie przed walką. Była nałogową hazardzistką.

Galina powiedziała mi, że większość wampirów ciężko pracuje nad ukrywaniem swojej tożsamości. Ubierają się, zachowują i wykonują takie same prace jak zwykli ludzie. Przeważająca część wampirów posila się tylko raz w miesiącu, podczas nowiu księżyca. Miesiąc to najdłuższy okres, jaki wampiry mogą przetrwać bez świeżej krwi, chyba że nie przeszkadza im skurczenie się do postaci czegoś, co przypomina stuletni kawałek suszonej wołowiny.

Są również inne wampiry. Takie, o których kręci się filmy. Psychopatyczni zabójcy pokroju Draculi. Polują każdej nocy dla samego dreszczyku rozkoszy, jaki się z tym wiąże. Najbardziej obłąkani nie czekają nawet do nocy i polują za dnia. Przemykając od cienia do cienia, ściągają ludzi z ulicy i posilają się nimi za kontenerami na śmieci czy w lokalach dla ćpunów, pośród innych uzależnionych.

Te wampiry polują dla przyjemności, ale nie dla zabawy. Polują dla gniewu. Polują, ponieważ coś w nich pękło i niezależnie od tego, ile nowej krwi wleją sobie do żołądków, w ich żyłach zmienia się ona w ogień. Polują i zabijają, bo muszą. Gdyby tego nie robiły, pourywałyby sobie własne głowy. Podobnie jak w wypadku każdej używki spokoj, jaki

zapewnia zabójstwo, nie trwa długo, kilka minut, może godzinę, ogień przygasa do rozżarzonego węgielka i wówczas odczuwają spokój. Do chwili kiedy znów muszą zacząć polować.

Jeśli nauczyłem się czegokolwiek na Dole, to tego, że nie jestem wampirem, ale jestem ćpunem. A każdy ćpun potrzebuje następnej działki.

* * *

Od krawężnika przy Bambusowym Domu Lalek odjeżdża furgonetka dostawcza. Wchodzę do środka i dostrzegam skrzynki z whiskey, stalowe beczki z piwem i Carlosa przy barze, otoczonego przez trzech chudych skinheadów. Jeden z nich nosi kurtkę pilota bombowca, drugi koszulkę z jakimś zespołem blackmetalowym, a trzeci, całkiem potężny, płaszcz niemieckiego oficera.

Pilot bombowca odwraca głowę w moją stronę.

– Zamknięte!

– Tylko jednego szybkiego, skarbie – mówię. – Żeby wiedział, że mnie kochasz.

Pilot bombowca wyciąga – dacie, kurwa, wiare? – lugera, jakby uważał się za Rommla. Szybciej niż jest w stanie zareagować, podnoszę jedną z beczek z piwem i rzucam w niego. Uderza go w pierś i przewraca na ziemię. Luger wypada mu z ręki i ląduje na podłodze przy barze.

Ogolona małpa w oficerskim płaszczu rusza w moją stronę, a blackmetalowy skinhead wyciąga z buta imponujące ostrze. Żeby było zabawniej, ruszam prosto na tego z nożem. To zbija małpę z tropu – odwraca się do mnie w tej samej chwili, kiedy docieram do jego kumpla, który trzyma przed sobą nóż i próbuje mnie dźgnąć. Już od dawna nie stawałem do walki przeciwko człowiekowi, nie wiem więc, czy jestem naprawdę taki szybki, czy ci geniusze tacy powolni, ale wsuwam się pod ostrze skinheada i chwytam go za łokieć. Rozciągam mu staw wystarczająco mocno, żeby zabolalo, ale nie na tyle, by pękł. Kiedy wciąż jest oszołomiony bólem, chwytam go za rękę, wskakuję za niego i popycham go na małpę, który właśnie się do mnie zbliża.

Małpa jest jednak za duży, żeby dać się powalić. Zatacza się do tyłu, po czym rusza na mnie, szybciej, niż się spodziewałem. Wystarczająco szybko, żeby chwycić mnie za kurtkę i walnąć mnie w szczękę pięścią twardą jak żelazo. Nie chcę wdawać się w bójkę z tym gościem, gdyż bardziej interesuje mnie jego partner z nożem. Kiedy szykuje się do kolejnego uderzenia w stylu Johna Wayne'a, chwytam jedną z ciężkich, otoczonych szkłem świec na barze i walę go w bok głowy. W ten sposób posyłam go zamroczonego na przeciwległą ścianę, po której zsuwa się w dół jak sterta zakrwawionego prania.

Facet z nożem znów mnie atakuje. Ma dość rozumu, żeby nie próbować pchnąć mnie ostrzem i próbuje cięcia z boku. Jego ręka śmiga w tę i z powrotem, w górę, w dół, próbując przebić się przez mój blok. Paruję jego ciosy, pozwalając co pewien czas, by jeden czy drugi

wyładował mi na przedramieniu lub ramieniu. To jest to, czego chciałem, prawdziwa szansa na sprawdzenie kevlarowego pancerza w kurtce. Gość nieźle się poci, próbując dać z siebie wszystko. Łatwo go jednak obejść i zablokować. Twarz ma wykrzywioną gniewem. Jak długo pozwalam mu co pewien czas mnie trafić, mogę się założyć, że będzie walił tym nożem, aż nie umrze ze starości lub nie dostanie zawału.

Facet, którego trafiłem beczką, nie porusza się, ale małpa podnosi się na nogi. Czas zakończyć tę zabawę.

Kiedy blackmetalowy skinhead wykonuje zamach w kierunku mojej głowy, wyciągam przed siebie prawą rękę i chwytam nóż. Odczuwam znajomy ból, jak od elektryczności czy ognia, kiedy ostrze tnie głęboko moją dłoń. Walę go przegubem lewej ręki pod brodę, wytrącając z równowagi, po czym obracam prawą dłoń, odłamując mu ostrze przy rękojeści. Kiedy małpa rusza w moją stronę, nurkuję i wbijam mu ułamane ostrze prosto w udo. Wyje z bólu i upada przy barze.

Cholera, naprawdę przyjemnie jest robić krzywdę debilom.

Żaden ze skinheadów nie wstaje przez chwilę, więc rozglądam się za lugerem. Carlos stoi za barem, całkowicie nieruchomy, jakby nie wiedział tak do końca, kogo boi się bardziej: mnie czy tych nazistów na podłodze. Dostrzegam pistolet pod stołkiem przy końcu baru i schylam się po niego.

Też się przyda.

Biało-niebieska kula plazmy mija mnie o milimetry i wybucha na przeciwległej ścianie.

Obracam się na pięcie i widzę go. Chyba wcześniej miałem zbyt dobrą zabawę. Nie wpadłem na to, żeby sprawdzić, czy na zapleczu jest jeszcze jeden skinhead. Chwytam lugera spod stołka, ale to mi nie pomaga, ponieważ nowy skinhead robi coś dużo bardziej interesującego.

Podnosi w górę prawą rękę. Trzyma jakiś przedmiot ze świecącą końcówką. Poskręcany jak gałąź karłowatego drzewka. Przedmiot wydłuża się w jego dłoni i owija wokół przedramienia aż do łokcia. To kawałek Diabelskiej Stokrotki. Nie znam prawdziwej nazwy, wszyscy nazywają to po prostu Diabelską Stokrotką. Od dawna już tego nie widziałem, po raz ostatni na arenie. Tylko tyle udaje mi się pomyśleć, sekundę później strzela do mnie jężorem biało-niebieskiego, smoczego ognia. Wciąż obawiam się użyć magii. Mogę jedynie rzucić się w lewo, przy czym przewracam kilka stolików i krzeseł i ląduję na podłodze. Drugi strzał chybia celu, podobnie jak trzeci. Za każdym razem czuję jednak gorąco i łaskoczące wyładowania na skórze.

Skinhead używa jakiejś potężnej magii, ale po sposobie, w jakim wymachuje gałęzią, widać, że nie do końca pojmuje, jak należy jej używać, i opiera się raczej na strategii „wyceluj i módl się”.

Moja teoria dotycząca jego nieumiejętności posługiwania się tą bronią potwierdza się, kiedy małpa coś krzyczy, a facet z Diabelską Stokrotką odwraca się i niemal odstrzeliwuje

sobie stopę. Ci skinheadzi kojarzą mi się z ofermami uzbrojonymi w promienie śmierci.

– Dupek! – wrzeszczy ten, któremu odebrałem lugera. Podnosi się na nogi i wraz z małpą, w którego nodze wciąż tkwi nóż, chwytają skinheada, którego trafiłem beczką, i wywlekają go za drzwi. Ten ze Stokrotką też się wycofuje, trzymając gałąź w taki sposób, jakby osłaniał się pistoletem.

– Co to, kurwa, było? – krzyczy Carlos.

– Ten nazistowski dupek musiał mieć pistolet na flary – kłamię.

Podchodzę bliżej, kładę lugera na barze i przesuwam w stronę Carlosa.

– Wesołych świąt. I nie mów, że nigdy niczego ci nie dałem.

– I co ja mam z tym zrobić?

– Nie wiem. Postaw obok laleczek tiki.

– Nie lubię broni. Jest załadowany?

Wysuwam magazynek, sprawdzam go i ponownie wsuwam w rękojęść.

– Tak. Trzymaj go za barem. Ci faceci tutaj wrócą. Nie dziś, ale pewnie niedługo.

– Tak sądzisz?

– Zdecydowanie.

– Mimo wszystko go nie chcę – mówi i przesuwa lugera w moją stronę. Zabezpieczam broń przełącznikiem i wsuwam do kieszeni kurtki. Carlos kiwa głową w moją stronę. – Krwawisz – mówi i daje mi czysty ręcznik zza baru. Owijam nim dłoń, którą chwyciłem nóż skinheada. Ręka wciąż boli, ale przestanie krwawić, zanim zdążę stąd wyjść.

Carlos pochyla się nad kontuarem.

– Powiedz mi, kim ty jesteś? Oddziały specjalne? Jakiś ninja?

– Tak, jestem duchem Bruce’a Lee. Masz papierosa?

Carlos potrząsa głową. Wciąż jest wstrząśnięty tym, co zaszło, a ja jestem już zupełnie spokojny. Gniew uszedł i teraz mam poważniejszy problem. Bez wątplenia strzelano do mnie z magicznej broni, ale użył jej ktoś, kto nie miał zielonego pojęcia, co się z nią robi. Rozważam możliwość, że to Mason wysłał skinheadów. Nie po to, by wystraszyć Carlosa, lecz po to, by przygotować na mnie zasadzkę. Tyle że to nie ma najmniejszego sensu. Jeśli Mason zdecyduje się wysłać przeciwko mnie oddział uderzeniowy, dołoży wszelkich starań, by jego ludzie doskonale wiedzieli, jaką broń zabierają i jak ona działa.

W takim razie co za Święty Mikołaj rozdaje promienie śmierci takim śmieciom?

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – pytam. Carlos podaje mi aparat i wybieram numer mojego starego mieszkania. Vidocq podnosi słuchawkę.

* * *

Trzydzieści minut później siedzę z Vidocqiem w barze na Sunset, jedząc pączki i popijając kawę. On stawia. Moja kasa się skończyła. Cieszę się, że przynajmniej udało mi się dobrze wydać pieniądze Brada Pitta. Zanim Vidocq dotarł do Donut Universe, sprawdziłem

dokładnie kurtkę motocyklową pod kątem uszkodzeń. Kevlar sprawdził się doskonale. Żadne z cięć nożem nie przebiło się przez pancerz i nie dotarło do mojego ciała. Ucierpiała jedynie sama skóra, ale to się da zakleić taśmą.

– Słyszałem o potężnych amuletach, takich jak pistolety, ale nie o tym, co opisałeś – mówi Vidocq. – Ale chyba znam kogoś, kto może coś wiedzieć na ten temat. Niedługo cię przedstawię.

Francuz kładzie na stole papierową torbę. Próbuje trochę kremu bawarskiego.

– Co to jest?

– Sam zobacz – odpowiada i przesuwa torebkę w moją stronę. Otwieram ją i zaglądam do środka. Jest pełna koszulek.

– Są twoje. Wyglądasz w tej koszulce ze sklepu wideo jak pieprzony dzieciak. Powinieneś nosić własne ciuchy, to pomoże ci zapamiętać, kim jesteś.

Zwijam górną część torebki i kładę ją na krześle obok. Pewnie kretyńsko wyglądam w tej koszulce. W głębi duszy wciąż czuję się tak, jakbym miał dziewiętnaście lat. Czas tam utknął w miejscu, a za każdym razem, kiedy spoglądam w lustro, dostaję kopa w jaja. Przynajmniej nikt teraz nie zapyta mnie o dokumenty, kiedy będę kupował piwo. Nie chcę teraz sprawdzać, co dokładnie zawiera torba. Jakaś część mnie pragnie spalić wszystko, co pozostało po mnie i Alice sprzed jedenastu lat. Inna część chce zostawić to w spokoju, zamrożone w czasie jak owady zatopione w bursztynie. W ogóle nie przyszło mi na myśl, by ponownie zakładać swoje stare rzeczy.

– W tym amulecie było coś dziwnego, coś znajomego. Staram się to sobie przypomnieć od momentu wyjścia z klubu.

Donut Universe to lokal otwarty przez całą dobę z wystrojem w kosmicznym stylu. Nad ladą wisi wielkie plastikowe UFO. Pracująca tam dziewczyna to zielonowłosa wróżka, której wiek można określić na coś pomiędzy dwanaście a trzydzieści pięć. Nosi zdobione cekinami antenki, które kołyszają się, gdy mówi. Dojrzała część mojego mózgu podpowiada mi, że dziewczyna zrywa ten głupi gadżet i rzuca go na tylne siedzenie samochodu, gdy tylko kończy zmianę. Mój wewnętrzny dziewiętnastolatek zastanawia się, czy zakłada te antenki, kiedy rżnie się ze swoim chłopakiem i jak to jest podnieść wzrok i zobaczyć te cekinowe kulki podskakujące w górę i w dół.

– Pewnego razu na Dole dwaj wielcy, rogaci Infernale wywlekli mnie z łóżka w środku nocy. Azazel był moim szefem, ale ci pracowali dla Mefistofelesa, generała mieszkającego w pałacu z ognia. Był trzeci na liście faworytów Lucyfera. Jego chłopcy zabrali mnie na arenę. Było już po godzinach, ale na trybunach siedziało kilkudziesięciu ważniaków. Zapragnęli prywatnego przedstawienia z żywym chłopakiem, co oznaczało, że znów będę miał skopaną dupę.

Na ziemi leżała na'at, moja ulubiona broń. Na'at to rodzaj włóczni, która potrafi jednak przekształcać się i zmieniać w dużo więcej, jeśli tylko się wie, jak jej używać. Jak w wypadku

wszystkiego innego tam na Dole, jej nazwa to żart Infernali. Nazywają na'at cierniem, ponieważ jej pełna nazwa, na'atzutz to rodzaj krzewu, z którego zrobiona została cierniowa korona Chrystusa.

Po przeciwległej stronie areny stało coś całkowicie ubranego na czarno. Kiedy się zbliżyło, spostrzegłem, że nie było ubrane na czarno, lecz było po prostu zupełnie czarne. Jak dziura wybita w świecie. Bez przerwy zmieniało kształty jak prześcieradło na sznurku w wietrzny dzień.

To coś po prostu tam stało, więc ruszyłem naprzód. Wykonałem kilka pozorowanych ataków, żeby to sprowokować do walki, ale nawet nie drgnęło. Nie odwróciło się, kiedy zacząłem okrążyć arenę. Na'atzutz ma kształt włóczni. Kiedy wykonałem szybki, mocny rzut w kierunku głowy tej istoty, na'at przeszła na wylot, jakby nikogo tam nie było. Kiedy jednak to coś podniosło ramię, żeby mnie odepchnąć, poczułem, jakby uderzyła mnie ciężarówka.

Na'at po całkowitym rozłożeniu ma niemal trzy metry, więc kiedy istota ruszyła na mnie, rozciągnąłem na'at do samego końca i machnąłem jak kijem. Znow przeszło przez stwora jak przez powietrze. Nie mogłem pozwolić, by znow mnie grzmotnął, więc odstawiłem taniec w stylu Muhammada Alego, starając się wpaść na jakiś pomysł. Nie miałem pojęcia, jak walczyć z czymś, czego nawet nie mogłem dotknąć.

Wówczas stwór wyjął coś z kieszeni. Kiedy uniósł przedmiot w górę, okazało się, że to amulet, taki sam jak ten w barze. Tyle że on wiedział, jak się go używa. Najpierw strzelił mi pod nogi, wyrzucając w górę piasek i oślepiając mnie. Potem zaczął strzelać wokół mnie, więc nie mogłem uciec. Mógł spalić mnie w każdej chwili, ale po prostu się bawił, a Infernale wiwatowali na swoich wygodnych siedzeniach.

Po tych wszystkich latach, po wszystkim, co mi się przydarzyło, i wszystkim, co zabiłem, ta strzelająca promieniami szafa zamierzała mnie zabić. I chyba tak by się stało, gdyby na arenę nie wparował Azazel. Zaczął wrzeszczeć na Mefistofelesa i zastanawiałem się, czy na trybunach nie dojdzie do prawdziwej walki. Żaden z nich nie zamierzał ustąpić, a kilku sługusów Mefistofelesa wyciągnęło noże. Jakąś minutę później wkroczył do akcji sam Lucyfer i wszystko cholernie szybko się skończyło.

Z Lucyferem jest związana jedna ciekawostka, a mianowicie to, że bardzo rzadko się odzywa, a kiedy już coś powie, to cichym szeptem. Kiedy połowa wszechświata wisi na każdym twoim słowie, nie musisz wcale krzyczeć. „To już koniec”, powiedział do nich. „Wracajcie do domu. Mefistofelesie, rano chcę cię widzieć w mojej wieży”. I to było wszystko. Infernale zwiewali w podskokach. Potem Lucyfer podszedł do czarnej istoty i coś do niej szepnął. Stwór w ogóle się nie poruszył. Lucyfer wydaje mu rozkaz, a on po prostu stoi! Czy to coś miało jaja z tytanu? Kilka minut później stwór opuścił arenę i rozwiął się jak dym.

Lucyfera widziałem tylko kilka razy, a rozmawiałem z nim tylko raz, ale wtedy podszedł do mnie, kazał wracać do łóżka i powiedział, że nic się tam nie wydarzyło.

– Jak sądzisz, co to oznacza? – pyta Vidocq.

– Ten amulet dał mi do myślenia. Cokolwiek go posiadało, musiało być wyjątkowo twardym przypadkiem, bo próbowało się oprzeć Lucyferowi. Mefistofeles oczywiście znał to coś, bo w końcu było w jego ekipie. A jeśli... Mefistofeles wie, że nie może wygrać wojny na Dole i rekrutuje istoty posługujące się czarną magią, które pomogą wyjść mu tutaj, na Ziemię?

– Myślałem, że masz jedyny klucz, który pozwoliłby im wejść do tego świata?

– Właśnie w tym miejscu to wszystko przestaje mieć sens. Poza Lucyferem nikt nie może wydostać się z Piekła bez klucza, a ja wciąż go mam.

Vidocq sący kawę i krzywi się.

– Ależ wy gównu pijecie, ludzie. – Wyciąga z płaszcza buteleczkę i większą część przelewa do filizanki. Kolejny łyk kawy i na jego twarzy wykwita uśmiech. – Wygląda na to, że musisz znaleźć tych swoich nazistowskich chłopców i sprawić, żeby ci powiedzieli, skąd mają swoje zabawki.

– To druga rzecz, którą muszę zrobić. Pierwsza to wrócić na teren Masona. Chcesz jechać ze mną?

– Rozstania i powroty? Włamanie i nielegalne najście? No, znów jesteś moim przyjacielem. Pokażę ci, jak dobry złodziej zarabia na chleb.

– Przykro mi, stary. Tam nie ma żadnego domu, do którego można by się włamać. To tylko piwnica zakopana pod tonami ziemi. Ale przejdziemy przez Salę.

Vidocq potrząsa głową.

– Używasz broni, kiedy powinieneś użyć magii, i używasz magii, kiedy powinieneś kazać staremu człowiekowi otworzyć dla ciebie zamek. Masz pan namieszane w głowie, monsieur Butler.

– Proszę, nie wypowiadaj mojego imienia.

Wyciąga dłoń w geście przeprosin i sięga do kieszeni płaszcza.

– Weź to.

– Co to jest?

– Ktoś, z kim powinieneś się spotkać. Doktor Kinski. To interesujący człowiek, przyzwyczajony do zadawania się z takimi jak my. Nie powinieneś chodzić z tymi kulami w brzuchu. Ołów ci szkodzi.

– Dzięki – odpowiadam i wkładam kartkę z numerem do kieszeni. – Zadzwońię do niego.

– To co, kiedy składasz wizytę swojemu przyjacielowi Masonowi?

– Dziś wieczorem. Późno. Nie chcę, żeby ktoś nas widział. Użyjemy klucza, żeby tam wejść, ale chcę mieć też samochód, gdyby coś się posrało.

– Teraz myślisz jak prawdziwy złodziej. Mniej broni i więcej wyjść. Jeszcze sobie poradzimy z twoimi kowbojskimi nawykami.

Nie zauważa, że przed wyjściem zostawiam torbę z koszulkami pod stołem.

* * *

- Cześć. Dzwonię do doktora Kinskiego. Chciałbym się umówić.
- Przykro mi – odpowiada łagodny kobiecy głos po drugiej stronie linii. – Doktor Kinski nie przyjmuje teraz nowych pacjentów.
- Jestem przyjacielem Vidocq'a. Dał mi ten numer.
- Jesteś przyjacielem Eugène'a? Tym podróżnikiem? Jak to jest wrócić w jedno miejsce?
- Niepokojąco.
- Włóczęga. Jak romantycznie. Czy dostałeś to, czego szukałeś w podróży?
- Jeśli przez „dostanie tego, czego szukałem” masz na myśli garść pocisków, to tak.
- Duże te pociski?
- Na tyle duże, że to poczułem.
- Jeśli to niebezpieczeństwo, mogę poprosić doktora, żeby cię dziś obejrzał.
- Wystarczy jutro.
- Uwielbiam facetów, którzy potrafią się wykrwawić, żeby dowieść swego.
- Jak masz na imię?
- Candy. A ty?
- Stark.
- Brzmisz jak Stark.
- Czy to dobrze?
- Całkiem nieźle.
- Uznam to za wotum zaufania.
- Ze śmietanką i cukrem, jeśli tylko chcesz. Doktor nie ma jutro żadnych wolnych terminów. Zadzwoń, kiedy coś znajdzie.
- Dzięki.
- Podziękuj Eugène'owi.
- Przekażę mu, że tak powiedziałś.
- Nie zapomnij. – Odkłada słuchawkę.

* * *

O ósmej idę do Bambusowego Domu Lalek. Carlos jest w znakomitym humorze.

- Wszystko, co zechcesz z menu – mówi. – Od teraz do końca świata.

Zamawiam carne asada, a Carlos przynosi mi mięso z fasolą, ryżem i guacamole. Mam wrażenie, że Bóg zostawił swój lunch w mikrofali, a ja go kończę. Skinheadzi nie wracają do dziesiątej, więc dziękuję Carlosowi i wracam do sklepu wideo.

* * *

Otwieram szafę Kasabiana i pozwalam mu się zaciągnąć papierosem, którego dla niego zachowałem. Jego odcięta głowa już przestaje mnie męczyć. Jest odrażająca, ale znajoma jak pies na trzech łapach.

– Co jest w piwnicy? – pytam.

– Nie wiem.

– Powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?

– Powiedziałbym grzecznie, żebyś pocałował mnie w dupę. Jest tam, po drugiej stronie, więc miałbym dobry widok.

– Wiesz, że jestem tutaj po to, by zniszczyć Krąg. Nie musisz być jego częścią. Powiedz mi coś przydatnego. Coś, co będę mógł wykorzystać.

– Pierdol się, pojebie.

– Ja tylko próbuję znaleźć przyczynę, dla której nie powinienem ci wpakować kulki.

Kasabian uśmiecha się jak kot, który właśnie nasrał ci do buta i czeka, aż to znajdziesz.

– Nie wiem, co tam jest, ale wiem tyle: Mason może być bardziej popieprzony od worka psich jaj, ale wykopał twoją dupę do Nibylandii, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie potrafi myśleć z wyprzedzeniem. Czy coś jest w piwnicy? Bez wątpienia. Czy wiem, co to takiego? Nie. Ale jednego jestem pewien: zapłaczesz przez to, a ja nie mogę się doczekać, kiedy o tym usłyszę.

– Ja też byłbym taki zgorzkniały, gdyby na moich oczach wszyscy przyjaciele zmienili się w bogów, a ja pozostałbym menelem czekającym na to, kiedy rzucą mi monetę.

– Widzisz? To właśnie bycie dupkiem sprawi, że wkrótce umrzesz.

– Znów zraniłem twoje uczucia? Przepraszam. Kiedy to się skończy, wyślę kwiaty twojemu wewnętrznemu dziecku.

* * *

Kradnę porsche 911 na Sunset i zabieram Vidocq'a po drugiej w nocy. Jadę do Beverly Hills i parkuję w miejscu, z którego mamy widok na parcelę, na której niegdyś stał dom Masona.

Siedzę przez dłuższą chwilę, obserwując ulicę pod kątem jakichś szczeniaków czy cierpiących na bezsenność biegaczy.

– Idziemy? – pyta Vidocq'a.

– Za chwilę. – Wyciągam Veritas, podbijam ją kciukiem. W mojej głowie pojawia się pytanie: czy to dobry pomysł?

Kiedy odwracam monetę, pojawia się na niej skrypt infernalny: Kiedy skaczesz z urwiska, to lepiej jest wylądować na postrzępionych skałach czy w płonącej lawie? Znam ten tekst. Odpowiedź jest oczywista: nie ma znaczenia, gdzie wylądujesz. Po prostu zeskoczyłeś z urwiska.

Prowadzę Vidocq'a na skraj parceli, w pobliże latarni, gdzie cienie są wystarczająco

głębokie i szerokie dla nas dwóch.

– Nigdy wcześniej nie próbowałem tego z innym człowiekiem. Możesz poczuć się dziwnie, jakbyś spadał, choć tak nie będzie. Jeśli to zadziała, po prostu wejdź do pomieszczenia.

– Co będzie, jeśli to nie zadziała?

– Nie wiem.

Vidocq wyciąga swoją flaszkę i pociąga długi łyk. Kiedy ją chowa, chwytam go za ramię i wciągam w największy i najmroczniejszy cień, jaki udaje mi się znaleźć.

Przejściu towarzyszy moment chłodu, ale po chwili jesteśmy w pomieszczeniu. Bułka z masłem. Łatwe jak złamana noga, a na dodatek obaj jesteśmy cali.

Vidocq patrzy na mnie, po czym rozgląda się dookoła.

– A więc zadziałało?

– Dwie ręce, dwie nogi. Zadziałało.

Oddycha z ulgą i obraca głową na wszystkie strony.

– Jesteśmy w centrum wszechświata. Na skrzyżowaniu stworzenia.

– Tak sędzę. Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Dla mnie to było zawsze tylko wyjście awaryjne na tyłach płonącego budynku.

Vidocq obraca się powoli.

– Mój Boże, ta sala jest naprawdę pełna drzwi.

– Trzynaście. A czego oczekiwałeś?

– Zakładałem, że te drzwi będą metaforą. Że każde z nich będzie sposobem na opisanie różnego stanu ducha.

– Nie. To tylko kupa drzwi.

– Najwyraźniej. Dokąd one prowadzą?

– Zmieniają się w zależności od tego, dokąd chcę pójść. Są pewne powiązania. Drzwi Ognia prowadzą do chaotycznych miejsc, zwykle niebezpiecznych. Wiatr jest zwykle spokojny, ale zmienny. Sny prowadzą do... no cóż, do snów.

Wskazuje trzynaste drzwi.

– A te? Dokąd prowadzą?

– Nigdy ich nie otwierałem.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ sram ze strachu, jak je widzę, a poza tym nie tam idziemy. Przejdziemy przez te.

– Co to za drzwi?

– Drzwi Zmarłych.

* * *

Piwnica Masona cuchnie jak słomiana mata podłogowa, która zbyt długo leżała na

deszczu. W dodatku panują tu kompletne ciemności. Vidocq wyciąga z kieszeni szklaną fiolkę i dmucha na nią. Pomieszczenie wypełnia się światłem. Komu potrzebna jest latarka, kiedy ma się swojego osobistego alchemika?

Farba odłazi ze ścian i sufitu piwnicy wielkimi, postrzępionymi płatami. Grube korzenie przebijają się przez warstwę ziemi, pełzając po suficie i ścianach niczym czarne, kruche arterie. Węzeł korzeni doprowadził do przegnicia tynku z jednej ze ścian, odsłaniając nagie cegły. Meble stoją dokładnie tam, gdzie widziałem je wcześniej – stoły, krzesła i sofa, teraz włochata od pleśni.

W środku pomieszczenia znajduje się to, co pozostało po magicznym kręgu. Część śladów kredy jest wciąż widoczna w miejscach, w których wtopiła się w przegniłe deski podłogi. Wokół kręgu nadal leżą ogarki świec, jakby ostatni ludzie w tym miejscu szybko je opuścili i już nie wrócili.

Nie potrafię wychwycić żadnych uczuć. To tak, jakby mój mózg, flaki i serce brały udział walce kung-fu w starym stylu na przyspieszonych obrotach. Różne części mnie chcą uciekać z krzykiem w innych kierunkach. Jedna część chce się cicho, ale dokładnie wyrzygać w odległym kącie piwnicy. Inna część chce rozpieprzyć to miejsce na strzępy, deska po desce, cegła po cegle. Najślabsza i najmniejsza część mnie, ta, której wcale nie chcę słuchać, to same przeprosiny i żal. Wybacz, Alice. Mówiłaś, żebym tutaj nie przychodził, ale nie posłuchałem. Wtedy wydarzyło się to wszystko.

Ostatnia część mnie to wiadomości telewizyjne o dziesiątej. To część, której się kurczowo trzymam. Zimne oko kamery. Objąć obrazem scenę i zanotować fakty. Te ruiny nie są moją prywatną apokalipsą. To nawiedzony dom z Disneylandu. Cyfrowe strachy i pojękiwania w dolby stereo. Równie przerażające co kosz z kociętami.

– Czego szukamy? – pyta Vidocq.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Krążymy po piwnicy, szukając tropów lub znaków wskazujących coś więcej niż tylko wilgotne pozostałości. Przesuwam meble i rozbijam je czubkiem buta. Nie chcę niczego dotykać.

– Nie wiem, czy znajdziemy tu cokolwiek interesującego. Mason zawsze mówił, że ma ukryte pomieszczenie, w którym chowa swoje najważniejsze rzeczy, ale żaden z nas nigdy go nie odnalazł.

Choć bardzo tego nie chcę, opieram się o zapleśniałą ścianę. Nagle kręci mi się w głowie. Głosy i twarze przeskakują jak błyskawice. Czuję wszystkie echa Kręgu, nawet siebie samego, młodszego i uwięzionego w tym miejscu. Słyszałem, że tak robią mroczni magowie. Kiedyś, w przeszłości, Mason hermetycznie odciął pomieszczenie od reszty świata za pomocą jakiegoś zaklęcia bariery. Nie chciał, aby to, czym się zajmował, przeciekło w eter. Inni magowie mogliby się wówczas zorientować, że wchodzi w układy z Infernalami. Wiele

przerażających rzeczy przeszło przez to pomieszczenie. Dużo więcej, niż te kilka bestyjek, które zaciągnęły mnie na Dół. Niektóre z nich widzę i czuję, inne są tak rozmazane, że nie potrafię się na nich skoncentrować. W ich głowach panuje tylko głód, jak u owadów. Nie jest mi wcale smutno, że nie potrafię wejść w to głębiej. Zacząłem się już przyzwyczajać do wyczuwania myśli i uczuć innych osób, ale intensywność tego miejsca sprawia, że to doświadczenie jest nowe i znów bardzo osobliwe. Nie chcę już tutaj dłużej być.

– Ha!

Vidocq stoi w kącie piwnicy z jedną dłonią przyciśniętą do sufitu, a drugą do kawałka mchu na ścianie. Przeciwległa ściana otwiera się ze zgrzytem, wlokąc śmieci, które osiadły na mechanizmie drzwi przez te wszystkie lata.

– Mówiłem, że pokażę ci, jak dobry złodziej zarabia na chleb! – mówi radośnie Vidocq. Trzymając swoje światło w fiolce, wchodzi do ukrytego pomieszczenia.

Skrytka jest w dużo lepszym stanie niż inne pomieszczenia. Wyczuwa się tam wielką moc. Chronią ją o wiele silniejsze zaklęcia niż w wypadku pozostałej części piwnicy. Każdy centymetr ścian, podłogi i sufitu pokrywają wielokolorowe runy, pieczęcie i kanciaste skrypty anielskie i infernalne.

Vidocq studiuje pomieszczenie z ponurą intensywnością. Przesuwa palcami po ścianie, a kiedy je odsuwa, są zupełnie czarne. Wącha pył na dłoniach i dotyka szerniałego palca językiem.

– Co to jest? – pytam.

– Czerń z kości słoniowej – odpowiada. – Pochodzi ze spalonych kości i rogów zwierząt.

– Szkodliwe?

– To tradycyjny pigment, znany od tysiący lat. – Przesuwa światło wzdłuż ścian i przybliża do sufitu. – Widzisz ten symbol? Jest wymalowany cynobrem – mieszanką podgrzanej razem rtęci i siarki. Kobalt i chlorek glinu, również wymieszane, nadają niebieski kolor. A tu mamy antymonową żółć. Ta czerwień pochodzi z zagotowania tlenku żelaza znajdującego się w krwi. Wszystkie te odcienie i kolory zostały zręcznie przygotowane za pomocą chemikaliów i wysokiej temperatury. – Trzymając wysoko światło, zatacza pełen krąg, obejmując całe pomieszczenie. – Wszystko w tym miejscu narodziło się z ognia.

– Możesz tutaj poświecić?

Vidocq przenosi światło w miejsce, w którym stoję. Na ścianie znajduje się dziwny napis, ale nie w języku infernalnym. Czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałem. Przypomina pismo klinowe wycięte w ścianie za pomocą tasaka do mięsa. Pozostałą część ściany pokrywa symbol wymalowany krwistym tlenkiem żelaza. Przedstawia on krąg, który zawija się wokół swojego wnętrza. To labirynt, pradawny symbol największych i najmroczniejszych tajemnic i niezgłębionej wiedzy. Coś migocze w centrum labiryntu. Wbijam paznokcie w miękki tynk i wyciągam skarb.

To zapalniczka zippo. Na przedniej ścianie widnieje podobizna żującej cygaro diabelskiej

głowy, wykonana przez artystę, który podpisał się jako „Coop”. Obracam zapalniczkę i kliknięciem otwieram górę, szukając wiadomości, napisu czy czegokolwiek innego, co mogłoby nas naprowadzić na trop działań Masona. Niczego nie znajduję. Zamykam zippo. To tylko zapalniczka. Vidocq wyjmuje mi ją z dłoni i bada uważnie w świetle. Po minucie kręci głową i oddaje mi znalezisko.

– Może twój przyjaciel Mason lubuje się w praktycznych żartach?

– Lubi dobre „pierdol się”, nie pamiętam jednak, żeby bawiły go żarty.

– W takim razie coś przegapiliśmy.

Kilkakrotnie podrzucam zippo na dłoni, będąc pod wrażeniem jej ciężaru.

– Do czego służy zapalniczka?

Vidocq skrobie stopą zakurzoną podłogę.

– Do rozpalania ognia.

Podnoszę zapalniczkę, otwieram górną część i uderzam w kamień. Pomieszczenie wypełnia światło. Zdecydowanie za dużo światła. Wycieka nawet ze ścian i podłogi. Musimy zasłonić oczy rękami, żeby nie oślepnąć.

Coś ociera mi się o ramię. Wokół nas zrywa się wiatr nabierający z każdą sekundą siły, podrywając w górę kurz z podłogi. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie mam halucynacji i nie wyczuwam po prostu pamięci kogoś obcego. Wtedy wpada na mnie Vidocq wywrócony przez nagły podmuch i zdaję sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Opuszczam rękę, kiedy wzrok przyzwyczaja się do światła. Jest białe i przemieszcza się jak fale na dnie basenu. Ściany przypominają rozciągniętą skórę, coś próbuje się przez nie przebić. Dostrzegamy zarysy twarzy i rąk, które sięgają ku nam, naciągając cienką jak błona ścianę. Ciała wiją się i skręcają, niezdolne do utrzymania jednego kształtu przez dłuższy czas. Ich ręce kojarzą mi się z gromadą wijących się nieustannie węży. Ciała są jak szkielety ryb i ptaków. Twarze, które zdają się składać z samych zębów, ręce zakończone pazurami w miejscach, gdzie powinny znajdować się dłonie.

– Możesz nas stąd wydostać? – krzyczy Vidocq.

– Potrzebny nam cień, a tu wszędzie jest jasno.

Vidocq rozpina płaszcz. W podszewkę wszyte ma całe rzędy fiolek zawierających jego eliksiry. Wyciąga jedną po drugiej i rzuca w stronę chwytających powietrze rąk. Wyciągam z kieszeni lugera skinheada i strzelam kilka razy w stronę sylwetek. Zdają się w ogóle tego nie zauważać.

Chwytam Vidocqę za rękaw i ciągnę w kierunku drzwi, strzelając z lugera aż do wyczerpania magazynka. Vidocq w dalszym ciągu rzuca swoimi fiolkami. Co pewien czas jakieś ramię czy twarz krzywi się po naszym żalosnym ataku, ale po chwili ścienne maskary powracają.

Vidocq odpycha mnie przy drzwiach.

– Puść mnie! – krzyczy i uwalnia rękę. Wraca do opętanego pomieszczenia, w którym

ściany są już w odległości kilkunastu centymetrów od niego. Z samego dołu swojego płaszcza wydobywa butelkę przypominającą rozmiarem jego flaszkę z brandy.

– Tas de merde! – krzyczy. Rozbija ją na wijącej się masie rąk i kłów, po czym wpada z powrotem do piwnicy, popychając mnie na brudne drzwi.

Tajne pomieszczenie płonie, ale stworzenia w ścianach wciąż próbują nas dopaść. Powstrzymuje je tylko niewidzialna bariera. Niestety płomieni to nie powstrzymuje.

Przegniłe drewno w naszym pomieszczeniu zajmuje się ogniem. W ciągu kilku sekund piwnica płonie jak Rzym za Nerona. Ma to swoją dobrą stronę, gdyż pożar tworzy mnóstwo wspaniałych cieni. Chwytam Vidocqą i wciągam go w głęboki klin cienia na skraju Kręgu. Potykając się, wpadamy do Sali Trzynastu Drzwi. Obaj łzawimy, a płuca pieką nas od gryzącego dymu. Nie zatrzymuję się, prowadzę Vidocqą przez Drzwi Pamięci prosto na chłodną i cichą ulicę Beverly Hills. Porsche stoi na drugim końcu przecznicy. Biegniemy w jego stronę.

Kiedy docieramy do samochodu, pusta parcela Masona otwiera się z głośnym hukiem i na wysokość dwóch pięter w górę wystrzeliwiają płomienie. Zanim udaje mi się rozpędzić samochód do stu osiemdziesięciu, cała działka zapada się, wstrząsając ulicą niczym trzęsienie ziemi i wyrzucając w nocne niebo tłustą, pomarańczową kulę ognia. Przyspieszam jeszcze bardziej, wpadam w pierwszy zakręt i opuszczam Beverly Hills na dwóch kołach.

* * *

Za nieczynnym multipleksem między Hollywood Boulevard i Selma Avenue znajdujemy nieoświetlony parking. Zatrzymuję samochód w jego głębi, żeby nikt nie mógł nas dostrzec z ulicy. Wciąż ciężko oddycham. Wiem, że to dym w moich płucach, ale czuję się tak, jakbym wstrzymywał oddech od samego wyjścia na zewnątrz. Kiedy gaszę silnik porsche, dobiega nas wycie wozów straży pożarnej, odbijające się echem pośród zabudowań miasta.

– Sporo ich tam jedzie.

– Zawsze troszczą się o bogatych – parska Vidocq. – Tak samo jest we wszystkich miastach na całym świecie.

– Co to była za butelka? Ta, którą rzuciłeś na końcu?

– Olej Spiritus Dei. Stare, doskonałe panaceum, trujące dla niemal wszystkich Infernali i Czyhaczy. Bardzo trudno to zdobyć. To była moja ostatnia butelka.

– Przykro mi, stary.

– Nie przejmuj się. Człowiek, któremu cię przedstawię, ma tego więcej.

Wyciągam zapalniczkę z kieszeni.

– Co mam z tym zrobić?

– Zatrzymaj ją. Moja wyjątkowa wiedza na temat magii i przemiany żywiołów mówi mi, że nie jest to zwyczajna zapalniczka.

– Idiotyczny pojemnik dla tak potężnego talizmanu.

– Może Mason stworzył ją z myślą o kimś, kto na pewno zwróci na nią uwagę.

– Myślisz, że Mason zostawił ją dla mnie?

Vidocq wzrusza ramionami z rezygnacją.

– Nie wiem. Ale wygląda mi to bardziej na votre modele niż innych członków waszego Kręgu.

– Taa. Zeskoczyłem wprost z urwiska. Ale może ta zapalniczka coś nam powie.

– Miejmy nadzieję.

– Uważasz więc, że Mason wie o moim powrocie.

– Właśnie wysadziłeś mu dom. Może coś podejrzewać.

Na przemian rozluźniam i zaciskam dłonie na kierownicy.

– Nie jestem jeszcze gotów. Za dużo w tym niewiadomych.

– Okazja zawsze przychodzi za wcześnie albo za późno. Ale dzięki temu, co dziś znalazłeś, jesteś o krok bliżej do osiągnięcia celu.

Otwieram górną część zapalniczki i obracam kamień. Vidocq odskakuje, uderzając ramieniem o drzwi. Pojawia się mały płomyk, nic innego się nie dzieje. Mam ochotę na papierosa, ale czuję, jakbym miał w gardle i płucach gorący żużel. Zamykam zapalniczkę i wsuwam ją do kieszeni.

– Kiedy spotkamy się z tym gościem od Spiritus Dei, zapłacę.

– Doskonale. Właśnie miałem ci to zasugerować. Powinieneś się z nim jak najszybciej spotkać.

– Tak sądzisz?

– Absolutnie. To człowiek, który dużo wie i ma wiele przydatnych rzeczy. A mnie się wydaje, że niebawem będziesz potrzebował czegoś więcej niż swoich kowbojskich spluw, żeby przeżyć.

* * *

Wysadzam Vidocqą, zatrzymuję wóz za pobliskim Safewayem, wycieram lugera z odcisków i wrzucam go na dno wielkiego i bardzo cuchnącego kontenera na śmieci. Nie chcę tej broni. Kto wie, jakich zbrodni dopuściły się te nazistowskie skurwysyny z jej użyciem.

Bambusowy Dom Lalek będzie już pewnie zamknięty, ale muszę się czegoś napić. Porzucam porsche przecznicę od Donut Universe, gdzie zamawiam dużą czarną kawę i kilka drinków, po czym wracam piechotą do oddalonego o kilka przecznic Max Overdrive.

Kiedy docieram do sklepu, kończę właśnie kawę w kubku i pączka. Światła są zapalone. Przednie drzwi są otwarte, a szyby rozbite. Wyrzucam resztkę jedzenia, wyciągam z buta nóż Azazela i bezgłośnie wchodzę do środka. Wnętrze sklepu jest całkowicie zrujnowane. Regały są poprzewracane, wszędzie walają się płyty i pudełka. Kasa wygląda jednak na nietkniętą, więc nie byli to złodzieje czy ćpuny.

Przebijam się między potłuczonym szkłem i płytami, zastanawiając się, kto zniszczył

sklep, kiedy spostrzegam but wystający spod jednego z przewróconych regałów. Podnoszę regał i odrzucam na bok. Na podłodze leży Allegra. Wygląda koszmarnie. Ma podarte ubranie, a twarz i dłonie całe we krwi. Przykładam ucho do jej piersi i z ulgą wyczuwam powolne i stabilne bicie serca. Dziewczyna właściwie nic nie waży, więc podnoszę ją i zanoszę na górę. Drzwi u szczytu schodów zostały wyłamane. Kładę Allegrę na łóżku i przykrywam kocem. Kiedy wchodzę do łazienki, żeby zmoczyć jakiś ręcznik, dostrzegam coś znacznie gorszego od upiorów w piwnicy Masona. Drzwi do szafy Kasabiana są wyrwane z zawiasów. Nie ma go w środku.

Oczyszczam twarz Allegry z krwi i kładę zimny ręcznik na jej czole. Unoszę jej powieki. Źrenice są rozszerzone i nie zmieniają się. Wstrząs. Niedobrze. Porusza głową i pojękuje, po czym odpycha moją rękę.

– Co się stało? Zimno mi.

Jest w szoku. Okrywam ją pościelą.

– Jesteś ranna.

– Pan Kasabian odszedł. Wyglądał na martwego, ale powiedział do widzenia.

– Zabieram cię do szpitala.

Siada wyprostowana. No, prawie. W połowie próby opada z powrotem na poduszkę.

– Żadnego szpitala.

– To konieczne. Jesteś ranna.

– Żadnego szpitala. Mogą zadzwonić po gliny.

Tego się nie spodziewałem.

– Zabieram cię tak czy inaczej.

Chyba nie powinienem tego mówić. Allegra chwyta mnie za rękę, podciąga się i próbuje mnie uderzyć. Nieźle, jak na kogoś, kto dyszy jak zdychająca złota rybka.

– Żadnych szpitali! Żadnych glin!

Pokonany pomagam jej położyć się z powrotem na łóżku. Na stole Kasabiana piętrzą się kartki papieru, niedojedzone burrito i popielniczki pełne papierosów. Rozgrzebuję to wszystko, aż znajduję telefon. Wybieram numer Kinskiego.

– Candy? Mówi Stark.

– Stark? Miło cię słyszeć. Powiedz mi jedno, Stark, czy zegary na twojej planecie działają tak samo jak na naszej? Bo te tutaj, na Ziemi, podpowiadają mi, że jest trochę za późno na pogaduszki.

– Zamknij się. Mam tu cywila i jestem całkowicie pewien, że doznała obrażeń od magii. Nie wiem, na ile są poważne, ale chyba ma wstrząs. Kinski to jedyny lekarz w Los Angeles, o którym teraz wiem, więc przywożę ją do niego. Jeśli go nie będzie, kiedy dotrę na miejsce, będę wyjątkowo niezadowolony.

– Dobra. Masz adres?

Doskonale, kurwa. Grożę ludziom, których nie znam, a których potrzebuję, nie znając

nawet adresu.

– Podaj mi go.

Dyktuje mi adres.

– Do zobaczenia – mówi.

Zanoszę Allegrę na dół i zostawiam przy drzwiach frontowych. Na zewnątrz rozglądam się za jakimś środkiem transportu. Potrzebne mi coś dużego, żeby mogła przez cały czas leżeć, ale natrafiam tylko na japońskie kompaktki i małe gówna z Detroit. Za narożnikiem znajdują w końcu to, czego szukam – lśniącego czerwonego escalade. Problem w tym, że w środku siedzi dwóch gości. Mimo to warto go sprawdzić.

Faceci rozmawiają i śmieją się, podając sobie na zmianę jointa. Nie mają żadnych obaw. Nienawidzę kraść ludziom wozów sprzed nosa z jednej prostej przyczyny. To gówniane przestępstwo. Przestępstwo dla debili i szczyli z pięćdziesięcioma dolcami w kieszeni na zakup taniej spluwy. Mimo to chcę tego escalade i chcę go w tej chwili. Spoglądam w stronę Max Overdrive, ale Allegra jest w środku i nie widzę jej. Kiedy odwracam się z powrotem w stronę SUV-a, dostrzegam w drzwiach za kierowcą coś, czego wcześniej nie widziałem. Nie ma szyby. Okno zostało wybite. Wóz jest kradziony. Alleluja. Nie będę kradł wozu, będę go odbierał złodziejom.

Najpierw ruszam w stronę pasażera. Jest tak nawalony, że kiedy go chwytam, zachowuje się jak manekin, luźny i zrelaksowany. To dobry sposób na uderzenie o ziemię, kiedy człowiek zostaje wyciągnięty z samochodu. Rzucam nim jakieś półtora metra dalej, niż planowałem. Walczyłem wręcz z gigantyczną, ziejącą ogniem meduzą i Infernalami o tytanowej skórze. Co mogę wiedzieć na temat walki z ludźmi?

Kierowca jest pryszczatym strachem na wróble z irokezem i brudną koszulką z Sex Pistols. Wygląda jak dwunastolatek, prawdziwy Sid Vicious przebrany na Halloween. Kiedy jego koleżka wylatuje z wozu, jego najarany mózg w końcu pojmuje, że coś jest nie tak. Zaczyna gmerać przy pasku w poszukiwaniu gnata, ale refleks ćpuna wcale mu nie pomaga. Równie dobrze mógłby mieć na sobie rękawice kuchenne. Nie chcę jednak dać się znów postrzelić, kiedy jego trybiki w końcu zaskoczą.

Kiedy wciąż grzebie przy pasku, chwytam za górną krawędź ramy drzwi, odbijam się obunóż od fotela pasażera, prześlizguję po dachu escalade i ląduję cicho jak kot po stronie kierowcy. Gnojek w końcu wyciąga broń, odbezpieczoną i skierowaną dokładnie tam, gdzie już mnie nie ma. Wsuwam ręce i głowę przez otwarte okno, chwytam go za kark i wyciągam na zewnątrz, przyciskając mu rękę trzymającą broń do ciała. Kiedy się szamocze, uderzam jego głową w bok SUV-a. Tylko raz. Chłoptaş jest giętki i zamroczony, więc z łatwością przerzucam go sobie przez ramię, zanoszę na drugą stronę i rzucam obok kumpla. Jego pistolet wrzucam do kanału przez kratkę ściekową.

Kiedy wracam do Max Overdrive, Allegra stoi i trzęsie się jak nowo narodzony cielak. Biorę ją na rękę, zanoszę do escalade, otwieram tył i układam płasko na podłodze.

- Żadnych szpitali – mówi.
- Wiem.
- Dokąd jedziemy?
- Na lody. Jaki lubisz smak?
- Pieprz się.
- To także moje ulubione.

Dwaj goście, których wywaliłem z wozu, nie byli ostatnimi idiotami. Przyzwójcie poradzili sobie z obejściem alarmu wozu i dostaniem się do zapłonu bez kluczyka. Skręcam parę wystających kabelków i silnik furgonetki ożywa. Naciskam pedał gazu, przecinam dwa pasy ruchu, skręcam kierownicą i prowadzę escalade przez Hollywood, w stronę Sunset.

Nie jest to sytuacja, w której czerwone światła, żółte światła czy cokolwiek innego, co nas spowalnia, są do zaakceptowania. Ale jakiego rodzaju zakłęcia używa się do zmodyfikowania czasu zmiany światel? Gdybym nie był taką atrakcją z areny, pewnie wiedziałbym coś na ten temat. Albo potrafiłbym oszukać je w taki sposób, w jaki oszukiwałem za starych czasów. W tej chwili przychodzi mi do głowy jedynie zakłęcie kontroli Infernali, coś, co rzuciłbym na przeciwnika na arenie, żeby przejąć kontrolę nad jego ciałem i powstrzymać choć na chwilę przed zamordowaniem mnie.

Kiedy światło na skrzyżowaniu przede mną zmienia się na żółte, wyszczekuję zakłęcie. Dosłownie wyszczekuję. Język infernalny składa się głównie z niskich, gardłowych czasowników i rzeczowników, które łączą się z warkliwymi przymiotnikami. Osoba mówiąca tym językiem brzmi jak wilk z rakiem krtani.

Wypowiadam zakłęcie w chwili, kiedy światło przełącza się z żółtego na czerwone. Kiedy je kończę, wraca żółte. Potem wybucha, a obudowa zmienia się w rozgrzany do białości szrapnel, który trafia w dach escalade niczym metalowy grad. Większość słupa, na którym znajdowała się sygnalizacja, całkowicie znikła, podobnie jak kable elektryczne dla trolejbusów.

Przykro mi, dojeżdżający do pracy. Powiedzcie jutro szefowi, żeby się pierdolił. Jakiś pieprzony terrorysta wysadził wam w powietrze całą sygnalizację.

Drugie i trzecie światła również wybuchają. Czwarte po prostu skwierczą, plują iskrami i gasną. Nie oglądam się nawet za siebie. Aż do Sunset widzę w lusterkach błyski i sypiące się wszędzie iskry.

* * *

Adres, który podała mi Candy, kieruje mnie do pasażu handlowego, którego nie było tam w czasach, kiedy zesłano mnie na Dół. Wjeżdżam escalade na parking i pomagam Allegrze wysiąść. Nalega, że pójdzie o własnych siłach, co biorę za dobry omen. Biuro doktora Kinskiego jest wciśnięte między bistro ze smażonymi kurczakami i salonem manicure z napisami w wietnamskim i w dyslektycznym angielskim. Jeszcze raz sprawdzam adres.

Zgadza się.

Biuro mieści się za pustą witryną z żaluzjami zakrywającymi wszystkie okna i słowami LECZENIE EGZYSTENCJALNE na drzwiach, ułożonymi ze złotych samoprzylepnych liter. Próbuję otworzyć drzwi, ale są zamknięte. Uderzam kilka razy i drzwi otwierają się niemal natychmiast. W progu staje rozczochrana brunetka w znoszonych, czarnych dżinsach i trampkach.

– Candy?

– Stark?

Po sposobie, w jaki rozmawiała ze mną przez telefon, spodziewałem się dużej blondyny, a nie natapirowanej rockmanki.

– Dawaj ją do środka. Doktor czeka.

Wewnątrz klinika wygląda równie surowo jak z zewnątrz. Dwa biurka w kiepskim stanie, na jednym z nich laptop, który wygląda na dość stary. Szafka na akta pokryta naklejkami reklamującymi agencję nieruchomości, sześć składanych metalowych krzeseł i sterta magazynów „Sports Illustrated” i „Cosmopolitan”, prawdopodobnie wyciągniętych z kontenera na śmieci za salonem manicure.

To ma być biuro anioła łaski, którego polecał Vidocq?

Zaczynam poważnie rozważać, czy nie zabrać stąd Allegry do prawdziwego szpitala, niezależnie od tego, co jej obiecałem. Wtedy ze swojego gabinetu wychodzi Kinski.

– Na co czekasz? Daj tu dziewczynę – mówi.

Wprowadzam Allegrę.

Kinski jest tak imponujący, jak jego biuro nie jest. Jest wysoki. Trochę wyższy ode mnie. Podobnie jak ja musiał być chudym chłopakiem, ale lata dodały mu na środku kilka kilogramów i wykroiły wokół oczu linie przypominające wyschnięte koryto rzeki. Wciąż jest jednak przystojny. Można założyć, że kiedy był młody, należał do tych facetów, dla których dziewczyny na noc zapominały o swoich chłopakach i których ci chłopacy mieli z miejsca ochotę walnąć w głowę.

Allegra porusza się zbyt niepewnie, żeby dalej iść. Podnoszę ją, podążam za Kinskim i układam ją ostrożnie na wyściełanej kozetce.

Dotyka jej czoła i policzków. Mierzy puls na nadgarstku i szyi, po czym podnosi obie powieki, żeby przyrzeć się źrenicom. Allegra wije się na kozetce i próbuje go odepchnąć.

– Boli? – pyta Kinski.

– Tak. Głowa.

– Jeszcze coś?

Allegra kręci głową.

– Dobra. Spróbuj się teraz rozluźnić. Oddychaj naprawdę głęboko. Możesz to zrobić?

Kiwa głową, po czym rozpoczyna serię powolnych wdechów i wydechów. Kinski kładzie dłoń na jej czole. Poklepuje się po kieszeniach i z jednej z nich wyciąga coś, co przypomina

szerniałe, suszone mięso.

– Żuj to – nakazuje, wsuwając jej pasek między wargi.

– Co to jest? – pyta dziewczyna.

– Będzie ci smakowało. Tu suszony owoc.

Allegra żuje, a on trzyma dłoń na jej czole i przekrzywia głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Ja również to słyszę. Jej oddech i bicie serca zwalniają gwałtownie. Jej ciało wiotczeje. Kinski rzuca mi szybkie spojrzenie, jakby wiedział, że ja też to słyszę.

– Odplynęła – mówi do Candy i odwraca się w moją stronę. – Co się jej przytrafiło?

– Nie wiem dokładnie. Wróciłem i cały sklep był zniszczony. Myślę, że zrobił to facet nazwiskiem Parker. To kolejny mag. Brakowało też kilku magicznych rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Faceta. Dokładniej rzecz biorąc, jego części.

– Części faceta. Dobra. Czy masz przy sobie coś, co mogłoby pogorszyć stan tej dziewczyny? Jakies eliksiry czy zioła związane z nekromancją? Bawisz się rytuałami wskrzeszania?

– Nigdy.

– W porządku. Ale przychodzisz tu z ranną dziewczyną i mówisz, że ukradziono magiczną część jakiegoś faceta, o którym nie chcesz mówić. To ja zaczynam myśleć o zombie. A to poważna sprawa.

– To nic z tych rzeczy. Ten facet nie był martwy. Byłem w tej kwestii naprawdę ostrożny.

– Tak ostrożny, że dziewczyna ma pękniętą czaszkę.

– Możesz ją poskładać?

– Składałem już gorsze przypadki. – Patrzy na Candy. – Przyniesiesz mi co trzeba, skarbie? Chcę się upewnić, że dziewczyna śpi, zanim zdejmę dłoń.

– Ile tego chcesz?

– Myślę, że sześć wystarczy.

Candy wyjmuje ze starej medycznej szafki sześć obiektów wielkości pięści. Każdy z nich owinięty jest w ciemnoczerwony jedwab. Kładzie je na kozetce obok Allegry i odwija. Sześć kawałków jakiegoś mlecznobiałego kamienia.

Kinski puszcza Allegrę, bierze dwa kamienie i umieszcza po obu stronach jej głowy. Candy stawia pozostałe przy sercu i rękach. Kinski wsuwa ostatni, najmniejszy i niemalże płaski, między jej zęby.

Wyciąga spod stołu stare, nieszkliwione słoje z gliny, nalewa sobie na dłonie kilka olejków, pociera, by je wymieszać i w końcu rozmazuje ciemną maź na twarzy Allegry. Elixir pachnie jaśminem i mokrym chodnikiem po deszczu.

Candy podaje Kinskiemu rzeźbiony, drewniany rylec, a doktor zaczyna rysować na olejku symbole, dziwne litery i runy. Pochylam się, by lepiej przyjrzeć się znakom. Maluje na niej zaklęcie, ale nie wiem, jakiego rodzaju. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Rozpoznaję

jednak znaki otaczające środkowy krąg i siedmioramienną gwiazdę. Symbole napisane są staroanielskim skryptem. Enochiańskim. Azazel nauczył mnie kilku zaklęć ze starych ksiąg napisanych tym skryptem. Kinski nie może być Infernałem, gdyż tylko Lucyfer może wyjść z Piekła. Ale Infernale mają sporo ludzkich przydupasów. Fanatycznych Czyhaczy i satanistycznych dupków. Kinski nie może być jednym z nich. Vidocq wiedziałbym o tym i nigdy nie wysłałby mnie do kogoś takiego. Mimo wszystko wsuwam rękę pod płaszcz i dotykam noża Azazela.

Kinski odkłada rylec. Zakończył rzucanie zaklęcia i kamienie wokół Allegry zaczynają się jarzyć. Ich blask przechodzi przez jej ciało. Widzę zarysy jej żył i arterii, mięśni i kości, bijącego serca. Kinski intonuje coś pod nosem. Próbuję słuchać słów, ale łapię się na tym, że chcę po prostu zakryć oczy. Przykładam rękę do twarzy, a drugą zaciskam na rękojeści noża.

Czuję, że ktoś dotyka mnie do tyłu. To Candy. Opiera się o mnie i dotyka delikatnie mojej ręki, tej, która trzyma nóż.

– W porządku – szepcze. – Rozluźnij się. Wszystko będzie dobrze.

Jej głos działa jak miód i heroina. Słodko i sennie. Mięśnie moich ramion wiotczeją, nogi słabną, całe ciało się odpręża. Nie puszczam jednak noża.

Blask kamieni gaśnie niespodziewanie. Pomieszczenie znów wygląda jak wcześniej. Odwracam się, spodziewając się ujrzeć Candy za moimi plecami, ale dziewczyna stoi przy stole i pomaga Kinskiemu owinać kamienie w jedwab i schować z powrotem do szafki. Kinski unosi powieki Allegry i mierzy jej puls niczym zwykły lekarz.

– Będzie potrzebowała odpoczynku, zanim zostanie stąd zabrana. Candy, możesz z nią zostać? Muszę porozmawiać z tym młodym człowiekiem.

– Jasne, skarbie.

Wychodzę z Kinskiem przez poczekalnię na parking.

– Masz może jakieś papierosy? Moje się skończyły – mówi.

Wyciągam paczkę, żeby mógł sobie jednego wyjąć. Służę mu ogniem. W świetle lamp ulicznych wygląda na starszego i bardziej zmęczonego.

– A więc to ty jesteś ulubieńcem Eugène’a.

– A ty jego siostrą miłosierdzia. Niezły pokaz ze światłami.

– Może, ale robią, co do nich należy.

– No i niezłe biuro. Zdobyłeś to wyposażenie na jednej wyprzedaży garażowej czy się więcej nachodziłeś?

– Eugène ostrzegwał, że jesteś pyskaty.

– Posłuchaj, dzięki za to wszystko, co tam zrobiłeś, ale czego chcesz? Spodziewam się zobaczyć szpital lub klinikę, a wchodzę do budki z peep-show wypełnionej rzeczami, które pospadały chyba ze śmieciarki.

Śmieje się.

– Tak, czasami też mi się wydaje, że za daleko zaszliśmy z tą całą pozą skromnego

lekarza.

– Czy Allegra wyzdrowieje?

– Nic jej nie będzie. Przez dzień czy dwa poboli ją głowa. To nie obrażenia, tak się dzieje z cywilami, kiedy w ten sposób składa się do kupy ich kości.

– To moja wina, że została ranna.

– Tak właśnie założyłem. Eugène powiedział, że szukali cię jacyś nieprzyjemni ludzie. Pewnie zamiast ciebie znaleźli ją.

– Zamierzam ich odszukać. Wtedy nikt nie poskłada ich kości do kupy.

– Najpierw zajmij się dziewczyną. Być może jesteś piekłem na dwóch nogach, ale ona potrzebuje teraz opieki. Rzuć na nią zakłęcie ochronne. Niech Eugène da jej odpowiednie eliksiry.

– Powinienem to zrobić, kiedy po raz pierwszy weszła do sklepu.

– Spieprzyłeś sprawę, więc teraz to napraw. Trzymaj. – Wyciąga z kieszeni kawałek ołowiu wielkości ołówka i wkłada mi w dłoń. – Teraz nie masz żadnej wymówki. Możesz narysować okrąg i rzucić dowolne zakłęcie.

– Od dawna nie używałem tego typu magii.

– A jakiego rodzaju magii używałeś?

– Głównie zabijałem.

– No, to się zaprzyjaźnicie. Spróbuj później zakłęcia osłonowego. Może ten ołów w twojej dłoni przywoła pamięć mięśni i wszystko do ciebie powróci. Jeśli ci się nie uda, zadzwoń. Wtedy o tym pogadamy.

– W porządku.

– I tak powinieneś zadzwonić. Wyciągnę z ciebie te kule. Pięć, prawda? Być może cię nie zabiją, ale i tak mogą spowodować infekcję.

– Jeśli tak się stanie, wyleczysz mnie swoimi kamieniami.

– Kamieniami? Aaa, tymi. Nie. To szkło.

– Nigdy nie widziałem takiego szkła.

– To mnie specjalnie nie dziwi. To jedno z najrzadziej spotykanych rzeczy na tym świecie. Pewnie nie pozwolisz, żebym wyciągnął te pociski dzisiaj?

– Nie, dzięki. Może kiedy skończę.

– Tak sądziłem.

Kinski pstryka niedopałkiem papierosa w mrok parkingu i zerka na zegarek.

– Twoja panna powinna już wstawać na nogi.

– Ile jestem ci winien?

Kinski kręci głową.

– Rozliczymy się, kiedy wyjmę z ciebie te kule. I posłuchaj: Candy potrafi się wkurzyć, kiedy ktoś niespodziewanie dzwoni późnym wieczorem. Tacy jak ona robią się nerwowi po zmroku. Ale jej przejdzie. Jeśli będziesz miał jakiś problem, będziesz czegoś potrzebował, a

Eugène nie będzie mógł ci pomóc, dzwoń do mnie.

– Przecież ty nawet mnie nie znasz. Dlaczego miałbyś mi pomagać?

– Kiedyś również byłem młody, narwany i głupi. Może wraz z Eugène'em zdołamy utrzymać cię przy życiu wystarczająco długo, żebyś zdążył zmądrzeć.

– A co ty zrobiłeś takiego głupiego?

– Powiem ci, kiedy pozwolisz mi wyjąć kule.

– Ja byłem w Piekło – mówię i właściwie nie wiem, dlaczego to robię. Może na swój sposób Kinski kojarzy mi się z ojcem? Wyciąga ze mnie jakąś chłopcę część świadomości, która chce wyznać grzechy i prosić o wybaczenie. Tyle że ja nie chcę wybaczenia od niczego i nikogo. Teraz jednak nie mogę się powstrzymać.

– Byłem w Piekło przez jedenaście lat. Większość Infernali nigdy nie widziała na oczy człowieka. Byłem dla nich najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką ujrzeli od chwili wykopania z Nieba. Kiedy ze mną skończyli, kiedy tortury, groźby i gwałty stały się nudne, zacząłem dla nich zabijać różne istoty. Byłem w tym naprawdę dobry.

– Wiedziałem, że musi istnieć powód, dla którego jesteś, jaki jesteś. Sezon w Piekło jest pewnie lepszą wymówką niż jakakolwiek inna.

– Vidocq ci powiedział?

– Spokojnie, chłopcze. To Los Angeles. Wszyscy tu mamy swoje tajemnice. A my wiemy, jak ich pilnować.

– Kim są tacy jak ona?

– Słucham?

– Powiedziałeś, że Candy wkurza się, kiedy ktoś niespodziewanie dzwoni o późnej porze. Co to znaczy?

– Och – mówi i otwiera drzwi kliniki. – Jest Nefrytką. Ale już nad tym pracujemy.

Candy wyprowadza Allegrę z kliniki, kiedy otwieram escaladę. Razem pomagamy jej wsiąść do środka i położyć się z tyłu.

– Dzięki – mówię do Candy.

– Nie ma za co.

Uruchamiam silnik, ale ona wciąż tam stoi. Pokazuje mi ręką, żebym opuścił szybę. Naciskam przycisk i okno otwiera się. Candy staje na stopniu i wsuwa głowę do środka, zaledwie kilkanaście centymetrów od mojej twarzy.

– Doktor powiedział ci o mnie. Czuję to. Chcę ci powiedzieć, że nie musisz się mnie obawiać. Eugène cię lubi. Doktor cię lubi. A to oznacza, że i ja cię lubię. Jesteśmy teraz rodziną. Małymi ludzikami, które żyją w szczelinach na tym świecie.

Powiada się, że Nefryci są jak wampiry, choć bardziej pasowałoby do nich określenie „ludzkie tarantule”. Kiedy zostajesz ugryziony, nie wpadasz w ekstazę w stylu Béli Lugosiego, jesteś sparaliżowany czymś, co rozpuszcza w tobie ślina Nefryta. Potem cię wypijają, zostawiając pustą skorupę jak u wielkanocnego króliczka z czekolady. Od dawna

nie byłem tak blisko Nefrytów i trochę mnie to przeraża.

– Zabijałem takich jak ty – mówię.

Uśmiecha się.

– A ja takich jak ty. Widzisz? Już mamy ze sobą coś wspólnego.

– Czy doktor jest Nefrytem?

– Doktor? Rany. W całej historii błędnych stwierdzeń to chyba jest na samym czele.

– Nie jesteś taka jak inni Nefryci, z którymi miałem styczność.

– Co? Nie jestem tajemnicza i uwodzicielska?

– Spokojnie, jesteś wystarczająco słodka. Chodzi o to, że nie widzę w tobie potwora.

– To dobrze. Myślę, że ty jesteś wystarczającym potworem za nas oboje.

Allegra siada i rozgląda się.

– Jesteśmy już w domu? – pyta.

– Muszę już jechać.

– Tak, jasne – mówi Candy. Daje mi całusa w policzek i zeskakuje na ziemię. Kinski wychodzi na zewnątrz. Dziewczyna biegnie do niego i wsuwa mu się pod rękę, którą dla niej wyciągnął. Macha do mnie, kiedy wyjeżdżam z parkingu.

Już w gabinecie powinienem się domyślić, że Candy jest Nefrytką. Ta sztuczka z głosem, kiedy niemal uspiła mnie na stojąco, to przecież podręcznikowa akcja Czarnej Wdowy. W ogóle nie sprawiała wrażenia, że jest Nefrytką, może z wyjątkiem jednego momentu. Pocałunek w policzek, którym mnie pożegnała, pochodził z ust tak lodowatych jak u innych martwych istot, które dotykałem. Dlaczego w takim razie tak mi się spodobał? Po jedenastu latach mnisiego życia jakiegokolwiek zainteresowanie ze strony ładnej dziewczyny, żywej czy martwej, potrafi naprawdę zadziałać. To dobre wieści. A złe? Wychodzi na to, że zaczynam zmieniać się w nekrofila.

* * *

Kiedy poznaliśmy się z Alice, nie byłem jedyną osobą, która miała swoje tajemnice. Pewnej nocy, po wyjątkowo długim wieczorze pełnym ostrego seksu na kanapie w naszym pozbawionym klimatyzacji salonie, Alice powiedziała:

– Jestem bogata.

– Co?

– Jestem śmierdząco, obrzydliwie bogata. Cała moja rodzinka jest bogata, choć już pewnie do tej pory mnie wydziedziczyli.

– A więc możesz być bogata, ale nie masz co do tego pewności?

– Nie, ja jestem bogata. Nawet jeśli o mnie całkowicie zapomnieli, dysponuję funduszem powierniczym wartym więcej niż majątek niektórych środkowoamerykańskich państw.

Usiadłem i sięgnąłem po kawę, która zdążyła już wystygnąć na stole.

– Bujasz.

– Mam złote pierścienie i diamenty mojej babki w depozycie bankowym. Cholera, mam nawet diadem.

– I nigdy nie założyłaś go, idąc ze mną do łóżka? Jesteś okropna.

Spojrzała na mnie z powagą. Zawsze zamykałem gębę, kiedy patrzyła na mnie w taki sposób.

– Nigdy wcześniej nie powiedziałam o tym żadnemu chłopakowi. Jesteś pierwszy.

– Dlaczego ja?

Uderzyła mnie w żołądek, trochę dla żartu, a trochę zirytowana. Cudem nie rozlałem kawy na całą kanapę.

– Bo cię kocham, półgłówku – odpowiedziała. – Chcę, żebyś wiedział o mnie wszystko.

– Ty już wiesz wszystko na mój temat. Moja rodzina nie ma żadnych pieniędzy. Ale potrafię robić dobrego smażonego kurczaka.

Wsparała się na łokciu.

– Dlaczego nie jesteś bogaty? Dlaczego wszyscy magowie nie są bogaci?

Wzruszyłem ramionami i położyłem się obok niej.

– Po części chodzi o unikanie rozgłosu. Po części jest to tradycja. Jakiś kodeks lub coś w tym stylu. Co może być fajnego w bogactwie, jeśli zyskujesz je, recytując kilka słów? Większość bogatych Sub Rosa ma związek z jakimś legalnym interesem. Reszta po prostu się ślizga. Używamy magii tylko po to, by czasami ścinać zakręty. I o to chodzi. Nie jestem bogaty, ale wiem, że nigdy nie będę głodował, ponieważ mogę zamówić burrito i sprawić, by sprzedawca uznał, że już zapłaciłem.

– Celuj wysoko, kolego.

Pocałowałem ją mocno, a ona wspięła się na mnie.

– To jak, kiedy wydamy forszę twojej babki na prochy i dziwki?

– To może być trudne. Babcia to stara szkoła. Tacy jak ona nie znoszą bogatych dzieciaków, nawet bogatych wnuków. Nie dostanę złamanego centa, dopóki nie skończę trzydziestki.

– Trzydziestki? To już geologia. Park Jurajski.

– Każdy może dobić do trzydziestki, jeśli nie jest kompletnym gównem. Taka jest umowa. Jesteśmy bogaci i jedyne, co musimy zrobić, to dożyć trzydziestu lat.

Odwrociłem wzrok.

– To kupa czasu. Nie lubię składać wielkich obietnic.

Alice usiadła na mnie.

– Nie, musisz to zrobić. Obiecuj mi.

– Hej, żartowałem tylko.

– Obiecuj mi.

– Dobra. Obiecuję, że nie umrę przed trzydziestką. Zadowolona?

– Prawie. I nie możesz umrzeć pierwszy.

– Jezu, ale kombinujesz.

– Powiedz to.

Chwyliłem jej dłonie i mocno uściśnąłem.

– Nie umrę pierwszy. Dożyję setki i co roku w twoje urodziny będę kładł ci na grobie sztuczki karciane i japońskie rysunkowe porno. Zadowolona?

– Całkowicie – odparła i uśmiechnęła się.

– To co, kiedy przyniesiesz ten diadem do domu? Jeszcze nigdy nie związałem księżniczki.

Parker zabił Alice miesiąc przed jej trzydziestymi urodzinami. Przynajmniej dotrzymałem części obietnicy. Nie umarłem pierwszy.

* * *

Mieszkanie Allegry znajduje się na Kenmore Avenue, na południe od Małej Armenii. Budynek, w którym mieszka, to przerobiony motel z lat siedemdziesiątych o nazwie Kryjówka Aniołów. Umierające palmy z frontu i basen pełen czarnej wody na tyłach. Zarząd rozwalił połowę ścian wewnętrznych, zmieniając po dwa obskurne motelowe pokoje w obskurne, ale przyzwoitej wielkości mieszkania. Albo wynajęli najtańszych na rynku wykonawców, albo prawdziwych wizjonerów-stylistów, ponieważ zostawili pomarańczowy, kudłaty dywan na podłodze i błyszczące stiuki na ścianach.

Allegra ma klucze w kieszeni. Idzie teraz sama, ale dość niezdarnie. Wyciągam jej z kieszeni klucze, otwieram drzwi i znajduję włącznik światła. Przy ścianie stoi ciemnozielona sofa. Allegra podchodzi do niej samodzielnie i siada ciężko, opierając głowę o ścianę.

– Chcesz czegoś? Wody? Kawy? Drinka?

Kręci głową. Mam ogromną ochotę na papierosa, ale pokój cuchnie świeżym powietrzem i abstynenckimi wibracjami. Poddaję się i siadam obok niej na sofie.

– Powiedziałeś, że będę bezpieczna, jeśli zostanę.

– Tak myślałem – odpowiadam. – Powinnaś być bezpieczna. Spierdoliłem sprawę.

Myślałem wcześniej o tym, żeby Vidocq rozlał dookoła trochę tej swojej wody voodoo i rzucił czar ochronny w sklepie. Tak bardzo zaangażowałem się jednak w pościg za Masonem, że o tym zapomniałem. Tak po prostu. Wcześniej opuściłem gardę przed Masonem i Alice została zabita. Teraz siedzę obok następnej kobiety, którą zawiodłem.

– To moja wina. – Teraz naprawdę chcę papierosa albo dziesięć. – Przepraszam.

Zamyka oczy i zdaje się odpływać, wciąż unosząc się na tym, co Kinski dał jej w tym suszonym owocu. Jej oddech staje się płytki. Serce zwalnia. Nagle przyspiesza gwałtownie z jakichś sześćdziesięciu uderzeń na minutę do stu dwudziestu. Patrzy na mnie i zaczyna wrzeszczeć:

– Głowa mojego szefa mówiła do mnie bez ciała! Kiedy ci o tym powiedziałam, nie okazałeś nawet zaskoczenia. Co się, kurwa, dzieje?

– A, tamto. – Czuję się jak tatuś, który musi wytłumaczyć dziecku, jak to robią ptaszki i pszczołki. – Wierzysz w Boga?

– Ja pierdołę. Najpierw mówisz, że jesteś byłym więźniem, a teraz dodatkowo gadasz jak telewizyjny ewangelista. Kim jesteś naprawdę?

– Wierzysz w Boga? Lucyfera? Życie po śmierci? W cokolwiek?

– Nie wiem. Matka zabierała mnie do kościoła, kiedy byłam małą.

– Pamiętasz te historie na temat cudów? Woda w wino? Zarazy i szarańcza?

– Jasne. Każdy to pamięta. Kiedy wszystkie zasady i przykazania zaczęły stawać się nudne, ktoś przeszedł po wodzie lub zmienił miasto w sól. To było ekstra. Ale o co chodzi?

– Czy cud nie jest innym określeniem magii?

– Nie zadawaj mi takich pytań. Po prostu powiedz to, co chcesz powiedzieć.

– Magia. Mówię o magii.

– Ręce opadają. – Wstaje, przechodzi przez pokój i siada ciężko na fotel wypełniony ziarnami fasoli, który posklejała taśmą. – Wiesz, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam, to poza tą sprawą z więzieniem byłeś całkiem miły. Ale tak naprawdę jesteś po prostu kolejnym wężem, co? Albo chcesz mnie okraść lub zerznąć, kiedy jestem na haju albo jesteś po prostu zdrowo walnięty. Zawsze tak się to kończy, kurwa. Ze mną i z facetami. – Cichnie, opiera się wygodnie i zaczyna nerwowo pocierać siniak nad lewym okiem.

– Właśnie mi powiedziałaś, że dziś rozmawiała z tobą odcięta głowa twojego szefa. Jak nazwiesz coś takiego?

– Skąd tyle wiesz na ten temat?

– Zajmuję się magią. Nie taką magią rodem z Vegas. Prawdziwą.

– Jesteś jak wiedźma albo czarodziej, tak?

– Harry Potter to czarodziej. Ja zajmuję się magią. Jestem magiem.

– To naprawdę pokręcona noc.

– Zaczekaj. Kasabian też jest magiem. I Parker. To facet, który z całą pewnością dziś cię zaatakował.

Prostuje się i rzuca mi twarde spojrzenie.

– Zrób coś. Pokaż mi magię.

– Co chcesz zobaczyć? Co cię przekona?

– Zawróć mi w głowie. Spraw, żeby ten stół uniósł się w powietrze.

– Nie jestem lewitatorem. Kiedyś robiłem fajne sztuczki, ale większość magii, którą się zajmuję, nie jest przyjazna dla mebli.

– Więc co potrafisz?

Myślę przez chwilę i wyciągam z kurtki nóż Azazela. Źrenice Allegry rozszerzają się o ułamek milimetra. Przywykłem już do takich reakcji u innych.

– Proszę. To dla ciebie. – Wyciągam w jej stronę nóż, rękojeścią do przodu. Odbiera go ostrożnie, trzymając oburącz, jakby ważył dwadzieścia kilo.

– Co mam z tym zrobić?

Zbliżam się do niej na kolanach, jak dzieciak. Trzymanie się poniżej linii wzroku przeciwnika często ma uspokajające działanie. Może to zadziała z nerwową przyjaciółką.

Kiedy docieram do jej fasolowego fotela, podnoszę lewą rękę.

– Spróbuj mnie dźgnąć.

Przechyliła głowę na bok, jakby próbowała uwierzyć w to, że jej kot właśnie przemówił po francusku.

– Nie, nie wydaje mi się, żebym to zrobiła.

– Nie bój się. Nie powstrzymuj się. Wiem, że jesteś na mnie wkurzona. Będę miał za swoje.

Gapi się tylko na trzymany w dłoniach nóż. Może się myliłem. Może spacer na kolanach wyglądał zbyt głupio. Jest sposób, by to naprawić.

Przysuwam głowę do jej twarzy i krzyczę:

– Ciachnij mnie, do cholery!

Allegra rzuca się do przodu i wbija mi nóż w rękę po samą rękkojeść.

– O mój Boże! Przepraszam! – Zakrywa usta dłońmi.

Ludzie nie pojmują jednej zasadniczej kwestii dotyczącej osób, które trudno jest zabić: choć nie umierasz, kiedy zostajesz postrzelony, dźgnięty nożem czy podpalony, czujesz wszystko. Kiedy ktoś przebija mi rękę wielkim nożem, odbieram to tak samo jak każda inna osoba. W ten sposób staram się sobie wyjaśnić to, że kiedy Allegra przebija mnie kościanym ostrzem, pragnę wrzeszczeć jak mała francuska dziewczynka i wić się na plecach, błagając o dwieście mililitrów Jacka Danielsa. Nie robię jednak żadnej z tych rzeczy. Spokojnie wyciągam nóż z ręki i wycieram go w spodnie. Nie chcę jej wkurzyć, kapiąc krwią na dywan.

Allegra znajduje kilka papierowych serwetek obok na wpół zjedzonej kanapki leżącej na talerzu. Przyciska je mocno do dziury w mojej ręce.

– Dzięki. Jesteś miła jak na kogoś, kto uważa mnie za wariata lub węża.

– Zamknij się. Teraz już wiem, że jesteś zbyt głupi, by być wężem. Jesteś pewnie też za głupi na to, żeby być wariatem. Nie wiem, kim jesteś.

– Jestem magią – odpowiadam. Odsuwam serwetki i ścieram resztę krwi. Rana jest już zasklepią.

Allegra wzrusza ramionami.

– To czyni cię wybrykiem natury, a nie Czarodziejem z Oz. A może to była tylko sztuczka z nożem.

W Kryjówce Aniołów mieszkają naprawdę oporni ludzie.

– Weź jeden z twoich.

Idzie do kuchni, grzechocze w szufladach i wraca z solidnym nożem rzeźnickim. Nieźle. Zaczyna się wzuwać.

– Co teraz? – pyta.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Co jest z tobą nie tak? Jeśli szukasz dziewczyny, która będzie robiła ci krzywdę, to profesjonalistki znajdziesz w książce telefonicznej.

Podnoszę rękę, którą właśnie przebiła.

– Jeszcze raz. Dawaj. Zabaw się. Większość ludzi nie dożywa drugiej takiej okazji.

Tym razem nie muszę krzyknąć. Uderza nożem prosto w moją rękę. Tym razem jednak ostrze zatrzymuje się w ciele na głębokości dwóch centymetrów. W ogóle nie ma krwi. Allegra próbuje wepchnąć nóż, nawet zaczyna się na nim opierać. Muszę wyjąć jej go z ręki i odłożyć na podłodze. Chwyta moją rękę i bada ją, szukając krwi lub nowej rany. Znajduje tylko świeżą, czerwoną bliznę w miejscu, w którym dźgnęła mnie kilka minut wcześniej.

– Całe moje ciało jest magią. Kiedy zaatakujesz mnie w określony sposób, to następnym razem nie działa to już tak dobrze.

– A więc nikt nie może po raz drugi zakłuć cię nożem?

– Dobrze by było. Ta nowa blizna oznacza, że ta ręka jest chroniona przed podobnym atakiem nożem.

– To stąd pochodzą te wszystkie blizny? Od noży?

– Od noży i innych rzeczy. Kasabian postrzelił mnie, kiedy wszedłem do jego sklepu, więc kilka pochodzi od niego. Nie jest tak źle. Niektórzy ludzie noszą krucyfiks czy pentagram dla ochrony. Ja noszę swoją ochronę we własnym ciele.

– Gadające głowy i magiczne blizny. Nie tak wyobrażałam sobie magię.

Allegra wygląda dość blado i tym razem przyczyną nie jest wstrząs. Mój mały magiczny pokaz odbył się zbyt szybko. Szperam w pamięci w poszukiwaniu czegoś, co nie wiąże się z niszczeniem czegokolwiek. Przychodzi mi na myśl połowa drobnego zaklęcia. Coś, czego użyłbym na obiedzie w szkole. Zawsze miałem fart, sprawiając, że częściowe zaklęcia działają, recytuję więc cicho słowa, które zapamiętałem, po czym dodaję własne ich zakończenie, uważając jednocześnie, by wypowiadać wyłącznie ludzkie słowa, a nie infernalne, które wciąż próbują się wydostać.

Nic się nie dzieje. Po chwili czuję jednak trzepotanie w piersi, jak za starych czasów na Ziemi, kiedy płynęła magia.

Podnoszę moją ukłutą rękę i rozczapierzam palce. Ożywa pięć żółtych płomyków, po jednym przy każdym czubku palca. Świece zrobione z ciała. Ogień jest prawdziwy, choć mnie nie pali. Wyciągam papierosa z paczki w kieszeni i przypalam go, korzystając z palca wskazującego. Następnie wydycham dym w powietrze.

Allegra przenosi wzrok to na mnie, to na płomienie, wytrzeszczając przy tym oczy. Wyciąga dłoń w stronę moich płonących palców i błyskawicznie ją cofa.

– Gorące.

– Dlatego nazywają to ogniem. Przyłóż dłoń – mówię. – Przyłóż ją do mojej.

Wyciąga przed siebie prawą rękę. Stykamy dłonie, a ja wypowiadam kilka słów.

Płomienie przeskakują z moich palców na jej palce.

– Dmuchnij lekko na palce.

Dmucha i płomienie gasną.

– Teraz dmuchnij jeszcze raz, tylko mocniej.

Nadyma policzki i dmucha. Płomienie znów ożywają.

– Czuję to. Ciepłe, ale nie parzy.

– Dmuchnij z całych sił.

Płomienie rosną, wydłużając się z dwóch do piętnastu centymetrów. Kiedy przestaje dmuchać, powracają do pierwotnych rozmiarów.

– Czy to wystarczająca magia dla ciebie?

– Tak, to chyba wystarczy.

Dmucham lekko na końcówki palców i płomienie znikają.

– Teraz masz na palcach niewielki urok i możesz powtórzyć tę sztuczkę w dowolnej chwili. Kiedy więc zaczniesz wąpić następnym razem, będziesz wiedziała, że to, co widzisz, jest prawdziwe, ponieważ część ciebie jest również magią.

Przez chwilę patrzy na swoją nietkniętą dłoń.

– Opowiedz mi o głowie pana Kasabiana. Czy on jest martwy? Ty mu to zrobiłeś?

– Odpowiadam „nie” na pierwsze pytanie i „tak” na drugie.

– Opowiedz mi o tym.

Po raz drugi tej nocy wyznaję swoje grzechy. Tym razem jest łatwiej, ponieważ nie mówię tylko o swoich złych chwilach, ale również Masona, Kasabiana i całego Kręgu. Oprócz tego kłamię. Tylko troszkę. Mówię jej, że Mason sprzedał mnie i wysłał w mroczne i zgniłe miejsce. Opuszczam po prostu część opowieści mówiącą o Piekło i zabijaniu na zlecenie.

– Czyli ten facet... ten Parker... zabił twoją dziewczynę?

– Tak powiedział Kasabian.

– Cholera. Czy pan Kasabian miał z tym coś wspólnego?

– Za dużo w nim galarety, żeby nadawał się do zabijania. Poza tym za bardzo się mnie boi, żeby skłamać. Ale ogólnie był częścią tego wszystkiego.

– Odciełabym mu więcej niż tylko łeb, gdyby zrobił coś takiego mnie lub bliskiej mi osobie.

– Więc już wiesz, dlaczego wróciłem.

– Jesteś Clintem Eastwoodem w *Wyjętym spod prawa Josey Walesie*. Maksym von Sydowem w *Virgin Spring*.

– Nie wiem, kim jest ten drugi, ale jeśli miał zamiar zapierdolić kogoś, kto zapierdolił mu bliską osobę, to tak, jestem Max. I dlatego odchodzę.

– Poddajesz się?

– Nie. Odchodzę z Max Overdrive. Prześlę się z mętami w Griffith Park. Jestem zbyt

niebezpieczny, żeby kręcić się wśród ludzi. Powiniennem odejść już pierwszej nocy.

– Nie ma mowy. Nie ma, kurwa, mowy – mówi z naciskiem Allegra. – Wchodzę w to.

– W to, co robię? Nie ma mowy, dziewczyno.

Zsuwa się z fotela i siada obok mnie na podłodze.

– Posłuchaj, przez całe życie szukałam czegoś wyjątkowego, ale nigdy mi się to nie udawało. Kończyłam w niewłaściwych miejscach z niewłaściwymi ludźmi, niewłaściwymi prochami, niewłaściwymi kochankami i wieloma innymi niewłaściwymi gównami, o których nie chcę nawet mówić. Ale to jest dokładnie to, czego szukam. Ty jesteś tym, czego szukam. Tym, czego szukałam przez całe życie. Wchodzę w to.

– Kiepska sprawa. Nie przyszedłem tu po to, żeby być twoim doradcą.

– Owszem, po to przyszedłeś. Właśnie po to tutaj jesteś. Może nie jest to jedyna przyczyna, ale na pewno jedna z nich.

– Nie jesteś zabójczynią i nie masz w sobie magii. Zarządzasz sklepem z kasetami wideo.

– Więc naucz mnie.

– Czego mam cię nauczyć? Mogę pokazać ci kilka sztuczek, ale jak chodzi o prawdziwą magię, to albo się z tym rodzisz, albo nie.

– A co z twoim przyjacielem, Vidocqiem?

– Jest alchemikiem. To nie to samo.

– Mogłabym się tego nauczyć.

– Mogłaś umrzeć dziś w nocy.

– Nie obchodzi mnie to.

– Nie zamierzam cię w to wciągać.

– Już to zrobiłeś. I zabierzesz mnie ze sobą, bo jestem ci potrzebna.

Milczę. Wstaję, żeby znaleźć się nad nią. Nieco wcześniej odłożyłem moje kościane ostrze na podłodze. Podnoszę je i wsuwam za kurtkę.

– Przez jedenaście lat byłem wykorzystywany na takie sposoby, których nawet sobie nie wyobrażasz, przez istoty, o których nie chcesz nawet wiedzieć. Zabijałem wszystkie te niegodziwe, pozbawione duszy i życia koszmary, które sprawiały, że sikałaś w piżamę i wołałaś mamę w środku nocy. Zabijam potwory i gdybym chciał, mógłbym wypowiedzieć słowo i spalić cię na popiół od środka. Gołymi rękami mogę rozerwać na mokre szmaty każdego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałaś. Daj mi choć jeden dobry powód, dla którego miałbym cię potrzebować.

Patrzy mi prosto w oczy, nie mrugając. Nie ma w nich strachu.

– Możesz być Diabłem Tasmańskim i Aniołem Śmierci w jednej osobie, ale nie wiesz nawet, jak zdobyć telefon.

Przyznaję z niechęcią, że ma całkowitą rację.

* * *

Późnym popołudniem następnego dnia stukam do drzwi Vidocq, o których nie mogę przestać myśleć jak o moich drzwiach, co sprawia, że mózg wiruje mi jak mikser pełen stalowych kulek. Na szczęście jestem dobry w ignorowaniu wielu rzeczy, które robi mój mózg.

Allegra stoi obok i kołysze się na piętach. Ma na sobie lśniące buty o grubych podeszwach i ciasną koszulkę odsłaniającą brzuch. Pewnie dlatego, że powiedziałem jej o francuskim pochodzeniu Vidocq. Wygląda słodko, ale na twarzy wciąż ma ciemnoczerwonego siniaka, a policzki i szczękę trochę spuchnięte, próbuje więc odwrócić uwagę ludzi od swojej twarzy i przenieść ją na ciało. To działa.

Dziewczyna trzyma się dużo lepiej ode mnie. Przespałem się u niej, żeby mieć na nią oko. Jedyną nauką, jaką z tego wyciągnąłem, jest to, żeby nigdy więcej nie zasypiać na fotelu z poduszką wypełnioną ziarnami fasoli. Tyłek boli mnie tak, jakby ktoś spuścił mi łomot za pomocą poszewki wypełnionej po brzegi puszkami z tuńczykiem.

Vidocq otwiera drzwi i w komiczny sposób unosi brew.

– No, jesteś. Widzę, że przyprowadziłeś przyjaciółkę.

Allegra wyciąga rękę i obdarza Vidocq uśmiechem, który odebrałby przytomność trupowi.

– Jestem Allegra – mówi. – Nowa opiekunka Starka.

– Jestem François Eugène Vidocq. Wspaniale cię poznać.

Allegra spogląda mu przez ramię do wnętrza mieszkania.

– Czy te wszystkie eliksiry i książki należą do ciebie? – Mija go i wchodzi do środka, jakby właśnie kupiła to miejsce. Vidocq odwraca się i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Daj spokój – mówię. – Tylko przyjaciółka.

– A więc jesteś nierozsądnym chłopakiem. – Kiwa głową w stronę Allegry, która przygląda się regałom ze składnikami. – Co się stało z jej twarzą?

– Parker.

– Dzielna dziewczyna.

– Dlatego ją tutaj przyprowadziłem. Jeśli Parker wie, kim ona jest, to już stała się częścią tego wszystkiego. Ale to cywil. Nie zna magii, uroków, niczego. Myślisz, że mógłbyś nauczyć ją czegoś z twojej branży?

– Chcesz mi ją powierzyć? Po tym, co sobie zrobiłem?

– Jeśli ona jest na liście Parkera, to może jej się przydarzyć coś znacznie gorszego od nieśmiertelności. Musi się czegoś nauczyć, a ja nie mogę jej przekazać mojej wiedzy.

– Co to jest? – pyta Allegra. Podnosi do światła małą fiolkę. Jej zawartość jest czerwona, ale lśni jak rtęć.

– To krew Chimery. Rzadko spotykana bestia, która ponoć potrafi zmienić się we wszystko, co zje. Mówi się również, że ta krew może dać człowiekowi moc, ale nigdy nie udało mi się jej zmusić do działania.

– Masz tutaj tyle niesamowitych i pięknych rzeczy. Nie wiem, jak możesz to wszystko zapamiętać.

– Sztuczka polega na tym, by nie próbować zapamiętywać. Uczysz się, jakie to składniki i jak ich użyć, co wymieszać lub czego nigdy nie mieszać. Uczysz się, jak destylować esencje i szukać prawdziwego serca każdego składnika i eliksiru. Kiedy się tego uczysz, poznajesz nazwy i metody, dowiadujesz się, które książki są dobre dla danego typu eliksiru, które instrumenty zapewniają najlepsze wyniki. Nie próbujesz tego zapamiętywać. Po prostu się uczysz. Kiedy to osiągniesz, twoje ręce pamiętają, co należy chwycić, czego użyć i którą książkę otworzyć.

Allegra podnosi zwój pergaminu i otwiera go. Znajduje się na nim schemat kobiecego ciała, ale postać ma skrzydła i głowę orła. Wokół rysunku widać inne schematy i drobne, precyzyjnie napisane, ręczne notatki.

– Potrafisz też czytać po grecku? – pyta Allegra, wciąż trzymając zwój.

Vidocq spogląda na pergamin i kiwa głową.

– Po niemiecku i arabsku również. Trochę po sumeryjsku, aramejsku i w kilku innych językach. Jest tyle książek do przeczytania, a ja miałem mnóstwo czasu do zabicia.

– Myślisz, że mogłabym się tego nauczyć?

– Alchemii? Dlaczego nie? Ludzie uczą się tej sztuki od tysięcy lat. Dlaczego ty nie miałabyś się nauczyć?

Allegra ponownie przenosi wzrok na półki Vidocqa i podnosi kryształowe pudełko z czymś, co wygląda jak poruszające się robaki.

– A to co?

– Babilońskie skarabeusze. Bardzo potężne i bardzo mądre.

Stary człowiek rozpoczyna wykład na temat cnót tych wyjątkowych robali. Allegra chłonie każde jego słowo. Zostawiam ich samych i przechodzę do sypialni. Nie potrzebują mnie. To miłość maniaków.

Sypialnia, którą dzieliłem z Alice, teraz należy całkowicie do Vidocqa. Ściany pomalowane są jasną, arsenikową zielenią i pokrywają je runy oraz pieczęcie. Tania pościel i zapasowe koce znikły z łóżka, zastąpione przez ciemnoczerwoną narzutę i poduszki, które nie wyglądają tak, jakby je wyciągnięto spod dupy dinozaura. Wszędzie wokół widać książki, pudełka ze świeżym tytoniem, butelki eliksirów nasennych i miski z halucynogennymi grzybkami. Na stoloczku nocnym stoją obrazki w ramkach – niewyraźne sylwetki malowane tuszem, stary dagerotyp, a nawet kilka wyblakłych zdjęć. Większość z nich przedstawia kobiety. Vidocq nigdy nie wspominał o żadnej z nich.

Rzucam okiem na dno szafy i górną półkę. Zaglądam pod stół nocny. To, czego szukam, znajduję w pudle pod łóżkiem.

Jest pełne rzeczy Alice; rzeczy, które Vidocq zdołał zebrać po tym, co przydarzyło się jej tamtej nocy. Wiem, że pudło jest bezpieczne. Nie schowałby do środka niczego splamionego

krwią, ale i tak uspokojenie nerwów zabiera mi dłuższą chwilę.

Na wierzchu leżą starannie poskładane koszulki i spodnie, co jest zabawne, gdyż nigdy z Alice nie składaliśmy żadnych ciuchów. Pod spodem znajduję jej ulubione buty, parę odjazdowych trampek z wzorem imitującym skórę geparda. Widzę trochę peso i wypchane żaby grające na zabawkowych instrumentach, pamiątka z podróży do Meksyku. W kącie na dnie wciśnięta jest para starych ray-banów, które skleiała po tym, jak ochroniarz strącił je z jej nosa za zbyt ostry taniec w klubie w Culver City. Dzisiaj wyrwałbym gościowi kręgosłup przez dupę, ale wtedy byłem innym człowiekiem. Proste sumeryjskie zakłęcie zapewniło ochroniarzowi najgorszy przypadek zatrucia pokarmowego, jakiego doświadczył w tym i jakimkolwiek innym życiu.

Kiedy układam wszystko na łóżku, spomiędzy koszulek wypada małe, białe pudełko. Otwieram je i natychmiast rozpoznaję. To ten głupi gadżet z magicznego sklepu, ten z dziurą w dnie i sztuczną zakrwawioną bawełną wewnątrz. Użyła go wtedy, żeby pokazać mi, że również zna magię. Wkładam pudełko do kieszeni, resztę jej rzeczy wrzucam z powrotem do pudła, po czym wynoszę je do salonu.

Allegra i Vidocq wciąż dyskutują o składnikach, ale przerywają na wystarczająco długą chwilę, żeby się do mnie uśmiechnąć.

– Eugène powiedział, że mogę być jego uczennicą i że będę uczyć się alchemii.

– Gratulacje. Nie zapomnij tylko, że mamy umowę. Wprowadzam cię do innego świata, do Sub Rosa, ale wciąż musisz pomóc mi w kilku sprawach. Nie możesz też opuścić Max Overdrive. To może nic wielkiego, ale zapewnia forszę, a o ile nic się nie zmieniło podczas mojej nieobecności, to ona napędza ten świat.

– Zapamiętam. Jutro wyjdziemy i załatwimy ci telefon.

– I Internet. To też musimy zdobyć.

– Po pierwsze, nigdy nie mów „zdobyć Internet”. Brzmisz jak bohater sitcomu. Używasz Internetu albo uzyskujesz do niego dostęp. Nigdy go nie zdobywasz.

– Widzisz? Dlatego cię zatrudniłem.

Odwraca się do Vidocq.

– Nie słuchaj go. On mnie nie zatrudnił. To ja go zaszantażowałam.

– To prawda? – pyta mnie Vidocq.

– Nie słuchaj jej. To schizofreniczka i patologiczna kłamczucha. Pozwalam jej pracować w sklepie tylko dlatego, żeby nie kantowała wdów i sierot.

– Nie radzisz sobie z prawdą, co?

– A co to za prawda? – pytam ją.

– Że stałeś się całkowicie moją suką.

– Widzisz? Przez jej usta nie przejdzie ani słowo prawdy. – Zabieram pudło z rzeczami Alice i kieruję się ku drzwiom. – Nie wiem, kiedy będę w stanie zapłacić ci za Spiritus Dei.

– Zamierzałem to poruszyć. Znam kogoś, kto może pomóc w sprawie Spiritus Dei i

zaoferować trochę pracy. To robota, która znacznie bardziej pasuje do twojego profilu niż sklep wideo. Facet nazywa się Muninn. Pan Muninn.

– Po co mi dodatkowa robota? Mam już zajęcie. Zabijanie Masona.

– A jak sobie radzisz z tą kasą, którą ukradłeś facetowi przy cmentarzu? Ile kosztowała cię ta kurtka i buty? – Vidocq podchodzi do okna i odciąga zasłonę. Chmury zmiękczyły blask słońca, które wciąż jednak oświetla wszystkie billboardy, brązowe wzgórza i asfalt. Dwóch tęgich chłopaków w obszernych, dżinsowych kurtkach sprawnie handluje czymś, co nabywcy uznają za crack, a co w rzeczywistości jest sodą oczyszczoną i gipsem. Po przeciwnej stronie ulicy para staruszków sprzedaje pomarańcze i arbuzy z paki półciężarówki. Są pewnie nowi w mieście i robią to nielegalnie. Nie wiedzą jeszcze, w których dzielnicach można zarobić, a które są martwymi strefami. A może pomarańczowo-arbuzowa mafia wyrzuciła ich ze swojego terytorium i to jedyne, co im pozostało.

– Widzisz, prawda? Nawet tutaj, gdzie wszystkiego jest niewiele, świat kręci się wokół pieniędzy. Nie ma tutaj areny, na której można walczyć. Żadni upadli bogaci aniołowie nie opłacą twoich rachunków.

– Upadli aniołowie? – pyta Allegra.

– To takie określenie – wyjaśniam jej. Odwracam się z powrotem do Vidocqa i mówię: – Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, mieszkam w sklepie. Allegra go prowadzi. A sklepy przynoszą pieniądze.

– Nie bardzo – wtrąca Allegra.

– Co masz na myśli?

– Sklep tak naprawdę nigdy nie przyniósł zysku. Jest Blockbuster i kilka innych dużych sieci w odległości kilku przecznic. Porno sprawia, że drzwi są otwarte, ale większość prawdziwej kasy pochodziła z kopiowania pana Kasabiana, a teraz to się skończyło.

– Przestań przez cały czas nazywać Kasabiana „panem”. On na to nie zasługuje. – Na ulicy dilerzy prochów kupują pomarańcze od staruszków na półciężarówce. Podział kulturowy między miejscowym, amerykańskim biznesem a ambicjami imigrantów został połączony mostem na naszych oczach. To inspirujący moment. Może staruszkowie pozwolą mi sprzedawać pomarańcze wraz z nimi, kiedy Max Overdrive zostanie zamknięte i znów zostaną bezdomnym.

– Jak się nazywał ten facet? – pytam Vidocqa.

– Pan Muninn.

Kiwam głową, jakby to nazwisko coś dla mnie znaczyło.

– Dobra. Spotkajmy się z nim.

– Chcę pokazać mojej uczennicy jeszcze kilka rzeczy, więc zrobimy to wieczorem.

– W porządku. – Odwracam się do wyjścia, ale Allegra mnie woła.

– Jak mam wrócić, skoro zamierzasz zabrać samochód?

– Ty nim pojedziesz. Majstrowałem przy zapłonie, więc odpalisz go za pomocą

śrubokręta. Vidocq ci da. Zostaw samochód przynajmniej dziesięć przecznic od sklepu.

Zza okna dobiegają strzały i wszyscy odwracamy się jednocześnie. Szczeniaki z crackiem leżą na ziemi w powiększających się kałużach krwi, a ulicą pospiesznie oddala się stary, błękitny chevy. No cóż. Jak to powiadają, złe miejsce, zły czas.

– A ty jak wrócisz? – pyta Allegra.

– Znam skrót. – Wychodzę na korytarz, wchodzę w cień przy sąsiednich drzwiach i wychodzę w alejce za Max Overdrive. Wchodzę tylnym wejściem i idę prosto na górę. Poranna obsługa nieźle uporządkowała sklep i dość przyzwoicie posklejała szybę w drzwiach wejściowych. Kilku klientów rzuca mi spojrzenia, ale nie interesuję się nimi.

W moim pokoju – teraz to w końcu mój pokój, tamten należy do Vidocqa – odkładam pudło z rzeczami Alice na półkę w szafie, w której trzymałem głowę Kasabiana. Szkoda, że już go tam nie ma. W nocy zarzuciłbym na niego jedną z koszulek Alice, w taki sam sposób, jak starsze panusie zakrywają klatki w papużkami. Śpij dobrze, skurwysynu, z koszulką mojej zamordowanej dziewczyny w roli szlafmocy.

Zastanawiam się, dokąd Parker zabrał Kasabiana i co z nim zrobił. Tylko jedno wyjaśnienie ma sens. Parker go zabił. Kiedy wpadłem w pułapkę w piwnicy Masona, zorientowali się, że wróciłem. Sprawdzili resztę Kręgu i zobaczyli, że brakuje Kasabiana. Wiedząc dobrze, jaki z niego zgniły kutas, Mason szybko uznał, że ten zacznie prędzej czy później sypać. Prościej było go po prostu zabić. Słodkich snów, Kas. Być może wcale bym cię nie zabił. Byłeś zbyt żalony. Pozostawienie ciebie w twoim sklepiku i marzenia o mocy, której pozostali ci nie zapewnili, byłoby wystarczającą karą. Byłbym pewnie szczęśliwy, widząc, jak przez kolejne pięćdziesiąt lat próbujesz znaleźć jakąkolwiek dobrą stronę swojego żalowanego położenia.

Wyjmuję małe magiczne pudełko Alice i stawiam je przy łóżku. Nie rozwodzę się nad tym, że pudełko leży na zasranym stolicku w tym niczym pokoju. Odpuść sobie. Nie myśl. W tym jesteś najlepszy.

Przyzwyczałem się do odtwarzania filmów na monitorze, który służył Kasabianowi do kopiowania płyt. Oglądałem przede wszystkim gówniane filmy z wytwórni braci Shaw. *Dom pięciu jadów*. *36. komnata Shaolin*. *Brudny Ho*. Albo spaghetti westerny. *Dobry, zły i brzydki*. *Człowiek zwany ciszą*. *Czterech jeźdźców Apokalipsy*. Odgłosy walki, nawet takiej w filmie, są dziwnie kojące, kiedy zapadam w sen. Teraz leci jakiś film, choć nie pamiętam, żebym go włączył. To *Fitzcarraldo*, niemiecki film o szalonym Irlandczyku, który próbuje przeciągnąć parowiec przez górę w Amazonii. Prawie przy tym ginie. Czy to jakiś przekaz? Czy to Parker zostawił dla mnie ten film? Dlaczego nie czekał na mnie z zasadzką po tym, jak się włamał?

Zdejmuję Veritas z łańcuszka i robię to, co chciałem zrobić już zeszłej nocy. Podrzucam monetę i pytam: „Czy doktor Kinski jest tym, za kogo się podaje?”. Kiedy ją łapię, Veritas pokazuje mi symbol, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Calopus. Wyobraźcie sobie latającego rosomaka pokrytego kolcami jeżozwierza z taką ilością trucizny, że samego Boga

przyprawiłaby o ból tyłka. To właśnie calopus. Wokół krawędzi pojawia się infernalny skrypt, który mówi: Gdyby dupy miały dupy, to Kinski byłby gównem, które wyszłoby z takiej właśnie dupy. Jeszcze nigdy Veritas nie powiedziała czegokolwiek o konkretnej postaci, Infernalu, aniele, człowieku czy bestii.

Jak każda istota rozumna z tamtego świata, Veritas wyraża solidne opinie. Dobre wykorzystanie Veritas oznacza możliwość oddzielenia faktów od gównianych horrorów. To dobra wieść. Istnieje tylko jeden powód, dla którego mogłaby kogoś tak nienawidzić.

Kinski jest jednym z dobrych facetów. W porządku. Czas skorzystać z rady doktora.

Zostawiam *Fitzcarraldo* z wyłączonym dźwiękiem i szperam na blacie tak długo, aż znajduję wymiętą mapę samochodową Los Angeles. Rozkładam ją na podłodze, wydaję kawałek ołowiu, który dał mi doktor, i zaczynam rysować magiczne koło. Nie pamiętam żadnych konkretnych zaklęć lokalizujących, ale idea jest dość prosta i wiem, że jakoś zdołam sobie poradzić.

Okrąg jest skomplikowany. Magia infernalna jest zawsze skomplikowana – chyba, że okazuje się tak prosta, że każdy by sobie z nią poradził. Gdy rządzą Infernale, niewiele pozostaje pośrodku.

Kiedy okrąg wydaje się kompletny i mapa jest całkowicie zamknięta, wrzucam w nią każdy czar związany ze szczęściem, polowaniem i podsłuchiwaniami, jaki tylko mogę sobie przypomnieć, po czym sięgam po więcej śmieci ze stołu. Kawałek sznurka i folia po burrito. Zwijam folię w rulonik i przywiązuję do niej sznurek, tworząc wahadło. Następnie wyciągam nóż i tnę lewą dłoń. Naciskając mocno, zanim rana zdąży się zasklepić, rozpryskuję krew wokół i wewnątrz magicznego okręgu.

Piekło nie funkcjonuje na modlitwach czy obietnicach. Magia na Dole polega na wyciąganiu ręki i braniu tego, co się chce, a to wymaga zapłaty. Ofiary. Krwi. Czarna magia na Ziemi niewiele się różni i właśnie dlatego tak wielu czarnych magów ubiera się jak kasjerzy w supermarketach sieci Hot Topic. Czerń jest świetnym kolorem, jeśli ma się dużo do czynienia z krwią.

Zaczynam intonować uniwersalną mieszankę infernalnego i angielskiego, rozkazując wszystkim Czyhaczom, duchom, magicznym kretynom i starym, zapomnianym bogom w okolicy, by ściszyli telewizory i nadstawili uszu. Pokażcie mi, gdzie jest Mason. Zapłaciłem wam krwią, a teraz dajcie mi to, czego żądam, rozkazuję wam. Dajcie, co mi się należy. Mam klucz do wszystkich drzwi we wszechświecie. Nie myślcie nawet o tym, żeby mnie oszukać.

Foliowy zwitek na końcu sznurka zaczyna się poruszać, zataczając niewielkie koła nad mapą. Ruch staje się stabilny i silny, przez co cała moja dłoń i ramię zaczynają zataczać koła. Potem wszystko się zatrzymuje. Folia opada na mapę jak magnes na metal. Odsuwam wahadło i sprawdzam, które miejsce wskazało. Nieco na północ od Hollywood Boulevard i Las Palmas, tuż nad Max Overdrive.

Pięknie. Powiniennem to przewidzieć. Mason rzucił czar zwrotny na każdego, kto okaże

się na tyle głupi, by szukać go za pomocą magii.

Leżąca na podłodze mapa zwija się i staje w płomieniach. Jęzor płomieni sięga w górę niczym pazur i porywa mi wahadło z ręki. Mapa i wahadło zmieniają się w popiół, który odpływa na wietrze wiejącym z innej części Stworzenia.

To, co zrobiłem, było zwykłą amatorszczyzną. Nic dziwnego, że Parker nie zaczął się na mnie tej nocy, kiedy zabrał Kasabiana. Po co miałby się trudzić? Udowodniłem, że jestem wystarczająco głupi, żeby wejść w pułapkę na niedźwiedzie oznaczoną wielkim, migającym neonem z napisem UWAGA: PUŁAPKA NA NIEDŹWIEDZIE. Jestem zabójcą, który nie poradził sobie z zabiciem kogokolwiek. Wszyscy zainteresowani muszą już wiedzieć, że żaden ze mnie Sam Spade. Nie wiem nawet, co robię. Opieram się na instynkcie i przeczuciach.

Zabijanie to zabawna sprawa. Nawet jeśli zabijasz infernalnego generała, tak wypaczonego, że nawet inni Infernale życzą mu śmierci, to po pierwszym morderstwie czujesz się gorzej niż kiedykolwiek i tkwisz w takim stanie przez kilka dni. Za drugim razem czujesz się równie źle, tyle że poprawia ci się następnego dnia. Za trzecim razem przebierasz się w koszulkę, która nie jest zbryzgana krwią, i idziesz na drinka. Potem zabijanie nie budzi już żadnych emocji. Oczywiście nie zabiłem jeszcze człowieka. Nie jestem pewien, jak się poczuję, kiedy zrobię to po raz pierwszy.

Może to nawet dobrze, że nie ma tu Alice i że nie stała się świadkiem mojej przemiany.

Siadam na skraju łóżka, podnoszę magiczne pudełko, obracam je w dłoniach i odstawiam z powrotem. W telewizorze ginie właśnie jakiś biedny Indianin, który przeciągał statek Fitzcarralda przez górę. Przyjaciele Indianina stłoczyli się przy ciele, ale Fitz krzyczy, żeby pomogli dalej ciągnąć. Jest bohaterem tej opowieści i całkowicie mu odbiło. To z pewnością nie będzie miało happy endu.

Kładę się na chwilę, próbując trochę odpocząć, ale jestem zbyt niespokojny, idę więc do Bambusowego Domu Lalek. Carlos wita się, ale ja tylko odpowiadam mruknięciem. Jest dobrym barmanem, więc widzi i wie wszystko. Podaje mi podwójnego Jacka Danielsa oraz trochę ryżu i fasoli z ciepłą tortillą. Potem zostawia mnie w spokoju. Dziś nie leci Martin Denny, ale ktoś, kto nazywa się Esquivel. To muzyka, którą dentysta Jamesa Bonda musi odtwarzać w swojej poczekalni. Próbuję się odprężyć, zjeść w spokoju i olać idiotyczną muzykę. Po dwóch czy trzech kolejnych kieliszkach Esquivel zaczyna działać mi na nerwy. Kiedy Carlos podchodzi, by zabrać puste kieliszki, pytam go:

– Wyobrażasz sobie mnie w białym smokingu na jachcie? Mógłbym być dublerem Jamesa Bonda?

Carlos zabiera szkło i rzuca:

– Pod warunkiem, że James Bond najpierw wpadłby do rębaka do drewna.

Pyta, czy chcę jeszcze jednego Jacka Danielsa. Odpowiadam mu, że bardziej potrzebuję papierosa, i wychodzę na dwór. Dochodzi ósma. Może dziewiąta. Całkiem możliwe, że i

dziesiąta. Tak czy inaczej, jest ciemno. Czas wracać do Vidocqa. Wchodzę w alejkę po przeciwnej stronie ulicy, gdzie niezauważony mogę dać się pochłonąć cieniowi. Kawalek dalej zauważam zaparkowanego na chodniku ducati. Dwudziestokilkuletni producenci telewizyjni kochają te opływowe, europejskie ścigacze, ale podobnie jak harleye z Melrose, są zwykle tylko na pokaz. Opony ducati są tak czyste, że można by na nich jeść obiad. Czy ktokolwiek w tym mieście w ogóle jeździ na motorze?

Miło byłoby poczuć trochę wiatru na twarzy. Wyciągam nóż, wsuwam go w zapłon i po chwili już mnie nie ma.

* * *

Zasada numer jeden po powrocie z Piekła brzmi następująco: jeśli nie jeździłeś na szybkim motocyklu przez jedenaście lat, nie wsiadaj na niego po trzech czy pięciu Jackach Danielsach. Zasada numer dwa brzmi: nie próbuj hamować jak zawodowiec, naciskając tylko przedni hamulec i podnosząc tylne koło w górę. Jeśli jesteś bardziej narąbany, niż ci się wydaje, co zwykle oznacza „zawsze”, pochylisz się za bardzo do przodu i tył motocykla wylądaje ci na dupie. Na szczęście dla mnie, nawet po kilku głębszych mam wyjątkowo nieludzki refleks, co oznacza, że mogę zeskoczyć z motocykla, zanim ten przewraca się i łamie mi kark. Minusem zajęczego refleksu jest to, że choć chroni cię przed nagłym i niespodziewanym zagrożeniem, to kiedy jedziesz sześćdziesiąt na godzinę na przednim kole, wyrzuca cię w powietrze jak wiewiórkę na minie.

Po mojej lewej stronie motocykl kręci młynki na pustej ulicy, wierzgając, iskrząc i miotając kawałkami plastiku i chromu. Nieźle to nawet wygląda, kiedy tak zmienia się z maszyny w rozkwitający kwiat szrapneli.

Uderzam o ziemię i zaczynam się toczyć. Potem ślizgać. Potem znów toczyć. Pamiętam, że kiedyś znałem technikę ratowania się po upadku z motocykla, ale głowa obija mi się o asfalt oraz włazy studzienek i w tym momencie technika nic nie daje. Zwijam się po prostu w kulkę i toczę z nadzieją, że niczego ważnego nie połamię.

I nie łamię. Wychodzę z tego z kilkoma zadrapaniami na dłoniach i nogach. Punkt dla kevlarowej tkanki bliznowatej. Moja skórzana kurtka jest nieźle poharatana, co specjalnie mi nie przeszkadza. Nie ma nic gorszego, niż nowiuteńka kurtka motocyklowa. Dżinsy wyglądają jednak tak, jakby dopadła mnie wataha wilków. Motocykl jest całkowicie zniszczony. Zbieram to, co z niego pozostało, i zostawiam między dwoma wozami policyjnymi. Od Vidocqa dzieli mnie tylko kilka przecznic, więc resztę drogi pokonuję spacerem.

* * *

W drzwiach Vidocq wita mnie miną zrezygnowanego ojca, który wie, że niezależnie od

tego, ile będzie próbował, jego syn prawdopodobnie nie dociągnie do trzydziestki. Okazuje mi łaskę, wpuszczając mnie bez słowa. Allegra uśmiecha się do mnie jak młodsza siostra, która myśli dokładnie tak samo jak ojciec, tyle że bawi ją to i nie widzi w tym niczego żalosego.

– Czy zostały tu gdzieś jakieś moje stare ciuchy?

– Chyba coś powinno być w jednej z szaf. Zaczekaj tutaj i postaraj się niczego nie zakrwawić.

– Pokazałam Eugènowi tę magię z ogniem, której mnie nauczyłeś – chwali się Allegra.

– To nie była żadna wielka magia, raczej sztuczka. I niczego cię nie nauczyłem. Rzuciłem urok na twoją dłoń i przekazałem zaledwie jedną cząsteczkę tego, co potrafisz. To nie to samo co nauka magii. Musisz to zapamiętać, albo zrobisz sobie krzywdę.

Vidocq wychodzi z sypialni ze znajomo wyglądającą parą znoszonych dzinsów.

– Dzięki – mówię do niego. Zdejmuję poszarpane spodnie, rzucam w kąt i zakładam czyste dzinsy. Przypominam sobie nagle, że skromność nie jest cnotą wielce cenioną w Piekło i niekoniecznie musiałem robić to w tym miejscu. Oboje wciąż patrzą na mnie w taki sposób, jakbym wyszedł spod autobusu, co nie było aż tak dalekie od prawdy.

Vidocq prowadzi nas na korytarz, zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Allegra jest teraz z nami – oświadcza. – Musi zobaczyć i zrozumieć rzeczy, które robimy. Jesteś zbyt pijany, by kraść dziś kolejny samochód, choć wiem, że to właśnie chciałbyś zrobić. Zamiast tego musisz pokazać dziewczynie swój prawdziwy dar i udowodnić jej, że robisz też inne rzeczy poza krzywdzeniem samego siebie i innych.

– Dokąd idziemy?

– Skrzyżowanie Trzeciej i Broadwayu. Budynek Bradbury.

Wyciągam rękę do Allegry.

– Jesteś gotowa na następny etap?

– A na czym on polega?

– Tu nie ma zadawania pytań. Tu się działa. Jesteś gotowa, albo nie jesteś.

Chwila wahania, po czym chwytam mnie za rękę.

– Pokaż mi.

Vidocq chwytam jej drugą rękę i zabieram ich oboje w cień, a potem do Sali.

– Co to za miejsce?

– Centrum wszechświata.

– Co to oznacza?

– Możesz pójść, dokądkolwiek chcesz. Na dowolną ulicę. Do dowolnego pomieszczenia. Gdziekolwiek. Możesz znaleźć się w mieście, na Księżycu lub w pokoju Elvisa.

– Skoro możesz pójść dokądkolwiek zechcesz, to dlaczego wciąż kradniesz samochody?

– Bo przez ściany przechodzą duchy. Ludzie prowadzą samochody.

– Pan Muninn czeka – ponagla Vidocq. – Powinniśmy ruszać.

Chwytam Allegrę za rękę, Vidocq dotyka jej ramienia i wszyscy razem wchodzimy na Broadway. Stoimy tuż obok budynku Bradbury. Jest na tyle późno, że jedynymi świadkami naszego pojawienia się mogą być jacyś bezdomni albo kilku wymuskanych biznesmenów, którzy są tak zakochani w swoich komórkach, że nie zauważyliby nawet, gdyby w gaciach wybuchła im bomba.

Allegra rozgląda się dookoła i uderza mnie w ramię na tyle mocno, że mogę stwierdzić, iż zrobiła to celowo.

– Ty padalcu! Mogłeś to zrobić zeszłej nocy, ale zamiast tego kazałeś mi się ciąć nożem.

– Nie sądziłem, że będziesz na to gotowa.

– Już ci mówiłam, jeśli chcesz, żeby dziewczyny sprawiały ci ból, skorzystaj z usług jednej z profesjonalistek.

Wnętrze budynku Bradbury to jedna wielka wiktoriańska diorama. Wygląda tak, jakby obcy zamoczyli jeden z pomysłów Julesa Verne'a w czerwieni i rzucili w Los Angeles. Cały parter jest otwarty w środku, a wszędzie wokół biegą ściany z cegieł i podesty z kutego żelaza prowadzące do biur i sklepów.

Wchodzimy do żelaznej windy, która wygląda jak klatka dla wymarłego ptaka o rozmiarach konia. Za naszymi plecami staje dwóch facetów. Ponure miny, ciemne garniaki. Ciemne okulary, które wyglądają, jakby nigdy nie były zdejmowane, i które przyklejono do ich twarzy. Noszą je pod prysznicem i kiedy rzną żony najlepszych przyjaciół. Faceci w garniturach zwykle mnie wkurwiają, ponieważ śmierdzą bekonem – to najczęściej gliniarze, którzy zarabiają pod stołem dodatkową kasę za pracę w ochronie. Ci tutaj mogą być po służbie, ale glina zawsze pozostaje gliną, a fakt, że jestem z nimi zamknięty, sprawia, że chciałbym wygryźć sobie drogę z tej napędzanej parą pułapki na szczury. Najzabawniejsze jest to, że choć ich obecność podnosi mi ciśnienie aż do Marsa, ich serca biją spokojnie. Podobnie spokojnie oddychają. Gliniarze działają mi na nerwy przez większość czasu, ale kiedy przez kilka godzin dziennie spuszczałem w pieprz ludziom i kradnę wozy, a na dodatek mam przy sobie nóż Infernali i niezarejestrowany pistolet, na wierzch wychodzi druga strona mojej osobowości. Vidocq naciska guzik piątego piętra. Jeden z facetów w czerni wybiera trójkę. Jeśli którykolwiek z nich nawet dziwnie zamruga, zacznę malować ściany wątrokami i rdzeniami kręgowymi.

Nic się jednak nie dzieje. Winda dociera na trzecie piętro, gliniarze wychodzą i oddalają się, nie zerkając nawet przez ramię. Najgorsze jest to, że czuję się nieco zawiedziony. Byłem tak przygotowany do walki, że teraz, kiedy do niej nie doszło, wydaje mi się, że zostałem oszukany. Rozdrażniony i zawiedziony. Rozpaczliwie chcę coś zniszczyć. Zdaję sobie sprawę, że wciąż jestem trochę pijany i uleczyć mnie może tylko papieros lub przypadkowa przemoc. Albo widok najohydniejszych mebli w znanym mi wszechświecie.

Naprzeciwko windy mieści się sklep z artykułami domowymi. Sprzedają tam prawdziwe koszmaki dla zasranych mądrali, którzy mają mnóstwo kasy i zero wstydu. Naturalnej

wielkości porcelanowy gepard z połączanymi oczami. Fałszywe antyczne meble chińskie. Budda z plasteliny. Masowo produkowane tybetańskie obrazy thangkas. Widok tego miejsca może cię zabić albo pozwolić na pełne wytrzeźwienie. Na szczęście trudno mnie zabić.

Vidocq zamyka drzwi windy i ruszamy na piąte piętro. Zanim jednak docieramy na miejsce, naciska przycisk „stop” i kabina zatrzymuje się z grzechotem. Używając dwóch palców, naciska przyciski „jeden” i „trzy” na klawiaturze windy.

– Co zrobiłeś?

– Jedziemy na trzynaste piętro – oznajmia Vidocq.

– Tu nie ma trzynastego piętra – mówi Allegra. – Spójrz na przyciski. Ten budynek ma tylko pięć pięter. A nawet gdyby miał więcej, to nie byłoby trzynastego piętra. To przynosi pecha. Nikt by się nie wprowadził.

– Skoro tak twierdzisz – mówi i odblokowuje przycisk „stop”.

Kabina zaczyna zjeżdżać w dół i zatrzymuje się na trzecim piętrze.

– Widzisz? Znów jesteśmy na trzecim.

Coś porusza się przy sklepie z artykułami domowymi.

Okno, w którym chwilę wcześniej stał porcelanowy gepard, teraz jest ciemne i oświetlone tylko płomieniem świecy. Wielką szybę pokrywa stuletnia warstwa kurzu i brudu. W miejscu geparda stoi szklany klosz, wysoki na jakieś dwa metry. W środku znajduje się kobieta. Jest przezroczysta i pozbawiona kolorów, niemal czarno-biała. Jej włosy i suknia lekko falują, jakby stała na jakimś niewidocznym wietrze. Krzyczy i drapie paznokciami w szklane ściany swojego więzienia. Kiedy dostrzega ludzi wychodzących z windy, uspokaja się i wodzi za nami wzrokiem niczym lew śledzący stado zebra. Chwilę później znów grzmoci pięściami w szklany klosz i szczyrzy żółte, trójkątne zęby.

Wnętrze sklepu jest ciemne, zagracone i cuchnie strychem, którego nie otwierano przez pięćdziesiąt lat. Z cienia wychodzi inny cień. To człowiek. Jest niski, okrągły i czarny. Nie tak jak Allegra, ale czarny jak kruki czy otchłań. Ubrany jest w kosztowną, jedwabną szatę i trzyma w rękach mosiężny teleskop.

– Widzę, że poznaliście moją Furię – mówi. – To nowy nabytek, prosto z Grecji. Oczywiście miałem wszystkie trzy Furie tego czy innego razu, ale nigdy wszystkich jednocześnie. To byłaby rewolucja. – Patrzę na Furię i wyglądam przez brudne okno. Kobiety w eleganckich ciuchach i faceci w garniturach chodzą we wszystkich kierunkach, całkowicie nieświadomi Furii i dziwnego sklepu.

– Dobrze was widzieć – mówi pan Muninn. – Zaczynałem się zastanawiać, czy o mnie nie zapomniałeś.

– Nigdy, przyjacielu – odpowiada Vidocq. Przedstawia mu Allegrę i mnie.

Muninn chwyta mnie za rękę i nie puszcza.

– Wiele słyszałem na twój temat, chłopcze. – Patrzy na mnie w taki sposób, jakby próbował dostrzec tył mojej głowy. – Interesujące. Spodziewałem się ujrzeć w tobie coś

więcej z diabła. Pewnie lepiej dla nas wszystkich, że tak się nie stało.

– Vidocq powiedział, że możesz mieć dla nas robotę.

– Owszem, mój chłopcze. Jestem kupcem i biznesmenem. Towar wchodzi, towar wychodzi. Jestem zajęty, wciąż zajęty. Zawsze znajdzie się tu praca dla takich, którzy chcą popracować i przyzwoicie zarobić.

– Liczyliśmy na coś więcej niż tylko „przyzwoicie”.

– W takim razie będziemy musieli znaleźć dla ciebie coś odpowiedniego.

– Tyle tu pięknych rzeczy – mówi Allegra, podnosząc coś, co wygląda jak perła wielkości piłki do koszykówki z wyrzeźbioną na powierzchni mapą świata.

– To tylko błyskotki wystawione po to, by przyciągnąć ciekawskich. Chodźcie. Pokażę wam prawdziwy sklep.

Odkłada teleskop na stół, na którego blacie leży stos zegarków kieszonkowych, model układu słonecznego z niewłaściwą liczbą planet i pudło ze szklanymi oczami, z których niektóre są większe od mojej dłoni.

Muninn zabiera nas za stalowe drzwi z napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Ściany po drugiej stronie są kamienne, kute, jakbyśmy znaleźli się w jaskini wyłobionej w skale. Docieramy do schodów, które w niektórych miejscach są tak wąskie, że musimy iść gęsiego. I nie jest to krótki spacer.

Sztuczka związana z wchodzeniem i wychodzeniem z takich miejsc polega na zapamiętywaniu charakterystycznych punktów. Jakichkolwiek. Wszystkiego, co da się zapamiętać. Poluzowanego stopnia. Powiewu z dziury w ścianie. Pęknięcia w skale, które przypomina owcę dymającą orła z pieczęci prezydenckiej.

Jeśli jest zbyt ciemno, jak na schodach Muninna, zawsze można zabrać garść monet z miski w jego sklepie i upuszczać je niczym okruszki chleba aż do celu drogi.

W wypadku jaskiń należy zawsze pamiętać o tym, żeby nie wchodzić do nich bez jasnego obrazu wyjścia. I nigdy nie dać się zaprowadzić do rzeczonoj jaskini przez człowieka, który ma własną Furię. To ostatnie nie jest absolutnie wymagane. Ot, regułka. Dobrze jest też mieć przyjaciela, który za tego człowieka poświadczy, co jest jedynym powodem, dla którego wciąż schodzę po kruszących się schodach, rzucając za sobą dublony i drachmy.

Tuż przed zejściem z ostatnich stopni dostrzegam, dokąd szliśmy. Jest wielka. Wielka jak Teksas. Widzę sklepienie jaskini, ale przeciwległa ściana niknie w oddali. Przy schodach znajduje się całe rumowisko starych stołów, szaf i regałów. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej rozpoczyna się coś, co wygląda jak kamienny labirynt, wijący się, skręcający i odchodzący w dal. Jego końca również nie widzę. Równie dobrze mógłbym stać na plaży w Santa Monica i wypatrywać Japonii.

– Skąd to wszystko się tutaj wzięło? – pytam.

– Och, z wielu miejsc. Wiesz, jak to jest, kiedy zbyt długo zagrzejesz miejsce pod jednym adresem. Zaczynasz gromadzić rzeczy.

Regały, szafy i stare stoły zastawione są książkami, starymi fotografiami, biżuterią, futrami, sztucznymi zębami, marynowanymi sercami i czymś, co pasuje do wyglądu kości dinozaurów. To jeszcze w miarę normalne rzeczy. Znad ścian labiryntu wznosi się część ekranu kina samochodowego, maszty i pokład starego żaglowca, latarnia morska i dziwne, mięsożerne drzewa, które chwytają stada ptaków krążące pod sklepieniem.

– Od jak dawna tutaj jesteś?

– Od zawsze. Tak mi się zdaje. Trudno mieć pewność w takich kwestiach, co nie? No wiesz, jedna epoka lodowcowa wygląda tak samo jak każda inna. Ale jestem tutaj od bardzo dawna i dlatego wszyscy przychodzą do mnie. Mam najlepsze towary. Na sprzedaż lub na wymianę. Wybór kupującego.

– Dlatego tutaj jesteście. Zużyłem trochę Spiritus Dei Vidocqa i muszę mu go zwrócić.

Muninn spogląda na Vidocqa.

– Eugène, nie miałem pojęcia, że znasz sułtana Brunei.

– Co to znaczy? – pytam.

– Nie jesteś sułtanem? To może Billem Gatesem albo carem rosyjskim?

– Nie.

– W takim razie uwierz mi, nie stać cię na Spiritus Dei.

Mały człowieczek podchodzi do pobliskiego stołu i podnosi drewnianą laleczkę, która wygląda, jakby wyciągnięto ją z ognia. Przekręca kluczyk na plecach laleczki. Zabawka zaczyna śpiewać. Być może to jakiś hymn czy aria operowa, której nigdy nie słyszałem. Głos lalki odbija się echem od ścian, wysoki, doskonały i łamiący serce. Cichym kliknięciem kluczyk przestaje się obracać i zapada cisza. Przez chwilę słychać jeszcze echo, które odbija się od grubych ścian labiryntu.

– Oczywiście moglibyśmy pohandlować – mówi Muninn. – Jest ktoś taki, komu zależy na czymś, co znajduje się w posiadaniu kilku osób w naszym małym miasteczku. Chciałbym, abyś pomógł Eugène’owi zdobyć dla mnie tę rzecz. Jeśli ci się powiedzie, gwarantuję buteleczkę Spiritus Dei i niezłą sumkę pieniędzy. Eugène powiedział mi, że chciałeś, aby pieniądze stanowiły część twojej zapłaty. Zgadza się?

– Pieniądze są dobre.

– Mam pieniądze.

Muninn przynosi zestaw planów, które ukrył za kolekcją kanop. Rozprostowuje plany na stosunkowo mało zaśmieconym stoliku, odsuwając najpierw zwierzęce zęby, wazy Majów i pudełko z soczewkami i pryzmatami.

– Miejsce, które odwiedzicie, nazywa się Avila. To klub dla dżentelmenów na wzgórzach.

– Co to znaczy „klub dla dżentelmenów”?

– To, co powiedziałem. Klub dla dżentelmenów. W starym znaczeniu. Miejsce, w którym się pije, je i gra na pieniądze z przyjaciółmi. To również najbardziej ekskluzywny i najdroższy burdel w stanie. Może i w całym kraju. Do klientów Avili zaliczają się producenci

filmowi, miliarderzy z branży komputerowej, miejscowi politycy i przywódcy zagraniczni. Do środka mogą dostać się wyłącznie najwyżej postawieni. Oprócz was dwóch, oczywiście. Wy będziecie szczurami w ścianach.

Budynek na planach jest okrągły, a wewnątrz ułożone jest w postaci koncentrycznych kręgów.

– Choć Eugène to doświadczony złodziej, Avila jest silnie chroniona. Rozpracowanie jej systemów może zabrać mu wiele dni, może tygodni. Rozumiem jednak, że ty potrafisz z łatwością przenieść go do środka i na zewnątrz.

W zewnętrznym kręgu Avili znajdują się biura. W kolejnym kręgu, położonym bliżej środka, restauracja i bar. Kolejny poziom to kasyno, a za nim burdel. Środek na planie jest pusty.

– O tej porze roku co noc organizuje się tam przyjęcia, których kulminacją jest wielka impreza noworoczna za kilka dni. Powinniście dostać się tam jak najszybciej. Teraz chaos będzie wam sprzyjał, ale w Nowy Rok stanie się go za dużo.

Wskazuję pusty środek budynku.

– Co tam jest?

– Nikt tego nie wie. Może wy się dowiecie.

– Płacisz za to dodatkowo?

– Zobaczymy, co mi przyniesiesz.

Próbuję trzymać głowę na kłódkę, ale naprawdę wkurwia mnie to, że muszę porzucić polowanie na Masona i bawić się we włamywacza dla jakiegoś Oompa-Loompa. Ale muszę to zrobić, jeśli Max Overdrive ma przetrwać wraz z pokojem, w którym mieszkam. Nie mam wyboru. Nie sądzę, żeby Vidocq był zachwycony, widząc, jak planuję masowe morderstwo na jego kuchennym stole.

– Wchodzę w to – mówię.

– Dobry chłopak – odpowiada Vidocq. – Ja też w to wchodzę.

– I ja – dopowiada Allegra.

– Nie ma mowy. Żadnych amatorów w tym autobusie. Tylko przestępcy.

Allegra zaczyna coś mówić, ale Vidocq jej przerywa.

– On ma rację, nawet jeśli jest przy tym niegrzeczny. To, co robimy, to niebezpieczne przestępstwo. To nie miejsce i czas, żebyś uczyła się takich rzeczy.

– Świetnie – mruczy Allegra. – Bawcie się dobrze, chłopcy. Mam nadzieję, że wasze fiuty będą równie zadowolone.

Przenoszę wzrok na Muninna, który niesie dwa smokingi na wieszakach.

– Stroje dżentelmenów do klubu dla dżentelmenów.

* * *

Opuszczamy jaskinię i wkraczamy niezauważeni do Avili, co jest naprawdę niezwykle.

Jak można ujrzeć dwóch facetów ubranych jak odźwierni na pogrzebie Liberace wychodzących ze ściany i nie zareagować? Pewnie nikt nas nie widzi ani nie przypomina sobie. Pomieszczenie, klucz, a może ich kombinacja musi sprawiać, że pamięć wszystkich świadków zostaje chwilowo wyłączona. W przeciwnym razie nie byłbym w stanie wysłać tylu zabójców z Piekła do Tartaru, specjalnego Piekła dla podwójnie martwych.

Avila to pałac zaprojektowany przez Marsjan. Podróbka podróbki podróbki wiktoriańskiego klubu dla mężczyzn, którego jakiś stylistą wewnątrz ujrzał w filmie o Sherlocku Holmesie w wieku sześciu lat. Mimo wszystko skala tego miejsca jest imponująca. Aby zdobyć całe to ciemne drewno do baru, musieli chyba wyciąć pół amazońskiego lasu deszczowego. Roleksy w tym jednym pomieszczeniu mogłyby spłacić dług narodowy.

Miejsce jest pełne rozlazłych, dobrze ubranych pijaków, śmiejących się i wrzeszczących w tuzinie różnych języków. Happy hour w Narodach Zjednoczonych Pieniędzy. Półnagie i całkowicie nagie hostessy serwują drinki i tapas, wyciągają też przed siebie srebrne tace pełne białego proszku, strzykawek i szklanych rurek, czegokolwiek sobie klienci zażyczą. Doskonale. Po co używać magii do skradania się, jeśli wokół toczy się impreza godna Kaliguli?

Instynkt złodziejski Vidocq działa na najwyższych obrotach. Znajduje biuro szybciej, niż ja przestaję gapić się na panienki. Kiedy Vidocq pracuje, jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Wpycha mnie do biura przed sobą i zamyka drzwi.

Po toczącej się na zewnątrz zabawie biuro jest pewnym rozczarowaniem. Mógłby to być gabinet prezesa banku lub magnata na rynku nieruchomości w Beverly Hills. Na półkach stoi mnóstwo nagród. Ze ścian uśmiecha się sporo gwiazd. Oczy niektórych z nich są tak szkliste, że można by pojeździć na nich na łyżwach. W miejscu, gdzie Vidocq pracuje nad sejfem, stoi dębowe biurko wielkości porsche i pewnie dużo od niego droższe.

– Jak ci idzie? – pytam.

Vidocq grzechocze buteleczkami, kiedy wyciąga eliksiry z kieszeni smokingu.

– Tak jak myślałem – odpowiada. – Sejf jest zwyczajny, ale chroni go kilka zaklęć ochronnych.

– Mam ci pomóc? Nieźle wychodzi mi rozbijanie różnych rzeczy.

– Siedź cicho. Muszę dokładnie zrozumieć, co tutaj działa, i wyeliminować zaklęcia jedno po drugim w poprawnej kolejności.

Już jestem znudzony i poirytowany Avilą. Nie, żebym miał coś przeciwko niegrzecznemu zachowaniu. Jestem jak najbardziej za. Ale ta kazirodcza, pełna samozadowolenia i cuchnąca ciężką forszą klika jest wszystkim, czego nienawidzę w Los Angeles w szczególności, a w istotach ludzkich w ogóle.

Ci skurwiele tam, na dole, unoszący się tu wysoko ponad całą resztą świata, to tacy ludzie, którzy fundują nową bibliotekę, żeby dzieciaki miały się gdzie podziać, choć zdają sobie sprawę, że nikt nie nauczył ich czytać. Majątek nie izoluje ich od świata. On go tworzy.

Ich wyciągi bankowe czyta się jak Księgę Rodzaju. Niech będzie światłość i niech rozkwitnie tysiąc banków inwestycyjnych. Ci ludzie srają rakiem, a kiedy bekają w takim miejscu jak Los Angeles, powietrze staje się tak gęste i trujące, że można by pokroić je jak chleb i podać na lunch w McDonald's. Happy Meal z Kanapki Samobójcy.

Dziesięć kroków ode mnie musi ich być ze stu. Zastanawiam się, ilu zdołałbym zabić przed pojawieniem się glin.

Vidocq mamrocze nad swoimi fiolkami w przeciwległej części pokoju. Siadam na fotelu przy biurku i rzucam okiem na stertę kopert. Poza kilkoma prośbami o darowiznę na cele dobroczynne, komplementami od polityków i kolejnymi głównianymi nagrodami są tam tylko rachunki i reklamy. Kto by pomyślał? Nawet bogowie dostają śmieci pocztą.

Rzucam stertę z powrotem na blat i sięgam po zdjęcie w srebrnej ramce. Dzięki telewizji rozpoznaję w jednym z facetów obecnego burmistrza Los Angeles, a w drugim niemalże już wybranego prezydenta. Stoi tam też kobieta, której burmistrz wręcza jeszcze jedną nagrodę. Cała trójka uśmiecha się na zdjęciu, szczerząc białe zęby. Sfora radosnych wilków.

Coś zabawnego musiało wydarzyć się na imprezie, gdyż tłum stał się nagle bardzo głośny i po chwili ucichł. Mogę się założyć, że rozwaliłbym wszystkich w tym lokalu i znikł, zanim ktokolwiek by się zorientował, co się wydarzyło.

W moim mózgu coś przeskakuje. Podnoszę fotografię w ramce i pokazuję ją Vidocqowi.

– Rozpoznajesz tutaj kogoś?

Rzuca mi roztargnione spojrzenie.

– Co? Oui. Polityków. Pierdolić ich. Daj mi pracować.

– Nie ich. Kobietę.

Patrzy jeszcze raz. Nagle na jego twarzy maluje się zainteresowanie.

– Znam ją. Czy to nie twoja przyjaciółka Jayne-Anne?

– Tak. To musi być jej gabinet. Zawsze miała świra na punkcie wspinaczki po warstwach społeczeństwa. Avila musi być prezentem za lojalność wobec Masona.

– Cóż za zbieg okoliczności, że tutaj się znaleźliśmy.

– No nie? – Wstaję i okrążam biurko.

– Dokąd idziesz?

– Zabić kogoś.

Vidocq podbiega do mnie i chwytam mnie za rękę. Dwieście lat pracy zapewniło mu silny uścisk.

– Ani mi się waż. Bądź mężczyzną! Powstrzymaj popędy i wykonaj robotę, której się podjąłeś. Wiesz już, gdzie ona przebywa, będziesz mógł tutaj wrócić innym razem.

– Masz rację. Przepraszam. Zagubiłem się przez chwilę.

– Stój tam i pilnuj, żeby nikt nie wszedł.

– Jasne.

Kiedy Vidocq odwraca się plecami, już jestem za drzwiami.

Kilka minut wcześniej czułem się jak kretyn w smokingu, teraz jednak cieszę się, że Muninn nalegał, byśmy z Vidocqiem ubrali się jak para graczy w kasynie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, kiedy sunę przez tłum niczym lodolamacz – ot, kolejny pijaczyna, który rozpycha się wśród ludzkich śmieci, zmierając po zasłużoną działkę pierwszej klasy prochów i darmową cipkę.

Przed zesłaniem na Dół nie byłem zbyt porywczy. Może nie było mi to po prostu na górze potrzebne. Pierwszy raz poczułem to po kilku tygodniach wrzucania na arenę. Zacząłem wygrywać walki. Ledwie, ale zwyciężałem. Zdumiewało mnie to nie mniej niż zgromadzone tłumy. Azazel był już wtedy moim właścicielem, ale nie zwracał na mnie większej uwagi. Przestałem być nowością i oczekiwanie na pobicie na śmierć było jedyną rozrywką, jaką miałem do zaoferowania. Za każdym razem, kiedy nie umierałem, zdawało się to wkurwiać pomocników, których Azazel wysyłał, by mieli na mnie oko.

Zawsze wyprowadzali mnie z areny w łańcuchach na nadgarstkach, kostkach i szyi. To był żart. Mogłem właśnie zabić jakąś plującą ogniem istotę przypominającą sfinksa, ale byłem tylko ludzką bestią, którą należało trzymać na uwięzi. Humor Infernali. Kupa śmiechu za każdym razem, kiedy do akcji wkraczały łańcuchy.

Pewnej nocy Baxux, najwyższy z moich trzech opiekunów, rozbrykał się nieco z moimi łańcuchami. Trzymał je za mną jak lejce i uderzał nimi, jakbym był mułem za cztery dolce. Na piaszczystym podłożu areny leżała złamana na pół na'at. Nie pamiętam nawet momentu jej podnoszenia, ale musiałem to zrobić, gdyż niespodziewanie brzuch Baxuksa stanął otworem niczym miejski tunel, a ze środka popłynęły jego anielskie flaki. Tłum wpadł w obłęd, co było chyba najprzyjemniejszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się przez cały czas spędzony w Piekło. Wrzaski odwróciły uwagę moich dwóch pozostałych opiekunów na wystarczająco długo, żebym zdążył zamachnąć się złamaną na'at z taką siłą, że zdołała rozciągnąć się na niemal pełną długość, ucinając głowę opiekuna numer dwa przy pierwszym zamachu i rękę opiekuna numer trzy przy kolejnym.

Zła wiadomość była taka, że opiekun numer trzy wciąż dysponował trzema rękami i był bardzo wkurzony. Wskoczył na mnie w stylu meksykańskich zapaśników, obciążając mnie swoimi dwustoma czy trzystoma kilogramami, przy okazji skracając na'at do niebojowej długości około pół metra. Następnie zaczął okładać mnie trzema wielkimi pięściami przypominającymi granitowe młoty. Za każdym razem, kiedy ustawiał mnie sobie pod jeden ze swoich haków, odsuwał się lekko i unosił w powietrze, a końcówka na'at z hukiem uderzała o ziemię.

Na'at wyposażona jest w mechanizm sprężynowy, który w ciągu nanosekundy rozciąga ją do pełnej długości. Dotyczy to oczywiście egzemplarza nieuszkodzonego. Ta na'at była w takim stanie, że musiałem porządnie uderzyć kilkanaście razy, żeby zaskoczyła. Kiedy to się udało, wyraz twarzy numeru trzy był niemal wart całego tego łomotu, jaki mi spuścił.

Wstał, co przyjąłem z prawdziwą ulgą. Nie zdołałbym zrzucić go z siebie nawet, gdybym

dysponował hydraulicznym podnośnikiem i dynamitem. Stał tam, kołysząc się i spoglądając na trzonek na'at, która przebiła mu pierś i wyszła plecami.

Obróciłem rękojeść na'at w prawo, co spowodowało wysunięcie grubych haków skierowanych do tyłu. Pociągnąłem. Włożyłem całą swoją wagę w ten ruch i przekręciłem się, upadając. Użyłem ostrych jak brzytwa krawędzi na'at do poszerzenia rany. Ostatnie silne pociągnięcie zadziało na zamek sprężyny, która spowodowała zamknięcie się broni. Siła bezwładności rzuciła mną o ziemię, ale wyszło to na dobre, bo przy okazji wyciągnąłem czarne serce i kawałek kręgosłupa numeru trzy.

Czy w ogóle muszę wspominać o tym, jak zareagował tłum, ujrzawszy, jak patroszę jednego z nich? Wiwaty niemal stopiły mi bębenki w uszach. Byłem Hendriksem na Woodstock.

Ale zabicie moich opiekunów nie udowodniło wcale, że byłem porywczy, ani nie podpowiedziało Azazelowi, że mogę nadawać się na seryjnego zabójcę. Sprawilo to dopiero to, co wydarzyło się później.

Ułożyłem opiekuna numer jeden na ciele martwego opiekuna numer dwa, wspiąłem się na obu i zdjąłem jedną z pochodni ze ściany areny. Ogień w Piekło nie przypomina ognia ziemskiego. Kojarzy się bardziej z ogniem greckim lub płonąca magnezją. Pali się długo w bardzo wysokiej temperaturze i praktycznie nie daje się ugasić. Kiedy opiekun numer trzy usiłował odpełznąć z miejsca, w którym go zostawiłem, wcisnąłem pochodnię w otwór w jego ciele, gdzie wcześniej znajdowało się serce. Już nie miał granitowych pięści. Całe jego ciało jarzyło się i płonęło niczym „Hindenburg”.

Użyłem na'at do przecięcia łańcuchów i ruszyłem w stronę drzwi. Nie udało mi się oczywiście do nich dotrzeć. Na arenę wpadło dwudziestu uzbrojonych strażników. Miałem w sobie jeszcze tyle adrenaliny, że zabiłem trzech czy czterech, zanim na'at wypadła mi z ręki. Później była już tylko muzyka country. Infernale zatańczyli na mnie kadryla. Sam Azazel musiał wkroczyć na arenę i interweniować, zanim zdążyli mnie zabić.

Wrzucili mnie do jednej z cel przy arenie i postawili przy drzwiach strażę. Wtedy zdawało mi się, że to przesada – byłem w trzech czwartych martwy. Nie było szansy, żebym choćby spróbował ucieczki. Później zorientowałem się, że strażnicy stali tam po to, by powstrzymać innych Infernali przed zabicem mnie. Właśnie w tej celi po raz pierwszy zrozumiałem, że jestem oficjalnie trudny do pokonania.

Leżałem tam, krwawiący i poszarpany, a połowa kości sterczała mi pod skórą. Trzy dni później byłem w stanie się podnieść. Kolejnego dnia już chodziłem. Moim strażnikom wcale się to nie podobało. Kiedy myśleli, że śpię, przyglądali mi się ukradkiem przez odsuwany panel w drzwiach celi. W ich oczach było coś nowego. Powiniennem być zdecydowanie bardziej martwy. Ale nie byłem. Pomyśleli sobie, że jestem potworem. Nikt nie przeszkadzał mi przez kilka następnych dni, aż w końcu Azazel wysłał przyjaznego, małego człowieczka ze słodkimi infernalnymi owocami, Aqua Regia i prośbą, żebym dołączył do generała na

wieczornej kolacji. Zgodziłem się oczywiście.

To korzyści z bycia porywczym. Wadą jest to, że robisz głupie rzeczy, na przykład nie patrzysz, dokąd idziesz.

Kręcę się wśród imprezowiczów, rozglądając się za Jayne-Anne, kiedy niespodziewanie wpadam na kogoś i wylewam jego drinka na garnitur wart dziesięć kawałków. Facet wstaje i chce mnie wyzwąć od dupka, ale wypowiada tylko „Dup...” i zatyka go.

To Brad Pitt. Nie aktor, ale mój ulubiony ćpun, którego spotkałem przy cmentarzu po powrocie.

– Gdzie żeś się podziewał, koleś? Tęskniłem za tobą – rzucam.

– Ochrona! – krzyczy.

– Zamierzałem ci to zwrócić.

Wyciągam jego pistolet obezwładniający z kieszeni i puszczam mu ładunek w żebra przez sentyment dla starych czasów. Pada jak worek kartofli, a ja rzucam pistolet obok niego. Nie przyda mi się przeciwko temu, co się tu za chwilę rozpęta.

Nie jestem zupełnie głupi. Zaczynam wycofywać się w stronę biura, kiedy zza narożnika wypada ochrona. Pięciu czy sześciu. Włosy przycięte na wojskową modłę i karki o średnicy włazów do kanałów. W swoich garniturach wyglądają równie kretyńsko jak ja. Ale mają więcej broni. Wszyscy celują do mnie, a ja stoję bez ruchu. Zza ich pleców wychodzi kobieta i kieruje się prosto w moją stronę. Nie ma pojęcia, kim jestem. Przynajmniej przez chwilę.

– Już jesteś trupem – mówi.

– Nie takim, jakim ty będziesz za chwilę.

Jayne-Anne wycofuje się.

– Kitty! Bennett! – krzyczy.

Zza ochroniarzy wychodzą kolejne dwie osoby – koścista gwiazdka w jakiejś szmacie zaprojektowanej przez naćpanego artystę i goguś, który wygląda jak David Bowie w purpurowym, jedwabnym garniturze.

Oboje aż cuchną magią, która emanuje od nich niczym upał falujący nad powierzchnią asfaltu.

Reasumując: mamy pięć czy sześć gnatów, parę hipsterów-zabójców, starą przyjaciółkę, która chce mojej śmierci, mnóstwo pijaków, nagie panienki i mnie, ubranego w pożyczony smoking. Chętnie skorzystałbym z cienia, ale to miejsce jest tak oświetlone, że nie widać ani jednej plamy ciemności.

Nawet moja głupota ma swoje granice. Odwracam się i biegnę.

Za moimi plecami eksplodują ogień i błyskawice. Płonące, złote iskry sypią się na mnie niczym tysiąc rozpalonych zapalek, parząc mnie przez smoking i wbijając się w skórę. Najgorsze jest to, że odskoki i uniki, które przez cały czas stosuję w obronie przed trafieniem, sprawiają, że kule w mojej piersi stają się bardzo wkurzone. Skrobiać mnie w żebra i kłują w płuca. Czuję już krew w gardle. Nigdy nie zdołam uciec tym idiotom.

Opadam na czworaka, oddychając ciężko przez pianę w gardle. Blondyna i goguś zatrzymują się i patrzą na siebie – para dobrych psów myśliwskich, które właśnie zagoniły w pułapkę lisa i czekają na nagrodę.

Mam dla nich nagrodę.

Wykrzykuję infernalne, gardłowe sylaby, kaszląc przy tym krwią. Przez nogi i ręce przepuszczam każdą drobinę mocy, która we mnie pozostała. Spluwam i moja krew wsiąka w kosztowny dywan, którym wyłożono korytarz. Potem znika. Podłoga również. Ale ja wiedziałem, że tak się stanie. Magowie Jayne-Anne i jej uzbrojeni ochroniarze nie wiedzieli. Spadają prosto w dół w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się podłoga, staczają się po zboczu i nikną wśród drzew. Wzrok Jayne-Anne spotyka się z moim na tyle długo, że puszczam do niej oko. Potem ktoś chwyta mnie od tyłu i zaciąga z powrotem do biura, którego w ogóle nie miałem opuszczać. W środku jest mnóstwo cieni. Chwytam Vidocq'a za ramię i wychodzimy przez fotografię Jayne-Anne całującej dłoń papieża.

Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

* * *

Wychodzimy z cienia i wracamy do jaskini Muninna. Vidocq odwraca się i wali mnie pięścią w brzuch. Opadam na jedno kolano.

– Ty pierdolony dzieciaku! Mogłeś nas obu zabić.

To nie pierwszy raz, kiedy Vidocq wścieka się na mnie, ale po raz pierwszy posuwa się do przemocy fizycznej. Dobra robota. Zaraz stracę jednego z niewielu przyjaciół, którzy mi pozostali.

– Nie pogrywaj ze mną – mówi, kiedy się nie podnoszę. – Aż tak mocno cię nie uderzyłem. – Nagle dostrzega krew. – Co ci się stało?

– Mocno mi dołożyłeś, Pepe Le Swąd – odpowiadam.

– Ty dzieciaku – mruczy i pomaga mi wstać. Kule grzechoczą we mnie niczym żwir w cynowej puszcze.

Muninn wygląda jak mały chłopiec w Boże Narodzenie, kiedy Vidocq wręcza mu małą, złotą skrzyneczkę z czymś, co wygląda na delikatne skrzydełka pasikonika.

– Doskonałe. Piękne – zachwyca się. Zabiera skrzyneczkę w miejsce, które wygląda jak lita skała, ale po kilku dotknięciach i obrotach określonych kamieni skała odsuwa się, odkrywając wejście do wielkiej krypty. Muninn zabiera zdobycz do środka, wraca i zamyka kryptę, przywracając jej niewidzialność.

– Wykonaliście doskonałą pracę, panowie. – Uśmiecha się do mnie wyrozumiale. – No cóż, jeden z was był wspaniały. Drugi zniszczył swój smoking. Nie martwcie się. Mam ich chyba z milion. Dosłownie.

– Nie powiedziałaś nam, że używają magów w roli ochroniarzy w Avili – mówię.

– Naprawdę? To coś nowego. Ale stawiałeś czoła wyzwaniu i wypełniłeś misję. Z chęcią

będę kontynuował naszą współpracę.

– Co jeszcze wiesz na temat Avili? Wiesz, co ukrywają w tym pustym miejscu na planach, prawda?

Muninn wygląda na zakłopotanego.

– Nie chcesz wiedzieć niczego na ten temat. Ja nie chcę nic o nich wiedzieć, a widziałem już całe cywilizacje zmienione w sól czy zagrzebane w lodzie.

– Co tam jest?

Muninn kręci głową.

– Burdel. Tajny. Niebiański burdel pełen istot, które rzadko można spotkać na Ziemi. Ale prawdziwą przyczyną, dla której ludzie tam chodzą, ryzykując życia i dusze, jest przyjemność płynąca z wykorzystywania porwanych aniołów. To ranni, którzy spadli na Ziemię podczas buntu Lucyfera, jak również nowi, złapani później, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób chwyta się anioły. – Muninn patrzy na mnie. – I tyle. Zadowolony z wiedzy? Będziesz dziś spał lepiej? Młody człowieku, na tym świecie są rzeczy tak bluźniercze, że ich jedyną prawdziwą wartością jest niewiedza na ich temat.

Wycieram zakrwawione wargi w rękaw smokingu, podczas gdy Muninn przynosi butelkę tak zakurzoną, że mogłaby pochodzić z arki Noego. Nalewa cieczy do trzech kryształowych szklanek. Kiedy unosi swoją, Vidocq i ja robimy to samo.

– Za Boga na górze – mówi i wylewa drinka przez prawe ramię. Vidocq i ja powtarzamy ten ruch. Nalewa trzy kolejne drinki.

– Za diabła na dole. – Wylewa drinka przez lewe ramię. My również.

Muninn napełnia jeszcze raz szklanki, tym razem dwukrotnie większą ilością.

– Za nas. Za tego, który dziś wykonał prawdziwą robotę, i za tych dwóch, którzy grali w pchełki z duszami biednych głupców. – Podnosi szklankę i wychyla zawartość za jednym zamachem. Płyn smakuje jak kwas akumulatorowy z dodatkiem róży, ale przynajmniej nie czuję już krwi.

Muninn odkłada szklankę, bierze niebieską butelkę ze skraju stołu i stawia ją przed Vidocqiem.

– Spiritus Dei, przyjacielu.

Vidocq uśmiecha się promiennie.

– Dziękuję. Nie liczyłem na aż tyle.

– Skoro jest więcej, to mogę trochę? – pytam. – Chcę w tym zamoczyć naboje. Być może będę strzelał do celów, które łatwo nie umierają.

Muninn podchodzi do półki i przynosi mniejszą wersję butelki Vidocqa.

– Akonto – wyjaśnia.

– Dzięki.

– I jeszcze jestem ci winien trochę gotówki.

– Byłoby miło. Masz tam gdzieś bankomat pod tymi wszystkimi kośćmi i zegarami?

Muninn idzie w kąt jaskini, gdzie stoi ośmiometrowa sterta pudeł z rachunkami i skrzyń wypełnionych złotymi i srebrnymi monetami. Mały człowieczek grzebie w stercie niczym stary dziwak, który próbuje znaleźć dojrzałą brzoskwinię na straganie.

– Ach. – Odkłada na bok skrzynkę oznaczoną słowami DEPARTAMENT SKARBU USA i wręcza mi elegancki plik nowych banknotów otoczonych banderolą. Przesuwam palcem po brzegach, ciesząc się dotykiem pieniędzy. To same setki. Nie licząc dziewczyny zza lady w Donut Universe, to najpiękniejsza rzecz, jaką ujrzałem od chwili powrotu na Ziemię.

Ponad ramieniem Muninna dostrzegam szklaną karafkę z maleńkim niebieskim płomieniem u wylotu, niewiele większym od główki zapalniczki.

– Czy to jest to, co myślę? – pytam.

– A co myślisz?

– Wygląda jak Mitra. Pierwszy ogień.

– I masz rację. Pierwszy ogień we wszechświecie. I ostatni. Na tym i na innych światach jest wielu takich, co sądzą, że kiedyś Mitra ucieknie i tak urośnie, że spali całość Stworzenia. Popioły naszej egzystencji użyzną glebę pod następny wszechświat.

– Ile coś takiego jest warte?

– To nie jest na sprzedaż. Ale gdyby było, to nawet połączone bogactwa, które zgromadziłbyś w ciągu następnego tysiąca żywotów, nie wystarczyłyby, żeby to kupić. Nie bądź zbyt ambitny w zbyt krótkim czasie, mój przyjacielu. Jeśli będziemy współpracować regularnie – a wierzę, że tak będzie – to twoja zapłata urośnie i stanie się znacznie bardziej interesująca.

Wkładam zarobione banknoty do wewnętrznej kieszeni smokingu.

– Dla kogo dziś pracowaliśmy? – pytam.

– To poufne.

– Żadnej podpowiedzi?

– Odpowiedzi są łatwe, a podpowiedzi kosztowne. Oszczędzaj na razie pieniądze. Będzie ci potrzebny nowy garnitur – mówi, wkładając palec w jeden z otworów w moim rękawie, gdzie przedostała się jedna ze złotych iskier.

Życzymy sobie dobrej nocy i wracamy na schody prowadzące do sklepu Muninna.

– Czy mógłbyś pozbierać te monety, które powyrzucałeś?

Macham do niego i zbieram po drodze wszystkie monety. Kiedy docieramy do sklepu, wrzucam je do miski, z której je ukradłem.

– Dlaczego pytałeś o klienta Muninna? – pyta Vidocq, kiedy stoimy już w windzie.

– Dzisiejsze odwiedziny klubu należącego do Jayne-Anne to wielki zbieg okoliczności. Już drugi raz od powrotu napotykam na członka Kręgu. Chcę wiedzieć, czy to nie jest ukartowane.

– Muninn nigdy ci nie powie. Dla takich jak on to sprawa honoru. Musimy być

ostrożniejsi.

Winda dociera na parter i Vidocq rozsuwa mosiężną kratę.

– Będzie jeszcze gorzej, wiesz? Spotkanie z tymi cymbałami dziś wieczorem... To była tylko drobnostka.

– Inter urinas et faeces nascimur. Rodzimy się wśród moczu i kału – mówi. – Wielu chciało mnie zabić za dawnych czasów, we Francji. Przestępcy, których wysłałem do więzienia. Lokalna policja, która nigdy nie wierzyła, że mogę być kimś więcej niż tylko bandytą i złodziejem. Nawet Sûreté, specjalne oddziały policji, które stworzyłem dla Paryża, oparte na prawdziwych regułach nauki... Nawet oni zostali skorumpowani przez trzymających władzę i stanęli przeciwko mnie. Większość z tego, co stworzyłem lub posiadałem, zostało mi odebrane przez kłamców i kanciarzy, więc jeśli zamierzasz mi powiedzieć, żebym sobie odpuścił lub żebym nie narażał się na to, co się zbliża, to równie dobrze możesz pocałować mnie w dupę. To wszystko, co robi Mason i jego przyjaciele, to rzeczy ludzkie. Mason ma władzę, być może większą niż jakikolwiek inny mag w historii, ale wciąż pozostaje człowiekiem. A ja nie boję się żadnych ludzi.

– Chodźmy się napić.

– I odlać na naszych wrogów z dużej wysokości.

* * *

Siedzę przy barze w Bambusowym Domu Lalek, gmerając przy klawiaturze telefonu, która ma taki rozmiar, jakby ją zrobiono z myślą o Barbie. Telefony są teraz niczym zabawki. Mieszczą ci się w kieszeni, świecą i wibrują jak bąki. Poza tym można zdobyć – to znaczy, uzyskać – dostęp do Internetu i znaleźć wszystko, czego się szuka. Muzyka. Mapy. Porno. Cokolwiek. Gdyby telefony komórkowe wyposażono w zasobniki na papierosy, byłyby największym zasranym wynalazkiem w dziejach.

– Googlasz się? – pyta Carlos.

– Że co?

– Czy szukasz siebie w Google. Sprawdzasz, jaki jesteś sławny. W ilu miejscach się znalazłeś. Nazywają to surfowaniem po własnym ego. Wystarczy wpisać swoje nazwisko.

Pierwszą rzeczą, jaką znajduję, jest stary artykuł w „L.A. Times” poświęcony morderstwu Alice. Tylko krótka wzmianka, bez żadnych szczegółów. Kto byłby zainteresowany śmiercią jeszcze jednej laski z ulicy? Wkurza mnie to, ale z drugiej strony cieszę się, że nie wiem zbyt wiele na temat tego, co się jej przydarzyło. Wciąż nie jestem na to gotowy.

Carlos ma rację. Ja też jestem w Google. Wygląda na to, że policja z Los Angeles szuka mnie jako „osoby o możliwych powiązaniach” z morderstwem Alice. To by było na tyle, jak chodzi o surfowanie po własnym ego.

Wpisuję „Mason Faim” i wyświetla mi się kolejny artykuł z „L.A. Times”, dotyczący pożaru w jego domu – tym pierwszym. Nie tego, który wznieciliśmy z Vidocqiem. Jest

jeszcze skromny nekrolog. Wychodzi na to, że w rezydencji odnaleźli ciało. Znajdowało się jednak w takim stanie, że nie mogli sprawdzić nawet dokumentacji dentystycznej czy pobrać przyzwoitej próbki DNA. Sądzę, że ciało należało do członka Kręgu, biednego, głupiego TJ-a. Mason nie pozwoliłby na zmarnowanie się idealnych zwłok, jeśli mógłby ich użyć do przekonania innych o swojej śmierci.

Kolejny wynik wyszukiwania i natrafiam na milion wzmianek o Jayne-Anne. Głównie imprezy dla śmietanki towarzyskiej i dobroczynne zbiórki pieniędzy na polityków i premiery filmowe. Zawsze w bezpośrednim towarzystwie władców wszechświata.

Wpisuję nazwisko Księżycowej Wisienki i uzyskuję odnośnik do strony internetowej. Klikam łącze i oto jest, doskonała Czarodziejka z Księżyca, z diamentowym telefonem w jednej dłoni i różowym plecaczkiem z misiami w drugiej. Wygląda jeszcze młodziej niż wtedy, gdy schodziłem na Dół. Wtedy mogła mieć z dwanaście czy trzynaście lat. Teraz wygląda na jedenaście. Mam nadzieję, że to wyłącznie sprawa makijażu, choć w głębi duszy obawiam się, że przyczyną jest co innego.

Klikam przycisk wejścia i przechodzę na stronę internetową. W środku to samo. Uroczy pamiętnik uroczej dziewczynki, pełen plotek na temat przyjaciółek i rzeczy, które razem wyczyniają. Oprócz tego całe strony jej zdjęć w chyba stu różnych strojach gotyckiej lolitki, od fartuszków w stylu Shirley Tempie, przez przebrania pirackie, aż po postać ubranej w kimono wampirzycy ze sztucznymi zębami. Całkiem przekonująca strona internetowa dziewczynki, tyle że Wisienka jest niewiele młodsza ode mnie. Gdybym nie znał jej lepiej i nie wiedział, że to wszystko tylko pozory, uznałbym pewnie, że jest niedorozwinięta.

Na stronie znajdują się łącza do kolejnych stron, zawierających resztę jej przedpokwitaniowego sabatu. W górnej części natrafiam na wypisane wielkimi literami łącza do miejsca o nazwie Lizakowe Laleczki. Tak nazywał się jej odrażający dziewczęcy gang za czasów, kiedy należeliśmy do Kręgu. Teraz Lizakowe Laleczki to ekskluzywny sklep na Rodeo Drive, oferujący importowane japońskie anime, figurki filmowych potworów, gry i firmowe ciuchy Gotyckiej Lolitki. Teraz już wiem, co Mason dał Wisience w nagrodę. Jeszcze raz sprawdzam adres, udaję się do łazienki na tyłach baru, wchodzę w cień i pojawiając się na Rodeo Drive.

Na Rodeo jest słonecznie. Tu zawsze jest słonecznie. Kiedy bogate żonki z platynowymi kartami AmEx i nieskończonymi zapasami Vicodinu suną ulicą jak baloniki na paradzie Prady, szukając café latte za dwadzieścia dolców i džinsów za dwa tysiące, to lepiej, kurwa, żeby było słonecznie.

Sklep Wisienki mieści się na końcu przecznicy. Mam nóż, pistolet i kurtkę motocyklową z kevlarowymi wszywkami. Doskonałe akcesoria, żeby udać się na zakupy po pudełko z Hello Kitty.

* * *

Lizakowe Laleczki to domek myśliwski jakiejś pokręconej dziewczynki. Na ścianach, niczym trofea, zawieszono głowy i twarze każdej postaci i potwora z japońskich kreskówek. Ich plastikowe flaki znajdują się w zestawach na półkach, a skóry wiszą na miękkich wieszakach w długich rzędach. Kiedy się odwracam, zauważam pluton dwunastoletnich Cutie Honey, które patrzą na mnie w sposób jednoznacznie mówiący o tym, że nie jestem tu mile widziany. To *Wioska przeklętych* ze skarpetkami za kostkę.

– Szukam Księżycowej Wisienki – mówię.

Jedna z lolitek podchodzi bliżej. Ledwie sięga mi do piersi.

– A ty kto, kurwa, jesteś?

Jest dokładnie tak, jak się spodziewałem, a teraz, kiedy już wiem, jest jeszcze gorzej. Tym, co wydostaje się z ust lolitki w różowym stroju i żółtych kokardkach nie jest kreskówkowy pisk, ale głos trzydziestokilkuletniej laski z za baru, która nie przespała zbyt wielu nocy i która wypaliła za dużo lucky strike'ów bez filtra. To druga rzecz, jaką Mason dał Wisience. Moc pozostania dwunastolatką na zawsze i zapewnienia tego samego swojej ohydnej grupie. Nieuleczalnie popierdolona fontanna młodości.

– Jestem jej starym przyjacielem. Oboje znaliśmy swego czasu Masona.

– Jesteś głupi czy zajebicie głupi? Nikt nie rozmawia tutaj o Masonie, ty lachociągu.

Jeszcze nigdy nie zostałem tak zbesztany przez szóstkłasistkę. Jedyne co mogę zrobić, to próbować powstrzymać się od śmiechu. Musiała coś jednak dostrzec na mojej twarzy, gdyż ułamek sekundy później wyciąga nóż tanto o rękojeści wyłożonej białym futerkiem i przyciska mi go do szyi na tyle mocno, by przeciąć skórę.

– Dlaczego sobie stąd nie pójdziesz, dziadziuś? Mamy swoją reputację, a ty obniżasz wartość obiektu. Wisienka nie chce z tobą gadać. A tak na marginesie, to wyglądasz w tej kurtce jak pedał.

Pomimo imponującego ruchu noża wydaje mi się, że nie jest zbyt dobrym nożownikiem. Gdyby tak było, trzymałaby ostrze tanto pod moim uchem, tuż nad głównym naczyniem krwionośnym.

Wyrzucam przed siebie rękę, znacznie szybciej, niż jest w stanie zareagować. Nagle to ja trzymam nóż, a ona ma obolały nadgarstek. W pierwszej chwili na jej twarzy maluje się zaskoczenie. Potem furia. Cofa się w stronę koleżanek i wszystkie przyjmują bojowe, kreskówkowe pozycje. Kilka z nich trzyma noże. Być może wyglądają na małe dziewczynki, ale cuchną magią. Magią Wisienki lub swoją własną. Trudno stwierdzić. Tak czy inaczej, nie zamierzam się bawić z tuzinem malowanych laleczek. W takim miejscu z pewnością mają kamery i alarm. Nie zamierzam wyjaśniać glinom, dlaczego bawię się w Mike'a Tysona z grupą różowolichych cherubinków.

Podnoszę ręce, żeby widziały, że nie zamierzam używać broni, i wycofuję się do drzwi. Na ladzie leży długopis. Używam go, żeby zapisać na jakimś paragonie numer telefonu.

– Może do mnie zadzwonić na ten numer. Powiedzcie jej, że martwy przyjaciel wrócił do

miasta i lepiej, żeby zadzwoniła, bo będzie musiał tutaj wrócić i dać jej klapsa. – Pokazuję tanto dziewczynie w sukience balowej. – Odzyskasz to, kiedy ona zadzwoni.

Wychodzę ze sklepu i wrzucam nóż do kanału za narożnikiem. Przez hałas jeżdżących samochodów przebija się jakiś dźwięk. Ktoś mnie woła po imieniu. Odwracam się, w pierwszej chwili sądząc, że to jedna z dziewczyn z Lizakowych Laleczek, ale nikogo nie widzę. To głos mężczyzny wołającego z przeciwnej strony ulicy. Muszę osłonić oczy przed cholernym słońcem, ale kiedy już to robię, widzę go dokładnie. To Parker, stoi nie dalej, niż piętnaście metrów dalej.

Parker nie jest duży. Ten facet jest raczej jak atrakcja z Disneylandu. Wystarczyłoby położyć mu na plecach i ramionach tory, a mógłby zapewnić dzieciakom dziką przejażdżkę. Idę prosto do niego między jadącymi samochodami, które mkną przez Rodeo, chcąc zdążyć na zielonym świetle na obu końcach przecznicy. Przeskakuję przez maskę najbliższego z nich i przebiegam za następnym. Wskakuję na bagażnik kolejnego, ale ześlizguję się i kończę na masce jadącego za nim.

W mojej głowie panują cisza i spokój. W oddali, gdzieś w połowie drogi przez układ słoneczny, słyszę pisk opon. Zgrzyt metalu. Trzask pękających szyb. Ludzie krzyczą. Ja stoję już jednak na nogach i idę dalej. Krew dudni mi w żyłach i czuję gorąco, które rozlewa się z brzucha do rąk i nóg. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wypelzłem z ognia i wróciłem tutaj, czuję się całkowicie sobą. Parker stoi tuż przede mną, a ja dokładnie wiem, co robię.

Po lewej stronie wybucha witryna sklepowa, zwalając mnie z nóg. Robię niezłe wgniecenie w przednich drzwiach cadillaca zaparkowanego przy krawężniku. Ludzie się wydzierają. Sklep stoi w płomieniach. Podnoszę wzrok w samą porę, by zauważyć, jak Parker przerzuca z ręki do ręki coś, co przypomina płonąca piłkę. Rzuca ją w moim kierunku. Odskakuję od cadillaca, ale Parker nie trafia w samochód, lecz w autobus stojący w korku. Kolejne potłuczone szyby. Więcej wrzasków.

Podnoszę się na nogi i biegnę w jego stronę. On wycofuje się w dół ulicy. Coś jest nie tak. Niezależnie od tego, jak szybko się przemieszczam, Parker trzyma się zawsze przede mną. Kiedy obraca się na piętach i naprawdę nabiera szybkości, nie jestem w stanie dotrzymać mu tempa.

Zanim docieram do następnej przecznicy, jego już nie ma. Kręcę się dookoła niczym pijana baletnica, próbując gdzieś go dostrzec.

Coś gorącego wybucha mi na piersi i nagle czuję się, jakby buldożer zaparkował mi na płucach.

Parker cisnął kolejną ze swoich plazmowych kul, lecz taki z niego pozer, że chybił o kilka centymetrów i trafił w skrzynkę pocztową. Dookoła pada deszcz magazynów „People” i ulotek reklamujących odsysanie tłuszczu. Prząd mojej kurtki wypalony jest do samego kevlaru, a cichy głos gdzieś w mojej głowie podpowiada mi, żeby pozwolić się trafić jednej z tych kul, przez co następnym razem nie będzie bolało. Tyle że jeśli pozwolę jednej z nich się

trafić, to może już nie być następnego razu, mówię więc głosowi, żeby zamknął się w cholere i przeszedł do planu B.

Wybijam się z kucek i uderzam ramieniem w parkometr. Chodnik pęka. Jeszcze dwa uderzenia i parkometr jest wystarczająco poluzowany, żebym zdołał wyrwać go z ziemi. Pełnę wzdłuż samochodów, trzymając się poniżej poziomu szyb. Parker znów znikł. Próbuje sięgnąć w dal tymi dziwnymi, nowymi zmysłami, które wciąż mówią mi o tajemnicach innych ludzi, ale nie czuję go. Jest chyba zbyt potężny, jak na moje przedszkolne eksperymenty z odczytywaniem umysłów. Poza tym przeszkadza mi smród palących się sklepów, odgłosy kraks i krzyki kobiet.

I wtedy go zauważam, za hummerem dwa samochody dalej. Podrzuca kolejną plazmową kulę, a jej poświata jest widoczna pod zaparkowanymi samochodami. Pędzę przed siebie z nadzieją, że na tę odległość jestem szybszy od niego.

Kiedy wychodzi zza samochodu, żeby cisnąć ognistą kulę plazmy, ja już tam jestem. Biorę zamach parkometrem i uderzam go prosto w pierś końcówką, której wciąż trzyma się kawał betonu. Parker wylatuje w powietrze i uderza w grubą na ponad centymetr szybę wiaty przystanku autobusowego, na której zostawia milutką, krwawą smugę. Zdumiewające, ale podnosi się na nogi. To coś nowego. Stary Parker był twardy, ale nie było mowy o tym, by mógł przyjąć takie uderzenie i przeżyć, a co dopiero wstać. Chwilę później znów mnie zaskakuje. Zaczyna uciekać. Nie tak szybko jak ostatnio, ale wystarczająco szybko, abym miał problem z dotrzymaniem tempa.

Za narożnikiem skręca w lewo w Wilshire i mknie ulicą ze swoją nadludzką prędkością. Jestem szybki na krótkich dystansach. Mam wystarczający refleks, żeby wyrwać komuś nóż z ręki lub wydrzeć gałki oczne z oczodołów Infernała. Nie jestem jednak maratończykiem. Parker zmienia się w malejący punkt. Gubię go.

Zdesperowany, by nie stracić go z oczu, robię jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Chwytam nóż i uderzam z całej siły ostrzem wzdłuż ulicy. Przecznicą Wilshire dygocze niespodziewanie, kiedy w obu kierunkach zaczyna rozciągać się dwucentymetrowa szczelina. Nie jest to może idealna dziesiątka w skali Richtera, ale wystarcza, by Parker się potknął. Spogląda za siebie i po raz pierwszy zdaje się zdenerwowany. Rezygnuje ze sprintu ulicą i rusza w stronę wysokiego biurowca ze szkła i stali. Ruszam za nim, ale zatrzymuję się na środku ulicy.

Kiedy Parker dociera do biurowca, nie wchodzi do środka. Nie przestaje też biec, nie zmienia tempa. Robi jeden wielki skok, wpada na szklaną ścianę budynku i biegnie w górę. Nie wspina się jak Spiderman, tylko wyprostowany pędzi w górę niczym Flash.

Mój mózg mógł nieco ucierpieć na początku tej walki, ale teraz całkowicie się poddaje. Żyłem w Piekło przez wiele lat i nigdy nie byłem świadkiem czegoś takiego. Stoję, a samochody przejeżdżają obok mnie. Słyszę klaksony. Kierowcy wystawiają mi palec. Kierowca autobusu wydziera się, żebym zszedł z ulicy. Wyciągam szyję, kiedy Parker,

Ludzka Mucha, mknie po gładkiej ścianie wieżowca, oddalając się.

Mój mózg wybucha jak lód upuszczony do wrzątku.

Biegnę przed siebie i ustawiam się tuż pod nim.

Pierdolę magię.

Wyciągam colta peacemakera spod kurtki i wywalam wszystkie sześć pocisków w plecy Parkera. Kiedy kolejne strzały trafiają w cel, Parker zwalnia. Gdy ostatnia z dużych kul kalibru .45 wbija mu się w kręgosłup, widzę kości prześwitujące z dziury w plecach. Przestaje biec i przez kilka sekund stoi chwiejnie na ścianie budynku. Potem jego ciało wiotczeje i zaczyna spadać.

Odsuwam się wystarczająco daleko od budynku, żeby uniknąć rozbryzgu. Wyciągam nóż, gotów do zatopienia go w jego sercu, by uzyskać absolutną pewność, że nie żyje.

Kiedy Parker spada, jego ciało zdaje się rozplýwać jak dym. Staje się niewidzialny. Dwa piętra nad ulicą jego resztki rozwiewają się niczym poranna mgła. Trzymam nóż w pogotowiu, przygotowany do zadania ciosu, ale nic się nie dzieje.

Rozglądam się w nadziei, że Parker jakoś przedostał się na drugą stronę ulicy. Nie ma go. Znikł. Słyszę czyjś śmiech w pobliżu.

Po przeciwnej stronie ulicy stoi Mason i opiera się o latarnię. Oświetla go słońce, włosy rozwiewa lekki wiatr. Pali papierosa. W ogóle nie wygląda jak mroczny bóg Los Angeles. Wygląda po prostu jak Mason. Elegancki, przystojny i bogaty dzieciak, całkowicie ludzki. Zza słupa latarni wysuwa się jakiś cień i dołącza do niego. To Parker. Jego ubranie jest w doskonałym stanie, koszula wyprasowana i czysta. Kości są na swoim miejscu wewnątrz ciała. Obaj mężczyźni śmieją się ze mnie. Mason celuje w moją stronę palcem wskazującym niczym z pistoletu, po czym zgina kciuk, jakby naciskał spust.

Robię krok naprzód, kiedy nad ulicą przelatują w ciszy dwa kruki. Kiedy ptaki znikają, po Masonie i Parkerze nie ma już śladu.

* * *

Wracam do Max Overdrive, żeby zmienić przypalone ciuchy. Przypominam figurkę kaskadera, którą jakiś dzieciak podpalił i wrzucił ojcu na grilla. Dobrze, że kupiłem za forszę Brada Pitta tę motocyklową kurtkę. W przeciwnym razie byłbym naprawdę wkurzony. Przynajmniej moje buty są w porządku i wciąż mam jedwabny płaszcz. Dzięki, Brad. Mam nadzieję, że ochrona z Avili nie skonfiskowała twojego pistoletu obezwładniającego.

Przejsie przez drzwi w Max Overdrive, nawet te tylne, jest zwykle przyjemne. Po prostu nudne i normalne. Tym razem jestem jednak tak przypalony, że nie ryzykuję. Wchodzę w cień i pojawiaam się w swoim pokoju. Przez kilka sekund, które spędzam w Sali, zza wszystkich drzwi, a w szczególności zza trzynastych, dobiegają hałasy. Coś sejsmicznego faluje w eterze, przyprawiając wszechświat o rozstrój żołądka. Dobrze.

Zrzucam zrujnowane ubranie, ciskam na kupę w kącie pokoju i wyciągam bluzę z

kapturem i czarne dżinsy, które kupiłem za kasę Muninna. Następnie przechodzę kilka kroków w cień i przenikam do mieszkania Vidocq.

Pukam i wchodzę do środka. Allegra trzyma starą księgę, która zdaje się ważyć więcej, niż ona sama. Vidocq czyta jej ponad ramieniem, trzymając w dłoniach kilka fiolek z eliksirami. Kiedy wchodzę, oboje unoszą głowy. Allegra nie mówi ani słowa. Vidocq odwraca się plecami do stołu. Nie potrzebuję żadnego magicznego superzmysłu, żeby odkryć, że coś jest nie tak. Wyciąga z kieszeni zestaw kluczy i podaje Allegrze.

– Weźmiesz samochód i przywieziesz nam coś do jedzenia?

Podchodzę bliżej.

– Masz samochód?

– Mam i robię wiele rzeczy, o których nie wiesz. Ty nie znasz już nikogo. Nie słuchasz. Nic cię nie obchodzi.

Allegra idzie w stronę drzwi.

Kiedy mnie mija, pytam:

– Kot odgryzł ci język?

Odwraca głowę w moją stronę.

– Nieźle spierdoliłeś sprawę, koleś. – Kiedy wychodzi, przenoszę wzrok na Vidocq, ale ten w ogóle na mnie nie patrzy.

– Ty i całe to twoje kowbojskie gównno – mówi cicho. – Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co dziś zrobiłeś. To było zbyt publiczne i zbyt lekkomyślne. Mogłeś zginąć. Mogłeś pozabijać innych.

Siadam na poręczu fotela.

– Jasne. To wszystko moja wina, bo Parker bardzo uważał, żeby nie skrzywdzić cywilów.

– W ogóle nie powinieneś brać się za niego, Masona czy kóregokolwiek z nich.

– Jeśli nie ja, to które z was by to zrobiło? Byłeś kiedyś detektywem. Dlaczego nie wyśledziłeś Masona?

Vidocq potrząsa głową, odwraca się i przerzuca kartki w księdze, którą przeglądała wcześniej Allegra.

– Przez jakiś czas próbowałem, ale widziałem pewne rzeczy. I słyszałem. Nie pytaj mnie, co to było.

– Mieliście jedenaście lat na rozprawienie się z Masonem, a z tego, co mi wiadomo, nie ruszyliście nawet palcem. Uważasz, że on wchłonął całą tę magiczną moc po to, żeby przejść na emeryturę? Powinieneś być przy mnie i próbować go wywęszyć.

– Przyszli tutaj ludzie. Przedstawiciele Sub Rosa. – Vidocq w końcu odwraca głowę w moją stronę. – Przyszli do mnie, ponieważ wiedzą, że jesteśmy sobie bliscy.

– A wciąż jesteśmy? Jakoś trudno mi to stwierdzić w ostatnim czasie.

– Mają cię dość po tej ostatniej aferze. Tam było mnóstwo ludzi. Mnóstwo kamer w sklepach i na ulicy. Turyści z jeszcze większą ilością kamer. Muszą się mocno postarać, żeby

to wszystko zamaskować.

– Mają już jakąś historijkę?

– Sceny kaskaderskie do filmu. Awaria sprzętu. W przemyśle filmowym jest wielu Sub Rosa. Tym razem zapłacą wszystkie mandaty i kary. Następnym razem już tego nie zrobią. – Vidocq skrzywił się, jakby właśnie poczuł dwutygodniowe śmieci z sąsiedniego mieszkania. – W tej kwestii nikt nie stoi po twojej stronie.

– Zamierzają wykopać mnie ze związków zawodowych magów? Odebrać mi przywileje?

– To nie są żarty. – Vidocq z hukiem zamyka księgę. – To potężni i wpływowi ludzie. Była tu Medea Bava. Zostawiła to dla ciebie. – Podaje mi niewielkie zawiniątko, biały len owinięty końskim włosiem. W środku znajdują się krucze pióra i wilczy ząb z zaschniętymi cętkami krwi.

– Inkwizytor? To tylko legenda. Oni nie istnieją.

– Ta pani z pewnością istniała – mówi Allegra. – Jej twarz była w dużo gorszym stanie niż twoja.

– Ci ludzie mogą zrobić ci krzywdę – rzuca Vidocq.

– Niech spróbują. – Wstaję i ruszam w stronę drzwi. – Powiedz tym Sub Rosa i ich paniom wystawiającym mandaty za złe parkowanie, że mają trzy opcje, jeśli chcą pozbyć się mnie z Los Angeles. Mogą mi pomóc, mogą zejść mi z drogi albo mogą mnie zabić.

Wychodzę na korytarz. Przedemną stoi facet z dwiema torbami pełnymi zakupów i zamiera jak wryty, z kluczem tuż przy zamku. Mieszkanie Vidocqa jest niewidzialne dla cywilów, więc musiało to wyglądać tak, jakbym wyszedł ze ściany.

– Och. Dzień dobry – mówi mężczyzna.

– Do widzenia – odpowiadam i na jego oczach znikam w cieniu.

* * *

Carlos podaje mi talerz ryżu, fasoli i enchiladas w gęstym sosie. Wgryzam się łapczywie w danie. Umieram z głodu po walce, a żarcie u Carlosa jest tak wyśmienite, że chcę za nie wyjść.

– Znów bawiłeś się w ninja? – pyta Carlos.

– Dlaczego pytasz?

– Jedną stronę twarzy i ręce masz wciąż czerwone jak po oparzeniu.

Patrząc na swoje ręce. Są podrapane i wymęczone, jakbym żonglował pustakami.

– Drobiazg. Rano będą jak nowe.

– Mam w magazynie aloes, może ci się przydać.

Kręcę głową.

– Dzięki wielkie. Jedna czy dwie blizny więcej nie zrujną mojej pięknej buźki.

– Racja.

– Carlos, czy mówisz to przez grzeczność? Nie po to tutaj przyszedłem. Wiem, że nie

jestem Steve'em McQueenem.

– Moja pani jest w nim zakochana do szaleństwa. Dobrze, że facet nie żyje, bo miałbym problemy.

Podnoszę w toaście szklaneczkę Jacka Danielsa.

– Za wszystkich koleś, którzy wyglądają lepiej od nas. Niech pومierają pierwsi. – Carlos podnosi swoją szklanę, stuka w moją i wypijamy.

Mój telefon dzwoni po raz pierwszy od momentu, kiedy go kupiłem. Początkowo nie wiem nawet, co się dzieje. Wydaje mi się, że jakiś szczur przeżywa załamanie nerwowe w kieszeni mojej bluzy. Wyciągam telefon, ale dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, który klawisz powinienem nacisnąć, żeby odebrać.

– Halo?

– Jimmy?

– Kto mówi?

– To ja. Wisienka. Słyszałam, że byłeś w sklepie. Nie uwierzyłam.

– Czyli zadzwoniłaś do kogoś, kogo uważałaś za martwego?

– Zadzwoniłam, bo jeśli jesteś żywy, to potrzebuję twojej pomocy.

Nie odpowiadam przez chwilę. Wciskam do ust cały widelec enchiladas.

– Jimmy?

– Nie nazywaj mnie w ten sposób. Nie lubię tego.

– To jak mam cię nazywać?

– Facetem, którego pomogłaś wysłać do Piekła na jedenaście lat tortur. – Wstaję i przechodzę obok szafy grającej, ścisząc głos. – Facetem, który poważnie myśli o tym, żeby udekorować wnętrze tego twojego sklepu twoimi flakami.

Teraz to ona nie odpowiada przez chwilę.

– Wiem, że muszę być dla ciebie odrażający.

– Odrażający to bardzo słabe określenie.

– Słyszałam o twojej walce z Parkerem.

– Chyba wszyscy o tym słyszeli.

– A wiesz o tym, że Jayne-Anne nie żyje?

– Kiedy?

– Ubiegłej nocy. Parker ją załatwił. Tak przynajmniej słyszałam.

– To dlatego potrzebujesz mojej pomocy. Ruszam tropem Jayne i Parker zabija ją, ponieważ mogła dysponować informacjami, które doprowadziłyby mnie do Masona. TJ i Kasabian są już poza obiegami. Zostajesz tylko ty.

– Pomożesz mi?

– Daj mi jakiś powód.

– Wiem, gdzie znaleźć Masona.

Wracam do baru i oddalam się od muzyki. Nie chcę przegapić ani słowa.

– Nie wierzę ci.

– Wiesz, dlaczego nikt nie może go odnaleźć? Bo nie ma go w tej rzeczywistości. Jest gdzie indziej. Uważam jednak, że skoro wydostałeś się z Piekła, znajdziesz sposób, by do niego dotrzeć.

– Skąd mam wiedzieć, czy Mason nie stoi teraz obok ciebie i nie podpowiada ci, co masz mówić?

– Skąd mam wiedzieć, czy nie strzelisz mi w plecy jak Parkerowi, kiedy powiem ci, gdzie jest Mason?

Mason lub Wisienka. Jeśli mówi prawdę, nie mam wielkiego wyboru. Zwłaszcza po tym, co się dziś stało. Chętnie wkurzyłbym kilku wścibskich Sub Rosa, ale skoro Parker i Mason za mną węższą, głupotą byłoby wpadać w niepotrzebne tarapaty.

– Dobra – odpowiadam. – Umowa stoi. Kiedy i gdzie się spotkamy?

– Nie odzywa się przez kilka sekund.

– Ktoś idzie. Zadzwoń później.

Chowam telefon do kieszeni i wracam do jedzenia. Carlos już uzupełnił mi szklanę.

– Niech zgadnę. Rozmawiałeś z kobietą. Nie muszę słyszeć słów. Wystarczy sam ton – mówi. – Dzwonią, gdy czegoś chcą, a potem i tak robią cię w jajo.

– To nie kobiety. To ludzie. Nie da się z nimi żyć. Nie da się ich wszystkich pozabijać.

Jem posiłek i rozmyślam o Wisience. Jej oddech był wyczuwalnie nerwowy przez telefon, nie mogę mieć jednak pewności. Moje nowe zmysły Spidermana nie działają chyba przez telefon. Ale czy gdyby chciała mnie zrobić, nie podała by od razu miejsca i czasu spotkania? Mogę tak w kółko rozmyślać, szukając ukrytych znaczeń w każdej sylabie i przerwie w rozmowie. Jeśli jestem wrabiany, muszę uzyskać przewagę, żeby nie nadzieć się na jedną z ognistych kul Parkera. W normalnych okolicznościach udałbym się pewnie do Vidocq'a po poradę, może po jakiś urok ochronny. Dziś jednak chyba nie jest na to dobry dzień.

Dopiero po dłuższej chwili zauważam, że zmieniła się muzyka. Bębny tiki i świergot ptaków ustąpiły miejsca czemuś bardziej posępnemu. Same powolne basy i sapiący saksofon. Potem wokalista.

Cóż za senna dziś pogoda

Pomachałaś wykrzywioną dłonią

W stronę skutego lodem stawu

i zamarznętego księżycy

Ujrzałem morderstwo sylwetek kruków

I lży na mojej twarzy

A lżywy na tafli lodu

Wypisują słowo Alice.

Podchodzę do szafy grającej, aby sprawdzić, jaka piosenka jest odtwarzana.

*Płynę z prądem i zagubiłem się
I chyba oszalałem, jeżdżąc po twoim
imieniu,
A przejeżdżając dwa razy, wpadam w lód,
w Alice...*

– Kto włączył tę piosenkę? – Odwracam się i rozglądam po lokalu. Jest dość wcześnie i nie ma tu jeszcze tłoku. Przy różnych stolikach zebrało się może ze dwanaście osób. – Kto to włączył?

Nikt nie odpowiada. Moje serce przyspiesza. Wracam do baru, wciąż się rozglądając i nie wiedząc, co zrobić. Chcę rzucić w ludzi meblami, ale dwa zestawy ofiar wśród cywilów to chyba za dużo jak na jeden dzień.

– Widziałeś kogoś przy szafie grającej? – pytam Carlosa.

– Przykro mi, stary. Nie. Nie wiedziałem nawet, że mamy tę piosenkę. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem. Faceci z serwisu co pewien czas zmieniają utwory, kiedy przychodzą opróżnić kosze z monetami.

– Jak się pojawią następnym razem, to powiedz im, żeby to usunęli.

– Nie ma sprawy. Masz jeszcze jednego drinka. – Carlos nalewa mi alkohol, odstawia butelkę i wyciąga zza lady kij bejsbolowy.

– Wypierdalaj stąd, rulacho. Nie masz tu czego szukać.

Patrzę w stronę drzwi. Wrócił jeden ze skinheadów, których zapoznałem tamtego dnia, czarne oczy i ramię na temblaku. Wchodzi do środka i staje przy barze, zadziorny i wysoki, ale jego serce mówi, że się boi i że ma oko na Carlosa i jego kij.

– Blut Führer chce się z tobą widzieć – mówi, kiwając głową w moją stronę.

– Jaki glut?

– Blut Führer – tłumaczy Carlos. – Przywódca krwi. Szef tych nazistowskich skurwysynów.

– Zamknij się, latino. Tu rozmawiają biali ludzie.

Moja dłoń łąduje na gardle skinheada i wyciska z niego soki. Dokładnie tego potrzebuję, żeby zrzucić trochę napięcia. Kiedy puszczam, skinhead wali się dupskiem na podłogę. Już nie jest wysoki i zadziorny.

– Blut Führer... – sapie.

– Przywódca krwi? – mówię. – Kiedy zaczęliście grać w Dungeons & Dragons?

Himmler chwytą za stołek barowy i dźwiga się na nogi.

– Powiedziałem mu o tym czarnym nożu, którym ciachnąłeś Federica. Dlatego chce się z tobą spotkać.

– Co mnie obchodzi, czego on chce?
– Blut Führer uważa, że zna pierwotnego właściciela.
Azazela? Odtwórca roli trzeciorzędnego pułkownika Klinka zna Azazela?
– Skąd twój szef zna właściciela?
– Nie wiem. Powiedział tylko, że chce spotkać się z człowiekiem dysponującym mocą, która pozwala mu używać tego noża. Obiecuje bezpieczne wejście i wyjście.
– Dzięki, ale sądzę, że sam znajdę drogę wejścia i wyjścia z piwnicy twojej mamuski.
– Nie ufaj temu robakowi – ostrzega Carlos. – Zadzwońię po gliny.
– Nie. Jeśli facet wie coś o nożu, chcę się z nim spotkać.
– Na zewnątrz stoi samochód – oznajmia skinhead. Kiedy się odwraca, zarzucam mu rękę na szyję i zaciskam. Przysuwam czubek noża do jego gardła.
– Jeśli mnie okłamujesz, wytnę ci oczy i oderżnę jaja. Potem włożę ci jaja w oczodoły, a gałki oczne wcisnę w twój worek. Pozwól więc, że zapytam jeszcze raz: jesteś absolutnie pewien, że mówisz prawdę?
Skinhead próbuje skinać głowę.
– Powiedział, że chce się po prostu spotkać i nikt nie będzie stawał ci na drodze.
Zdejmuję Vertias i podrzucam ją. Moneta ląduje, pokazując mi płonący krzyż i Sieg Heil napisane fonetycznymi runami.
– Dobra, księżniczko. – Wsuwam nóż za pasek pod bluzę. – Ale pamiętaj, na pierwszej randce bez języczka.

* * *

Nowy Reichstag okazuje się opuszczonym magazynem mebli w pobliżu Sunset i Alvarado. Przed budynkiem stoją zaparkowane stare amerykańskie wozy z naklejkami o neonazistowskich treściach na zderzakach. Za samochodami stoi kolejny tuzin kradzionych harleyów. Teraz już przynajmniej wiem, kto jeździ w tym mieście.

Mój nazistowski przyjaciel puka do drzwi i do klubiku wpuszcza nas dziewczyna z lugerem w kaburze u pasa.

Od dziesięciu lat nikt nie otwierał okien w tym budynku. Cuchnie piwem, sikami i potem. Wnętrze napakowane jest gniewną Hitlerjugend na sterydach, nie mogę jednak oderwać wzroku od laski, która nas wpuściła – dzikiej i szczupłej, w bezrękawniku, z pistoletem. Mam ochotę jej powiedzieć: „Maleńka, jesteś moją wymarzoną punkrockową randką. Uchlejmy się i rozpieprzmy coś”. Wtedy zdaję sobie sprawę, że ona nie przypomina dziewczyn, które kiedyś znałem. Dumnych z tego, że są szumowinami. Ona tylko czeka, by gromada sobowtórów Dolpha Lundgrena zabrała ją ze sobą do Valhalli.

– Na co się tak, kurwa, gapisz, pojebie? – pyta.

Uśmiecham się do niej.

– Daj mi mocniejszego klapsa, Ewo Braun.

Pluje mi na but, ale nie trafia.

– Zamknij się, Ilsa – rzuca mój nazistowski kumpel. Prowadzi mnie do biura oznaczonego napisem PRYWATNE. Puka dwa razy i wchodzimy do środka.

Choć główna sala jest przesiąkniętym sikami złomowiskiem połamanych mebli i wszechobecnych beczek ze śmieciami, w biurze panuje porządek jak na sali operacyjnej.

Za szarym, metalowym biurkiem siedzi jasnowłosa mężczyzna i skrobie coś wiecznym piórem w notatniku z żółtymi kartkami. Wysokie czoło. Błękitne oczy. Kości policzkowe jak dziób lodołamacza. Doskonały Aryjczyk. Do cholery, nawet ja chciałbym mieć dzieci z tym facetem.

Biurko otaczają równo ułożone sterty ulotek o neonazistowskich treściach, broszurki informujące o tym, że Żydzi i czarni są tak naprawdę najeźdźcami z kosmosu, formularze zapisów na zgromadzenia oraz płyty CD z okładkami przedstawiającymi półnagich członków zespołów, których ciała pokrywają wytatuowane swastyki. W jednym kącie stoi imponująca kolekcja broni, noży, kastetów i rur oklejonych taśmą izolacyjną. Wydaje mi się, że wśród kupy metalu dostrzegam kilka sztuk broni Infernali, jakiej sam używałem na arenie.

Podnosi głowę i obdarza mnie uśmiechem, który stopiłby serce sprzedawcy samochodów.

– Wybacz. Sporządzam notatki do przemowy, którą mam wygłosić w ten weekend. Siadaj, proszę.

Siadam na wyściełanym, metalowym, składanym krześle, które skrzypi pod moim ciężarem. Tylko Führer dostaje dobre meble. Przywykłem już do odczytywania ludzi, ich oddechów i bicia serc, ale tego gościa namierzyć nie potrafię. Nie chodzi nawet o to, że jest zbyt spokojny. To bardziej tak, jakby w ogóle go tutaj nie było.

– O co chodzi, Siegfried? – pytam. – Dlaczego wszystkie twoje owieczki są wygolone, a ty masz dłuższe włosy?

– W grupie mówią na mnie Josef. Jestem przywódcą ruchu. W dzisiejszych czasach wszystko opiera się na mediach, prawda? – Wskazuje pudełka z rekrutacyjnymi płytami DVD i kasetami. – Tatuáže i ogolone głowy straszą ludzi. Kiedy wyglądasz jak król balu maturalnego, przyciągasz gazety i miejscową telewizję, a nasz przekaz łatwo trafia do nowych, potencjalnych rekrutów.

– Znam wasz przekaz i nie chcę słyszeć więcej na ten temat. Słyszałem już tyle gównien, że wystarczy mi do końca życia.

– Z pewnością. Tam, w tej dziurze, nie szanują ludzkiej rasy, prawda? Wiem, że Azazel nie szanuje. – Obserwuje mnie, jakby czekał na reakcję na te słowa. Nie reaguję.

– Skąd wiesz, co myśli Azazel?

– Ponieważ z nim rozmawiałem. Nie jest zadowolony z faktu, że zabiłeś go jego własnym nożem. Tartar to posępne miejsce w porównaniu z Piekłem.

– Jak mogłeś rozmawiać z Azazelem? Nie można wezwać nikogo tak potężnego jak Azazel, a tylko Lucyfer potrafi samodzielnie wychodzić z Piekła i do niego wracać.

– A kto powiedział, że nie miałem pomocy? – Otwiera ręce w ekspansywnym geście, kojarząc mi się z kaznodzieją. – Jak brzmiał ostatni wers z Ewangelii Świętego Łukasza? „Na imię mi »Legion«, bo jest nas wielu”.

– Jakich „nas”? Na pewno nie tych idiotów na zewnątrz.

– Oczywiście, że nie. – Josef wstaje i okrąża biurko. Ma na sobie spodnie khaki i koszulkę polo. Nie wygląda groźniej niż przeciętny sprzedawca ze sklepu z telewizorami. – To, kim jesteśmy, nie ma teraz znaczenia. Ty masz znaczenie. Wydostałeś się z Piekła i to czyni cię wyjątkowym. A dlaczego jesteś wyjątkowy? Bo nawet nie pachniesz jak inni ludzie. Czym ty jesteś?

– Nikim. Jestem, kim jestem.

– Chyba jesteś zbyt skromny. Przekonajmy się.

Zanim jestem w stanie zareagować, Josef kładzie jedną dłoń na moim ramieniu, a drugą wsuwa mi w pierś. Nie krwawię i nie mam połamanych kości. Po prostu jego ręka jest we mnie. Czuję, jak jego palce przesuwają się po moich żebrach i między organami. Próbuję go odepchnąć. Uderzyć albo kopnąć. Ale nie mogę się ruszyć. Znajduje jedną z kul i obraca w palcach.

– Och – mówi. – Tego nie powinno tutaj być. Powinieneś się zbadać.

Ludzka twarz Josefa pęka niczym stara farba, krusząc się i odpadając długimi płatami na podłogę. Pod skórą jest tylko czarna otchłań, ale czerń nie stanowi przeszkody i dostrzegam, co w nim siedzi. Josef to prawa ręka całej operacji, ale nie jest sam. Wewnątrz tkwią również inne istoty. Ich zarysy nie są całkowicie wyraźne. Są słabo widoczne, jak duchy. Świecą od środka bladobłękitnym kolorem, jak ślimak pełznący po dnie oceanu. Przypominają anioły, gdyby anioły były świecami pozostawionymi w zamkniętym samochodzie w Teksasie w środku sierpnia. Ich twarze są białawe i miękkie. Na wpół ukształtowane. Fakt, że te stworzenia są niemal piękne, sprawia, że coraz trudniej jest na nie patrzeć. Nie potrafię ich czytać tak jak innych osób, ale wcale nie muszę. Kojarzą mi się z owadami. Mogą rzucić się na ciebie, kiedy tylko się poruszysz, albo tkwić w bezruchu milion lat, oczekując na właściwą chwilę. Dla nich nie stanowi to różnicy. Są cierpliwością i głodem zaplątani w furie.

Jest mi niedobrze i zimno. Czuję się, jakbym zamarzał od środka. W ustach czuję cierpki smak, jakby wypełniał je ocet. Chcę zwymiotować, ale nie mogę się ruszyć.

– Co to jest? – Pytanie nadchodzi z daleka, wypowiedziane przez tysiąc nieharmonijnych głosów.

Josef ujmuje w dłoń moje serce. Jego palce ślizgają się po moim ciele i natrafiają na klucz Azazela. Josef sztywnieje.

I znów te wszystkie głosy.

– Co to jest? Czy to twój sekret? Chcę tego!

Pochyla się do przodu i pociąga moje serce. Tym razem krzyczę. Próbuje wyrwać mi serce z piersi i czuję, że za chwilę mu się to uda. Ale to nie moje serce, lecz klucza.

Zaciska wokół niego palce i próbuje go wyciągnąć.

Nie mdleję. Nie krzyczę. Moje pole widzenia kurczy się do niewielkiego punktu i zatrzymuje na podłodze, która otwiera się pode mną. Widzę kontury pałacu Lucyfera, Pandemonium i otaczające je miasto. Mniejsze pałace generałów i arenę, na której walczyłem. Pojedynczy Infernale mkną przez chaos na krawędziach Piekła w moim kierunku. Teraz już wiem, co się dzieje. Umieram. Do tej pory nie byłem nawet pewien, czy mogę umrzeć. Teraz już wiem.

Infernale zbliżają się. Za moment wpadnę prosto w ich wyciągnięte ramiona. Mam nadzieję, że znów pozwolą mi walczyć na arenie. W czym jeszcze jestem dobry?

Josef wrzeszczy i wyrывa rękę z mojej piersi. Ludzkie palce są czarne i zwęglone.

– Co mi zrobiłeś? Co to za rzecz? Chcę to mieć.

Podłoga pod moimi stopami znów jest litą materią.

Odpuszczył. Już nie umieram.

Josef chwyta mnie zdrową ręką i przyciąga moją twarz do swojej. Znów wygląda jak wcześniej.

– Człowiek nie mógłby tego zrobić. Powiedz mi, czym jesteś.

– Jestem Królową Śnieżką i czekam na swoje krasnoludki.

Josef ciągnie mnie i jedną ręką przerzuca przez swoje biurko. Książki, papiery i płyty CD lecą na wszystkie strony. Uderzam o ścianę. Kilka kastetów i noży, które leżały na blacie, teraz wbija mi się w plecy. Przekręcam się na brzuch, wiedząc, że jestem bezużyteczny. Mam pod bluzą demoniczny nóż, leżę na stercie lśniących narzędzi do zabijania, a nie przetrwałbym dwóch rund z małym kotkiem. Kiedy próbuje podnieść się na nogi, natrafiam ręką na jedną z owiniętych taśmą rur. W dotyku jest znajoma i ciężka jak infernalny metal. To na'at. Oczywiście. Josef powiedział, że był w Piekło. Z całą pewnością zna czarną magię. To on dał Diabelską Stokrotkę skinheadowi z baru Carlosa. Zostaję za biurkiem, wsuwam na'at za bluzę i obejmuję ją ramionami, żeby jej nie zobaczył.

– Nie przestawaj, kochanie – mówię. – Dopiero zaczynam się dobrze bawić.

I rzygam.

Słyszę, jak Josef otwiera drzwi i wydaje komuś rozkazy. Mój nazistowski kumpel i kilku jego przyjaciół wchodzi do środka i wyciągają mnie za nogi. Pozostaję skurczony, żeby nie dostrzegli na'at. Zresztą wstać i tak bym nie mógł. Wciąż czuję w piersi palce Josefa.

Skinheadzi pomagają mi doczłapać się do drzwi, ale Josef ich zatrzymuje. Pochyliła się nad moim uchem i szepcze:

– Nazywam się... – i wydaje dźwięk przypominający syk gotującego się do ataku węża. – Zapamiętaj mnie. Jeszcze się spotkamy.

Tym razem przeprawa przez podwórko skinheadów nie jest tak zabawna jak poprzednim razem. Czuję, jakby każdy z nich pluł na mnie i trafiał w głowę puszką po piwie. Moja punkowa koleżanka przy drzwiach chwyta mnie za jaja i ścisną tak, że ląduję na ziemi i po

raz pierwszy mam możliwość podziwiania pięknego linoleum na podłodze magazynu.

Koniec tego, maleńka. Właśnie oficjalnie ze sobą zerwaliśmy.

Jazda do Bambusowego Domu Lalek to ciągle uderzenia kolanami i łokciami, kiedy skinheadzi miotają mną po tylnym siedzeniu jak frisbee. Dobra wieść jest taka, że prowadzący wóz ćpun dojeżdża do baru w rekordowym czasie. Zła wieść jest taka, że ledwie zwalnia, kiedy tam docieramy. Chłopaki wypychają mnie na zewnątrz, kiedy samochód jedzie przynajmniej czterdziestką. Łąduję niczym wór ziemniaków, tocząc się i odbijając, dopóki nie uderzam w krawężnik przed samym barem.

Zanim ktokolwiek jest w stanie zadzwonić po gliny, wsuwam się w cień pod zaparkowanym samochodem i chwytając przechodzę przez Salę do Max Overdrive.

Nie kładę się nawet na łóżko. Leżę na zimnej podłodze. Próbuje złapać oddech i strząsnąć wspomnienie dotyku tych palców w mojej piersi. Wyjmuję spod bluzy na'at, czując jej znajomy ciężar w dłoni. Gdybym był lepszym kłamcą, powiedziałbym, że warto było dać się pobić za zdobycie tej broni, ale tak nie jest. Z drugiej strony, wyjście z działającą na'at i pozostawienie demonicznemu skinheadowi spalonej ręki i rzygów na podłodze daje poczucie spełnienia na koniec długiego dnia.

* * *

Budzę się z Mount Rushmore leżącą mi na piersi. Czuję, jakbym ważył milion kilogramów, co podpowiada mi, żebym nie próbował się ruszać aż do następnej epoki lodowcowej. Mógłbym wtedy zapomnieć o Los Angeles, zatrudnić się jako sprzątac w labiryncie Muninna i na wieki żyć w ciemnościach i ciszy. Albo, co bardziej prawdopodobne, do momentu, w którym Bafomet czy jakiś inny infernalny twarziel nie znalazłby dziury w kosmologicznej księdze reguł i nie wy dostał się z Piekła dla samej przyjemności urwania mi głowy.

Chyba posunąłbym się za daleko, organizując konferencję prasową i ogłaszając moją emeryturę. Bo co miałbym powiedzieć? Panie i panowie, zawieszam na haku mój klucz i broń. Planuję prowadzić spokojne życie, poświęcając się pracy na farmie, gdzie zamierzam powoli odejść od zmysłów i udusić każdego cholernego człowieka i kurczaka w zasięgu stu kilometrów. Naprawdę nie znoszę kurczaków.

* * *

Poparzenia na moich rękach i twarzy znikły, ale pierś wciąż przypomina dzieło szalonego malarza – pełna jest czarnych i purpurowych siniaków. Za każdym razem, kiedy biorę oddech, tkanka wokół pocisków Kasabiana tak boli, jakby ktoś próbował zmierzyć mi poziom oleju za pomocą elektrycznego pastucha. Jeśli wciąż będę żywy, kiedy to wszystko się zakończy, zdecydowanie udam się do Kinskiego.

Telefon leży obok i miga. Naciskam klawisz i znajduję wiadomość tekstową od Wisienki, zawierającą adres baru z tacos o nazwie No Mames na Western Avenue oraz godzinę spotkania. Na szczęście mam kilka godzin na to, żeby się ogarnąć i zebrać do kupy. Chcę zapalić i się napić, ale nie da się palić pod prysznicem (uwierzcie mi, próbowałem), a jeśli zacznę teraz pić, to mój mózg na sto procent w końcu się podda, załatwi sobie nowego miejsce i przeniesie na Redondo Beach beze mnie.

Nadal czuję w sobie paluchy Josefa. Śniło mi się to pomieszczenie na tyłach magazynu neonazistów. I arena w Piekle. I czarna, pusta istota, której Lucyfer nakazał kiedyś opuścić arenę. Z tego, co wiem, mógł to być Josef lub jeden z legionu, którego miał w środku. O ile to w ogóle było ciało. Kiedy się otworzył, jego wnętrze bardziej przypominały pusty portal niż prawdziwe organy. Nie chcę już się więcej spotkać z nim ani z jego przyjaciółmi.

Rozbieram się, żeby wziąć prysznic, i widzę, że zniszczyłem kolejny zestaw ciuchów. Tym razem to nie moja wina. Ci neonaziści, którzy wyrzucili mnie z wozu, są mi winni nową parę dżinsów. Kiedyś będę musiał zgłosić się po odbiór. To będzie zabawne.

Prysznic jest tak odprężający, że niemal mdleję. Nie mam pojęcia, dlaczego te wszystkie detale wciąż mnie tak ekscytują. Gdybym był typem człowieka uduchowionego, to radość wywołana drobiazgami oznaczałaby, że jestem jednym z tych pokutujących świętych, którzy żyją w jaskini i raz w tygodniu jedzą kleik. W moim wypadku to mój ukryty wstyd, że najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl, są czyste skarpetki.

Po umyciu się zakładam ostatnią parę nietkniętych dżinsów, jaką posiadam. Wrzucam na siebie poszarpaną kurtkę motocyklową. Z pewnością powstrzyma turystów przed zadawaniem pytań o drogę do Disneylandu.

Żadna z moich broni nie mieści się pod kurtką bez wysyłania fal bólu do całego ciała. Nie sądzę, żeby Wisienka zamierzała podskakiwać, ale na wszelki wypadek mam nóż, który powinien wystarczyć. Zdejmuję Veritas i podrzucam ją. Czy powinienem iść? Tym razem żadnych słów. Tylko obrazek przedstawiający skrzydlatego byka na wzgórzu. Jak mucha na gównie. Tak ciągnie mnie do tych rzeczy. W mowie infernalnej oznacza to, że odpowiedź na pytanie jest nieunikniona, więc po co w ogóle pytać? Racja. Po co?

* * *

Grillowane ryby z tacos w No Mames nie są wcale takie złe. W lokalu panuje prawdziwy minimalizm. Kilka składanych stołów i tanie, ogrodowe krzesła z białego plastiku. Przyjemnie anonimowa atmosfera. Zjadam trzy tacos, popijam mocną, czarną kawą i czekam.

I czekam. Kiedy Wisienka oficjalnie spóźnia się już godzinę, wychodzę na fajkę. Wiem, że jest oficjalnie spóźniona, gdyż Allegra powiedziała mi, że zegarek w moim telefonie jest ustawiany przez jakieś zasrane satelity wiszące setki kilometrów w górze. Wychodzi na to, że kiedy byłem na Dole, ludzie zdecydowali, że muszą wiedzieć, która godzina jest na Neptunie. Przez następne pół godziny dzwonię do Wisienki co dziesięć minut. Wysyłam jej wiadomość.

Nic. W końcu mam już dość spalin i smrodu zjełczałej trawy ciągnącego się od dilerów przy publicznym telefonie. Wisienka prawdopodobnie zmańdrzała w nocy i wyjechała z miasta. Mądre posunięcie.

Jestem zbyt zmęczony, żeby kraść wóz po drodze, więc rozglądam się za taksówką. Chwilę później dostrzegam jedną z korporacji Yellow i jedną z Veterans i zaczynam machać ręką. Veterans przecina dwa pasy i jedzie w moją stronę. Kiedy jest już blisko i właśnie ma skrócić na krawężnik, wypadają zza niej trzy czarne SUV-y Forda i odcinają jej drogę. Środkowy wóz zatrzymuje się tuż przede mną i ze środka wysiada wysoki facet w granatowym garniturze, białej koszuli i krawacie. W dłoni trzyma odznakę. To jeden z tych, którzy jechali windą w Bradbury Building z Vidocqiem, Allegrą i ze mną.

– Proszę wybaczyć – mówi z przeciągłym akcentem z Zachodniego Teksasu. – Jestem szeryf federalny Larson Wells z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Mamy pewną sprawę do omówienia.

Powinienem się domyślić, że coś się kroi, kiedy widziałem te trzy fordki jadące razem ulicą. Czy przy jakiegokolwiek innej okazji można zobaczyć tyle drogich amerykańskich wozów razem w jednym miejscu? To zawsze albo prezydencka kawalkada albo zasadzka. Kto inny kupowałby te wielkie woły, kiedy tak łatwo je ukraść? Amerykańskie wozy są jak kondomy. Używasz raz i wyrzucasz.

Cofam się o krok i sięgam po nóż. Drzwi wozu stają otworem. Na dworze jest bardzo jasno i wewnątrz dostrzegam tylko sylwetki. Jest ich przynajmniej sześć, a każda mierzy do mnie z broni. Nie jestem teraz w takiej formie, by przyjąć pięćdziesiąt kulek. Cofam rękę i zatrzymuję ją. Niczego nie trzymam w dłoni. Spokojnie, panowie.

Wells chwyta mnie za ramię i prowadzi do środkowego wozu. Zanim wsiadam do środka, jednym płynnym ruchem zatrzaskuje mi na nadgarstkach kajdanki, jakby robił to już setki razy. Wpycha mnie do środka i siada obok, odcinając mnie od drzwi. Wszystkie trzy SUV-y ruszają w dół Western, skręcają w prawo w Beverly i jadą dalej.

– Chodzi o te cholerne kary z biblioteki? Przysięgam, że chciałem je zapłacić, ale miałem wtedy dziesięć lat i parszywe kieszonkowe. – Agenci na przedzie ignorują mnie. Wells rzuca okiem na zegarek i patrzy przez okno. Poruszam rękami w kajdankach. Dają niewiele luzu. Mógłbym je połamać i zdjąć, ale musiałbym połamać sobie kości i zerwać skórę z dłoni. – Jak na oddział uderzeniowy Sub Rosa całkiem dobrze to ukrywacie. Nie wyczuwam żadnych magicznych drgań. Nie widzę żadnego ograniczającego kręgu czy zabójczych uroków. Schowaliście to w zagłówek? – Wyciągam ręce i dotykam winylu, macając w poszukiwaniu zgrubień lub nierówności, które zdradzałyby ukryte artefakty.

– Nie dotykaj tego – warczy Wells. Nadal na mnie nie patrzy. – A Sub Rosa mogą pocałować mnie w dupę. Nie pracuję dla chochlików i nekrofilów.

Słowo „chochlik” wypowiada w taki sposób, w jaki twarzą z południa powiedziałby „pedzio”.

– Miałeś chyba na myśli „nekromantów” – poprawiam go.

– Dla mnie to wszystko jedno, Merlinie. Banda fanów gotyku w średnim wieku, bawiąca się tabliczkami ouija i rozmawiających z upiorami i wrózkami. Albo grzebiących w przepisach na eliksiry jak telewizyjne kucharki.

– Jak będziesz ich dalej tak obrażał, jeden z tych chochlików zmieni ci flaki w bananowy pudding jednym spojrzeniem. Ale pewnie w tego typu rzeczy również nie wierzysz?

– Wierzę. Uważam po prostu, że ci złośliwy absynt popaprańcy to jakiś kiepski żart. Połowa Sub Rosa to popieprzeni imprezowicze. Druga połowa ubiera się jak Inkwizycja i spotyka na wiecach, gdzie debatują o tym, jak się zachowywać i żyć wśród normalnych ludzi. Wszyscy jesteście albo ćpunami, albo oszołomami z różdkami w łapach.

– Uwierz mi, ich życie wcale nie jest takie nieciekawe.

– Założę się, że są w tobie zakochani, chłopcze. Chyba przegapiłeś informację o tym, żeby trzymać się pod zasięgiem radaru.

– Jeśli nie należysz do Sub Rosa, to podaj mi powód, dla którego nie powinienem cię teraz zabić.

Wells w końcu odwraca się w moją stronę i rzuca swoje najlepsze spojrzenie w stylu El Paso, jakby próbował wywiercić mi dziurę w głowie samym wzrokiem.

– Ponieważ, jeśli cię zastrzelę, to już nie podskoczysz, żeby odciąć mi głowę. Fakt, że nie pracuję z Sub Rosa, wcale nie oznacza, że uważam wszystkich nie ludzi za bezwartościowych. Przykładowo broń, którą nosimy ja i moi partnerzy, została opracowana przez koalicję ludzkich inżynierów i pewnych szanowanych okultystów. Mam na myśli to, że kichniesz, zamrugasz lub zrobisz coś równie wkurzającego, a spalę cię tym samym świętym ogniem, którego użył Archanioł Michał do wywalenia dupy Szatana z Nieba w Otchłań.

– Skoro nie jesteście Sub Rosa, to dla kogo pracujecie?

– Już mówiłem. Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

– Federalni monitorują magię w Kalifornii?

– Nie tylko w Kalifornii. W całym kraju. Naszym zadaniem jest pilnowanie wszystkich dziwadła, terrorystów i potencjalnych terrorystów, co, moim zdaniem, doskonale opisuje was, chochliki.

Jego rytm serca i oddech są spokojne. Źrenice nie rozszerzają się. Mówi prawdę albo przynajmniej uważa, że mówi.

– Jesteście miejscowymi tajniakami? Bo właśnie spotkałem się z zabawnym, małym nazistą imieniem Josef. Znasz go? Blondyn. Przystojny. Nawet odrobinę nie jest człowiekiem.

– Wiemy o Josefie i jego bandzie. Nie mają znaczenia dla naszych śledztw. I nie jesteśmy tajniakami. CIA to tajniacy. Słyszeliśmy, że między Josefem i tobą doszło do pewnego nieporozumienia.

– Trudno to nazwać nieporozumieniem, raczej w trzech czwartych wyprawił mnie na tamten świat. Pokazał mi również, że mogę umrzeć i jak to prawdopodobnie będzie

wyglądało. To jak minął wam dzień? – Wells znów patrzy na zegarek. Nie jest już tak spokojny jak na początku. Coś go martwi i nie jestem to ja. – To pewnie nie ma dla was większego sensu.

– Czytałem twoje akta. Wiem o tobie wszystko. Nie zachowywałeś się zbyt cicho po powrocie do miasta.

– Obserwowaliście mnie?

– Od chwili kiedy wyszedłeś ze cmentarza. W pierwszej chwili sądziliśmy, że to kolejny zombie, i już zamierzaliśmy zadzwonić po naszą śmieciarkę. Kiedy jednak rozwalifeś tego ćpuna i nie zjadłeś go, zdecydowaliśmy się mieć na ciebie oko.

– Jak?

– Radar. Mamy was wszystkich, chochliki, na radarze.

– Wysublimowana magia?

– Nasi przyjaciele rozumieją, że sprawy bezpieczeństwa są istotne.

– Radar i promienie śmierci. Gdzie mogę się zapisać? To nie fair, że wy macie wszystkie fajne zabawki.

– Szkoda twoich łez. Tak czy inaczej, biorąc pod uwagę wszystkie twoje rozrywki i gierki, mój przełożony zażądał rozmowy z tobą.

– Wygląda na to, że to mój tydzień spotkań z szefami. – Kajdanki ściskają mi nadgarstki razem, przez co moje ręce spoczywają na obolałej piersi. Wiercę się na kanapie, starając się znaleźć wygodniejszą pozycję. Zerkam przez okno i widzę, że mijamy La Cienega Boulevard.

– Z tego, co widzę, nie jedziemy do sądu.

– Uważasz, że zasługujesz na dniówkę w sądzie?

– Jesteś gliną...

– Szeryfem federalnym.

– Dobra. Gliną, który potrafi czytać. Czy w prawie lub w konstytucji nie wspomina się o tym, że każdy powinien spędzić dzień w sądzie?

– To dotyczy wyłącznie żywych, synu.

– Przecież tutaj siedzę.

– Technicznie rzecz biorąc, nie. Nie w żadnym sensie prawnym. W świetle prawa jesteś nieczłowiekiem. Zniknąłeś z tego świata na jedenaście lat z hakiem. Zaginioną osobę można uznać za martwą po siedmiu, co oznacza, że jesteś legalnie martwy od niemal czterech lat.

– Nie mówisz poważnie.

– Spójrz na to z jasnej strony. Gdybyś był żywy, nadal pozostawałbyś głównym podejrzanym w sprawie morderstwa twojej dziewczyny. Gdybyś był żywy, urząd podatkowy zechciałby wiedzieć, dlaczego nie wypełniasz zeznań podatkowych. Zapytaj mnie, czy bardziej boję się Piekła, czy tych gości od podatków, to za każdym razem powiem, że urzędu.

– A więc wiesz, kim jestem i gdzie przebywałem.

– Znam każdy kawałek twojego żałosnego, zasranego życia. Szef chce z tobą pogadać,

ale, szczerze mówiąc, dla mnie jesteś pasożytem. Marnowaniem przestrzeni i powietrza. Tacy jak ty sprawiają, że człowiek marzy o tym, żeby ziemia była płaska. Wtedy zebraloby się was wszystkich na wywrotkę i zrzuciło za krawędź.

– Jeśli wiesz, gdzie byłem, to wiesz również, dlaczego wróciłem. Wypuść mnie i pozwól robić to, po co przybyłem. Pozbędę się dla was kilku bardzo złych ludzi.

– Jak? Wysadzając Rodeo Drive?

– To był błąd.

– Czyżby? Dzięki za wyjaśnienie tej kwestii. Prawda jest taka, że gównu mnie obchodzą żony hollywoodzkich prawników i ich sklepy z butami. Ty mnie obchodzisz. To, co reprezentujesz, i problemy, które się za tobą ciągną. Jesteś chodzącą katastrofą.

Teraz to czuję. Jego serce przyspiesza, po raz pierwszy zaczyna się pocić. Jeden z agentów na przedzie odwraca się, żeby przyjrzeć się, jak rozmawiamy. Uśmiechają się do siebie z Wellsem, wymieniając jakiś prywatny żart.

Kiedy Wells odzywa się ponownie, robi to ze sztuczną zdawkowością, która sprawia, że wszyscy w pokoju czekają podświadomie na kiepski żart.

– Powiedz mi, co to w ogóle za imię, ten Ponury Piaskun? Uważasz się za jakiegoś superbohatera czy co?

Odwracam się i patrzę na niego.

– Zagiąłeś mnie, panie Teksas. Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Po co ta skromność? Wszyscy o tobie słyszeliśmy. Ponury Piaskun. Potwór, który zabija potwory. Muszę przyznać, że to chwytliwe określenie. Sam na to wpadłeś czy jakiś Infernal wymyślił to dla ciebie?

– Posłuchaj, glino. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego głupiego imienia. Przestań tak do mnie mówić. I powiedz mi, dokąd jedziemy, albo wysiadam.

Wells i agent na przedzie śmieją się głośno.

– Nie próbowałbym na twoim miejscu. Jestem śmiertelnie poważny, kiedy mówię, że mógłbym wpakować ci kulkę w łeb i pójść po kanapkę.

– Jakiego rodzaju?

– Co jakiego rodzaju?

– Jakiego rodzaju kanapkę? Jak smakuje kanapka mordercy? Ma dodatkowy ser albo chilli? Co smakuje lepiej po morderstwie, cola czy pepsi?

– Działasz mi na nerwy, matkojebco.

– Idę do domu. – Sięgam ręką nad kolanami Wellsa, odpychając go na oparcie łokciem. Szeryf federalny sięga po broń.

Kiedy stawiasz czoła wielu napastnikom, zawsze chcesz wykonać pierwszy ruch. Dzięki temu wiesz, że jesteś gotów do walki i wystarczająco szalony, by zacząć imprezę. Jedna z zasad w walce mówi o tym, że szaleństwo może pokonać umiejętności i liczby, ponieważ wyszkolony człowiek może próbować stawić czoła drugiemu wyszkolonemu człowiekowi, a

z szaleńcem nikt nie chce się siłować. Szaleniec nie wie, kiedy zwycięża. Nie wie też, kiedy należy przestać. Jeśli nie możesz zagrać szaleńca, bo jesteś przykładowo skuty kajdankami w furgonetce z sześcioma agentami, to przyzwoitym substytutem dla szaleństwa jest głupota.

Wells wciąż trzyma dłoń wewnątrz marynarki, kiedy walę go łokciem prosto w gardło. Zastyga, próbując sobie przypomnieć, jak się oddycha. Zanim chłopcy na przedzie SUV-a wpadają na jakiś pomysł, przenoszę mu łokieć nad głowę, opuszczam w dół i w ten sposób zamykam kajdanki na jego szyi. Potem kładę się na kanapie, pociągając go za sobą. Wszyscy agenci siedzący z przodu trzymają już wycelowaną we mnie broń, ale jakoś się z tego powodu nie pocę. Jeśli będą chcieli mnie zastrzelić, najpierw wywalą kupę dziur w wielkoludzie.

– Spokojnie! – woła do nich Wells, a potem nieco ciszej zwraca się do mnie: – Nieźle ci to wyszło, co, zasańcu?

– Mam twoją szyję. To niezły początek. – Zaciskam kajdanki na jego gardle. Na tyle, żeby to poczuł, ale nie żeby odpłynął. – Nie jesteś pierwszym gościem, który mnie porywa, ale z całą pewnością najmniej zabawnym.

– Chłopcze, właśnie zaatakowałeś funkcjonariusza federalnego. Zawieszasz za to za jaja w Gitmo.

– Kogo chcesz aresztować? Ja już jestem martwy. – Wells znów próbuje sięgnąć po broń. Rzucam się do przodu i uderzam jego głową w ramę drzwi, obracając go jednocześnie w taki sposób, żeby osłaniał mnie przed swoimi koleśkami. Mierzą we mnie cztery lufy, a jeden facet wciąż prowadzi.

Jesteśmy gdzieś na południe od Los Angeles, w pobliżu Culver City. Furgonetka skręca na parking przy czymś, co wygląda na nieczynną od dwudziestu lat montownię samolotów. Dostrzegam przypominające diament symbole ostrzegające o niebezpiecznych materiałach i zardzewiałe znaki Departamentu Obrony na wszystkich ogrodzeniach i budynkach.

Samochód zatrzymuje się i boczne drzwi stają otworem. Zaciskam kajdanki na szyi Wellsa i wypycham na zewnątrz, żeby użyć jako tarczy przed wszystkim, co spróbuje dostać się do środka.

W prostokącie drzwi pojawia się kobieta w dopasowanym garniturze.

– Mogę wrócić później, jeśli potrzebujecie panowie jeszcze chwili dla siebie – mówi.

Zmniejszam nacisk na szyję Wellsa, ale wciąż go trzymam.

– To ten się tutaj rzuca – mruczy Wells.

Kobieta kiwa głową.

– Taki już jest. Wszystkie te lata spędzone w Otchłani rozwinęły w nim problemy z kontrolowaniem impulsywności. To wszystko jest w jego aktach. – Patrzy na mnie. – Puść natychmiast szeryfa Wellsa. Nikt nie będzie do ciebie strzelał. I rozkuj tego człowieka, Larson. Wyglądacie jak banda trzecioklasistów.

– Przepraszam, nie dosłyszałem twojego imienia – mówię.

Kobieta kręci tylko głową i oddala się. Agenci chowają broń. Podnoszę ręce, żeby Wells

zdołał wyplątać się z mojej pętli. Wysiada z furgonetki, zerkając na mnie przez ramię, po czym poprawia garnitur i krawat. Wychodzę za nim i wyciągam przed siebie skute rękę. Nie spieszy się, bawiąc się ubraniami niczym kiepski komediant z Vegas. W końcu wyciąga z kieszeni klucz i rozkuwa mnie. Na nadgarstkach mam czerwone pręgi, lecz podobne widać również na szyi Wellsa, więc chyba jesteśmy kwita.

Wyciągam papierosy i zippo Masona. Kiedy próbuję jej użyć, sypią się tylko iskry.

– Ma ktoś ogień? – pytam.

– Tu nie wolno palić – odpowiada Wells.

– Dlaczego nie? Jesteśmy na powietrzu w samym środku niczego.

– Głupi jesteś? – warczy Wells. – To Aelita. Jest moim aniołem. One są bardzo wrażliwe na dym papierosowy.

– Super. Jeszcze nigdy nie widziałem anioła w przebraniu. – Ruszam za nią do starej fabryki.

Aelita niezbyt odpowiada moim wyobrażeniom o aniołach. Jest równie eteryczna jak rewolwer. Porusza się tak, jakby zaraz miała wezwać nalot lub kupić Europę. Donald Trump z jajami wrogów na półmisku na biurku, tuż obok zszywacza.

Główny budynek kompleksu jest ogromny. Pewnie linia montażowa z czasów zimnej wojny. Aelita otwiera boczne drzwi i zaglądam do wnętrza. Zupełnie nic. Betonowa podłoga i metalowe ściany. Cienie roztrzaskanej i porzuconej maszynery. Nawet światła nie ma.

Po kilku krokach wewnątrz natrafiam na niewidzialną barierę. Czuję się, jakbym brnął przez ciepły kisiel. Niespodziewanie znajduję się na Times Square w Nowy Rok. Ludzie w garniturach i różni nieładnie przeciągają wielkie, dieslowe silniki na automatycznych wyciągarkach łańcuchowych. Inni kierują wózkami widłowymi z paletami załadowanymi cedrem i bylicą. Srebrne sztaby i żelazne pręty. Przemysłowe kadzie z wodą święconą. Montują pojazdy opancerzone i coś, co przypomina broń – lśniące, supernaukowe wersje starych rewolwerów.

Odwracam wzrok w stronę wejścia. Na betonowej podłodze dostrzegam wyryte runy anielskie. W górze, pod sufitem wisi jakaś potężna maszyna. Pomrukuje niczym ul i świeci migoczącym, fluorescencyjnym, zielonym blaskiem.

– To akcelerator filakterii – wyjaśnia Aelita. – Święte relikty i pieczęcie na podłodze tworzą ochronny talizman.

– Ale nie na tyle potężny, żeby ukryć całe to diabelstwo.

– Proszę, bez profanacji. Akcelerator przechwytuje energię uwalnianą przez mezony, które rozpadają się na protony i antyneutrino, a następnie używa jej do wzmacniania błogosławionej mocy talizmanu.

– Zgubiłem się tuż po „profanacji”. Ale chyba rozumiem, o co chodzi. Jesteście szanowanym komitetem magicznym. Macie tu prawdziwe wibracje. Tylko po co ta broń?

Patrzy prosto przeze mnie. Nagle zaczynam myśleć, że chyba byłbym w lepszej sytuacji,

gdyby faceci z furgonetki byli oddziałem zamachowców.

– Chodź ze mną.

Zabiera mnie do dźwiękoszczelnego bocznego pomieszczenia. Po hałasach z hali fabrycznej jest tu zatrważająco cicho. Dostrzegam witraże zawieszane na drutach pod stalowymi belkami pod sufitem. Na podłodze kolejne skrypty anielskie, tym razem w kształcie krzyża. Na jednym krańcu pomieszczenia stoi ołtarz, drugi wygląda jak laboratorium Frankensteina. Zauważam mapy niebiańskie wszechświata widzianego z Nieba (na Dole widziałem odwrotne mapy). Maszyna, która otacza halę główną, może być dosłownie wszystkim – częścią osobistej elektrowni nuklearnej lub urządzeniem obcych rodem z *Zakazanej planety*.

Czekam, aż anielica się odezwie. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie tu zaciągnęła, ale nie zamierzam mrugnąć pierwszy. Odwracam się i dostrzegam ją przy ołtarzu, zgarniającą okruszki hostii na dłoń. Wrzuca je delikatnie do kosza przy ołtarzu, po czym pochyla głowę i robi znak krzyża. Teraz już wiem, dlaczego Lucyfer i jego dzika banda skończyła tam, na Dole. Gdybym musiał traktować dzieciaka mojego szefa tak poważnie, żeby oddawać cześć jego łupieżowi, też byłbym niepokieszony.

– Miło spędzałeś czas od momentu powrotu? – pyta, odwrócona do mnie plecami.

– Niezbyt.

Teraz się odwraca i uśmiecha. Szeroki, cholernie nieszczerzy, anielski uśmiech. Zapewne kolejna część jej szkolenia.

– Pytam, bo mnie się wydaje, że bawiłeś się znakomicie. Odcinanie ludziom głów. Bicie ludzi w barach. Wysadzanie całych przecznicy handlowych. Strzelanie do ludzi na ulicy w biały dzień. Jak dla mnie to brzmi niezwykle zabawnie. To rodzaj zabawy, której mogłabym się po tobie spodziewać.

– A porywanie ludzi z ulicy to twój rodzaj zabawy? Bóg dał ci skrzydła, więc dysponujesz wieczną kartą zniżkową na wszystko? Możesz robić, cokolwiek zechcesz, bo wszystko, co robisz, jest święte. O to chodzi?

– Tak. W zasadzie tak.

– A to wszystko, co robi twoja armia, również jest święte? Nie wyglądali mi na aniołków. Czy szeryf federalny Wells poci się wodą święconą? Musiałem to przegapić.

– Szeryf Wells jest prawym i oddanym człowiekiem, który poświęciłby swoje życie w dobrej sprawie. Za co ty oddałbyś życie?

– Za zabicie ludzi, po których tutaj przybyłem. I za to, żeby mnie nie dymano po drodze w taki sposób.

– A gdybym powiedziała, że mogę ci pomóc w odnalezieniu obiektów twoich poszukiwań?

– To bym ci nie uwierzył.

– Dlaczego?

– Bo przyjechałem tutaj z bronią wymierzoną w moją głowę.

– Słyszałeś kiedyś o Złotym Czuwaniu?

– Brzmi jak nazwa gotyckiej kapeli z college'u.

– Jesteśmy starym zgromadzeniem. Koalicją istot niebiańskich i ludzi oddanych ochronie świata i ludzkości przed największym wrogiem.

Czas szykować się na niedzielny wykład o ogrodach Edenu.

– Nie próbuj mi tu sprzedawać terapii, którą zaserwowałaś swoim Łowcom Duchów. Spotkałem Lucyfera. Zabijałem jego generałów. Ci idioci są zbyt zajęci wbijaniem sobie noży w plecy, żeby stanowić poważne zagrożenie dla ludzkości.

– Masz rację. Całkowicie się zgadzam.

Aelita podchodzi do długiego, drewnianego stołu i podnosi coś, co przypomina kawałek grubej, brązowej tkaniny. Kiedy wraca do mnie, widzę, że to welin.

– Lucyfer to eunuch, a jego armie są zakopane na dnie Stworzenia. Nie, naszym prawdziwym problemem jest prawdziwy wróg świata, Enerjik Kissi.

Nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem pierwsze słowo, ale drugie wypowiedziała jak „Kiiszii”. Podnosi welin, na którym widnieje pieczęć, jakiej dotąd nie widziałem. Nie przypomina zwyczajnego anielskiego, czy nawet infernalnego symbolu. To praktycznie plama Rorschacha, jakby ktoś rozlał coś na welinie i próbował zetrzeć.

– Coś ci opowiem – mówi, po czym podchodzi do drewnianego stołu i siada na blacie. – Wszyscy chłopcy lubią opowieści.

Choć pragnę wydostać się stąd i oddalić od tej szalonej anielicy i jej bandy najemnych zelotów, czuję się zbyt wykończony, by uciekać lub wdawać się w bójkę. Robię więc następną najlepszą rzecz z listy i poddaję się. Podchodzę do stołu i siadam po przeciwnej stronie. Rozkłada między nami welin. Kiedy przesuwa nad nim dłońmi, pieczęć znika.

– Na początku czasu Pan Bóg popełnił błąd. Szczerze mówiąc, zdaniem niektórych z nas, popełnił dwa, ale zważywszy na to, jak was lubi, tego jednego nie naprawimy. Skupiamy więc uwagę na pierwszym poważnym błędzie.

Znów przesuwa ręką nad welinem i pojawiają się obrazy szklanych kul przypominające rysunki kreślone piórkiem i atramentem. Kiedy Aelita mówi, obrazy zaczynają świecić.

– Kiedy Pan sprowadził życie do wszechświata, uczynił to, rozjaśniając mrok swoim boskim światłem. Wdmuchnął swoje światło do szklanych naczyń, które zawiesił na niebie jak gwiazdy, które przybędą dużo później. My, zastęp anielski, narodziliśmy się z tego światła i pomogliśmy je rozprowadzić po całym Stworzeniu. Pewnego razu, kiedy Pan wdmuchnął światło w naczynie, zrobił to zbyt mocno i naczynie roztrzaskało się. Jego boskie światło wpadło w otchłań i dotarło do światów, które budowaliśmy. To spadające światło było początkiem życia we wszechświecie.

Jak w kreskówkach Disneya naczynia na welinie pękają i zmieniają się w maleńkie, jednokomórkowe organizmy.

– Ale boskie światło nie wylądowało tylko na światach. Część spadła w głęboką, nieuformowaną pustkę, która była tylko kipiącym chaosem. Pan był zauroczony życiem rozwijającym się na Jego światach, więc nie zawracaliśmy sobie głowy umieszczaniem czegokolwiek w odległej pustce. Teraz wszyscy żalujemy tej decyzji.

Macha ręką i obrazy znikają jak linie na zmazywanej tabliczce. Kładzie dłoń na welinie, sprawiając, że rozlewa się na nim pulsująca czerń.

– Kiedy z boskiego światła narodzili się aniołowie i istoty niższe – wskazuje mnie głową – pojawiło się coś jeszcze. W chaosie powstał inny rodzaj życia, przypominający anielskie, lecz inny. Wells i jego ludzie opisują ich jako „antyanioły”, co jest dosyć dobrym określeniem dla waszych małych mózdków.

Kładę dłoń na czarnym welinie, który pulsuje teraz i wije się niczym płynny obsydian. Przypomina mi nóż, który noszę pod płaszczem. Wykonano go ponoć z kości, choć nigdy nie dowiedziałem się, z jakiego rodzaju.

– Antyanioły to Kissi – mówię.

– Tak. – Znow porusza ręką i bulgocząca czerń znika. Kiedy mówi, spod dłoni spoczywającej na welinie wylewają się kolejne obrazy. – Kissi nie gardzą życiem. Życie je fascynuje. Energia. Jego nieprzewidywalność. Chaos życia. Kiedy odkryli pierwszych ludzi, osiedlili się tu, tworząc więcej chaosu. Pomagając jednemu plemieniu tworzyć broń. Ucząc języka inne. Kissi narodzili się w chaosie, składają się z niego i go konsumują. Ludzie tworzą taki rodzaj chaosu, który jest dla Kissi wyjątkowo apetyczny. Wieki temu między nami, aniołami i Kissi rozpełtała się wojna, która rozciągnęła się na całą Ziemię i dotarła aż do bram Niebios. Żadna ze stron nie odniosła zwycięstwa.

– Czy Lucyfer był już wtedy w Piekło? Gdybyście poprosili go o pomoc, to mógłby przyjść z odsieczą. Nie sądzę, by podobała mu się banda szalonych psów zjadających Ziemię. Gdyby nas nie było, z kim by się pieprzył?

– Nikt nie poprosiłby Księcia Kłamstw o pomoc. Nie bądź głupi.

– A więc to była jedna z opcji? Ale nie zdecydowaliście się na nią. Czy pycha nie jest jednym z siedmiu grzechów głównych?

Patrzy na mnie dokładnie w taki sposób, w jaki robiła to matka przed strzeleniem mnie w ucho. I podobnie jak mama, opanowuje się przed wielkim wybuchem.

– Jak już powiedziałam, była wojna. Żadna ze stron nie mogła pokonać tej drugiej, więc zawarliśmy z Kissi pakt. Wolno im było pozostać, a skoro ludzie byli z natury chaotycznymi istotami, Kissi mogli zaspokajać swój apetyt na chaos i zniszczenie w określonych granicach. Złote Czuwanie powstało po to, by doglądać tego rozejmu. Pakt trwał przez tysiąclecia. Ostatnio jednak wiele się zmieniło. Kissi stali się znacznie bardziej śmiali i nieostrożni. Otwarcie atakują ludzi. Biorą udział w wojnach, aktach terroru, handlu narkotykami i bronią. Coś zakłóciło równowagę. – Zdejmuje dłoń z welinu i zaczyna go zwijać. – Kiedy usłyszeliśmy, że Ponury Piaskun przybył na Ziemię, pomyśleliśmy oczywiście, że to może

być przyczyną problemów.

– Wells nazwał mnie w ten sposób w samochodzie. O czym on, do jasnej cholery, mówił?

– Proszę, bez profanacji. – Odkłada welin na bok. – Szeryf mówił o tobie, głupcze. Ty jesteś Ponurym Piaskunem. Potwór, który zabija potwory. Wydaje ci się, że nie mamy pojęcia, co robiłeś w Piekło? Upadłe anioły pozostają aniołami. Zauważamy, kiedy ktoś je zabija. Masz niezłą reputację w Królestwie Niebieskim. Dlatego tutaj jesteś.

– Nie jestem potworem. Jestem człowiekiem.

– Jesteś potworem dla innych. W Piekło jesteś postrachem dla tych, którzy wywołują postrach. Swój niszczycielski talent zabrałeś ze sobą na Ziemię. Dlatego tutaj jesteś. Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to jest rozmowa w sprawie pracy.

To najstraszliwsza rzecz, jaką usłyszałem od powrotu do domu. A ta anielica przyprawia mnie o gęsią skórę w sposób, w jaki nie udawało się to nawet Masonowi.

– Już mam pracę, dzięki. Prowadzę sklep z filmami.

– Jesteś słaby. Czuję zapach twoich ostatnich ran. To jedyny powód tego, że jesteś tutaj i żyjesz. Kiedy pomyśleliśmy, że jesteś w zмовie z Kissi, wyznaczono nagrodę za twoją głowę. Ale po twoim spotkaniu z Josefem wiele się zmieniło.

– On jest Kissi.

– Oczywiście. Myślałam, że już zdążyłeś dodać dwa do dwóch.

– Wydaje mi się, że jednego z nich spotkałem już w Piekło. Na arenie. Czy to możliwe?

– W przeciwieństwie do Infernali, Kissi mogą przenosić się po całym wszechświecie, włącznie z Piekłem. A więc, tak, mogłeś natrafić na jednego z nich. Co się stało?

– Lucyfer był wkurwiony. Wyrzucił go w cholere.

– Bez wątplenia zrobił to z nadzieją, że Kissi powróci na Ziemię siac zniszczenie i pozostawi w spokoju jego odrażające królestwo. Cóż za odwaga.

– Podeszedł prosto do niego i rozkazał, by odszedł. Czy kiedykolwiek stanęłaś do walki z Kissi? – Nie odpowiada. – Tak czy inaczej, jeśli coś zakłóca równowagę we wszechświecie, to prawdopodobnie szukamy tej samej osoby. Masona Faima.

– Wspaniale. A więc mamy wspólnego wroga. Dołączysz do Czuwania i razem stawimy czoła siłom chaosu.

– Nie, dzięki. Wasza wojenka jest interesująca, ale ja mam swoją własną robotę do załatwienia.

– Ta praca należy do Boga – odpowiada Aelita.

Wstaję ze stołu i przechodzę przez pomieszczenie. Muszę być ostrożny. Nie chcę powiedzieć czegoś niewłaściwego, skoro wie, że jestem ranny. Kule w mojej piersi grają w piłkę z żebrami. Napelniłem wcześniej zapalniczkę Masona, więc wyciągam papierosy i zapalam jednego. Zaciągam się kilka razy i strzepuję popiół na jej ołtarz. Muszę przyznać, że nie jestem dobry w byciu ostrożnym.

– Gdzie był Bóg, kiedy wylądowałem w Piekło? – pytam ją. – Skoro wiedziałaś o

Ponurym Piaskunie, to wiesz też zapewne, że wciągnięto mnie tam żywcem i torturowano. Czy twoje śpiewające hosanny skurwysyny nie mogły poświęcić jednego anioła, żeby mi pomógł?

– Może Bóg uznał, że jesteś tam, gdzie być powinieś.

– I miał rację. A wiesz, dlaczego? Bo musiałem dokładnie się przekonać, jak obracają się kółka w tej części wszechświata. Teraz ukazałaś mi krótką wizję Nieba. Wy, typki od Piekła i Nieba, jesteście wszyscy tacy sami, nosicie po prostu różne mundury. W moim życiu porwano mnie tylko dwukrotnie. Raz zrobili to Czyhacze, teraz anioł.

– Chyba rozumiesz, że skoro żaden z demonów Lucyfera nie może opuścić Piekła, to musieli cię tam wciągnąć Kissi w porozumieniu z twoim przyjacielem Masonem?

– Dzięki. Kiedy skończę z Masonem, będę przynajmniej wiedział, kim się zająć w dalszej kolejności. – Wciskam niedopałek w ołtarz i zostawiam. – Niebiańskie kutasy. Psychole Lucyfera i salonowe pieski Boga, wszyscy działają tylko z myślą o sobie. Nie obchodzi was świat. Zawarliście umowę z Kissi. Ciekawe dlaczego?

Aelita wstaje, bardzo wysoka i wyprostowana, z rękami założonymi na piersi.

– Ty mi powiedz. Oświeć mnie, Ponury Piaskunie.

– Bo dotarli aż do Nieba. Do samych bram. A więc zawarliście umowę. Wysłaliście wilki na dół, między owce i poprosiliście, by się ładnie zachowywały. A jeśli nie posłuchają? Ach, co tam. Najwyżej padnie kilka sztuk ze stadka. Ale teraz wilki są głodniejsze niż kiedykolwiek dotąd, a wy wiecie, że wcześniej czy później znów zapukają do drzwi Nieba.

Aelita kręci głową i znów uśmiecha się do mnie w ten upiornie dobrotliwy, anielski sposób.

– Bardzo mnie smucisz, James.

– Nie nazywaj mnie w ten sposób.

– W porządku, Piaskunie.

– Tak też mnie nie nazywaj.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak te wszystkie lata w Otchłani wykrzywiły twój umysł. Całkowicie utraciłeś umiejętność odczuwania empatii. Powiedziałam ci, co czeka ludzkość, a ty nie ruszysz nawet palcem, by temu zapobiec. – Podchodzi do mnie niczym przedszkolanka, chcąc odebrać chłopcu klej, który ten próbuje jeść. – Nie czujesz niczego do nikogo?

– Nie. Jedyna osoba, na której mi zależało, została zamordowana. I ty również nie kiwnęłaś nawet palcem, prawda?

– Mogę ci pomóc uleczyć cię. Twoje ciało i duszę. Schodząc w Otchłań, byłeś pustym naczyniem, a diabeł napełnił cię trucizną. Pozwól, że ja napełnię cię boskim światłem Pana.

Chyba chce użyć na mnie jakiejś ostrej, anielskiej magii. Próbuje przejąć kontrolę nad moim maleńkim, nic nieznaczącym, małym mózdzkiem. Candy lepiej radziła sobie z kojącymi gadkami – sprawiła, że pomyślałem o powrocie do Kinskiego. A Aelita nie zmierza donikąd. Może różnica polega na tym, że Candy mi się spodobała, a ta Lukrecja Borgia nie

jest w moim typie?

– Pozwól mi sobie pomóc, synu. – Wyciąga ręce i ujmuje obie moje dłonie. – Zostań częścią wielkiego boskiego planu.

– Nie.

Aelita pąsowieje na twarzy i zaczyna krzyczeć. Po twarzy płyną jej łzy. Znow chwytam moją dłoń, po czym odrzuca ją.

– Wynaturzenie – szepcze. Potem krzyczy: – Wynaturzenie!

Jedną z rzeczy, na które narzekali Infernale na Dole, było to, jak Niebo rozbroiło ich przed zesłaniem na to wysypisko śmieci. Każdy anioł rodzi się z bronią. Nie z czymś, co może zgubić, lecz z czymś, co jest jego częścią. Płonącym mieczem. Manifestują jego obecność słowem i używają jak podręcznej atomówki. Nigdy tego nie doświadczyłem, aż do teraz, gdy Aelita nie pokazuje swojego miecza w dźwiękochłonnej kaplicy.

Wciąż na niego patrzę, zahipnotyzowany jego wyglądem, kiedy zostaję nim przebity. Czuję, jak wbija się w pierś i wychodzi plecami, paląc i mroząc jednocześnie.

Potem padam na podłogę. Mam dziwne halucynacje, w których Vidocq i Allegra stoją nade mną. Potem umieram.

* * *

Śnię o tym, że znow jestem na Ziemi. Śnię o ucieczce przed Azazelem oraz o całym bólu i szaleństwie w Piekło. Jestem w domu i piję piwo z Alice, spocony i szczęśliwy w łóżku. Z wysiłkiem otwieram oczy i widzę błękitne niebo. Budzę się na cmentarzu. Jestem w domu. To nie jest sen. Ale dlaczego w biały dzień świeci księżyc?

To nie jest księżyc. To światło.

To nie jest niebo. To błękitny sufit. Znam zapach tego miejsca, ale jego nazwa zagubiła się gdzieś wśród mrocznych alejek mojego mózgu.

* * *

– Byłem martwy.

– W rzeczy samej – mówi Kinski. Leżę na stole zabiegowym, a on świeci mi latarką w oczy. – Ale Eugène wlał ci do gardła całą butelkę eliksiru z psianki. Dzięki temu twoja dusza nie wyruszyła na wycieczkę. Później pozostała już tylko kwestia odpalenia silnika w twoim ciele. Jak się czujesz?

– W porządku. Zmęczony, ale czuję się dobrze.

Wokół rany na mojej piersi spoczywa kilka kamieni Kinskiego. Pozostałe leżą przy mojej głowie, rękach i nogach. Doktor zdejmuje je ze mnie, jeden po drugim.

Vidocq i Allegra stoją nieco dalej, przy końcu stołu.

– Widziałem was tam – mówię. – Myślałem, że śnię, ale to byliście wy.

– Tak – mówi Vidocq. – Przykro mi z powodu tego, co się stało.

– Wiedziałeś, że ci gliniarze mnie zgarną, prawda? Powiedziałeś im, gdzie mnie szukać. Wrobiłeś mnie.

– Straciłeś ostatnio nad sobą kontrolę. Pomyślałem, że spotkanie ze Złotym Czuwaniem i zapoznanie się z ich pracą pomoże ci skupić swoje energie. Zabijesz siebie albo kogoś niewinnego.

– A więc zdecydowałeś się przekazać mnie Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego i psychotycznej anielicy. Czy to twój pomysł na terapię grupową?

– Nie wiedziałem, że to się potoczy w taki sposób. Aelita miała z tobą po prostu porozmawiać.

Zsuwam nogi za krawędź stołu i próbuję wstać. Przed oczami pojawiają mi się mroczki i kręci mi się w głowie. Siadam ponownie.

– Wypelzam z samego Piekła tylko po to, żeby dać się porwać i sprzedać przez przyjaciół. A wiesz, co jest w tym najzabawniejsze? Mason mnie nie zabił. Ty to zrobiłeś. – Vidocq poci się i robi mu się zimno. To ze strachu. Ze strachu i z poczucia winy. – Od kiedy dla nich pracujesz?

– Pracuję z nimi, a nie dla nich. Już od jakiegoś czasu. Pół roku. Może trochę więcej. Nawet nie wiesz, jak wszystko się tutaj poukładało. Jest źle, a będzie jeszcze gorzej. W tej chwili jest stosunkowo cicho. Nie wiem dlaczego. Ale znów będzie gorzej, a wtedy przekonasz się, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

– Pracowałeś dla nich, zanim zszedłem na Dół?

Kręci głową.

– Nie. Wtedy ledwie o nich słyszałem.

Kinski podaje mi szklankę cuchnącej, brązowej herbaty.

– Wypij wszystko, ale jednym haustem.

Wlewam w siebie herbatę w trzech długich łykach. Jest gęsta i gorąca, a w ustach czuję maleńkie gałązki i listki. Oddaję szklankę Kinskiemu.

– Dzięki. To było obrzydliwe. – Przenoszę spojrzenie na Vidocq. – Twoje kłamstwo jest przynajmniej nowym kłamstwem. To już coś. Drobną łaską, jak mówił mój ojciec.

Allegra trzyma Vidocq. za ramię, jakby podpierając starego człowieka, który miał atak, ale jest zbyt dumny, by się wesprzeć na lasce. Jej serce pędzi, a źrenice przypominają kołpaki. Boi się, ale nie mnie. Wszystkiego. Wprowadzenie jej w świat Sub Rosa nie było chyba zbyt dobrym pomysłem. Wiele widziała w ciągu kilku ostatnich dni.

– Siedzisz w tym razem z nim? – pytam.

– Powiedział mi wcześniej. Wiesz, po tym, co wydarzyło się na Rodeo i po wizycie Medei Bavy z prezentem w postaci piór i zębów, nie wydawało się to wcale takim złym pomysłem.

– Dobra. Dzięki. Możesz wyjść razem z nim.

Vidocq okrąża stół. Kiedy idzie, buteleczki z eliksirami i truciznami wszyte w podszewkę płaszcza dzwonią delikatnie.

– Nie, Jimmy.

– Tak, Jimmy. Idź sobie stąd. Oboje odejdźcie.

– Eugène cię uratował – mówi Allegra. – Aelita prawie cię zabiła.

– Może następnym razem będzie miała więcej szczęścia i oszczędzi wam kłopotów związanych ze sprzedawaniem mnie.

– Może im trochę odpuścisz? – wtrąca Kinski. – Za część tego wszystkiego sam ponosisz winę. – Nie mogę odczytać słów Kinskiego. Ma spokojny wzrok. Nie słyszę jego serca ani oddechu. W jakiś sposób ukrywa się przede mną. Może Candy nauczyła go paru sztuczek stosowanych przez Nefrytów.

– Dzięki za uratowanie mojego tyłka, doktorze. Naprawdę. Będę musiał tutaj chwilę posiedzieć. Później nie będę już żadnym kłopotem. Ale do tego czasu trzymaj się od tego, kurwa, z daleka.

Candy stoi w kącie pokoju. Nie zauważyłem jej wcześniej. Przyłgnęła plecami do ściany i próbuje być jak najmniejsza.

Przenoszę wzrok z powrotem na Allegrę i Vidocqą.

– Powinniście już iść. Nie chcę dłużej na was patrzeć. – Vidocq zaczyna coś mówić, ale przerywam mu. – Powinienem przewidzieć, że coś takiego się wydarzy. Piekło to cyrk prowadzony przez psychicznie chorych pacjentów. Niebo to zamknięta za bramą społeczność, dla której jesteśmy bękartami znieawidzonymi przez prawdziwe dzieciaki. Drobnny błąd tatusia. Co pozostaje nam na tym świecie? Chyba tylko opowieść Aelity o popękanych naczyniach. Śmieci spadają z nieba, ale nikt ich nie sprząta, bo śmieci zaczynają gadać. Dlaczego powinniśmy czegokolwiek oczekiwać od innych? Jak śmieci mogą ufać śmieciom?

Vidocq kiwa głową.

– Dobrze w takim razie. – Patrzy na Allegrę i oboje wychodzą, zamykając za sobą drzwi do gabinetu zabiegowego.

Kinski i Candy zaczynają układać instrumenty na półkach. Butelki. Zawiniątka z suszonymi roślinami. Tacę z zasuszonymi konikami morskimi. Kinski zawija kamienie w jedwab i chowa je w milczeniu.

– Co ci się stało w rękę? – pytam. Lewą ręką ma zabandażowaną aż do łokcia. W kilku miejscach przez bandaż przesiąka krew.

– Nic takiego. Kilka dzieciaków napadło na mnie w nocy. Chyba byli na haju. Raczej nie sprawdzili się jako złodzieje. Niczego nie dostali. Może po prostu chcieli kogoś pobić.

– Chwycili cię czy po prostu zaczęli popychać?

– A co to za różnica?

– Jeśli cię chwycili, to prawdopodobnie był to rabunek. Jeśli popychali, to pewnie chcieli skopać komuś dupę. Więc, jak było?

– Chyba najpierw mnie chwycili.

– A więc to był napad rabunkowy.

– Tak, ale nie zażądali portfela ani nie skopali. Przytrzymali mnie tylko i ciągnęli po ziemi.

– Próbowali zaciągnąć cię do samochodu albo do jednego ze sklepów?

– Jakby próbowali mnie porwać? Nie. Nie wydaje mi się. Po prostu byli naćpani.

– Nadepnałeś kogoś na odcisk? Masz jakieś długi?

– Nie mam. To nic takiego. Ot, życie w wielkim mieście. – Odkłada dwa ostatnie kamienie i odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem na twarzy. – Patrzcie, patrzcie, któż to mnie wypytuje o nadeptywanie na odcisk. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie masz już brązowy, srebrny i złoty medal.

Czekam chwilę, wahając się, czy mam mu o czymś powiedzieć.

– Odkryłem jedną z twoich tajemnic.

– Jaka?

– Kamienie, których użyłeś na Allegrze i na mnie. To szkło, prawda? Szklane kule z opowieści Aelity, pełne boskiego światła. Skąd je masz?

– Na eBay-u znajdziesz dzisiaj wszystko.

– Albo u pana Muninna – dodaje Candy.

– On bez wątpienia ma sporo ciekawych rzeczy.

– Dlaczego ich potrzebowałeś? – pytam. – Nie wyglądasz mi na hipisa w stylu New Age. I jesteś całkiem bystry. Dlaczego nie jesteś zwykłym lekarzem?

– Co ci mówiłem? Porozmawiamy, kiedy pozwolisz mi wyjąć te kule.

– W takim razie użycie na mnie tych kul było błędem. Ja już nawet ich nie czuję.

– Poczujesz. – Doktor krąży po pomieszczeniu, sprzątajac przybory. Inne sprawdza, zanim podaje je Candy. Ma tylko jedną sprawna rękę i niektóre upuszcza. Candy opiera się o brzeg stołu zabiegowego. Cofam nogi, żeby mogła usiąść. – Pobiegasz trochę za tymi swoimi sprawami, a niebawem je poczujesz. – Kinski podnosi małe, zielone gałazki z białymi kwiatkami na końcach. Candy pochyla się i odbiera je od niego.

– Widzisz? – zwraca się do niej. – Mówiłem ci, że mamy jeszcze ciemnyce.

– To dlatego ty tu jesteś doktorem – odpowiada Candy.

Kinski patrzy na mnie i zakłada ręce.

– Powinieneś odpuścić trochę Eugène’owi. On się za tobą wstawił, podczas gdy wiele osób pragnie posłać cię z powrotem tam, skąd przyszedłeś.

– Jesteś jedną z tych osób?

– Stoję na barykadzie.

– Dlatego nie jestem pewien, czy ufam ci na tyle, żeby dać się rozciąć.

– To wyobraź sobie, jak ja się muszę czuć, goszcząc cię u siebie, Ponury Piaskunie.

O tym nie pomyślałem.

– Jeszcze raz dziękuję za poskładanie mnie do kupy. Mam wobec ciebie dług.

– Będziesz miał ładniutką, nową bliznę do kolekcji – mówi Candy.

Pocieram pierś. Dziewczyna ma rację. W pobliżu serca, tam, gdzie wszedł miecz, mam prawie zaleczoną ranę.

– To ma swoją dobrą stronę. Teraz chyba będę odporny na broń jądrową. – Serce Candy zwolniło, ale źrenice ma wciąż rozszerzone. – Posłuchaj. Tamtej nocy zachowałem się jak dupiek. Nie miałem powodów, żeby tak z tobą rozmawiać. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Nefryci budzą strach u wielu ludzi.

– U mnie nie. Wiem o tym dobrze. Kiedy byłem na Dole, spotykałem Infernali bardziej honorowych niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, z którymi mam do czynienia tutaj. Spotykałem też ludzkie dusze, które były równie złośliwe i zdradliwe jak niektórzy Infernale. Zatem to, co powiedziałem ci wtedy, było podwójnym gównem. Ojciec złałby mnie za to i byłoby to zasłużone.

– Wybaczam ci. Wszyscy tu jesteśmy dziwadłami. Wysysacz krwi, który nie wysysa krwi. Człowiek, który uważa się za Diabła Tasmańskiego prowadzącego czołg. I dwuręczny szaman, który ma tylko jedną sprawną rękę.

– Dlaczego nie użyjesz kul, żeby się uleczyć? – pytam Kinskiego.

Kręci głową.

– One nie działają w ten sam sposób na każdego i nie wszystko mogą wyleczyć. Mam swoje zioła i torebki z lodem. Nic mi nie będzie.

– To zabawne, zostałeś napadnięty przez ludzi, którzy nie wiedzieli, czego właściwie chcą, i ze mną było podobnie.

– Masz na myśli anioła? – pyta Candy.

– Tak. Najpierw stosuje agresywne techniki sprzedaży, potem zmienia się w Matkę Teresę, żeby na końcu zachować się jak najgorszy psychol. Krzyknęła „wynaturzenie” i przebiła mnie.

– Jesteś pewien, że krzyknęła „wynaturzenie”?

– Wykrzyczała mi to prosto w twarz. Nie mam wątpliwości.

Candy krzywi się i mówi:

– Anioły potrafią być strasznymi kutasami.

– O, żebyś wiedziała, skarbie – wtrąca Kinski. – Posłuchaj, będziesz musiał na siebie uważać. Dziś Eugène’owi udało się powstrzymać Aelitę, ale to nie oznacza, że zdoła zrobić to ponownie.

– Myślisz, że ruszy moim śladem?

– Anioły nie używają pochoinnie słowa „wynaturzenie”. Dla niej jesteś tym, co leży najniżej. Czymś gorszym od Infernala.

– Zatem jeśli Parker, Mason, Infernale czy Departament Bezpieczeństwa Krajowego mnie nie dopadną, to zrobi to ona.

– Nie zapominaj o Sub Rosa – wtrąca Candy.

– Dzięki, słońce. Jeszcze Sub Rosa.

– Jeśli zrobi się za gorąco, zawsze możesz tutaj wrócić. Znam ludzi, którzy pomogą ci wydostać się z miasta – mówi Kinski.

– Zapamiętam. – Zsuwam się ze stołu i wypróbuję swoje stopy. Kto by pomyślał – nie przewracam się i nie mam ochoty zwymiotować. To takie drobiazgi czynią życie wyjątkowym. – Powinienem już iść. Znasz numer do korporacji taksówkowej?

– Mam jeden w biurku. Zaraz poszukam. – Wychodzi, a ja zostaję sam z Candy w pokoju zabiegowym. Schodzi ze stołu i przynosi mi plastikowy woreczek pełen czegoś, co wygląda jak nawóz.

– Doktor chce, żebyś to zaparzył i pił dwa razy dziennie, rano i wieczorem, aż wszystko minie. Nie martw się. To nie smakuje gorzej niż parzony dywanik podłogowy.

– Dzięki. Czy to właśnie podaje ci doktor, abyś nie była Nefrytką?

– Moja herbatka smakuje dużo gorzej niż twoja.

– Jak działa na ciebie ten odwyk?

– Wiesz, jak to jest. Program dzień za dniem.

– Zostałaś ugryziona czy co? Jak stałaś się Nefrytką?

– Trzeba się nią urodzić. Ten dar lub nieszczęście, w zależności od tego, kogo pytasz, pochodzi od żeńskiej strony rodziny. Mogę podać moich wszystkich nefryckich przodków aż do czasów pierwszej krucjaty.

– Jeśli w twojej naturze leży zjadanie ludzi, to czy nie jest dziwne przeciwstawiać się temu? I tysiącowi lat historii twojej rodziny?

– My wypijamy ludzi. Nie jemy ich. A wstrzeźliwość nie jest taka zła. Wszystko musi ewoluować, prawda? Jednego dnia jesteśmy małpami na drzewach, a następnego dnia małpami z opieką dentystyczną i telefonami komórkowymi. Najlepsze jest to, że nie rzucamy już w siebie gównem.

– Mów za siebie – mówię, a Candy wybucha śmiechem. Jej serce odrobinę przyspiesza. – Myślisz, że skoro doktor może cię powstrzymać przed spijaniem ludzkich soków, to pewnego dnia poczujesz się jak prawdziwy człowiek?

– Kombinujesz, Ponury Piaskunie. Chodzi ci o to, że jeśli doktor może sprawić, że będzie we mnie mniej z potwora, to może to samo zrobić dla ciebie?

– Nie powiedziałem, że jesteś potworem.

– Ale nim jestem. Według definicji człowieka jestem potworem. I zawsze będę, a więc: nie, nie uważam, że kiedyś poczuję się jak prawdziwy człowiek. Zostanę po prostu potworem, który wybrał mniejszą potworność. Kto wie? Może kiedyś się wyłamię i znów zacznę sączyć koktajle z ludzkiej krwi? Ale zamierzam się postarać, by nigdy się tak nie stało. Pytasz, bo jesteś ciekaw, czy doktor będzie potrafił zmienić cię w bibliotekarza, kiedy to wszystko się skończy?

Krażę wokół stołu, starając się odzyskać pełną sprawność w nogach. Candy wyciąga szyję, obserwując mnie uważnie. Dziwnie jest przebywać z nią sam na sam.

– Nie wiem tak naprawdę, czego chcę. Wiem, że nikt poza Piekłem nie może znieść mnie takim, jaki jestem. Mnie to raczej nie przeszkadza. Ale nie potrafię sobie wyobrazić bycia kimś innym.

– Spróbuj. Wyobraź to sobie przez kilka dni. Przekonaj się, jak to jest.

– Dlaczego nie? Ale ja jestem leniwy. Kiedy nadejdzie właściwa pora, spróbuję pewnie czegoś prostszego.

– Czego na przykład?

– Powrót do Piekła nie jest najgorszym rozwiązaniem, jakie mogę sobie wyobrazić. Znam już to miejsce. Mam tam reputację. Mógłbym pewnie odzyskać starą pracę i walczyć na arenie.

– Mówisz o zabiciu siebie?

– Nie. Nie jestem typem samobójcy. Chodzi mi o to, że kiedy będę miał wybrać właściwą chwilę, to nie będzie to stanowiło dużego problemu. Problem miałem ostatnim razem. Nie byłem gotowy. Nie wybrałem właściwej chwili. Tym razem będzie inaczej.

– Nie chcę się wtrącać, ale planowanie własnej gwałtownej śmierci, czy to przez zabicie siebie, czy przez pozwolenie, by zrobił to kto inny, pozostaje zwykłym samobójstwem.

– Tak myślisz? – Potrząsam głową i opieram się o ścianę, kiedy nagle brakuje mi tchu. – Nie słuchaj mnie. Gadam bzdury. Jestem zmęczony. Moi jedyni przyjaciele przekazali mi mamusce Normana Batesa. A za każdym razem, kiedy jestem bliski śmierci, myślę o Alice.

– Wiesz, że na Dole jej nie ma. Dasz się zabić i znajdziesz się dalej od niej niż kiedykolwiek dotąd, bez możliwości powrotu.

– Racja. Prawda jest jednak taka, że wystarczająco wielu ludzi chce mojej śmierci, żebym nigdy nie miał okazji dokonać takiego wyboru.

– Widzisz? Wszystko już się zaczyna układać.

– Zobaczymy, czy nie przyjechała już moja taksówka.

* * *

Budzę się wczesnym popołudniem, idę do łazienki i przeglądam się w lustrze. Candy miała rację. Miecz Aelity zafundował mi jedną z najlepszych blizn. Wygląda to tak, jakby grzechotnik wpelzł w ogień i skoczył mi prosto na pierś. Ta blizna to prawdziwe dzieło sztuki. Zasluguje na Oscara i na gwiazdę na Hollywood Boulevard. Zasluguje na własną balladę rockową. Teraz już chyba wiem, jak musiał się czuć Lucyfer, kiedy trafił go ostatni piorun i spadł z bawełnianych chmurek Nieba w głęboką ciemność.

Aelita najwyraźniej również coś mi dała. W Piekłe każda nowa blizna była darem. Ochroną przed nowym atakiem. Atak w kaplicy Aelity dał mi chyba coś jeszcze poza blizną. Przekazała mi część swojej anielskiej wizji. A może po prostu otworzyła moje trzecie oko,

zdolne do wyczuwania nastrojów i rytmu serca innych ludzi. Cokolwiek to jest, teraz widzę różnymi oczami i dostrzegam to, co próbowała mi przekazać. Kissi są wszędzie.

Na murze w alejce za Max Overdrive znajduję graffiti. Widzę je na budynkach i narożnikach ulic, na witrynach sklepów i słupach telefonicznych. Znaków nie wypisano w żadnym znanym mi języku, ale prawie potrafię je zrozumieć. Są jak słowo na czubku języka, którego nie możesz wypowiedzieć. Znaki zawierają pozdrowienia, ostrzeżenia i komunikaty.

Kissi włóczą się po ulicach, strasząc niedzielnych utracjuszy. Rodziny oglądają wystawy sklepowe, starając się wypełnić wspólnie czas i unikać rozmów ze sobą. W niektórych z tych rodzin matka lub ojciec są Kissi, bądź są przez jednego z nich opętani. Mała dziewczynka Kissi drepcze za rodzicami, trzymając braciszka za rękę, dosłownie wysysając z niego życie, podczas gdy rodzice zatrzymują się, by podziwiać przez okno wystrój birmańskiej restauracji.

Istnieją Kissi równie bladzi i eteryczni jak spaliny samochodowe. Szepczą ludziom do ucha kłamstwa. Wsuwają hotelowe rachunki do mężowskich portfeli. Ochoczo umieszczają drobne komórki paranoi, które rosną niczym czerniak, bo cóż może być weselszego o tej porze roku niż wakacyjna, rodzinna rzeź?

Muszę zejść z ulicy. Nie mogę dłużej na to patrzeć. Zwyczajni ludzie są wystarczająco źli, a ludzie deprawowani przez żywiące się chaosem istoty są czymś, czego teraz nie mogę znieść.

To, co dzieje się na ulicach, z pewnością nie jest odprężające. Kissi nie obchodzi, kto ich widzi. Czuwanie może mieć rację co do łamania paktu przez Kissi, ale w obecnej chwili zdaje się nie mieć pojęcia, co z tym zrobić.

Jest też wielu gliniarzy. W mundurach i po cywilnemu. Dużo więcej, niż mógłbym się spodziewać w okolicach świąt. Czy ludzie nie powinni teraz spać po tryptofanie, ajerkoniaku i nakazie Świętego Mikołaja, by się radowali? Może gliniarze wiedzą coś, czego nie wie cała reszta? Może wyczuwają prąd szaleństwa w powietrzu. Próbują wmieszać się w tłum świątecznych spacerowiczów, ale pozostają przy tym tak niewidoczni jak pająk na urodzinowym torcie.

Ja tylko chcę ciszy, filiżanki kawy i żadnych rozmówców. Kieruję się w stronę Donut Universe.

Jakiś geniusz zainstalował telewizor na ścianie za ladą z pączkami. Ci, którzy są wystarczająco głupi, by usiąść i wypić kawę w lokalu, jako dodatek do pączków otrzymują dwudziestoczworogodzinną mieszankę pogody, sportu i ludobójstwa. Kiedy w telewizji emitowane są miejscowe wiadomości, potwierdzają jeszcze więcej z tego, co mówiła mi Aelita. Rabunki. Morderstwa. Gwałty. Podpalenia. Prawdziwa spirala przemocy, której nie sposób kontrolować. Lokalni politycy i gliniarze nie mają pojęcia, jak się za to zabrać. Chyba ktoś przeniósł diabelską noc^{*} na grudzień i zapomniał powiedzieć ludziom, żeby się ukryli.

* Niesławna tradycja obchodzona w Stanach Zjednoczonych i innych krajach 30 października, w noc przed Halloween, polegająca na przeprowadzaniu aktów wandalizmu w całym kraju (przyp. tłum.).

Zielonowłosa dziewczyna, którą wcześniej tutaj widziałem, dziś również pracuje. Jest dobra w tym, co robi. Rozmawia z klientami. Uśmiecha się i słucha, nie wyglądając przy tym sztucznie lub idiotycznie. W innym miejscu i czasie każdej nocy kradłbym dla niej samochód i zostawiał na parkingu z kluczami w stacyjce. Ale tutaj i teraz nie wolno mi się w taki sposób zakochiwać. To kłopotliwe i rozpraszające. Gdyby był tu ze mną Vidocq, poprosiłbym go o eliksir. Tymczasowa lobotomia, proszę. Coś, co pozwoli przetrwać święta i może pozbyć się tego kretyńskiego dziewiętnastolatka, który wciąż żyje w mojej głowie.

Przenoszę wzrok z dziewczyny na płonące domy we wschodnim Los Angeles. Płaczące matki. Krzyżące dzieciaki. W wodzie jest krew, więc dziennikarze telewizyjni dostają od razu martwych oczu i rekinich zębów. Podsuwają mikrofony pod nosy kolejnych wdów, pytając: „Jak się pani po tym wszystkim czuje?”. Kocham Los Angeles.

Ciekawe, czy zawsze tak było. Czy Kissi to demony siedzące na naszych ramionach? A może po prostu nas lubią, ponieważ nasze diabły są tak głośne i trudne do przegapienia? Rozumiem, dlaczego Niebo i Piekło chcą kontrolować Kissi. Nie mogą pozwolić na to, żeby usłyszeli o nich zwyczajni ludzie. Po wybuchu paniki zbyt łatwo byłoby zrzucić na nich wszystkie złe nawyki ludzkości. Ponadto ktoś musiałby wyjaśnić, skąd się wzięli, a to oznaczałoby powstanie przekonania, że Bóg to nieudacznik, a diabeł się nie liczy. Żadna ze stron tego nie chce.

Zastanawiam się, czy Kissi jest wystarczająco silny, żeby wykiwać anioła? Może. Jeśli faktycznie są antyaniołami. Muninn powiedział, że ktoś porywa anioły na wzgórze, do Avili. Jak dla mnie, to brzmi jak kolejna gówniana, miejska legenda. Jak z dzieciakiem z tej samej ulicy, który zrobił głupią minę i tak mu zostało, więc jego rodzina musiała się wyprowadzić. Jeśli ktoś porywa anioły, to prawdopodobnie odpowiadają za to Kissi. Nie wydaje mi się, żeby nawet Mason był w stanie poradzić sobie z Aelitą.

Z parkingu nadchodzi dwóch facetów. Wyczuwam ich z drugiego końca lokalu. Ich gorąco i szybkie oddechy. Serca biją im w tempie karabinów maszynowych. Mimo to wyglądają nieciekawie. Starszy gość w szarym garniturze. Nastolatek z deskorolką pod pachą. Pochylają się nad ladą i zamawiają pączki. Nie widzę ich twarzy. Zamawiają kilkadziesiąt sztuk, cały karton. Zielonowłosa dziewczyna podlicza ich na kasie, a kiedy podaje im łączną kwotę, facet w garniturze wyciąga czterdziestkęczwórkę z kieszeni marynarki i strzela do niej. Nie przestaje strzelać. Musi prawie położyć się na ladzie, żeby opróżnić magazynek do końca.

Wstaję, kiedy ten wciąż koncentruje się na dziewczynie. Młody rzuca deskorolkę, wyciąga własnego gnata i celuje w moją stronę. Zatrzymuję się. Obaj są Kissi.

To nie jest dobry moment. Jestem słaby. Nie chcę teraz dostać kulki i oni o tym wiedzą. Śmieją się ze mnie.

- Niegrzeczny chłopiec – rzuca do mnie facet w garniturze.
- Ukradłeś naszą na'at – dodaje dzieciak.

– I to po tym, jak grzecznie zaprosiliśmy cię do swojego domu.

– Niektórzy ludzie nie potrafią się zachować.

– Ani trochę. Ale w porządku. Pohandlujemy. – Mężczyzna wskazuje swoją pierś, a potem moją. – Zachowaj dla nas to, co tam nosisz. Wrócimy z torebką na resztki.

– Miłego dnia – mówi dzieciak. Całe pudełko z pączkami jest zaplamione krwią. Młody otwiera je i wyciąga ciastko z jabłkiem. – Naprawdę powinieneś spróbować. Robią świeże każdego ranka.

Wychodzą z lokalu, jakby właśnie wygrali na loterii.

Stojąca za moimi plecami starsza kobieta zaczyna krzyczeć. Słyszę popiskiwanie telefonów, kiedy ludzie drżącymi palcami wybierają 911. Spoglądam za ladę, na zielonowłosą dziewczynę. Nie żyje. Jest równie martwa jak inni, których widywałem.

Czy tak samo wyglądała Alice?

Zegnaj, zielonowłosa. Ilu was jeszcze nie zdołam uratować?

* * *

Za narożnikiem stoi zaparkowany złoty lexus. Dziesięć sekund później należy już do mnie. Zjeżdżam na jedną z tych bezimiennych stacji benzynowych, kupuję paczkę papierosów, dwa plastikowe kanistry i koszulkę z nadrukiem CHIŃSKI TEATR MANNA. Płacę z góry za cztery galony paliwa, napełniam oba kanistry i wracam do samochodu. Zawsze świetnie radziłem sobie z kierunkami. Piekło sprawiło, że doskonale je wyczuwam nawet ze skopanym tyłkiem, więc wiem, dokąd zmierzam. Piętnaście minut później parkuję przecnicę od magazynu, w którym urzędują skinheadzi.

Rozdzieram koszulkę na dwie części i zamaczam je w kanistrze, pozwalając, by nasiąkły benzyną. Potem wciskam szmaty w otwory i kieruję się w stronę klubu.

Mija mnie gruby facet w hawajskiej koszuli i szortach khaki.

– Powinien pan zadzwonić na 911.

Zatrzymuje się.

– Był jakiś wypadek?

– Jeszcze nie.

Przed magazynem nie ma nikogo. Bo i po co miałby ktoś tam stać? Kto miałby się bawić przed budynkiem pełnym naćpanych gangsterów?

Podpalam szmaty za pomocą zapalniczki Masona. Grzecznie pukam do drzwi. Moja druga młodociana miłość, Ilsa, otwiera drzwi. Uśmiecha się do mnie w taki sposób, w jaki uśmiechasz się do starego psa, który nic nie może poradzić na to, że robi pod siebie.

– Czego, kurwa, chcesz? – pyta.

Kopię raz, otwierając przy tym drzwi i zmiatając ją z drogi. Rzucam oba kanistry niczym kule do kręgli, celując w przeciwległe końce magazynu.

Wybuchają, jeden w ułamek sekundy po drugim. Płomienie rozlewają się po ścianach jak

infernalna powódź. W środku natychmiast wybucha straszliwe zamieszanie. Krzyki. Przepychanki. Skinheadzi i ich panienki rozpychają się, biegnąc do wyjścia. Zamykam drzwi i kopię beczkę ze śmieciami, żeby je zablokować.

Biegący na przódzie skinhead to wielki goryl, którego dziabnąłem w nogę w Bambusowym Domu Lalek. Potyka się o beczkę i uderza twarzą o drzwi. Kilka następnych tonących szczurów przewraca się o niego. Upadają jak stłoczona masa wrzeszczących ciał, blokując drzwi. Wyglądają jak niezdarzy z komedii z poparzeniami trzeciego stopnia.

W końcu nacisk jest tak duży, że ciała i drzwi zostają wykopane na zewnątrz. Spanikowana, poparzona i zadławiona dymem rasa panów wypada na zewnątrz i przewraca się na ulicy.

Josef wybiega ostatni. Ubranie mu się tli, a twarz przypomina hamburgera, którego ktoś zapomniał zdjąć z grilla. Ilsa i tuzin jego sterydowych piesków podnosi się i podąża za nim.

Josef nawet się nie rozgląda. Wie, kto to zrobił. Idzie prosto w moją stronę. Widzę bestię pod jego skórą i trudno mi nawet stwierdzić, czy kiedykolwiek był człowiekiem.

Kiedy jest już blisko, zaczyna coś mówić. Może to jakaś pogróżka Kissi lub inny demoniczny tekst. Kogo to obchodzi? Rozcinam mu gardło czarnym ostrzem, nadając nożowi lekki skręt. Wygląda to inaczej niż u Kasabiana. Kiedy głowa Josefa spada na ziemię, jest całkowicie, w stu procentach martwy.

Podnoszę głowę za przypalone, jasne włosy i wpycham Ilsie w pierś. Dopiero po chwili dociera do niej, że ma ją chwycić. Czekam, aż jeden z dużych chłopców wykona ruch, ale ci gapią się tylko w karmazynową kałużę, która rozlewa się pod ciałem Josefa.

– Powiedźcie reszcie tych zwierząt i wszystkim Kissi, żeby trzymali się z daleka od mojej knajpy z pączkami – mówię.

Wracam do lexusa i spływam stamtąd, zanim zdolają sobie uzmysłowić, że ich jest pięćdziesięciu, a ja jeden.

* * *

Jeśli robisz to we właściwy sposób, czyszczenie broni może stanowić formę medytacji. Najpierw precyzyjny demontaż. Przymocowanie bawełnianej końcówki do wycioru, zamoczenie jej w rozcieńczalniku i przesuwanie wzdłuż lufy do przodu i do tyłu. Czyszczenie wszelkich szczelin i zakamarków za pomocą miękkiej szczoteczki do zębów. Uważne nakładanie na broń kilku kropel oliwy. W końcu staranne wytarcie całości i montaż przed przejściem do następnej sztuki broni, od najmniejszej do największej. To cichy, spokojny i kojący proces. Wstyd mi, że aż tak zaniedbałem broń. Powinienem ją wyczyścić zaraz po tym, jak wydobyłem ją spod podłogi u Vidocq'a. Dziki Bill z pewnością by się za mnie wstydził.

Zestaw czyszczący kupiłem w ekskluzywnym klubie strzeleckim w West Hollywood, po drodze do Max Overdrive. Do tego puszkę z WD-40, żeby wyczyścić na'at. Na stoliczku

nocnym przy łóżku stoi dolna połowa puszki po coli, którą wcześniej rozerwałem. Nalałem tam dwa centymetry Spiritus Dei, w którym teraz maczam każdy nabój przed załadowaniem broni.

Spotkanie z Kissi w Donut Universe przebudziło mnie. Teraz, kiedy nie mam żadnego wsparcia, muszę być znacznie ostrożniejszy.

Nie mogę wyrzucić z myśli obrazu zakrwawionej, zielonowłosej dziewczyny. Kiedy tylko mam wrażenie, że już się jej pozbyłem, jej miejsce zajmuje Alice.

Nic dziwnego, że jestem taki popularny.

Rozlega się pukanie do drzwi. Nie wstaję z łóżka, ale chowam zmontowaną czterdziestkępiątkę pod udem, skąd mogę ją błyskawicznie wydobyć. Nie mówię „proszę”, ale ona i tak wchodzi.

Allegra robi tylko kilka kroków w głąb pokoju, jakby obawiała się, że pod wszystkimi meblami czają się węże. Siada na starym stole, na którym Kasabian kopiował niegdyś swoje filmy, zrzucając kilka stert płyt DVD zabranych z regałów na dole. Zanurzam kolejną bawełnianą końcówkę w rozcieńczalniku i wracam do czyszczenia broni.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, co ci się przydarzyło? O tym, co zrobił Mason?

– Vidocq zdradził ci mój mały sekret? Czy on bierze udział w jakimś konkursie, o którym nic mi nie wiadomo? Okantuj przyjaciela trzykrotnie w ciągu jednego dnia, a wygrasz bilety na Springsteena?

– Chciał po prostu, abym wiedziała, dlaczego jesteś, jaki jesteś.

– No to już wszyscy wiedzą. Przysłaś tu, żeby się napawać? Poddaję się. Wygrałaś. Pokazaliście mi z Vidocqiem, jaki ze mnie dureń.

– Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz.

– Księżniczko, ja wiem tylko dwie rzeczy. Jedna to zamiar zabicia Masona i Parkera, przed czym nic ludzkiego i nieludzkiego mnie nie powstrzyma. A druga to że jestem zupełnie sam.

– Daj sobie spokój z tym męczeńskim tonem. Widziałam, jaki jesteś.

– Nie rozumiesz. Uważasz, że tak mówię, bo wciąż jestem wściekły. Nie jestem. Teraz po prostu lepiej to wszystko pojmuję. Mój przyjaciel doskonale mi to wyłożył. Ja nie jestem jednym z was. Jediną rzeczą, dla której teraz żyję, jest zabicie tylu ludzi i zniszczenie tylu rzeczy, ile konieczne, żebym osiągnął swój cel. Według standardów większości normalnych ludzi, to czyni mnie potworem. Niech im będzie. A jeśli wciąż będę żywy po tym, jak to wszystko się zakończy, wrócę tam, gdzie mieszkają potwory.

– Do Piekła?

– To moje miejsce. Tam chcę się znaleźć.

Allegra podnosi stertę płyt DVD i zaczyna je układać.

– Eugène cię kocha – oznajmia.

– To miło. Mój ojciec też mnie kochał. Raz próbował mnie zastrzelić.

– Co?

– Pojechaliśmy kiedyś zapolować na jelenie. Było tuż po wschodzie słońca i panował taki ziąb, że widziałem swój oddech. Zobaczyłem wśród drzew wielkiego daniela. Ruszyłem przed siebie, a ojciec skradał się za mną w odległości kilku metrów. Zauważyłem jelenia na polanie i dałem ojcu znak, żeby się zatrzymał. Uniosłem karabin i strzeliłem. W momencie kiedy naciskałem spust, usłyszałem drugi wystrzał i coś uderzyło mnie w bok głowy. Strzał mojego ojca chybił o jakieś dwa centymetry i trafił w drzewo, przy którym się pochylałem. Odwróciłem się w jego stronę, krwawiąc z ran od kory i drzazg. Podbiegł do mnie, przepaszając i zapewniając, że to był tylko wypadek, pytając, jak się czuję. Ale za całą tą paniką w jego oczach panowały tylko strach i obrzydzenie. Nienawidził siebie samego za to, że oddał strzał, ale jeszcze bardziej nienawidził mnie za to, że wciąż oddycham.

– Tak mi przykro.

– Jeśli ktoś mówi ci, że cię kocha, to wcale nie oznacza to, że nie rozpierdoli ci życia przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– A co z Alice? Ona też rozpierdoliła ci życie?

– Nie. Ona jedyna tego nie zrobiła.

Allegra opróżnia kilka przepelnionych popielniczek do metalowego kosza na śmieci na podłodze.

– Czy to niczego nie oznacza?

– Nie. Wyznałem jej miłość chyba z milion razy. Nie uratowało jej to życia. To właśnie ją zabiło.

– Ale kochaliście się. Wciąż jest to w tobie.

– Ty kochałaś swojego handlującego dragami chłopaka. Założę się, że każdego dnia mówił ci o miłości. Co ci to dało?

– Tu nie chodzi o mnie.

– Masz rację, nie chodzi. Dlaczego więc nie pobiegiesz z powrotem do Vidocq'a i nie pozwolisz mi skończyć pracy, żebym mógł zostawić za sobą was wszystkich i to miasto?

Potrząsa głową, spycha kolejne śmieci ze stołu do kosza i rusza w stronę drzwi.

– Kiedy odejdę – mówię za nią – możesz przejąć całkowicie Max Overdrive. Parker zabił Kasabiana, więc ten z pewnością nie zechce odzyskać interesu. Jestem przekonany, że Vidocq wymyśli coś ciekawego, żebyś wyglądała na właścicielkę tego miejsca od samego początku.

Upuszcza kosz ze śmieciami przy drzwiach. Pozwala mu się przewrócić i rozsiać dookoła opakowania po jedzeniu, puste puszki i pety.

– Wiesz co? Ty nie jesteś potworem. Jesteś po prostu skurwysynem. Eugène powinien pozwolić Aelicie wybawić cię od tego żalostnego losu.

– Do widzenia, Allegra. Idź posprzątać u Eugène'a.

Kopie kosz, który stoi jej na drodze i z hukiem zamyka za sobą drzwi. Słyszę wyraźnie

każde jej tupnięcie, jakby karała schody. Najmniejszy tyranozaur w boskiej kolekcji.

* * *

Po wyjściu Allegry kończę czyścić i składać broń. Potem wyciągam stare gazety spod stołu i rozkładam je płasko na podłodze.

Kiedy rozciągasz na'at na całą jej długość, otrzymujesz trzy metry bardzo ostrych, infernalnych zębów ze stali, kolców i haczyków. Niektóre mają mechanizm sprężynowy, gotowy do użycia w momencie podniesienia na'at. Inne otwierają się dopiero po ich wyzwoleniu przez przyciski na rękojeści.

Na'at zwykle używa się tak samo jak włóczni, wyposażono ją jednak w jeszcze jeden spust, który powoduje, że środkowa część trzonka traci sztywność. Na'at staje się wówczas miękka niczym mięso z kurczaka i zmienia w metalowy bicz zdolny do zerwania skóry z nosorożca z łatwością, z jaką obiera się ze skórki winogrono. Nigdy nie obierałem ze skórki winogrona ani nie zdierałem skóry z nosorożca, ale wiadomo, o co chodzi.

Wspominam o tym dlatego, żeby pokazać, iż podstawowa na'at ma dużo więcej złożonych, mechanicznych części niż cokolwiek innego, co stworzył człowiek. Kiedy decydujesz się na użycie WD-40 na na'at, konieczne jest zarezerwowanie sporo miejsca i przygotowanie warstwy gazet, które wchłoną nadmiar płynu. Przed rozpoczęciem rozpylania oliwy i rozcieńczalników w swojej sypialni warto też otworzyć okno, o czym zwykle zapominam.

W końcu zbieram wszystkie gazety i odkładam na bok na'at. Ukrywam pistolety pod materacem, idę do łazienki i zmywam WD-40 z dłoni. Zniszczyłem już tyle ciuchów, że zostałem zmuszony do powrotu do firmowych koszulek ze sklepu i dżinsów. Zakładam jedwabny płaszcz i wsuwam do wewnętrznej kieszeni nóż. Przed wyjściem otwieram trzy duże okna naprzeciw łóżka.

Krótki spacer do Bambusowego Domu Lalek pozwala pozbyć się smrodu z nosa i głowy. Po drinku i papierosie z zadowoleniem wracam na Ziemię. Kiedy Carlos przynosi mi jedzenie, piję za jego zdrowie. Niewiele dla niego zrobiłem w ostatnim czasie, nie licząc smażenia skinheadów i obcinania im głów, ale nie mogę z nim rozmawiać na ten temat. Zaczyna rozmawiać ze mną o sporcie i staram się powiedzieć coś, co nie zabrzmie głupio, ale przed zejściem na Dół nie interesowałem się zbytnio sportem. W końcu poddaje się i odchodzi, żeby obsłużyć innych klientów.

Nie rozmawialiśmy ostatnio zbyt dużo. Nie chciałem za wiele rozmawiać. Dobrym pomysłem jest zapewnienie faceta, że doceniam to, co robi, jego jedzenie i bar. W tej chwili Carlos jest jedyną osobą na tej planecie, którą mógłbym nazwać przyjacielem. Po śmierci Wisienki, Jayne-Anne i Kasabiana nikną również nici łączące mnie z Masonem, więc siedzę w centrum miasta, nie mając dokąd pójść i co zrobić. Kiedy przebywasz w takiej okolicy, potrzebna ci przynajmniej jedna osoba, która stanie po twojej stronie. Najlepiej taka, która ma

swój bar.

Wypijam kolejne dwa drinki i nagle czuję bardzo wyraźnie, że jeśli wypiję jeszcze jednego, będę musiał zacząć z kimś rozmawiać.

Doskonale wyczuwam właściwy moment powrotu do Max Overdrive. Docieram do drzwi w tej samej chwili, kiedy po raz ostatni zaciągam się papierosem. Wrzucam niedopałek do kontenera na śmieci i wchodzę do środka tylnym wejściem.

Zapach oleju i rozcieńczalnika zdążył się już ulotnić, ale niespodziewanie wyczuwam zupełnie inny. Alkohol? Środek dezynfekujący? Na schodach cuchnie jak w szpitalnej poczekalni.

Chwilę później wszystko jest już jasne. W tym samym momencie ląduję jednak na podłodze, a cały świat tańczy wokół mnie. Jestem przekonany, że ma coś z tym wspólnego robot- duch w prochowcu, który macha mi kijem bejsbolowym przed samym nosem.

Kawałki świata zaczynają powoli wracać na swoje miejsce w układance i dostrzegam, że robot- duch nie jest tak naprawdę ani robotem, ani duchem. To Kasabian, połączony do kupy za pomocą wielu metalowych prętów i śrub. Jego głowę otacza metalowa obręcz przytrzymywana przez stalowe kołki przymocowane do klamry na piersi. Konstrukcja usztywniająca. Utrzymuje mu głowę na szyi wystarczająco mocno, żeby mógł stać, ale przez całą tę uprząż porusza się jak zardzewiała zabawka. Jednak jak na dziecięcą zabawkę całkiem nieźle dołożył mi w zębra.

Odbijam kilka uderzeń rękami, co boli dokładnie tak samo jak brzmi. Kasabian jest tak sztywny, że musi stać w jednym miejscu, żeby nade mną pracować. Szczęściarz ze mnie. Biorę zamach nogą i uderzam go pod kolano. Upada na nie, ale nie przewraca się. Dalej grzmoci mnie kijem, szczerząc zęby, pocąc się i czerwieniąc na twarzy. Teraz jednak atakuje z mniejszego zasięgu, więc uderzenia mniej boją.

Znów biorę zamach nogą. Tym razem trafiam w górną część metalowej konstrukcji. To zwraca jego uwagę. Kasabian upuszcza kij i niczym krab wycofuje się poza zasięg mojej stopy.

Nie licząc pierwszego ciosu z zaskoczenia w tył czaszki, nie zrobił mi wielkiej krzywdy. Porusza się tak, jakby do połowy zamarzł w lodzie. Nie może zebrać sił, żeby zadać poważniejsze obrażenia. Gdyby nie to, że chodzi, mógłbym przysiąc, że jego ciało jest w stężeniu pośmiertnym. Może się boi, że od nadmiaru akrobacji odpadnie mu głowa. Sprawdźmy to.

Nadal leżąc na podłodze, wyprowadzam kopniaka w jego głowę. Kasabian próbuje usunąć się z drogi, ale jestem szybszy. Mimo to chybiam. W porządku. A więc ten pierwszy cios w czaszkę bardziej wstrząsnął moim mózgiem, niż mi się wydawało.

Ruszam po broń ukrytą pod materacem, ale wciąż mam parszywego cęla. To zapewnia Kasabianowi szansę na powtórne wbicie mi kija w zębra. Gdyby w mojej głowie nie panował taki chaos i tak nie bolała mnie pierś, to pewnie zdołałbym rzucić na Kasabiana zakłęcie.

Czuję każdego siniaka po ataku Kissi. Poza tym całe te zapasy sprawiają, że znów odzywają się kule. Pieprzony Kinski miał rację, że jeszcze nie raz się wściekną.

Kiedy Kasabian ponownie próbuje przyłożyć mi kijem, wykonuję szybszy ruch i chwytam jego rękę. Jeden skręt nadgarstka i kij wypada mu z dłoni na podłogę. Kasabian cofa się i opiera o ścianę. Sięga po coś ukrytego pod brudnym prochowcem, ale nie jest dość szybki. Świat wokół uspokaja się, staje bardziej namacalny. Sięgam po kij i biorę zamach. Trafiam w jego stelaż, który wykrzywia się, sypiąc metalowymi kołkami.

– Kurwa! – rzuca Kasabian. Jego głowa uwalnia się, utrzymywana teraz tylko przez szwy i kilka pozostałych kołków. Nie odrywając pleców od ściany, prostuje kolana. Ma szeroko otwarte oczy. Już nie widać w nich takiego gniewu. Przypomina sobie, jak to było, kiedy jego melon spadł po raz pierwszy i nie podoba mu się to, co widzi. To dlatego tak drżą mu ręce i mamrocze „nie, nie, nie”, kiedy wyciąga spod płaszcza coś przypominającego krótką gałąź. Obiekt owija mu się wokół ręki, od nadgarstka po łokieć.

Teraz moja kolej. Skinhead w barze u Carlosa próbował strzelić do mnie z Diabelskiej Stokrotki, ale właściwie nie wiedział, co robi. W tak małym pokoju, nawet tak okaleczony, na wpół martwy wrak jak Kasabian nie może chybić. Bardziej martwi mnie jednak coś innego.

– Stój! – krzyczę i podnoszę rękę. Kasabian tylko się gapi. Chyba nie spodziewał się tak szybkiej kapitulacji. Na jego twarzy wyrasta szeroki uśmiech. Wymachuje Stokrotką, dziabiąc nią powietrze i próbując mnie zastraszyć. Jestem wystraszony, ale z innego powodu, niż myśli.

– Posłuchaj mnie, Kas. Wiem, że Parker i Mason dali ci to coś. Jeśli tego użyjesz, umrzesz. Tym razem naprawdę. Bez drugiej szansy.

– Pocałuj mnie w dupę, facet. Oni mi pomogli. Parker mnie stąd wyciągnął, a potem oddali mi moje ciało.

– Nieźle sobie poradzili. Wyglądasz jak moszna Frankensteina. Ledwie się poruszasz. Nie uważasz, że gdyby cię lubili, znaleźliby odpowiednie zakłęcie, żeby zamontować ci głowę na dobre?

– To twoja wina! Twoja i tego cholernego noża. Pozostawił po sobie jakiś magiczny osad. Próbowaliśmy wielu rzeczy, ale moja głowa nie chciała się połączyć z resztą. Parker przygotował dla mnie ten stelaż. Jest do dupy, ale to i tak lepsze od spędzenia reszty życia w szafie i oglądania telezakupów w oczekiwaniu na kulkę, którą wpakujesz mi w mózg.

– Masz rację. Trochę w twoim wypadku przesadziłem. Przepraszam. Chciałem dostać Masona, a trafiło na ciebie. Dostała ci się porcja żalu, którą chowałem dla niego. To nie było w porządku. Teraz już wszystko wiesz. Przepraszam.

– Przepraszam? Nawet gdybyś nie odciął mi głowy, to i tak przyszedłeś tu po to, by mnie zabić. Myślisz, że słowo przepraszam załatwi sprawę?

– Nie jestem pewien, czy chcesz znać prawdę.

Kasabian unosi Diabelską Stokrotkę na wysokość twarzy. Robię kilka kroków do tyłu, aż

docieram na drugi koniec łóżka. Wciąż jestem w zasięgu.

– Powiedz mi – nakazuje.

– Kiedy tu przyszedłem, to owszem, planowałem cię zabić. Ale po dziesięciu minutach już mi to minęło. Co więcej mógłbym przez to osiągnąć? Mason i tak nieźle cię załatwił, zanim tu dotarłem.

– Tak, tyle że on znów jest po mojej stronie.

– Nie, nie jest. Nigdy nie był po twojej stronie i nigdy nie będzie. Myślisz, że oddał ci ciało i skierował tutaj, żebyś mnie dopadł? To jest ukartowane. Jesteś tu po to, by zabić siebie. Mnie również, ale głównie siebie.

– Popatrz na siebie. Boisz się. Teraz powiedziałbyś wszystko.

– Zapytaj mnie, jak czują się Wisienka i Jayne. To będzie ciekawe pytanie.

– Dlaczego? To podchwytliwe pytanie?

– Tak. Obie nie żyją. Parker je wykończył. Zabija każdego, kto ma powiązanie z nim i Masonem. Dał ci broń, która prawdopodobnie mnie zabije, ale gwarantuję, że zabije też ciebie.

– Ależ z ciebie kłamca. Kiepski w dodatku. Trzęsiesz się ze strachu.

– Boję się, że zrobisz coś głupiego.

Wymachuje Stokrotką w moją stronę.

– Nie nazywaj mnie głupim!

– Przepraszam. Po prostu nie rób nic, czego nie mógłbyś... nie moglibyśmy cofnąć.

Zaczyna kiwać głową. Kiwanie szybko jednak zmienia się w skurcz, który popycha mu ramiona i głowę z powrotem na ścianę. Serce wali mu jak młot. Żrenice zwięzają się. Wie, że wygłupił się przede mną, i naprawdę się wścieka.

– Kas, Mason i Parker wykorzystują cię.

– Gadaj zdrów, truposzu. Już słyszę tę bandę demonów, które czekają na ciebie z nożami i widłami.

Cofam się jeszcze o krok. On to zrobi. Czuję, jak zaczyna wrzeć od środka.

– Nie rób tego, stary. Ty też zginiesz.

Na jego twarz powraca uśmiech.

– To bardzo miłe. Ta chwila ciszy przed śmiercią. Dzięki za kłamstwa i skamlenie. To było naprawdę interesujące przedstawienie.

O, kurwa.

Wiem, co się zbliża, więc nie czekam dłużej. Nurkuję na podłogę. Kiedy strzela z Diabelskiej Stokrotki, jestem już za łóżkiem i rozkładam na'at w konfiguracji włócznie. Złożona, infernalna sieć krawędzi, kątów i zębów wzdłuż broni wyrzuca ogień, który przelatuje nad moją głową. Potem dzieje się coś jeszcze. To, czego obawiałem się najbardziej.

Stokrotka wybucha, a pokój zmienia się w Drezno po bombardowaniu aliantów. W Rzym w czasach, kiedy Neron bawił się i sikał na spanikowane tłumy. W Hamburg, Chicago i

Hindenburg wybuchające jednocześnie tuż obok. Wszystko, co mogę w tym momencie zrobić, to trzymać nieruchomo na'at i skierować supernową na drugą stronę łóżka.

I koniec. Żadnego ognia. Żadnego dymu. Nic. Stokrotka wchłonęła resztki płomieni. Pokój jest całkowicie zniszczony. Ze ścian podpadała boazeria, spadła część sufitu, a kłamoty ze stołu do kopiowania filmów leżą wszędzie wokół, jakby przeszło tędy tornado. Poszły wszystkie szyby w oknach.

Chwytam zwęglone łóżko i odsuwam je od siebie. Kasabian leży pod spodem. Biorąc pod uwagę, jak wyglądał przed eksplozją, wcale nie prezentuje się tak źle. Brakuje mu prawej ręki. Odebrała mu ją eksplozja Stokrotki. Głowa również mu odpadła. Klękam i odsuwam na boki śmieci. Chwilę później zauważam ją pod łóżkiem.

Biedny, głupi, pieprzony Kasabian. Gdyby wciąż żył, udusiłbym go. Teraz jednak nie mam nawet do niego żalu za to, że dołożył mi kijem bejsbolowym. Nie byłem dla niego zbyt miły. Naprawdę udało mu się powalić mnie na kolana i cieszyć się przez chwilę triumfem, miał więc swoje pięć minut, zanim popełnił straszliwy błąd i zaufał Masonowi. Kasabian był idiotą, ale nie był całkowicie głupi. Musiał wiedzieć, że Mason w najlepszym wypadku go nienawidzi. W najgorszym uznaje za insekta. Czy Kasabian naprawdę nie wiedział, co się wydarzy, kiedy naciśnie spust? A może chciał popełnić seksowne zabójstwo z samobójstwem, które trafi do miejscowych wiadomości? Durni dziennikarze i tak by wszystko przekreśli. Uznaliby to za nieudany przekręt ubezpieczeniowy albo stwierdzili, że byliśmy nieudacznymi terrorystami. Najprawdopodobniej jednak wybraliby najseksowniejszą z opcji, kłótnię kochanków, która zakończyła się tragedią. Z pewnością chciał zabić nas obu. Wtedy przynajmniej jeden z nas wiedziałby, że mu się powiodło. To ja wiedziałbym, że mnie dostał, że jestem naprawdę martwy i nic nie mogę na to poradzić.

Stoję w bezruchu przez dłuższą chwilę, nasłuchując, czy zbliżają się syreny. Gdybym dysponował czasem i jasnością umysłu, mógłbym prawdopodobnie stworzyć zakłęcie, które trzymałoby wszystkich z daleka lub skierowało ich w inną stronę. Ale teraz nie jestem w stanie tego zrobić. Czekam więc.

Syren nie słychać. Po tym, jak Stokrotka zniszczyła pokój, ogień znikł tak szybko, że zaoszczędziło mi to tłumaczenia się z bezgłowego ciała, kolekcji broni, sprzętu do kopiowania filmów i mnie samego. Kim jestem? Technicznie rzecz biorąc, jestem martwy, dzięki. Wystarczy zapytać o to Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

Odzywa się czyjaś komórka. To nie mój sygnał. Obmacuję ciało Kasabiana i znajduję telefon. Jeden z tych tanich modeli na kartę. Otwieram klapkę i czekam.

– Hej – słyszę czyjś głos. – Co jest, człowieku? Załatwione czy nie?

– Kto mówi?

Chwila ciszy. A potem zdławiony śmiech.

– To ty, Stark? O, mój Boże. Co za dupek. Daję Kasabianowi miotacz płomieni i bombę w jednym, a on nie potrafi cię zabić. Gdzie on jest?

– Wszędzie. W kawałkach.

– Przynajmniej jedno poszło dziś po mojej myśli. Musisz się teraz nieźle czuć, co? Dumny z siebie. Skopałeś dupę facetowi bez głowy. Dzięki, zamaskowany bohaterze. Uratowałeś nasze miasto.

Nasłuchuję oznak napięcia lub stresu w jego głosie. Szkoda, że nie widzę jego oczu i nie mogę poczuć jego potu. Ale w tym gównianym aparacie Parker brzmi słabo, odległe, jakby dzwonił z dna Rowu Mariańskiego.

– To ty wysłałeś przeciwko mnie na wpół martwego faceta. Jak sobie to wyobrażałeś, co?

– Spodziewałem się pańskiej śmierci, panie Bond – mówi z kiepsko udawanym, niemieckim akcentem. – Prawdę mówiąc, założyliśmy się z Masonem. Uważał, że ten jeden raz Kasabian zrobi coś właściwie. Powiedział grubasowi prosto w twarz, jaką pokłada w nim wiarę. Chyba wygrałem ten zakład.

– I co teraz? Wyślesz za mną kolejne kaleki? Ślepców ze śrutówkami? Babcie na wózkach z piłami spalinowymi? Jakie będzie twoje kolejne mistrzowskie posunięcie? Jak dotąd widziałem tylko twoje żalosne usprawiedliwienia za wysadzonego w powietrze zabójcę i ciebie samego postrzelonego w plecy. A tak przy okazji, jak to odczułeś? Cieszę się, że Mason cię uratował. To oznacza, że znów będę mógł cię zabić.

– Uspokój się, skarbie, bo się zmęczysz. Zaufaj mi. Będziesz miał swoją szansę. Jeszcze się spotkamy. Nie tutaj. Nie teraz. Ale to już wkrótce nastąpi. Daję słowo.

– Nie mogę się doczekać.

– Nie musisz. Mason wysłał ci spóźniony prezent gwiazdkowy. Nie martw się. Żadnych eksplozji czy ataków ninja tej nocy. Po prostu dowód jego i mojego uznania dla tego, że tak długo trzymasz się przy życiu. A skoro o tym mowa, jak zdołałeś przetrwać tam, na Dole? Obciążałeś fiuty demonom każdego dnia? Miałeś wolne w weekendy i święta?

– Całuj mnie w dupę, twardzielu. Wkrótce się przekonasz.

Na linii zapada cisza. Rzucam telefon w kąt pokoju. Teraz przynajmniej wiem już jedno. Parker zabrał Kasabiana tam, gdzie ukrywa się Mason. Był tam z nimi oboma. Widział ich kryjówkę, być może nawet słyszał, co planują. Mason uznał Kasabiana za idiotę i wiedział, że tak czy inaczej, ten będzie dziś martwy. Dlaczego więc nie miał swobodnie przy nim mówić? Sprawić, żeby poczuł się częścią planu? Jeśli Mason przekonał Kasabiana, że ten na swój sposób awansował i że będzie się bawił z dużymi chłopcami, Kas nie zadawał żadnych pytań, tylko pobiegł jak pies.

Muszę pogadać z Kasabianem. Nie zdołam jednak do niego dotrzeć, jeśli jest w Piekło. Nie ma mowy, żeby moja noga stała teraz na Dole. Muszę do niego dotrzeć, zanim wskoczy na prom.

Znam tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć, na dodatek bardzo gówniany.

Stokrotka zaoszczędziła mi kłopotów związanych z przesuwaniem stołu ze sprzętem do kopiowania. Dopycham go tylko do ściany, żeby nie stał mi na drodze. Kopię połamaną,

brudną od tynku boazerię, pety i butelki po Jacku Danielsie, aż udaje mi się oczyścić obszar dwa na dwa metry. Nie licząc mebli, większa część tego bałaganu jest całkiem lekka. Łatwo jest w nim przebierać w poszukiwaniu czegoś, co jest ciężkie – ołowiu, który dał mi Kinski.

Zacznij od narysowania trzynastu okręgów, sześciu na zewnątrz, sześciu w środku i jednego w samym centrum. Weź ołów i narysuj linię przez cały środek, tworząc coś w rodzaju średnicy. Teraz pociągnij linie do pozostałych okręgów zewnętrznego pierścienia, powtórz to samo z pierścieniem wewnętrznym. Ostatecznie uzyskasz siedemdziesiąt osiem linii łączących wszystkie trzynaście okręgów. Panie i panowie, poznajcie Sześcian Metatrona. Jeden z najświętszych symboli. Duszę anioła Metatrona, głos Boga. Świetnie się nadaje do odpychania demonów, zombie i mrówek na pikniku. Pierze, prasuje i robi tysiąc innych rzeczy. No, tysiąc dwie, jeśli narysujesz go na cegle i rzucisz w szybę samochodu nowego chłopaka twojej byłej dziewczyny.

Głowa Kasabiana leży pod łóżkiem. Wyciągam ją i kładę mu na piersi, po czym chwytam jego ciało za kostki i zaciągam na Sześcian. Prostuję ręce i nogi, kładę głowę Kasa z powrotem na jego ramionach, starając się ogólnie sprawić, żeby wyglądał jak istota ludzka, a nie wielka kupa mięsa.

Pod jednym z okien leżą resztki ostrzegawczego zawiniątka, które przyniosła dla mnie Inkwizytorka Medea u Vidocqa. Zostawiam wilczy ząb. Teraz potrzebne mi tylko krucze pióra. Każdy kawałek tego ptaka będzie teraz potrzebny. Zwłaszcza kiedy zadajesz się ze zmarłymi. Kruki to takie psychopompy. Przeprowadzają zmarłych z tego świata do następnego. Istnieją szybsze, bardziej bezpośrednie sposoby porozumiewania się z duszami, ale krucze pióra przydają się, jeśli nie chcesz, żeby jakieś bystre buciory wykopały ci duszę z ciała, kiedy jesteś bezbronny w kolejce na połączenie z duszyczką ciotki Lily.

Rozdzieram koszulę Kasabiana, zanurzam pióra w jego krwi i maluję mu na piersi mniejszą wersję Sześcianu Metatrona. Potem otwieram mu usta i wkładam jedno z piór do środka. Moczę palec w jego krwi i używam jej do wymalowania sobie kółka nad trzecim okiem.

Jedyna niestłuczona butelka Jacka Danielsa leży pod materacem razem z bronią. Otwieram ją i pociągam kilka dużych łyków. Cokolwiek myślałem o Kasabianie, cokolwiek planowałem mu zrobić po tym, kiedy go wytropię, malowanie go jego własną krwią i smarowanie nią siebie nigdy nie leżało w moich planach. Jeszcze jeden łyk i mogę zaczynać.

Kładę się w Sześcianie obok Kasabiana, tak aby nasze ramiona i stopy się stykały. Używam czarnego ostrza do przecięcia jednego z moich nadgarstków, wystarczająco głęboko, by krew płynęła, ale nie na tyle głęboko, by stracić władzę w dłoni. Przechyliam butelkę, żeby pociągnąć jeszcze raz na odwagę i przecinam drugi nadgarstek.

Czuję się teraz miło i spokojnie. Ciepło i falująco. Jack i płynąca krew wykonują swoją robotę. Wkrótce stracę przytomność. Zanim się to jednak stanie, wsuwam sobie drugie krucze pióro między zęby i tam je zostawiam.

Stoję na środku pustyni. Alkaliczna równina jest spękana i lśniąca. Na horyzoncie widzę smugę światła, która się nie porusza. Jest zawsze albo przed wschodem albo tuż po zachodzie słońca. Wybierz sam. Powietrze jest gęste i mam kłopoty z oddychaniem. Światło ma barwę wodnistą, zielono-błękitną.

Kasabian stoi kilka metrów dalej, ubrany w tę samą koszulkę z Max Overdrive i spodnie, które miał na sobie tej nocy, kiedy mnie postrzelił.

– A więc to jest to? – pyta. – To jest śmierć?

Idę po spękanej ziemi w jego stronę.

– Nie. Teraz jesteś między światami. Nie ma tak naprawdę tej pustyni ani tego wschodu czy zachodu słońca. To wszystko jest tylko po to, żebyś miał na co patrzeć podczas oczekiwania. Jesteś przełączany z linii na linię, a to taka muzyczka w tle.

– Czekam tutaj, żeby dowiedzieć się, czy trafię do Nieba czy do Piekła, a to tutaj jest najlepszym osiągnięciem wszechwiedzących mocy wszechświata? Jestem trochę rozczarowany.

– Nie bądź naiwny, człowieku. Wszyscy wiedzą, dokąd zmierzasz. Może po prostu nie wysprzątała dla ciebie pokój.

Kasabian kiwa głową.

– Masz rację. Po co się łudzić? Spierdoliłem sobie życie i nawet śmierć miałem do dupy.

– A więc mamy jasność? Wiesz już, że to nie ja ciebie zabiłem, tylko że zrobił to Parker, tak?

– Nie powinienem nigdy im zaufać. Dlaczego Mason miałby mi pomagać po tych wszystkich latach? Myślałem, że coś się teraz zmieniło. Wydawało mi się, że po twoim powrocie znów będę mu potrzebny.

– Gdzie on jest?

– Posłuchaj, wcześniej byłeś ze mną szczery. Wiesz, kiedy mówiłeś, że przykro ci z powodu zamknięcia mnie w szafie. Teraz ja chcę być szczery z tobą.

– Nie przejmuj się tym. Nie mamy za dużo czasu. Gdzie ukrywa się Mason?

Kasabian patrzy przez ramię na góry w oddali. Rozlega się niski odgłos gromu. To już nie potrwa długo. Odwraca się z powrotem w moją stronę.

– Wiedziałem, że tamtej nocy coś się kroi. Mason coś dla ciebie szykował. Myślałem, że po prostu chce rzucić jakiś pasożytniczy urok albo coś w tym rodzaju. Wyssać z ciebie całą moc i wziąć ją dla siebie. Ale kiedy pokazali się ci Czyhacze...

– Kissi. Nazywają się Kissi.

– Nie wiedziałem, że zamierza zrobić coś takiego.

– A co wiedziałeś o Alice?

– Nic. Nie robiłem takich rzeczy kobietom. I na dodatek cywilom? To chore.

– Powiedziałbyś mi, gdybyś cokolwiek wiedział?

Wzrusza ramionami i patrzy pod nogi. Kręci głową.

– Daj spokój, stary. To nie jest nawet prawdziwe pytanie. Stawiać czoła Masonowi to mniej więcej tak, jakby obrać sobie za przeciwnika diabła.

Nie mogę odczytać martwego człowieka tak jak żywego. Żadnego bicia serca. Żadnego oddechu. Nieruchome źrenice. Ale nie potrzebuję tego.

– Wierzę ci – mówię. – A Mason nie jest diabłem. On tylko lubi przebieranki. Powiedz mi, gdzie on jest, a dorwę go dla nas obu.

– Nie wiem, gdzie dokładnie przebywa. Tam było tak, jak tutaj. Dziwnie i jakoś nienaturalnie, ale jeszcze gorzej. Gdzieś daleko, w mrocznym miejscu. Ale to nawet nie była taka zwyczajna ciemność, raczej taka, która nie ma pojęcia, że w ogóle istnieje światło. Jakby światło było kryptonitem dla tego miejsca. Nikt tam nie przebywał, ale nie było też pusto. Prawdę mówiąc, panował tam tłok. Ale to była pełnia niczego. – Podnosi ręce w wyrazie frustracji. – To wszystko nie ma chyba sensu.

W górach znów rozlega się grom. U podstaw jednej z nich, odległej o wiele kilometrów, pojawia się świetlny punkt. Otwarto drzwi. Chwytam Kasabiana za ramię i zaczynam prowadzić go w tamtą stronę.

– Posłuchaj, kiedy znajdziesz się w Piekło, poszukaj faceta imieniem Belial. To jeden z generałów Lucyfera. Powiedz mu, że cię wysłałem, i zapytaj o pracę. I dodaj, że powiedziałem, żeby nie posyłał cię do dołów.

– Do dołów? – pyta Kasabian. – Do jakich dołów?

– Kiedy powiesz mu, kto cię wysłał, pamiętaj by dodać, że zrobił to Ponury Piaskun. I przypomnij mu, że Piaskun wie, gdzie on mieszka.

Kasabian rzuca mi spojrzenie.

– Kim, kurwa, jest Ponury Piaskun? To brzmi jak tytuł japońskiej kreskówki.

– Po prostu mu powiedz – mówię i puszczam jego ramię. – Ja dalej nie idę. Mam na świecie parę spraw do załatwienia.

Kasabian patrzy na drzwi i na mnie.

– Wiem – mówi. Odwraca się i kieruje w stronę gór. – Do zobaczenia.

– Pewnie tak.

Znów leżę płasko na plecach. Przełykam ślinę i krucze pióro niemal wpada mi do gardła. Odwracam się na bok i wypluwam je na podłogę. Nie ma jak w domu, nie?

Już nie krwawię, ale wyglądam jak ostatnie nieszczęście. Znów. Poza tym że skopano mi dupę, moim głównym osiągnięciem podczas tej wyprawy było zniszczenie ogromnej liczby całkowicie niewinnych ciuchów. Jestem Józefem Stalinem pralni. Zrzucam koszulkę, ciskam ją na stertę innych śmieci i wsuwam na siebie jedwabny płaszcz.

W uszach wciąż mi dzwoni, ale jestem pewien, że nie jada w tę stronę żadne syreny (ćpuny nie będą po nikogo dzwonić, a kto inny kręci się nocą w tej okolicy?). Jakiś spóźniony przechodzień mógłby się jednak zainteresować. Na dodatek jutro o jedenastej poranna zmiana otworzy sklep. Nie mogę tu zostawić ciała Kasabiana. Najpierw muszę coś znaleźć.

Znajduję to pod połamanymi resztkami stolika nocnego. Magiczne pudełko Alice. Wybuch trochę je uszkodził. Zakrwawiona bawełna w środku oderwała się, ale wciąż jest w jednym kawałku. Wkładam je pod łóżko, blisko ściany.

Ściągam koc z łóżka, owijam nim ciało i oklejam pakunek taśmą izolacyjną, którą wzięłem z za lady. Znoszę Kasabiana na dół i wychodzę tylnymi drzwiami. Biorę również kilka pustaków, z których korzysta dzienna zmiana podczas przerwy na papierosa. Staram się z całych sił nie myśleć o tym, co robię. Choć robiłem w życiu wiele nieciekawych rzeczy, nigdy nie pozbywałem się czyjegoś ciała. I mimo że przyprawia mnie to o migrenę, uważam, że brak doświadczenia w pozbywaniu się zwłok mówi wiele dobrego o mnie i o wyborach, jakie podejmowałem.

Jakaś przecznicę dalej znajduję nowego, lśniącego SUV-a bmw, którego nazwa kojarzy mi się ze zbyt wieloma losowo zestawionymi literami. To sprawia, że odczuwam mniejsze wyrzuty sumienia, kiedy go kradnę.

Objeżdżam przecznicę, zatrzymuję się przy Max Overdrive i ładuję na tył ciała i pustaki. Potem jadę do Fairfax i skręcam na południe. W Wilshire zbaczam na lewo i cisnę gaz tak długo, aż widzę mamuty. Zwierzęta wpadają do smoły w La Brea Tar Pits* od ostatniej epoki lodowcowej. Ostatnio nieco rzadziej, gdyż doły zostały ogrodzone i otacza je porządny kawałek miejskiej zieleni pod nazwą Hancock Park. Stoi tam też duże muzeum. Mnóstwo czaszek wilków i ptasich kości. Sklep z pamiątkami. Wkrótce dołączy też martwy eksmag, właściciel sklepu wideo.

W nocy w tej części Wilshire nie ma zbyt dużego ruchu. Wjeżdżam na krawężnik i prowadzę wóz po ceglanej ścieżce wiodącej do muzeum. Kiedy w końcu określam właściwy słup, wciskam gaz do podłogi i wbijam się w niego bmw przy pełnej prędkości. Szyba i przedni zderzak wozu są zmasakrowane. Spod maski z sykiem ulatuje para. Dobra wiadomość jest taka, że słup z kamerą ochrony jest teraz aluminiową wykałaczką leżącą tuż przy drzwiach muzeum.

Jeśli kiedykolwiek będziesz obciążać zwłoki, pamiętaj o tym, że trudność nie polega na przymocowaniu do sztywniaka pustaków, lecz na ich prawidłowym wyważeniu. Jestem jednak pewien, że dysponując odpowiednim czasem i doświadczeniem, mógłbym zaproponować tak świetnie wyważone połączenie trupa i pustaków, że mógłby z niego skorzystać linoskoczek, teraz jednak nie będę się tym zajmował. Zaparkowałem kradzionym wozem przy głównej arterii komunikacyjnej. Mam płaszcz założony na goły tors i świeże blizny na nadgarstkach. No i wlokę zwłoki wyposażone w materiały budowlane. Nie mam czasu na subtelności, tu potrzebne są bezmyślna przemoc i brutalna siła.

Zarzucam sobie obciążone ciało Kasabiana na ramię i wyciągam je z wozu. Kilka metrów za ogrodzeniem upuszczam go na plecy. Pochylam się i chwytam ciało za kostki, po czym

* Ranczo La Brea Tar Pits to zespół lepkich, asfaltowych jezior i jedno z najciekawszych stanowisk paleontologicznych na świecie (przyp. tłum.).

zaczynam wirować niczym kulomiot. Po kilku obrotach kręci mi się w głowie, ale jednocześnie wytworzyłem niezłą energię. Kiedy go puszczam, Kasabian wylatuje w powietrze. Leci, obracając się wzdłuż najdłuższej osi niczym zapomniana, pozbawiona możliwości kontroli radziecka sonda powracająca na Ziemię.

Ciało uderza w smołę z głuchym łupnięciem. W pierwszej chwili nawet się nie porusza. Kasabian pływa buntowniczo po powierzchni, niczym trupie burrito, odmawiając zatonięcia, jakby zażądał, żeby zeżarł go któryś z miejscowych dinozaurów leżących na dnie jeziora. W końcu dociera do niego, jak nierozsądne są jego życzenia, i zaczyna iść pod powierzchnię. Powoli. Bardzo powoli. Znika głowa Kasabiana, potem tors. Kiedy widoczne są już tylko golenie i stopy, odchodzę. Jeśli nawet rankiem powierzchnia jeziora ze smołą będzie nierówna, policję bardziej zainteresuje kradziony wóz.

Powrót piechotą do Max Overdrive jest długi i wyczerpujący. Po wejściu do pokoju pozostaje mi jedynie odwrócić materac na drugą stronę. Nie zdejmuję nawet płaszcza. Biorę z łazienki kilka czystych ręczników, które posłużą za poduszkę, i się kładę.

Przez całą noc męczy mnie piosenka, która leciała w Bambusowym Domu Lalek:

*Płynę z prądem i zagubiłem się
I chyba oszalałem, jeżdżąc po twoim imieniu,
A przejeżdżając dwa razy, wpadam w lód,
w Alice...*

Czy istnieją ludzie wystarczająco mądrzy, by zdać sobie sprawę, że są zgubieni, nim jeszcze zwali się na nich świat, jak w tych starych kreskówkach, w których na bohaterów spadają fortepiany? Z pewnością są tacy ludzie, ale ja nigdy do nich nie należałem. Zanim zszedłem do króliczej dziury, wiedziałem, że potrafię żartem, kłamstwem i oszustwem wybrnąć z każdej sytuacji. To prawdziwe cechy zawodowca, a ja byłem niczym Superman.

Alice nigdy nie lubiła Masona i nie ufała reszcie Kręgu. Ja też nie. No, przynajmniej ta gadzia, zębata część mojego mózgu, ale to tylko sprawiało, że lepiej się z nimi bawiłem. Czuję się też lepszy, zwłaszcza lepszy od Masona. Alice nie widziała w tym niczego zabawnego. Mówiła o Kręgu jak o kokainie, a mnie traktowała jak uzależnionego.

– Czy mamusia i tatuś nie mówili ci, że jak będziesz się bawił ze złymi chłopcami, to zostaniesz za karę po lekcjach?

– Moja mama uważała mnie za najprzystojniejszego chłopaka na świecie. Ojciec nauczył mnie strzelać i uśmiechać się, kiedy dostaję od kogoś na odlew. Tyle mniej więcej pamiętam.

Alice miała na sobie biały podkoszulek i czarne majtki. Przygotowywała kawę, ale przerwała, podeszła bliżej i usiadła mi na kolanach.

– I dlatego cię kocham. Jesteś chłopakiem idealnym. Nie wychodź dziś z tymi magicznymi dupkami. Zostań ze mną w domu. Zjemy jabłecznik i będziemy się pieprzyć na

okrągło.

– Muszę iść. Mason ma nam dziś pokazać coś dużego. Chcę tam być i nasikać na jego paradę.

Wstała i wróciła do kuchni.

– Dobrze. Idź zatem. Idź i pokaż tej bandzie durni, że jesteś od nich lepszy. To coś wielkiego, prawdziwe, pierdolone osiągnięcie.

– To dla mnie ważne. Nie zrozumiesz tego, bo nie masz tego daru. Większość Sub Rosa to bogate kutasy lub gotyckie szczeniaki palące skręty. Ale ja czasami muszę przebywać wśród ludzi używających magii. Wśród ludzi, przed którymi nie muszę się tłumaczyć.

– Bardziej pociąga cię popisywanie się przed nimi, niż bycie ze mną. Oni są niebezpieczni i wciągną cię w coś groźnego i głupiego, jak przyzwanie diabła. A kiedy zginą lub trafią za kratki, ty będziesz wśród nich.

Chwyliłem kurtkę i ruszyłem w stronę drzwi.

– Muszę iść. Spóźnię się.

– Wiesz, pozowanie na przedwcześnie dojrzałego nie jest już fajne, kiedy masz tyle lat, że możesz kupować piwo. Dorosnij. Przestań zachowywać się jak pieprzony dzieciak.

– Wiesz, czasami zachowujesz się, jakbyś nie była sobą – rzucam na odchodnym. – Twierdzisz, że nie obchodzi cię magia. Uważasz, że nie jesteś zazdrosna, a jesteś. Chciałabys mieć to wszystko co ja albo sprawić, żebym ja nie miał niczego. Pieprzyć to.

Później, w nocy, Mason zrobił swoją małą sztuczkę i już nigdy więcej nie widziałem Alice.

Tyle że teraz stoi u stóp łóżka i patrzy na zniszczony pokój. Nie musi w ogóle się odzywać. Wiem dobrze, co myśli, bo ja myślę o tym samym – ten bałagan jest rodzajem metafory dla mojego życia. Alice wzdycha. Podnosi drobne przedmioty, upuszcza je, bierze następne. Potrząsa głową, zdumiona tym wszystkim, aż zaczynam odczuwać wstyd.

Wiem, że to wszystko nie jest prawdziwe. Ta Alice to golem. Jest prezentem, który wysłali mi Mason i Parker. Ta zjawia nie jest rzeczywistą Alice, tak samo jak kupa mięsa wrzucona do smoły nie była Kasabianem.

Oczy golema są mlecznoszare. Skóra jest spękana i poznaczona czerwonymi, zielonymi i brązowymi liszajami jak stary granit. Z połamanych zębów splywa krew. Palce Alice-golema są samymi kośćmi, jakby coś je obgryzło.

Niestety nawet świadomość nierzeczywistości tego zjawiska nie sprawia, że ono zniknie lub że nie będzie miało na ciebie wpływu. Kiedy Alice kończy przyglądać się moimi mini-Pompejom, pochyła się nade mną i zaczyna szeptać:

– Nie wrzuciłbyś mnie do czarnej smoły, prawda, Jimmy? Tam nie ma powietrza. I jest tak ciemno... Nie zrobiłbyś mi tego, kochanie?

* * *

Poranna zmiana przybywa niczym stado słońatek podkreconych taką ilością kawy i napojów energetyzujących, jaka zapewniłaby zawał nosorożcowi. Są wiecznie zmieniającą się grupą dzieciaków. Nie znam ich imion i nie chcę znać. Jest Blondyn Surfer, Surfer Kozia Bródka, Koleś z Dredami i tak dalej. Wszyscy są po prostu kolesiami. Senne spojrzenia. Poziom inteligencji skasowany przez fajki wodne. Wymyślają skomplikowane systemy katalogowania filmów, bo alfabet wprawia ich w zakłopotanie.

Jeden z nich puka do moich drzwi. Otwieram je bez zakładania koszulki. Nadgarstki zagoiły się, ale wciąż mam na rękach zaschniętą krew. Mam nadzieję, że nie zniszczyłem płaszcza. Czas rozejrzeć się za pralnią.

To Surfer Kozia Bródka. Śmierdzi, jakby używał płynu z fajki wodnej w charakterze wody kolońskiej. Nawet nie zauważa, że nie mam koszulki i jestem brudny od zaschniętej krwi.

– W nocy spadło kilka półek w sekcji z porno – melduje. – Co mamy z tym zrobić?

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie żartuje. Potem uzmysławiam sobie, kim jest ten koleś.

– Może jeden z was powinien to posprzątać?

– Dobra, ale tylko ja mogę pracować przy kasie. Bill ma alergię na kurz, a Rudy właśnie narodził się od nowa, więc póki mu nie przejdzie, znajduje się w strefie bez pornografii.

– A więc żaden z was nie może udać się na tył sklepu i pozbierać filmów?

– Chyba nie. Poza tym sufit popękał. Tu chyba też coś popękało – dodaje, wskazując pokój. Przymykam nieco drzwi.

– Pieprz to. To tylko porno. Jak ludzie będą chcieli pornoli, to przekopią się przez nie bez względu na to, gdzie leżą. Może na podłodze bardziej im się nawet spodoba? Całą kolekcję tych płyt można by rzucić na wielką stertę.

– Co?

Zapomniałem. Kiedy jesteś tak nawalony jak Surfer Kozia Bródka, śmiesz cię tylko kreskówki i kiedy innym ludziom dzieje się krzywda.

– Nieważne. Po prostu otwórz sklep i daj mi się ubrać.

– Kiedy wraca pan Kasabian?

Patrzę na chłopaka. Czy ta naćpana ziołem małpa o sarnich oczach coś podejrzewa? Czy będę musiał poddać tego durnia lobotomii?

– Wróci, jak będzie gotów – odpowiadam.

– Dobra. – Odchodzi, jakby już zapomniał całą rozmowę.

Zamykam drzwi i przekręcam zamek. Będę musiał przyzwyczaić się do ich zamykania za każdym razem. Za dużo tu broni. Za dużo krwi na podłodze. Za dużo śladów po magii na ścianach. Jeszcze tego mi trzeba, żeby jakiś upalony dzieciak przespał się na Sześcianie Metatrona i obudził z duszą na haku na straganie jakiegoś łowcy.

Robię porządek w łazience. Wokół odpływu utworzył się brązowy pierścień. Muszę kupić

jakiś środek do czyszczenia, zanim cała ta krew, którą wylewałem do zlewu, weźre się na stałe w emalię. Ciekaw jestem, czy Kasabian miał jakiegokolwiek ubezpieczenie od wypadku albo trzęsienia ziemi. W jednym z kartonów widziałem jakieś dokumenty, będę musiał je przejrzeć. Byłoby miło, gdyby Allegra mogła przywrócić ten pokój do stanu używalności, gdy już sobie pójdę.

Płaszcz leży zwinięty w kłębek na łóżku. Wygląda dość kiepsko. Chwalić Lucyfera, że mam czarne dzinsy, bo nie widać na nich krwi. Znajduję w pudle ostatnią koszulkę z logo Max Overdrive w moim rozmiarze i zakładam ją. Jediną rzeczą, jaką muszę założyć na koszulkę, żeby zamaskować broń, jest na wpół spalona kurtka motocyklowa. Będę w niej trochę dziwnie wyglądał, ale wciąż daje się nosić. Ze względu na jej stan nie mam oporów przed rozcięciem podszewki i wsunięciem do środka na'at. Zabieram jeszcze w ramach wsparcia nóż Azazela, ale od tej pory zamierzam nosić broń, która pozwoli mi trzymać napastników na dystans. Nie wyczołgałem się z Piekla na Ziemię po to, żeby zbańczyć, nieustannie kupując nowe koszulki.

Dopiero po dłuższej chwili poszukiwania znajduję miejsce, w którym ukryłem pieniądze Muninna. Wsunąłem je do pudełka z filmami Vala Lewtona, które po wybuchu przefrunęło na drugi koniec pokoju. Wyciągam plik banknotów i rzucam pudełko na łóżko.

Wsunąwszy płaszcz pod pachę, zamykam pokój i wymykam się tylnymi drzwiami, niezauważony przez żadnego z kolesi.

W alejce czeka Aelita. Stoi tam niczym anioł śmierci w stroju bibliotekarki. Upuszczam płaszcz i robię kilka kroków w głąb alejki, żeby nie mieć za plecami muru.

– Nadajesz się na okładkę „Fortune” – mówię. – Znasz może w pobliżu jakąś przyzwoitą pralnię?

Kręci głową i piorunuje mnie ostrym spojrzeniem. Albo tak jej się wydaje.

– Czuwanie widziało cię ostatniej nocy. To, co zrobiłeś z tym człowiekiem. Jesteś obrzydliwy.

– Jestem wynaturzeniem. Czego oczekiwałaś? Jeśli mieliście mnie, klauni, na radarze, to wiecie dobrze, że wynosiłem tylko śmieci i że nie zabiłem Kasabiana. Zabił go ktoś, kim już dawno powinniście się porządnie zająć.

– Poszedłeś za tym biednym człowiekiem w śmierć i nawet tam go dręczyłeś.

– Rozmawiałem z nim. Przekazałem mu moją rekomendację. Pomogłem mu bardziej, niż wy kiedykolwiek pomogliście mnie.

– Zaoferowałam ci wczoraj pomoc. Pomoc i odkupienie.

– Pomogłaś mi tak bardzo, że doktor Kinski musiał potem sklejać mnie w jedną całość.

– Nie wypowiadaj w mojej obecności tego nazwiska! – krzyczy. – To jedyna żywa istota, która przerasta cię niegodziwością.

– Dzięki. Twoja nienawiść do Kinskiego sprawia, że czuję do niego jeszcze większą sympatię. Może jednak pozwolę mu się rozciąć.

– Po co czekać? Ja mogę to zrobić już teraz.
– Tak, ale kiedy zrobi to Kinski, to jemu podczas tego nie stanie.
– Śmiesz w taki sposób odzywać się do anioła Pańskiego?
– Jeśli zraniłem twoje uczucia, to sprowadź tu Boga, żebym mógł Mu to wyjaśnić prosto w twarz.

– Może jednak jesteś gorszy od Kinskiego.

– A ty jesteś najbardziej bezużyteczną istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nawet najgorszy Infernal ma przed sobą jakiś cel. A ty jaki masz? Nie potrafisz utrzymać paktu, który ma chronić świat przed zniszczeniem. Nawet nie ruszasz w pogoń za Masonem. Dlaczego?

– Nie waż się mnie przesłuchiwać. Szukamy Masona od wielu lat.

– Ale to nie to samo, co odnalezienie go, prawda? Chodzi mi o to, że skoro nikt nie próbuje rozprawić się z gościem, to zastanawiam się, czy nie chodzi tu o coś innego.

– Jesteśmy agentami Nieba i robimy, co nam nakazano.

– I jako ci agenci pozwalacie Parkerowi włączyć się na wolności i mordować ludzi, ludząc się, że w ten sposób zaprowadzi was do grubej ryby. Ile osób zabił Parker przez te jedenaście lat, a ty nic nie zrobiłaś w tej sprawie?

– Nagle tak troszczysz się o innych? Ludzie umierają każdego dnia, a ty ledwie zdajesz się to zauważać. Czym cię to czyni?

– Pierdol się, anielico. Pierdolę ciebie i wszystkie te suki z Pańskiego więzienia. Wciska wam fajki i uśmiechy dla skazanych, a wy biegniecie robić dla Niego brudną robotę. Idź i postrasz paru grzeszników. Tutaj nikt ciebie nie słucha.

Nie potrafię odczytywać aniołów tak jak ludzi, ale potrafię czytać z postury wojownika. Aelita porusza się lekko, cofając lewą stopę i pozwalając, by spoczął na niej ciężar ciała.

– Bóg może cię jeszcze ocalić, wynaturzenie. Nie zmieni twojej ohydy, ale poprzez mnie może ocalić cię od zguby.

– Jeśli tobie wszystko jedno, to wolę iść do Piekła.

– Niech będzie.

Aelita z pewnością pamięta wczorajszy dzień. Zdziwiająco szybko dobywa swego płonącego miecza i wystrzeliwuje do przodu niczym pocisk. Rzecz w tym, że ja też jestem szybki. Zwłaszcza wówczas, kiedy wiem, do czego zmierza przeciwnik. Zanim mnie dopada, mam już w dłoni rozłożoną na'at i okrążam ją z flanki. Kiedy kontynuuje swój atak, nadziewa się przy okazji na jedną z końcówek na'at, co daje podobny efekt jak wpadnięcie na piłę łańcuchową.

Aelita zastyga na sekundę, ze zdumieniem odkrywając, że jej anielskie ciało zostało rozcięte. To pozwala mi lekko skrócić na'at, dzięki czemu kolce blokują się w niej. Wydaje z siebie potworny ryk, który z pewnością dotarł aż do bram Nieba. Budynki drżą, a w zaparkowanych samochodach włączają się alarmy. Nie mogę puścić na'at, żeby zakryć uszy.

Jej krzyk przypomina imadło, które miażdży mi czaszkę.

Robi zamach mieczem w stronę mojej głowy i próbuje zrobić krok do przodu, ale jest nabita na na'at. Naciskam zgrubienie na rękojeści i cofam się, blokując ją w miejscu i jednocześnie wydłużając na'at, żebym znalazł się poza zasięgiem ostrza.

Aelita jest silna. Próbuje doskakiwać do mnie, ale za każdym razem tylko głębiej nabija się na ostre krawędzie na'at. Przystaje się miotać i stoi, krwawiąc. Widzę, jak blednie jej twarz. Po kilku chwilach jej miecz przygasa. Aelita nie upada jednak. Nie chce poddać się wynaturzeniu. Gdybym jej tak nie nienawidził, pewnie już bym to zakończył.

Nagle całkowicie wiotczeje, jakby ktoś wyciągnął jej wtyczkę. Kiedy leży płasko na plecach, obracam na'at, żeby uwolnić kolce, wysuwam broń z jej piersi i składam.

Chowam na'at wewnątrz kurtki i podchodzę bliżej, żeby się jej przyjrzeć. Ma otwarte oczy i choć patrzy w górę, wiem, że nie spogląda ku niebu. Patrzy zdecydowanie dalej. Jestem ciekaw, co widzi.

– Będziesz za to cierpiał, wynaturzenie. Wiesz o tym? Bóg widzi wszystko i widzi też ciebie.

– A ciebie widzi? Mam pomysł. Wezwij Boga, żeby tu zszedł i cię uratował. – Patrzę w górę razem z nią. – I nic. – Spuszczam wzrok na nią. – Chyba jednak nie jesteś niezastąpiona.

– Nienawidzę cię bardziej niż cokolwiek innego, co w życiu widziałam lub poznałam.

– No i mamy prawdę. Nienawidzisz mnie. Nie z przyczyn boskich, lecz z twoich własnych. Miłe uczucie, prawda? Bardzo ludzkie.

Zastanawiam się, czy anioły umierają tak samo jak ludzie. Ciekawe, co się dzieje z ich ciałami. Czy ich duch powraca do Nieba lub Piekła, czy po prostu wyparowują?

Kłękam przy głowie Aelity. Patrzy na mnie gasnącym wzrokiem.

– Myślałem o czymś. Pamiętasz, kiedy cię zapytałem, dlaczego Bóg zostawił mnie w Piekło? Odpowiedziałaś, że prawdopodobnie uznał, że jestem tam, gdzie być powinienem. Może postanowił też, że dziś powinienem się tutaj znaleźć i stawić ci czoła w tej alejce? Może chce, żebym skończył to, po co wróciłem, ale żeby tego dokonać, musiałem pozbyć się ciebie? To dobry temat do rozmyślań dla nas obojga.

Aelita prostuje ramię i próbuje dobyć swego miecza. Wojowniczką do samego końca. Może jednak troszkę ją lubię. Nie. Jednak nie.

Nie wierzę w to, że anioły umierają tak samo jak my. Bóg nie pozwoliłby komuś tak ważnemu jak Aelita po prostu odejść. Wells i jego kumple ze Złotego Czuwania wraz z połową Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego muszą być już w drodze. Czas znaleźć pralnię, kupić ciuchy i zabrać się stąd.

* * *

Istnieje jeden dobry sposób na to, by zawsze zdobyć coś od kogoś, kto niekoniecznie chce ci to sprzedać. Zapłać z góry i zapłać za dużo. Kiedy rzucasz płaszcz pokryty krwią i tynkiem,

nie ma co skąpić. Starsza kobieta stojąca za ladą w pralni obdarza mnie znad okularów spojrzeniem w stylu „mogę zadzwonić po gliny”. Wsuwam jej w dłoń jedną z setek Muninna i w jednej chwili o wszystkim zapomina. Płaszcz będzie gotów pod wieczór. Cywile muszą pamiętać o tym, że gotówka jest magią, którą każdy może praktykować.

Dokąd poszli wszyscy Kissi? Wczoraj pełno ich było na ulicach, a dziś wywiało ich niczym piątkową premierę z kiepskim wynikiem weekendowym.

Co, do cholery, dzieje się w Los Angeles? Mnóstwo magów, alchemików, wysysaczy krwi, Złote Czuwanie i anioły opłacane przez rząd federalny, i nikt nie może tknąć Masona? To nie ma żadnego sensu. Śmierdzi protekcją. Śmierdzi też konspiracją, ale ja nie wierzę w konspirację. Faceci powiedzą wszystko, żeby się z kimś przespać. Jeśli jakiś gość z CIA pomyśli, że może się trochę rozerwać, mówiąc studentce, że jest agentem, to zrobi to z całą pewnością. Skoro jednak nie ma konspiracji, to o co w tym chodzi? Może ktoś przygotował jakąś listę dupków, o której nikt mi nie powiedział? Ściskasz dłoń siłom ciemności i dostajesz podarunek od Neimana Marcusa wraz z darmowym kuponem na morderstwo i apokaliptyczne rozrywki.

Czy Mason jest kuloodporny dlatego, że trzyma sztamę z Kissi? Czy wszyscy naprawdę się aż tak boją? Co on takiego musiał zrobić, żeby udobruchać tego niebiańskiego szkodnika? Co musiał ukraść? Kogo polecono mu zabić? Jakiego lovecraftowskiego robala z kanałów musiał rozwalić, żeby zaprzyjaźnić się z boskimi bękartami?

Nie wierzę w konspirację, wierzę jednak w gówno i sądzę, że tkwię w nim teraz po uszy.

Podrzucam Veritas, która spada i pokazuje płataninę czegoś, co wygląda jak drut kolczasty. Kolczasty las w Szeolu, dzikim, zachodnim regionie Pieła. Ciernie, niczym kolce afrykańskiej caatingi, obrobią do kości wszystko, z czym się zetkną z szybkością, jakiej nie osiągnie pirania z piłą łańcuchową. W wolnym tłumaczeniu można powiedzieć, że infernalny skrypt na krawędzi monety oznacza: Jeszcze nie jest za późno, żeby zawrócić i zrobić maturę. Nie potrafię stwierdzić, czy Veritas przekazuje mi poradę, czy robi sobie jaja z mojej żalnej sytuacji.

Zużyłem już większość poczucia łaskawości lub obowiązku, którym dysponowałem w tym życiu, ale nie chcę zmienić się w kolejnego dupka z Los Angeles, który szuka numeru jeden. Wyciągam komórkę i dzwonię do Allegry. Nie odbiera. Wybieram mój stary numer, ale u Vidocq również nikt nie podnosi słuchawki. Piszę do Allegry wiadomość, układając tekst w podobny sposób, jak ona do swoich znajomych: „3maj zamk drzwi. Mason śle samobójce z bombami”.

Jestem ciekaw, czy Wells i jego agenci zabrali już Aelitę. Nie zaszkodziłoby się o tym szybciotko przekonać. Chińczycy wierzą, że dom pogrzebowy w pobliżu twojego sklepu przynosi ogólnego pecha, a szczególnie parszywie wpływa na interesy. Jakiego pecha musi w porównaniu z tym przynosić martwy anioł leżący przy twoich tylnych drzwiach?

Kradnę jaguara zaparkowanego przy restauracji wegetariańskiej, tuż przy solarium. Czy

solarium w Los Angeles nie jest równie durnym pomysłem jak klinika krioterapii na Alasce?

Nie ma za mną żadnego samochodu, więc mogę powoli przejechać w pobliżu Max Overdrive i zerknąć w alejkę. Aelity już tam nie ma. Żadnej krwi, żadnych śladów przypalenia po jej mieczu. Nic nigdy się tam nie wydarzyło. Dziękuję, szeryfie federalny. Wypiję za twoje zdrowie w Nowy Rok.

* * *

Byłbym naprawdę szczęśliwy, gdybym od teraz, kiedy zamierzam zabić Masona, aż do powrotu na Dół nie musiał z nikim rozmawiać. Ale tak niestety się nie da. Jadę jaguarem do Allegry i chwilę później łomocę do jej drzwi. Robię to wystarczająco głośno i długo, żeby wywabić sąsiada, który informuje mnie, że nie ma jej w domu od kilku dni i mam wypierdalać. Jadę do Vidocqa i porzucam jaguara kilka ulic wcześniej. Na narożniku znajduje się niewielka winiarnia. Wchodzę w cień na tyłach. Dwóch siwowłosych facetów siedzących na plastikowych skrzynkach po mleku ignoruje dziwnego, białego chłopaka robiącego dziwne rzeczy.

Drzwi Vidocqa są otwarte. Zwykle nie ma w tym nic dziwnego, drzwi otwierają się i zamykają, kiedy tylko wchodzi lub wychodzi. Ale teraz stoją otworem i brakuje im tajemniczej poświaty, co oznacza zniknięcie czaru, jakby ktoś zmył go wodą z mydłem.

– Kiedy oni tam wstawili mieszkanie?

Wścibski sąsiad stoi na końcu korytarza i gapi się na otwarte drzwi. Chce się przyjrzeć, ale nie zbliża się nawet o krok, jakby to miejsce było radioaktywne.

– Zostań tutaj – mówię mu i sięgam pod kurtkę po na’at. Nie zabrałem dziś pistoletu, a naprawdę chciałbym go mieć przy sobie.

– Czy powinien pan tam wchodzić? Może zadzwonię po dozorcę?

Rzucam mu ostre spojrzenie w stylu „jeszcze słowo, a będziesz srał językiem” i facet wycofuje się.

Z mieszkaniem jest coś naprawdę nie tak. To jest jak rozstrojona struna w gitarze. Czuję to jeszcze przed wejściem do środka. Kiedy przekraczam próg, pojawiają się następne odczucia. Zapach i smak. Ocet w głębi gardła. Tak cuchnął Josef, kiedy ujawnili się Kissi. Nie potrzebuję zresztą kolejnej podpowiedzi, że coś się stało z mieszkaniem Vidocqa.

Ściany, sufit i podłogę pokrywają kręte, ostre ideogramy i litery przeplatane niekończącymi się spiralami. W pomieszczeniu wymalowano twarze duchów, a może samego Boga Ojca, choć bardziej kojarzą się z obcym z kosmosu niż z bóstwem. Kolory rozciągają się od rdzawego po wężową, metaliczną zieleń, ale wahałem już tyle krwi w życiu, że natychmiast rozpoznaję ją jako główny składnik tych pigmentów.

Zatrzymuję się i nasłuchuję, czekając na coś. Wścibski sąsiad jest tak przerażony, że czuję bicie jego serca i oddechy. Nie wykorkuj mi tu, facet. Mamy dość problemów.

Albo i nie. Nie wyczuwam niczego. W mieszkaniu nie ma żadnej żywej istoty. Nie

potrafię odczytywać Kissi, ale między moimi wyczulonymi zmysłami a nową wizją, którą zapewniła mi Aelita, wiedziałbym pewnie, gdyby gdzieś w kącie krył się Kissi z kloszem od lampy na głowie. Choć nie mam na razie ochoty na walkę z niczym magicznym, nieznanie ani jednego Kissi jest swoistym rozczarowaniem. Znalezienie ciała jest jeszcze gorsze.

To ciało mężczyzny. Nagie. Przybite twarzą do ściany, jakieś dwa metry nad podłogą. Ktoś uważnie zdarł skórę i pozwolił jej opaść niczym bladym, mięsistym liściom jakiejś rośliny, pozostawiając nietknięte mięśnie i kości. Na podłodze są tylko dwie czy trzy kropelki krwi. Przynajmniej wiem już, skąd wzięto krew do wymalowania fresków i że ktokolwiek w taki sposób obdarł ciało, wiedział doskonale, co robi.

Ciało jest przybite w taki sposób, że nie widzę twarzy, mogę jednak stwierdzić, że należy do mężczyzny w średnim wieku. Vidocq miał pięćdziesiąt parę lat od ponad dwóch stuleci. Czy to wciąż średni wiek? Szkoda, że drań nie miał tatuaży, których mógłbym poszukać. Ciało jest tak zmaltretowane, że trudno nawet szukać blizn.

Wiem, że powinienem zdjąć ciało. Wystarczy stanąć na krześle, wyrwać gwoździe i będzie po wszystkim. Ale nie chcę się do niego zbliżać. Odwrócić wzroku też nie mogę. Tak samo zareagowałem na widok ojca w domu pogrzebowym. Nie mogłem podejść bliżej i jednocześnie nie mogłem się odsunąć. Mój mózg wiedział, że muszę zareagować, ale ciało nie miało ochoty wykonać rozkazów. Przeszedłem przez to tylko dlatego, że zmusiłem się do podejścia do zwłok ojca i dotknięcia jego twarzy. W mojej głowie była czymś niewyraźnym. Musiałem poczuć, że nie żyje.

W kuchni obok lodówki stoi drabinka. Przenoszę ją do salonu i rozkładam pod ciałem. Zanim jednak rozpoczynam brudną robotę, zauważam kątem oka wścibskiego sąsiada, który wtyka wścibski łeb tam, gdzie nie powinien.

– O, Boże. O, Boże. Dzwonię na policję.

Poruszam się szybko. Na tyle szybko, że przerażam go bardziej niż samo ciało. Zanim kończy wybierać numer, wyciągam mu telefon z dłoni i prowadzę go pod ramię do okna. Zmuszam go, by się wychylił i obserwował, jak jego telefon leci kilka pięter w dół i ląduje w kontenerze na śmieci.

– Idź po niego – mówię. – Potem możesz dzwonić.

Wścibski sąsiad patrzy na mnie w taki sposób, jakbym właśnie mu oznajmił, że zerznęliśmy razem z Darthem Vaderem jego siostrę. Nie odzywa się jednak ani słowem. Idzie prosto w stronę schodów.

Wracam do ciała i wyciągam najpierw gwoździe ze stóp. To jakieś ciężkie, metalowe kliny. Doskonale nadają się do przebicia mięśni i kości oraz zagłębienia się w ścianie.

Po uwolnieniu nóg mogę przygotować ciało do opuszczenia na podłogę. Wchodzę na sam szczyt drabinki. Wyrywam gwoźdź z jednej ręki, a potem z drugiej. Uwolnione w końcu ciało ciężko wpada mi w ramiona. Kończyny uderzają mnie mocno. Głowa przechyla się na bok i

odpada.

Za dużo. Puszczam ciało, które spada na ziemię.

Powinienem to dostrzec, kiedy zacząłem ruszać ciało ale byłem zbyt zdekoncentrowany, próbując wybrać, czy mam paść na ten przyprawiający o mdłości stos, czy jak John Wayne zobaczyć, co jest przede mną.

Na podłodze leżą zwłoki Kasabiana. To dlatego ciało jest tak zmaltretowane. Kissi nie torturowali Vidocqą. Zszyli to, co Parker rozwalił poprzedniej nocy.

W jaki sposób kradniesz i czyścisz ciało leżące na dnie dziury ze smołą, która ma dziesięć tysięcy lat? Dlaczego kradniesz i czyścisz ciało leżące na dnie dziury ze smołą, która ma dziesięć tysięcy lat?

A skoro powracające ciało Kasabiana leży tutaj, na podłodze, to gdzie podziewają się Vidocq i Allegra?

Dzwoni mój telefon. Odbieram połączenie.

– Buu. Wykiwałem cię za pomocą twojego własnego truposza. – To Parker. – Założę się, że zastanawiasz się teraz, gdzie są twoi przyjaciele?

– W jaki sposób mnie widzisz?

– Rozejrzyj się dookoła, gówniany mózdzku. Oczy są wszędzie.

– Malunki.

– To coś, co zwie się magią. Może o tym słyszałeś.

– Gdzie Vidocq i Allegra?

– Spokojnie, skarbie. Nic im nie jest. Prawdę mówiąc, szykujemy się dziś do noworocznej imprezy i ty również jesteś zaproszony.

– W Avili?

– W jaki sposób poruszasz się z tym wielkim mózgiem? Taa, w Avili. Będzie kapitalnie. Wywołamy tam małe piekło. Przynies tam swoją dupę przed północą.

– Pojawię się.

– To osobiste zaproszenie. Żadnych gości. Żadnych osób towarzyszących. Jeśli zobaczę za tobą choćby chmurę kurzu, señor Żaba i ten mały plasterek wiśniowego ciastka pójdą prosto pod piłę.

– Pojawię się.

– Przed północą. To o dwunastej. Kiedy duża i mała wskazówka są prosto w górze.

– Jeśli cokolwiek się stanie któremuś z nich, osobiście nauczę cię pływać pieskiem w grobie.

– To kolejna straszna sztuczka, której nauczyłeś się w Piekło?

– Nie. Dziki Bill opowiedział o tym mojemu prapradziadkowi. Zabieram cię w dół rzeki. Gdzieś, gdzie grunt jest miękki i podmokły. Łamię ci ręce i nogi. Palce u rąk i stóp. Wykopuję dziurę w mokrej, miękkiej ziemi, wkładam cię do środka i zakopuję. Potem palę papierosa i czekam, aż się wygrzebiesz.

– Przed dwunastą – mówi Parker i rozłącza się.

* * *

Jeśli nauczyłem się czegoś na Dole, to tego, że jedyną różnicą między wrogiem a przyjacielem jest dzień tygodnia.

Wracam tam, gdzie porzuciłem jaguara, blokuję nóż w stacyjce i jadę na zachód, a następnie na południe, tymi samymi ulicami, którymi podróżowałem wcześniej z Wellsem. Dobre poczucie kierunku może wpędzić cię w kłopoty lub z nich wydostać.

Kto znajduje się wyżej w łańcuchu pokarmowym? Złote Czuwanie czy Departament Bezpieczeństwa Krajowego? Federalni płacą pewnie rachunek za operację, ale to ma pewnie więcej wspólnego z waszyngtońskimi agentami i politykami, którzy chcą, żeby ich nazwiska znalazły się tuż obok nazw supertajnych grup wywiadowczych. To oczywiste, że chcesz umieścić w życiorysie notkę „Kierowałem CIA” lub „Wyeliminowałem komórkę terrorystyczną”, kiedy szykujesz się do kandydowania na prezydenta, ale czy poinformowanie ludzi, że dowodzisz aniołami i agentami chroniącymi świat przed istotami zrodzonymi z chaosu na skraju wszechświata, pomoże ci w karierze politycznej lub zapewni strzykawkę z torazyną i dożywotni zapas pieluch dla dorosłych? Co osoba kierująca Czuwaniem w Waszyngtonie umieszcza w kwartalnych raportach? Przynajmniej ci ludzie znajdujący się w raportach muszą wiedzieć, co robi Czuwanie. Ale co powiesz komitetom nadzorczym i budżetowym faszystom? „Potrzebujemy dodatkowy milion na spluwę, która zmieni wampiry w psią karmę i mroczne anioły w lukier do pączków”. Kto kieruje tym cyrkiem i czego chce?

Gdyby to, co przeczytałem, było trafne, i tak uznałbym to za żart. Tego ranka, przed przyjściem porannego stada do Max Overdrive, wyszukałem Złote Czuwanie w okultystycznej encyklopedii w Internecie. Złote Czuwanie istnieje od czasów pierwszej krucjaty w jedenastym wieku. To wtedy Anglicy i Francuzi zaczęli o nim pisać.

Według niektórych z tych zapisów, Czuwanie było tajną komórką pierwszych haszyszynów, bractwa zabójców, które było ówczesną Al-Kaidą. Podczas gdy zwykli haszyszyni trzymali się dżihadowych ataków na przedstawicieli władzy, Złote Czuwanie tropiło niewidzialnych przeciwników.

Francuscy kronikarze podkreślają, że Czuwanie jest dużo starsze, niż wielu osobom się wydaje, oraz że jego początki mogą wyjaśnić, jak i dlaczego niektóre z pierwszych plemion przestały ganiać za zwierzyną po Żytnym Półksiężycu między Egiptem a Mezopotamią i osiedliły się, tworząc pierwsze na świecie osiedla przyczep wzdłuż Eufratu. Jeśli Kissi byli tutaj od tak dawna, jak twierdziła Aelita, to miałyby sens i oznaczało, że Czuwanie istnieje od przynajmniej ośmiu do dziesięciu tysięcy lat. Nawet dłużej, jeśli plemiona negocjowały z Kissi po pierwszej emigracji z Afryki. Według innej internetowej encyklopedii to przesuwaloby datę powstania Czuwania do około siedemdziesięciu tysięcy lat temu.

A to wszystko sprawia, że wracam do pytania, kto jest wielkim mięsożercą w tym

łańcuchu pokarmowym – Departament Bezpieczeństwa Krajowego czy Złote Czuwanie? Ten siedzi za kierownicą, kto trzyma rękę na pieniądzech. Faceci w szarych garniturach na wschodzie mogą pompować pieniądze, trudno mi jednak uwierzyć, że gdyby Waszyngton wyciągnął korek, Czuwanie nie utrzymałoby się samodzielnie. Przez siedemdziesiąt tysięcy lat można upchnąć pod szafą mnóstwo łupów.

* * *

Kiedy wjeżdżam na parking przy magazynie Czuwania, kilku agentów ubranych jak gliniarze do wynajęcia unoszą ręce w geście nakazującym zatrzymanie się. Są to świetnie wyszkoleni zawodowcy ze znakomitym zmysłem obserwacji, więc płynnie usuwają mi się z drogi, kiedy dostrzegają, że nie zamierzam zwolnić. Kiedy podjeżdżam pod wejście i wysiadam z jaguara, sześciu z nich już mnie otacza i celuje do mnie z identycznych glocków kalibru dziewięć milimetrów. Nienawidzę glocków. Faceci, którzy je kochają, jeżdżą corvette. Nie dlatego, że to świetny samochód, lecz dlatego, że był fajny czterdzieści lat temu, kiedy widzieli zdjęcie Steve’a McQueena za kierownicą. Ich ojciec miał pewnie za młodu corvette, ale on nie był fajny. Ale gdyby i oni mieli corvette, pewnie potrafiliby wybaczyć grubasowi, że kazał im kosić trawnik, kiedy powinni z kumplami zakradać się na filmy dla dorosłych i że ośmieszył ich na oczach pierwszej dziewczyny. Może ich ojciec był facetem, który szybko prowadził wóz i całował Faye Dunaway w *Aferze Thomasa Crowna*. Może ich ojciec był mimo wszystko fajny i to sprawiło, że też są fajni. Takie właśnie są glocki. Precyzyjne maszyny do zabijania, które krzyczą: „miałem problem z tatusiem”.

Przyjmują pozycje strzeleckie, ale żaden z nich nie kwapi się, żeby nacisnąć spust. Szczęściarz ze mnie. Nie chcę, by mnie postrzelono. Szczęściarze z nich. Wiem, że ci goście są tylko najemnymi pomocnikami, ale teraz naprawdę mam ochotę kogoś skrzywdzić.

Dwóch spośród nich gada do rękawów, kiwając głowami. Kolejna minuta patowej sytuacji w stylu Sergio Leone i z magazynu wychodzi Wells.

– Powinienem pozwolić im cię zastrzelić. Przyjechałeś prosto w to miejsce, durniu. Pomyślałeś choć przez chwilę, kto mógł cię obserwować lub śledzić?

– Ani przez chwilę.

Kiwa głową do swoich ludzi.

– Dawać go do środka.

– Chcę pogadać z tobą, nie z twoimi skautami.

– Tutaj w ogóle nie chcę z tobą rozmawiać. Zamknij się, dopóki nie znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Zamykam się. Nie potrzebuję więcej wrogów. Mijamy elektryczną, kisielową barierę i pojawia się hala robocza. W środku jest inaczej, jak w Vegas na czwartego lipca. Wszędzie światła, odgłosy maszyn, szum głosów i iskry od spawania, przypominające zimne ognie. Członkowie Czuwania wypróbują nową broń. Niektóre wyglądają jak zmodyfikowanie

pistolety, inne jak metalowe pasożyty przyczepione do ich pleców, owinięte wokół ramion i nadgarstków. W innej części magazynu przygotowywane są pojazdy. Nie widzę Aelity, ale przecież nie ma powodu, dla którego ona chciałaby widzieć mnie.

– Jesteśmy dość zajęci, więc się streszczaj – mówi Wells.

– Być może będziesz zainteresowany, jeśli ci powiem, że dwoje cywilów zostało porwanych i zawieszonych do Avili.

– Twoi przyjaciele? W takim razie wątpię, by byli cywilami w prawdziwym tego słowa znaczeniu, czyli w znaczeniu, że kogokolwiek to obchodzi.

– Zamierzasz zostawić dwoje niewinnych ludzi na śmierć tylko dlatego, że masz ze mną na pieńku?

– Uważam, że nie rozpoznałbyś niewinnej osoby, nawet gdyby ugryzła cię w jaja. A dla twojej informacji, nie zostawiam niewinnych ludzi na śmierć.

– A więc zamierzasz coś z tym zrobić?

Wells zatacza ramieniem krąg, wskazując toczące się dookoła prace.

– Wracam do roboty. Jesteśmy bardzo zajęci. Dzięki, że wpadłeś.

Odwraca się, ale kładę mu dłoń na ramieniu. Mocno. Jestem za nim, wystarczająco blisko, żeby skrócić mu kark. Kiedy czuję, jak się napina, wiem, że i on jest tego świadom. Mówię do niego cicho i spokojnie:

– Mogę tam pójść i samemu rozwalić Avilę na strzępy. Daleko mi do kuloodporności, a oni dysponują taką siłą ognia, że zapewne przy tym zginę, ale wielu z nich zdążę zabrać ze sobą, włączając w to każdego z obecnych tam magów. Przy takiej walce nie sposób uniknąć spalenia bogatej klienteli Avili, tej najbogatszej i najbardziej wpływowej. Wyobraź sobie to gównu, kiedy wszystkie te zamożne rodziny i Sub Rosa dowiedzą się, że wiedziałeś, co się kroi, i nie kiwnąłeś nawet palcem. Ale możesz też zabrać swoich muszkietierów, pojechać ze mną i wspólnie zamknąć ten interes.

– Jesteś o jeden dzień za późno i masz o jednego dolara za mało, Chuck. Jak myślisz, co się teraz tutaj dzieje? Dziś uderzamy na Avilę.

– Skoro nie po to, by ratować cywilów, to w jakim celu?

– Próbujemy powstrzymać koniec świata, dupku. Co, mówiąc na marginesie, jest wyłącznie twoją winą.

Puszczam go. Odwraca się do mnie, masując miejsce, w którym go chwyciłem. Nie kłamie. Widzę to od razu. Serce mu wali niczym kierowcy prowadzącemu stawkę w wyścigach NASCAR. Cuchnie gniewem z domieszką strachu, ale nie kłamie.

– Mów dalej – zachęcam.

– Wiesz, dlaczego mnie wkurzasz? Nie z powodu tej kaskaderki na Rodeo Drive, pogróżek rodem z boiska, przyjaciół-chochlików czy nawet ciebie samego, gotowego zabić każdą żywą istotę w zasięgu wzroku. Wkurzasz mnie, bo uważasz, że jesteś na tym świecie sam i że nie dzieje się na nim nic poza twoimi problemami.

– Oświeć mnie. Co, ty i twoi kowboje ruszacie tam z zabawkami w stylu Flasha Gordona, żeby kazać im przyciszyć muzykę?

Patrzy przez ramię na prowadzone prace, a potem na mnie.

– Czy ty w ogóle wiesz, czym jest Avila? Co tam się wyprawia?

– Byłem tam. To najlepszy burdel w Czyścucu. I co z tego?

– Tak, dla chłopców z college'u i biznesmenów we frontowych pokojach. Avila jest czymś więcej. To miejsce mocy dla czarnej magii w mieście, które jest jednym wielkim miejscem mocy. Jaka jest dziś data?

– Nie mam pojęcia.

– O to mi chodzi. Ty nie wiesz niczego. Dziś ostatni dzień roku i nie organizują tam kolejnego przyjęcia bractwa. To noc rytualna. Wiesz, co zrobią o północy z tymi wszystkimi aniołami, które rzną na tyłach budynku? Zabiją każdego z nich, a kiedy to zrobią, otworzą bramy Piekieł i pozwolą twojemu kumplowi Lucyferowi i jego armii Infernali przespacerować się po Los Angeles jak na pieprzonej paradzie.

– To nie ma najmniejszego sensu. Avilą kieruje Mason. Dlaczego miałby chcieć zniszczyć świat? To mogą być Kissi. Oni kochają chaos, ale po co im konkurencja ze strony Infernali?

– Avilę zbudowano dla tego jednego celu. Porywają tam anioły i zmieniają je w dziwki od niepamiętnych czasów.

– I gdzie w tym moja wina?

– Nie potrafisz usiedzieć na miejscu. Byłeś w Piekło, które jest jedynym miejscem, w którym ten twój przeklęty klucz jest bezpieczny. Mason ściągnął cię tutaj, zabijając ci dziewczynę, bo wiedział, że tego mu nie odpuszczisz.

– I pozwoliłbyś, żeby uszło mu to na sucho?

– Nie rozmawiamy o mnie ani o dziewczynie. Kiedy przyniosłeś ten klucz na Ziemię, otworzyłeś maleńką szczelinę we wszechświecie. Dzisiejszy rytuał ma na celu poszerzenie tej szczeliny. To dlatego zabił twoją dziewczynę. Chciał, abyś dostarczył klucz na Ziemię przed Nowym Rokiem.

– A więc chodźmy i zróbmy krzywdę paru złym chłopcom.

Tym razem to on kładzie mi rękę na ramieniu i obraca mnie w stronę hali.

– Zaczekaj. Jest jeszcze coś. Widzisz Aelitę? Nie, nie widzisz. A wiesz dlaczego? Bo jakiś skurwysyn rozwalił ją i zostawił w alejce. Znaleźli ją Kissi i zabrali na wzgórze. To prawda. Aelita jest teraz w Avili i za kilka godzin ją zabiją. Wybacz mi więc, że nie koncentruję się na tobie i twoich sprawach. Muszę się zatroszczyć o własnych ludzi.

Kiwam głową, lekko otepiały. Nie mam absolutnie żadnych powodów, żeby czuć wyrzuty względem kogoś, kto próbował mnie dwukrotnie zabić. Ale nie podoba mi się pomysł pozostawienia Masonowi kogokolwiek, nawet szalonej, morderczej anielicy. Poza tym jeśli Mason czegokolwiek pragnie, ja nie chcę, aby to dostał.

– Dobra, Teksańczyku. Chciałeś mnie, więc mnie masz. I zanim nazwiesz mnie dupkiem i kazesz się wynosić, posłuchaj: mogę dać ci coś, czego nie da ci nikt inny na tym świecie.

– Co takiego?

– Mogę przeprowadzić ciebie i twoją armię wprost do wnętrza Avili. Możemy ominąć alarmy, magów i wszelkie gobliny czy diabelskie psy, które postawili na czatach.

Wells patrzy na mnie. Praktycznie widzę młynek chomika obracający się w jego głowie. Bardzo chce powiedzieć mi, żebym się wynosił, ale czytał moje akta i wie, że dotarłem na Dole do najlepiej chronionych Infernali. Fajnie jest patrzeć, jak glina się skręca.

– Użyjesz klucza? Jak? Muszę wiedzieć, czy moi ludzie będą bezpieczni.

– Wprowadzę ich do środka. Jeśli gdziekolwiek jest cień, mogę przez niego przejść.

– Pokaż mi.

– Nie zamierzam demonstrować ci magicznych sztuczek. Chcesz mojej pomocy czy nie?

Wpatruje się we mnie, żując policzek od środka. Marzy o papierosie. Popała ukradkiem. Czuję to w jego pocie.

– Wiesz co, Teksańczyku? Nie musisz robić mi łaski. Potrzebujesz mnie znacznie bardziej niż ja ciebie. Mogę poczekać, aż wpadniesz ze swoją kawalerią przez frontowe drzwi i dacie się pociąć na szmaty. Wejdę sobie za wami i użyję waszych zwłok w roli tarczy. Bawcie się dobrze podczas tej rzezi.

– Dobra – mówi. – Ten jeden raz.

– I jeszcze jedno. Mamy różne plany działania. Wprowadzę was i jeśli będę mógł, pomogę uratować świat twoim skautom, ale dopiero jak moi przyjaciele będą bezpieczni. Umowa stoi?

– Świat może się dziś skończyć, a ty na siłę chcesz wyjść na samolubnego drania.

– Tak mi się robi w środku, kiedy przebywam blisko was, boskie typki.

– Umowa stoi.

Jestem przekonany, że wypowiedzenie tych słów wiele go kosztowało. To lepsze niż lody i ciastko na podwieczorek.

– Ale jak już będzie po wszystkim, musisz wyjaśnić sobie parę spraw z Aelitą.

– Będę tam. O której wyruszamy?

Wells zerka na zegarek, potem na wielki, cyfrowy wyświetlacz odliczający czas na ścianie. Przygotowania nabierają tempa. Zwierzęta zaczynają się męczyć. Psy bojowe wciągające nosem ścieżki amfy z nadzieją, że jeśli wciągną wystarczająco dużo, ich zęby zmienią się w brzytwy.

– Sądźmy, że ostatni ważni goście pojawią się na miejscu przed dziesiątą, więc wkroczymy chwilę później.

– Wrócę więc odpowiednio wcześniej.

Ruszam drogą, którą wszedłem, ale zatrzymuje mnie piękny widok. Ciężki wieszak na kółkach z rzędem nowusieńkich, nowoczesnych kamizelek kuloodpornych. Przynajmniej

pięćdziesiąt sztuk. Zdejmuję jedną z nich z wieszaka.

- Zabieram to – wołam do Wellsa.
- Dobra. Idź. – A po chwili: – Zaczekaj. Jeszcze coś.
- Co?
- Przestań mówić na mnie Teksąńczyk. Jestem ze Sparks w Nevadzie.
- Wiesz, co jest jedyną rzeczą gorszą od Teksąńczyka?
- Co?
- Udawany Teksąńczyk.
- Wróć przed dziesiątą albo idziemy bez ciebie.

* * *

Nigdzie nie widać Kissi. Coś zdecydowanie się szykuje. Patrę przez okno jaguara na parę czekającą na czerwonym świetle. Nie rozmawiają ze sobą i spoglądają w różnych kierunkach, obrażeni na siebie po kłótni. Dwa dzieciaki stoją przed kioskiem z gazetami i popychają trzeciego. Nastoletni gangsterzy stoją na narożniku ulicy i przekazują sobie skręta. Mam ochotę wychylić się przez okno i powiedzieć im, że świat zbliża się ku końcowi i żeby się stąd zabierali, ale po co się trudzić?

Czy ktokolwiek w ogóle wie, co dzieje się na świecie? Zwykłem uważać ludzi za żart, ponieważ wierzą tylko w namacalną rzeczywistość i nigdy nie marzą o spojrzeniu pod powierzchnię świata. Większość z nich po natknięciu się na bandę Sub Rosa wskrzeszających z martwych Jana Chrzciciela, Billie Holiday i Dzikiego Billa, w ogóle by w to nie uwierzyła ani nie zrozumiała.

Ja też niczego nie rozumiem. Mój mózg obija się na wszystkie strony pośród pytań o powód, dla którego Mason chce otworzyć Piekło, oraz czy to naprawdę ma się wydarzyć. Wydaje mi się, że otwarcie Piekła lub udawanie, że się to robi, może być niezłą dywersją. Kiedy wszyscy będą patrzeć w jednym kierunku, on za ich plecami zrobi coś zupełnie innego. Ale co?

Przez większość czasu staram się w ogóle nie myśleć. Nigdy nie uda mi się wejść do głowy Masona. Być może urodziłem się lepszym magiem, ale on zawsze był bystrzejszy. To dlatego to on prowadzi imprezę, a mi pozostaje pyskowanie. Ale to też wymaga myślenia. A ja chcę ciszy. Wielkiej, pustej ciszy w stylu zen. Muszę wrócić do tego spokojnego i cichego momentu tuż przed wejściem na arenę. Żadnych myśli. Żadnych działań. Myśl i działanie jako jedność. Kontroluję oddech i skupiam się na drodze przede mną. Czuję nadchodzący spokój.

Wtedy za mną ozywają kolorowe światła i rozlega się syrena. Czerwone i niebieskie błyski odbijają się w lusterku wstecznym i rażą mnie w oczy. Zniekształcony, wzmocniony głos gliniarza odbija się od szklanych budynków. Nie rozumiem ani słowa, ale wiem, jak przetłumaczyć to policyjne haiku: Prowadzisz tego samego kradzionego jaguara, którego

porzuciłeś godzinę temu. W Los Angeles są też inne samochody, które można ukraść. Ale ty zacząłeś myśleć, rozkojarzyłeś się i zobacz sam, co narobiłeś.

To naprawdę ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba. Ciekawe, czy pozwolą mi odejść z upomnieniem, jeśli powiem im, że dziś w nocy spróbuję uratować świat?

Znów rozlega się tubalny głos gliniarza. Trafiają mnie od tyłu blaskiem szperacza. Około miliarda kandel. Zatrzymuję samochód.

Dzięki za cień, Dicku Tracy. Jest ciasno ale zdołam się zmieścić. Ciągnę za sobą kamizelkę kuloodporną. Mam nadzieję, że jeden z gliniarzy zdąży jeszcze podejść od strony kierowcy, by zobaczyć, jak moje stopy znikają w desce rozdzielczej.

Wychodzę w lobby Bradbury Building. Jest ciemno, wszystko pozamykane. Wchodzę do windy z nadzieją, że nie wyłączyli na święto zasilania. Naciskam przycisk. Kabina zaczyna drżeć i rusza w górę, więc mogę znów oddychać.

Winda jedzie jedno piętro w górę i zatrzymuje się. Naciskam jednocześnie jedynekę i trójkę i po chwili kontynuuję jazdę. Wsiadam, kiedy się zatrzymuje, nie mając do końca pewności, czy zrobiłem wszystko dobrze. Wówczas Furia za oknem Muninna rzuca się na mnie wewnątrz szklanej klatki. Puszczam jej buziaka, wchodzę do środka, przeciskam się wśród bałaganu i docieram prosto do schodów na tyłach.

Muninn czeka na mnie na dole.

– Mój chłopcze! Usłyszałem dzwonek i zastanawiałem się, kogóż to mogę się spodziewać o tej porze. To dla mnie zwykle bardzo cichy wieczór.

– Przepraszam, jeśli wyciągnąłem cię z imprezy albo coś.

Muninn śmieje się.

– Chłopcze, gdybyś widział tyle sylwestrów, ile ja widziałem w życiu, to ostatnią rzeczą, o której byś pomyślał, byłoby organizowanie imprezy.

Chwyta mnie za ramię i prowadzi do stołu zajętego starannie poukładanymi grupami kości. Palce od rąk i stóp. Cała ręka i noga.

– Relikwie – wyjaśnia. – Każda kość lub przydatek należały do jednego czy drugiego świętego. Mam klienta, który chce zbudować letni domek w formie ossuarium. Ale tylko z kości należących do świętych. Żadnych zwykłych zjadaczy chleba. Jak się zapewne domyślasz, to wymaga zgromadzenia wielu kości. Dziś kataloguję tę tutaj partię.

Podchodzi do regału i zdejmuje tę samą zakurzoną butelkę, z której piliśmy po powrocie z Vidocqiem z Avili. Bierze dwie małe szklanki i nalewa do każdej z nich.

– Dzięki – mówię i wlewam w siebie zawartość. – Dziś trochę mi się spieszy.

– Oczywiście. Wybacz – mówi. – To, że ja ignoruję Nowy Rok, wcale nie musi oznaczać, że ty również. Przepraszam najmocniej.

– Żaden problem. – Odchrząkuję. – Panie Muninn, chcę zawrzeć z panem pewną umowę. Całkiem dużą.

– Zawsze jestem otwarty na dobry biznes. Czego sobie życzysz?

– Tu nie chodzi o to, czego ja chcę, ale czego pan chce. A to na pewno pan zechce. – Sięgam pod koszulkę i wyjmuję monetę. Kładę ją na stole i przesuwam w jego stronę. Muninn patrzy na nią, nie dotykając jej.

– Czy to Veritas?

– Prosto z kieszeni infernalnego generała.

– Nosileś ją przez cały czas?

– Przyniosłem ją ze sobą z Piekła.

– Mój chłopcze, gdybym o tym wiedział, mógłbym uczynić cię bardzo bogatym człowiekiem. Czy ona działa?

– Idealnie. Zapraszam na jazdę testową.

– Masz już doświadczenie. Jak zrobić to prawidłowo?

– Nie ma żadnej zasady. Po prostu trzyma ją pan i zadaje pytanie. Wypowiada je pan w myślach, nie głośno. Jeśli powie je pan głośno, nie zakłóci działania magii, ale inni uznają pana za psychola.

Muninn powoli podnosi Veritas, jakby obawiał się porażenia prądem. Zaciska ją w pięści i zamyka oczy. Chwilę później otwiera dłoń i śmieje się z tego, co widzi.

– No i?

– Zapytałem, czy jej kupienie będzie dobrym interesem. Pokazała mi piękny widok dupska Abaddona oświetlony w taki sposób, że bym ujrzał wielki, niezbyt czysty zwieracz. Wraz z tym na jednej stronie monety pojawił się komunikat, który powiedział mi, że jestem nadętym, grubym i starym impotentem, a na drugiej stronie Veritas dodała, że będzie to dobra inwestycja tylko wtedy, jeśli chcę mieć gorące węgielki wciskane w gardło przez Infernali.

– I co pan myśli?

– To coś wspaiałego. Muszę ją mieć. Co za nią chcesz? Pieniądze? Wiem, że lubisz pieniądze. Sporo ci za nią zapłacę. Wystarczy ci do końca życia i jeszcze zostanie dla wnuków.

– Nie. To zbyt wielka sprawa, żeby liczyć ją w pieniądzach. Chcę za Veritas coś wyjątkowego. Coś super. Coś apokaliptycznego.

Pan Muninn uśmiecha się do mnie w taki sposób, jakby mimo wszystko zdecydował się na noworoczne przyjęcie.

* * *

Po nauczce z jaguarem przechodzę przez pomieszczenie prosto do Max Overdrive. Na piętrze miotam się nerwowo po sypialni, przepychając połamane meble i odsuwając odtwarzacze wideo pod ściany. W takich momentach dobrze jest być silnym. Przesuwam łóżko w kąt pokoju, nawet się nie pocąc. W końcu wszystkie te resztki spoczywają na kilku stertach i znajduję swoją broń, a potem amunicję. I butelkę Spiritus Dei. Ten płyn chyba naprawdę jest tak magiczny, jak mówił Vidocq. Butelka stoi nienaruszona i jest idealnie

czysta. Wszystko inne w pokoju leży na boku i jest pokryte pyłem i tynkiem.

Pistolety są już załadowane nabojami zamoczonymi w Spiritus Dei. Schodzę na dół i w składziku za sekcją z pornografią znajduję piłkę do metalu. Zabieram ją na górę i zaczynam obcinać lufę strzelby benelli. Obcięcie lufy w prostym, dubeltowym modelu jest łatwe. Można ją przyciąć niemal przy samym czubku naboju i zmienić strzelbę dalekiego zasięgu w rusznicę krótkiego zasięgu. Nie chcę w taki sposób potraktować benelli. Odcinam po prostu większą część lufy aż od łoża, dzięki czemu otrzymuję coś w rodzaju zbyt dużego pistoletu. Znajduję pod stołem rolkę grubego szpagatu, przywiązuję go do rękojeści, a następnie robię pętlę przy lufie, dzięki czemu mogę zawiesić broń na ramieniu pod płaszczem. Proste, surowe i zabójcze. Clyde Barrow i Bonnie Parker nazywali taką zabawkę biczem, bo można było ją wyjąć spod płaszcza i strzelić, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować.

Kręcę się po pokoju, jestem w ciągłym ruchu, robię rzeczy, które, moim zdaniem, mają sens, ale w jaki sposób tak naprawdę można uzbroić się na koniec świata? Kiedy nie wiesz, co masz ze sobą zabrać, to najlepiej jest chyba zabrać wszystko. Cztery pistolety, strzelbę, nóż Infernali i na'at tworzą chyba dobry zestaw.

Maczam każdy nabój do strzelby w Spiritus Dei i ładuję go. Łącznie osiem sztuk. Potem zraszam lekko samą strzelbę. Po co to skapstwo? Spryskuję wszystkie sztuki broni, przytrzymując wylot butelki kciukiem, żeby kontrolować ilość. Skoro już się rozkręciłem, polewam również kamizelkę kuloodporną i płaszcz, a resztę wcieram w rękę.

Dziki Bill był najlepszym strzelcem swoich czasów, ale miał nawyk, który teraz również mnie gryzie w dupę. Nie ufał kaburom. Nosił swoje kolty zatknięte za czerwoną przepaską na biodrach, co wówczas było krzykiem mody. Ja też nie wychowałem się na kaburach. Łatwo jest wcisnąć jedną dużą spluwę w spodnie, ale przy czterech pojawia się problem.

Czas na poświęcenie. Rozcinam boczne kieszenie płaszcza na kilka centymetrów, żeby zmieścić w nich colta .45 i LeMata. Po uzyskaniu odpowiedniej długości nacięcia wzmacniam wewnętrzną stronę i boki kieszeni taśmą izolacyjną.

Jest to jeden z powodów, dla których nigdy nie miałem swojego samochodu. Nie dbam o przedmioty. Wszystko, co przechodzi przez moje ręce, kończy uszkodzone, rozerwane, zmodyfikowane, połączone ze sobą lub rozwalone w cholere.

Gdyby nie taśma izolacyjna, byłbym nagi jak Adam i zmarznięty jak niedźwiedź polarny.

Jeśli ktoś kiedykolwiek zada ci pytanie o wygląd zdesperowanego człowieka, odpowiedz w taki sposób: na czworakach przekopuje się przez ruiny swojej sypialni w poszukiwaniu papierosa. Jeśli dobrze poszuka, może znajdzie prawdziwy skarb w postaci wygiętego, na wpół wypalonego peta. Trzymam go jak Świętego Graala, zdmuchuję tyle pyłu, ile tylko się da, i podpalam zapalniczką Masona. Jak zwykła mówić moja babcia: „Jestem błogosławiona i uprzywilejowana”.

Wydłubuję komórkę i wybieram numer Kinskiego. Odbiera Candy.

– Czy ty zawsze podnosisz tam słuchawkę?

- Stark? Doktor nie lubi telefonów. Uważa je za zbyt odcięte.
 - Jak ja bym chciał być odcięty. Wszystkie moje problemy skończyłyby się w jednej chwili.
 - Duchy nie palą i nie mogą się napić Jacka Danielsa.
 - W takim razie nie było tematu. Będę żył wiecznie.
 - To znacznie lepszy plan od tego, który przedstawiłeś ostatnim razem.
 - Dlatego też dzwonię. Chciałem o parę rzeczy zapytać. Wiem, że bierzesz ten lek i próbujesz być czysta, ale wciąż pozostajemy w dużej mierze tacy sami. Potwory w ludzkiej skórze.
 - Dlaczego chcesz o tym rozmawiać?
 - Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś może dziś ze mną czegoś zrobić. Zamierzam z paroma osobami zakłócić jedno z sylwestrowych przyjęć i zabić sporo ludzi.
 - Oj, Stark. Czy ty ze mną flirtujesz? Niegrzeczny chłopiec.
 - Zamierzamy powstrzymać masową ofiarę, więc będzie tam sporo niegrzecznych facetów. Uznałem, że zdobycie jak największej liczby doświadczonych zabójców pomoże wyrównać siły. Wychodzi jednak na to, że doktor Kinski podciął ci skrzydła. Od dawna nie smakowałaś już człowieka, co?
 - Doktor przygotowuje dla mnie ten wspaniały koktajl. Nazywam go lodowym frappuccino. Nie karmiłam się nikim od dwóch lat, trzech miesięcy i ośmiu dni.
 - Jeśli kiedykolwiek cię kusiło, to masz swoją okazję. I tym razem, zabijając, staniesz po stronie aniołów. Dosłownie.
 - Ależ ty potrafisz namieszać dziewczynie w głowie. – Nie mówi nic przez dłuższą chwilę.
 - Candy?
 - Muszę najpierw porozmawiać z doktorem. Nie chcę go okłamywać.
 - Rozumiem. Twoja decyzja. Moi przyjaciele i ja, wyruszamy do Avili krótko po dziesiątej. Wiesz, gdzie to jest?
 - Wszyscy wiedzą, gdzie jest Avila.
 - Ta impreza będzie czymś wyjątkowym. Zakładając, że świat się nie skończy, z pewnością nie pójdzie w niepamięć.
 - Postaram się tam być.
 - I jeszcze jedno.
 - Tak?
 - Dziękuję, że w całym tym gównie potraktowałaś mnie jak człowieka. Wiem, że to nie zawsze jest proste.
 - Masz nawyk sikania ludziom na wycieraczki przed drzwiami. Ale kiedy dżentelmen dzwoni z zaproszeniem na masakra, łatwo mu wybaczyć. Ciao.
- Kończę papierosa i zaczynam się szykować. Zakładam kamizelkę. Wydaje się bardzo

solidna, tyle tylko, że zapina się ją na rzepy. Wiem, że to sprzęt najwyższej klasy, ale czułbym się pewniej, wiedząc, że nie zastosowano w niej tych samych rozwiązań co w dziecięcych butach.

Będzie mi naprawdę źle, jeśli to wszystko się dziś rozsypie. Nie chcę, by ostatnią rzeczą, jaką powiem do Vidocqa i Allegry, było: „Uciekajcie”.

Wciskam colta navy i browninga z tyłu spodni.

Dwie kolejne ofiary, takie jak Alice. Dwie kolejne osoby, które na to nie zasłużyły.

Przekładam przez ramię pętlę na strzelbie benelli, a potem zakładam na nią płaszcz.

Czy Avila będzie pełna Kissi? Jeśli to oni na nas tam czekają, to będzie to bardzo kiepski i bardzo krótki wieczór dla wszystkiego, co ma puls.

Colt .45 i LeMat lądują w kieszeniach płaszcza kolbami do góry.

Nieźle się dziś muszą bawić na Dole, czekając na opadnięcie aksamitnego sznurka i otwarcie drzwi do sekcji VIP-ów.

A co dzieje się w Niebie? Czy całe zastępy aniołów klęczą, modlą się, by wiara ludzi w Słowo okazała się wystarczająco silna? Mnie to bardziej kojarzy się z barem, w którym emitowany będzie Super Bowl. Tłumy podpitych, skrzydlatych braci z czapeczkami drużyny i wielkimi łapami z pianki. Może dlatego Niebo jest takie ciche i Bóg nie rozmawia już z Człowiekiem. Boska interwencja wpłynęłaby na tablicę wyników.

* * *

Wokół magazynu Czuwania jest zdecydowanie za dużo dziwnej, magicznej ochrony i innych uroków. Nie mam czasu, żeby szukać prostej drogi do środka, więc muszę skorzystać z cienia w odległości kilku przecznic na południe i resztę drogi pokonać biegiem.

Szereg niskich, matowoczarnych furgonetek rozgrzewa silniki na parkingu. Są niemal bezgłośne, a w miejscach, gdzie ich karoseria styka się z ciemnością, stają się prawie niewidzialne. Furgonетки niewidocznych imprezowiczów. Gdybym o nich wiedział, nie męczyłbym się z podprowadzaniem wszystkich tych wozów.

Tylne drzwi prowadzącej furgonetki są otwarte. Wells macha na mnie, spoglądając spod przymrużonych powiek jak Clint Eastwood.

– Nie spieszyło ci się, co? Jeszcze dwie minuty i już by nas nie było.

– Wasz przeklęty Akcelerator Gadulstwa wyciął cały obszar. Połowę drogi musiałem pokonać na piechotę.

Wells podnosi rękę.

– Zaczekaj. Nie udało ci się tutaj dotrzeć tym swoim chochlikowym hokus-pokus, a chcesz zabrać nas do Avili? Nie przepelnia mnie poczucie pewności siebie.

– Spokojnie. Już dostałem się w ten sposób do Avili. Nie mają tam niczego, co przypomina wasz sprzęt.

– A jeśli mają? Jeśli sprowadzili całą kupę technologii i mrocznych magów?

– To zrobimy to po waszemu. Rozpieprzymy wejście. Poniesiemy poważne straty. Dostaniemy się do środka. Wkraczamy do O.K. Corral*.

Chcesz gwarancji, że włos ci z głowy nie spadnie, szeryfie federalny Wells?

– Jeśli przez ciebie niepotrzebnie zginą moi ludzie, to wezmę się za ciebie.

– Zaczekaj na swoją kolej.

Wells wsiada do furgonetki. Rozglądam się po parkingu. Ani śladu Candy. Chyba zdecydowała się na lek.

Wskakuję do samochodu i wciskam się w fotel obok Wellsa.

* * *

Samochód brzmiał cicho z zewnątrz, ale w środku czuję się jak w pralce automatycznej. Nikt z ekipy Czuwania się nie odzywa. Kilka osób się modli, większość jednak nie ma ochoty przekrzykiwać hałasu.

Agenci Wellsa mają na sobie dziwaczną elektronikę i nylonowe taśmy, w rękach trzymają nietypowe spluwy. Kilku ubranych jest w powlekane aluminium kombinezony, w których wyglądają jak pracownicy kuźni. Pozostali mają czarne spodnie i obcisłe kurtki, które rozciągają się aż na ich głowy niczym balaklawy. Ci, którzy nie mają broni, zamknięci są w metalowych egzoszkieletach i przypominają ofiary gwałtu robotów.

Przechyliam się i krzyczę Wellsowi do ucha:

– Mówię poważnie, twoi ludzie powinni nauczyć się odrobiny magii. Widziałem w twoim magazynie kilka typków rodem z nieba. Oni mogliby was nieco przeszkolić. Wiem, że wy, cywile, nie potraficie posługiwać się naprawdę ciężką magią, ale może udałoby się wam poznać coś przydatnego, dzięki czemu nie musielibyście się ubierać jak cofnięci w rozwoju kuzyni Terminatora.

– Nauczyć się twojej magii i spędzić resztę życia w Piekło z takimi jak ty? Nie, dzięki. Zostanę przy broni, którą dostaliśmy z Nieba.

– Gdyby Niebo było całkowicie po waszej stronie, z pewnością otrzymalibyście lepszą pomoc.

– Aelita, ręka Boga na Ziemi, jest po naszej stronie. Zrozumiałbyś to, gdybyś nie miał duszy brudniejszej od gaci bezdomnego.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie ufam żadnej ze stron. Niebo może po prostu zabezpieczać się na dwie strony.

– Jestem pewien, że tak myślisz, ale ta broń jeszcze nigdy nas nie zawiodła.

– Jak uważasz. Ale w magii przynajmniej nigdy nie kończy się amunicja.

– Nie, tylko mózg.

* Zagroda O.K. Corral w Tombstone w stanie Arizona to miejsce najśłynniejszego pojedynku rewolwerowców w historii Dzikiego Zachodu – Wyatt Earp i jego bracia oraz Doc Holliday starli się tam z gangiem braci Clantonów i McLaurych (przyp. red.).

* * *

Trzymamy się bocznych uliczek aż do północnej części miasta, potem przecinamy wzgórza i kaniony, po czym zjeżdżamy na południe, w pobliże zbiornika Stone Canyon. Następnie zostawiamy za sobą Bel Air, równolegle do North Beverly Glen Boulevard. Kierowcy na przedzie noszą hełmy niczym piloci myśliwców, z noktowizorami i wyświetlaczami HUD. Monitory nad głowami pokazują nam to, co widzą. Nic specjalnego. Drzewa, kiedy przejeżdżamy przez wzgórza. Blaski i świetlne punkty, kiedy zbliżamy się do osiedla mieszkalnego. Albo to najgorszy park rozrywki w historii, albo wróciłem do Pieła.

Wkrótce jesteśmy u stóp wyjątkowo wysokiego wzgórza z zamontowanymi u szczytu światłami kojarzącymi się z powierzchnią słońca. Tak prezentuje się klub Avila przez noktowizory. Dla każdej innej przejeżdżającej tędy osoby byłaby to kolejna ogrodzona rezydencja.

Nasz konwój składa się z sześciu furgonetek. Cztery, włącznie z naszą, zostają na miejscu, a dwie jadą na Beverly Glen, od strony frontowego wejścia do Avili.

– Okrążamy ich – wyjaśnia Wells. – Zespół A rozpocznie atak od frontu, odciągając w ten sposób ochronę klubu. Ty wprowadzisz nas do środka, żebyśmy mogli zaatakować od tyłu.

Kiwam głową.

– Posłuchaj – ciągnie Wells. – Nie chcę, żeby to była ostatnia noc na świecie, więc zapytam cię jeszcze raz: jesteś pewien, że zdołasz wprowadzić nas do klubu? Jeśli nie, to wciąż mamy czas, żeby dołączyć do drugiego zespołu.

– Wcześniej się spieszyłem. Nie miałem czasu na to, żeby znaleźć dobrą drogę do środka. Mogę jednak wejść do Nieba, Pieła czy gdziekolwiek pomiędzy. Z całą pewnością mogę przenieść nas do tego budynku.

– Wiesz, że cię zastrzelę, jeśli to okaże się nieprawdą?

– To mnie nie zabije, ale coś ci powiem. Jeśli nie zdołam wprowadzić nas do środka, pokażę ci, co może mnie zabić.

Wells odwraca się, kiwa głową do swoich agentów i znów patrzy na mnie.

– Ruszajmy.

Podnoszę strzelbę i przeładowuję, wsuwając pocisk do komory.

– I co to było za pierdolenie w samochodzie, że używałeś tylko magii? – pyta Wells.

– To jest magia. Magia Dzikiego Billa.

– Zabierz nas do środka, Ponury Piaskunie.

– Chwyć mnie za ramię i nie otwieraj oczu. Powiedz gościowi za tobą, żeby zrobił to samo i niech przekaże kolejnemu. Cokolwiek się stanie, nie otwierajcie oczu ani nie puszczajcie, zanim całkowicie nie znajdziemy się w Avili. Nie chcesz chyba utknąć z połową dupy wystającą ze skały?

Wells przekazuje instrukcje pozostałym. Powinienem kupić przepaski na oczy. Pozostaje

mieć nadzieję, że wystraszyłem Wellsa i jego ludzi wystarczająco, żeby faktycznie nie otworzyli oczu. Czuwanie chce się tylko dostać do klubu. Nie muszę wszystkim pokazywać Sali Trzynastu Drzwi.

Wells wraca chwilę później i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Czas, żebyś odkupił swoją żalostną dupę.

– Dobra, Dorotko, tupnij trzy razy i powiedz: „Nie ma jak w domu”.

Wchodzę w ciemność u stóp wzgórza. Nigdy dotąd nie próbowałem wprowadzać czy wyprowadzać tak wielu ludzi. Mam nadzieję, że nikogo nie zabiję.

Chwilę później jesteśmy w biurze Jayne wewnątrz klubu. Nic się nie zmieniło od czasu naszej wizyty z Vidocqiem dzień czy dwa temu. Wątpię, by ktokolwiek tu zajrzał po śmierci Jayne.

– Możecie otworzyć oczy – mówię.

– Chwyciłeś Gabriela za jaja, chłopcze. Udało ci się. Naprawdę czegoś dokonałeś.

– Dzięki, tatusiu.

Pokój szybko się wypełnia. Członkowie Czuwania przecierają oczy i trącają się nawzajem, widząc, że wciąż żyją. Pociągam Wellsa w kierunku drzwi biura, żebyśmy wyszli jako pierwsi. Jeśli na zewnątrz przygotowano zasadzkę, nie chcę, żeby cokolwiek przegapił.

– Co teraz robimy? – pytam.

– Czekamy. Powiem ci, kiedy ruszamy.

Zaczyna robić się ciasno, kiedy ostatni z członków Czuwania przechodzi przez Salę.

– To nie jest atak. To film z braćmi Marx.

– Zamknij się.

Budynkiem wstrząsa eksplozja, a sekundę później następna. Avila dygocze, jakby utrzymywała się na wodzie. Sięgam w stronę drzwi, ale Wells chwyta mnie za rękę.

– Zaczekaj – mówi.

Za drzwiami biura słychać biegnących ludzi. Hałas przekrzykują ostre głosy:

– Ruszać się! Ochrona! Z drogi!

Rozlega się skwierczenie i fala elektryczności przenika przez ścianę, podnosząc mi włosy na rękach. To był mag oczyszczający korytarz z przeszkód. Smród spalonych ciał sprawia, że kilka osób z Czuwania wstrzymuje torsje. Na Dole nawdychałem się tego tyle, że teraz jest to dla mnie po prostu coś znajomego, nawet przyjemnego. Mam nadzieję, że nie ma wśród nas żadnych telepatów.

– Dobra – rzuca Wells.

Wychodzę na korytarz ze strzelbą gotową do akcji. Wells stoi za mną i wydaje ludziom rozkazy rozdzielania się i rozejścia w różnych kierunkach.

Czekam, aż skończy, i mówię:

– Wprowadziłem was. Taka była umowa. Teraz mam własne sprawy do załatwienia.

– Walczymy o świat.

– Wy walczycie. Ja jestem tu z powodu przyjaciół.

Potrząsa głową i rusza ze swoimi ludźmi na tyły klubu.

Trzymam nisko głowę i powoli przemykam na front, gdzie odgłosy walki są najgłośniejsze. Nie mam pojęcia, gdzie zacząć szukać Vidocq'a i Allegry, ale jeśli zdołam dopaść jednego z ludzkich strażników, z pewnością zmuszę go, żeby mi wszystko wyśpiewał.

Od frontu toczy się prawdziwa strzelanina, widać też rozbłyśki zabójczej magii. Młody mag w zakrwawionej koszuli i smokingu biegnie za narożnik, dostrzega mnie i wykrzykuje śmiertelny urok. Z jego piersi wystrzeliwuje czarny, wirujący dym. Dwukrotnie wypalam z benelli. Zamoczone w Spiritus Dei ładunki rozrywają dym na kawałki i uderzają w pierś maga. Pada na ziemię i nie rusza się więcej.

Wbiegam prosto w chaos. Nie tracę nawet czasu na strzelanie do ludzkich ochroniarzy. Po co marnować usprawnioną amunicję na cywilów? Ich ostrzał nie jest w stanie pokonać kamizelki Czuwania, co zapewnia mi sporo czasu. Uderzam łokciem w gardło jednego z ochroniarzy, miażdżąc mu tchawicę. Wciskam innemu kolano w plecy i zarzucam rękę wokół głowy. Ciągnę i napieram, aż kręgosłup pęka z traskiem.

Wciąż jest tam wielu magów, którzy strzelają wściekle, trafiając tyle samo agentów Czuwania, co członków ochrony Avili. Trzech czy czterech z nich dostrzega mnie w samym środku strzelaniny. Jednocześnie rzucają swoje najsilniejsze zaklęcia.

Drżący obłok czerwonych błyskawic otoczonych błękitnymi iskrami mknie po podłodze i suficie. W środku widoczny jest zabójczy wir.

Na Starym Zachodzie strzelby nazywano „zamiataczami ulic” i w taki właśnie sposób używam benelli. Otwieram ogień, mierząc w środek tej gównianej zamieci i przesuwając lufę na lewo i prawo.

Magia rozpada się i rozpryskuje niczym szrapnel we wszystkich kierunkach, paląc wszystko po drodze i zmieniając kilku ludzkich ochroniarzy w słupy ognia.

Rzucenie zaklęć sprawiło, że magowie są chwilowo bezbroni. Strzały ze śrutówki zabijają trzech z nich. Ostatnia, błękitnooka blondynka o wyglądzie modelki, pada do tyłu z odstrzeloną lewą ręką. Leży na plecach, miotając przekleństwa, a z ramienia sterczy jej kość. Wypowiada kolejne zaklęcie i na dywanie pojawia się armia tłustych, niebieskookich pajaków.

Opróżniłem magazynek benelli, więc zrywam pętlę z ramienia i odrzucam strzelbę na ziemię. Niemal jednocześnie dobywam colta .45 i LeMata. Nurkuję w bok, oddając jeden strzał z colta. Dziewczyna zostaje postrzelona w gardło i umiera. Armia pajaków zmienia się w pył.

Czuwanie wciąż odpiera morderców z Avili, muszę się jednak stąd wydostać do pokojów na tyłach, żeby poszukać Vidocq'a i Allegry. Pozostaje mi tylko pochylić się nisko i przemknąć przez salę. Jestem szybszy od innych osób obecnych w Avili, więc mknę wśród strzelaniny. Dla obserwatora wyglądam jak ktoś, kto spanikował i strzela do wszystkiego, co

się rusza, ale tak naprawdę uważnie celuję i zabijam ostatnich magów, których widzę po drodze.

Coś trafia mnie w kolano i czuję, jakby zapłonął tam ogień. Odskakuję i robię przewrót bokiem, żeby nie wylądować na twarzy. Kiedy odzyskuję równowagę, widzę kolejnego maga stojącego dziesięć metrów dalej. Wielki, starszy, krępy facet. Wygląda jak były kaskader. Wyciągam colta i naciskam spust. Klik. Cholera. Z LeMatem jest to samo.

Gdybym miał jeszcze trzydzieści sekund, mógłbym wstać ponownie i wykopać mu głowę do samej Argentyny. Nie mam jednak trzydziestu sekund. Stary jest tak blisko, że czuję zakłęcie, które się w nim buduje. Kiedy zaczyna je wypowiadać, jego gardło wybucha.

Coś znalazło się na nim i rozdziera mu szyję. Wbija pazury w pierś i otwiera niczym gotowanego homara. Kaskader zamiera w bezruchu. Istota porusza się z dużą prędkością, niemal się rozmywając. Chwyta mnie za kostkę i ciągnie za wielki fortepian w kącie sali. Wyginam się i wyciągam zza paska browninga⁴⁵. Spust mam już wciśnięty do połowy, kiedy dociera do mnie, że rozdzieraczem żeber jest Candy. Obracam nadgarstek w ostatniej chwili i pocisk leci w powietrze.

– Stęskniłeś się za mną? – pyta. Jest cała pokryta krwią i czymś, o czym wolę w ogóle nie myśleć.

– Jak się tu dostałaś?

– Przyszłam od strony lasu. Kiedy zobaczyłam te czarne furgonetki, wskoczyłam na jedną i zabrałam się z wami.

Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem Nefrytki w całkowicie dzikiej formie. Paznokcie Candy przypominają teraz grube szpony. Oczy to wąskie, czerwone źrenice w lodowatej czerni. Wargi i język są równie czarne jak oczy. Jej usta mają nieco inny kształt, jakby miała więcej zębów albo te, które ma, zrobiły się szersze i ostrzejsze. Buźka pełna pięknych, białych, rekinich zębów. Jest najpiękniejszą rzeczą, którą widziałem od jedenastu lat. Chcę tu i teraz mieć z nią małe potworzątko. Ale coś wybucha, ktoś krzyczy i przypominam sobie o moich przyjaciółach i końcu świata.

– Parker prawdopodobnie trzyma Vidocqą i Allegrę w środku klubu, w pobliżu miejsca ofiarnego – informuję ją. Zgaduję oczywiście, ale biorąc pod uwagę to lądowanie w Normandii, które rozgrywa się z frontu budynku, to tam zamierzam się udać.

Candy pomaga mi się podnieść. Kolano zrasta mi się z powrotem. Choć mogę już prawie oprzeć na nim ciężar ciała, nie jest jeszcze gotowe. Candy zarzuca sobie moją rękę na barki, obejmuje mnie lewą ręką w pasie i właściwie podnosi. Nie wiedziałem, że Nefryci są tacy silni. Jak dotąd to najlepsza randka, jaką miałem.

Kieruję Candy wzdłuż korytarzy i zakrętów, które zapamiętałem z planów Muninna. W wewnętrznych pokojach niewiele się dzieje. Dostrzegam głównie półnagich cywilnych dupków, którzy kulą się za meblami, starając się nie słuchać odgłosów rzezi z zewnętrznego pierścienia pomieszczeń.

Docieramy z Candy już prawie do drzwi sali centralnej.

I zaraz będziemy martwi.

Dwoje Kissi siedzi i pali papierosy na kamiennych stopniach przed salą ofiarną. Tatuś i synek, którzy zabili dziewczynę w Donut Universe.

– Zobacz, co przywłókł kot – mówi chłopak.

– Przywłókł, ale nie wywlecze – dodaje Tatuś.

– Zjedźmy go tym razem. Zjedźmy i wydłubmy z niego to coś lśniącego.

– Nie pogniewasz się, prawda? – pyta mnie Tatuś. Dopiero teraz zdaje się zauważyć Candy. – Och, popatrz, przyniósł ze sobą deser.

– Czym ona jest?

– Brudnym, ohydny potworem, synu. Może ją pierwszą powinieś ogryźć. Ja zobaczę, jak smakuje pan Lśniący Pierś.

Kissi nie są mięsożercami, podobnie jak Nefryci. W ich głosach słychać nutę zabawy. Ulubionymi przekąskami Kissi są strach i zwątpienie, a słowa to doskonały sposób na zmięczenie mięsa. Candy zabiera rękę z mojego pasa. Ledwie stoję, ale daję radę.

Młody Kissi okrąża Candy, ale ja nie mogę za długo się przyglądać. Tatuś rusza w moją stronę. Kolano wciąż nie funkcjonuje prawidłowo, muszę więc pozostać na pozycji. Nie jest to moje ulubione rozwiązanie, ale już to przerabiałem. Nie możesz uniknąć ataku, więc zwlekasz, otwierasz się i pozwalasz, by napastnik pokazał ci, co planuje.

Kissi rusza prosto na moje kontuzjowane kolano. Obracam się najlepiej jak potrafię, żeby trafić go kolbą browninga w kark, ale udaje mu się mnie wykiwać. Atak na kolano był pozorowany i teraz skacze w górę, ku mojej piersi. Jestem okaleczony i ledwie trzymam równowagę. Nie jestem w stanie zejść mu z drogi we właściwym momencie.

Tatuś Kissi pakuje mi łokieć w mostek, wyduszając ze mnie całe powietrze. Chwilę później jest na mnie i przyciska mnie do podłogi swoim ciężarem. Wiem, co się zbliża. Palce w mojej piersi, niczym pająki chodzące po żebrach. Potem wyrwie mi serce razem z kluczem. Kiedy upadłem, ręka utknęła mi za plecami. Nie mogę użyć browninga ani sięgnąć po nóż.

Przygotowuję się na ból. Z impetem opuszcza dłoń, ale jedynie uderza mnie pięścią w pierś.

Patrzę w dół, a potem na niego. Kissi wygląda na nie mniej zaskoczonego ode mnie. Odchyła się do tyłu i ponownie wali mnie pięścią, która tylko odbija się od kamizelki. Mam wrażenie, że nie wynika to z jej oryginalnej konstrukcji. Ale serce i klucz wciąż mam na swoim miejscu, więc nie narzekam.

– Co ty robisz? Przestań! – skrzeczy Kissi.

Kiedy odchyła się do kolejnej próby, przenosi ciężar ciała na tyle, że mogę wyciągnąć rękę spod nogi. Tym razem, kiedy Tatuś Kissi uderza mnie w pierś, zawijam rękę wokół jego karku, wciskam mu browninga pod brodę i naciskam spust. Zamoczony w Spiritus Dei pocisk wywala mu z tyłu czaszki Wielki Kanion.

Zrzucam z siebie jego truchło i szukam Candy. Leży na brzuchu, zrywając szponami kawałki drewnianej podłogi Avili, a Junior siedzi jej na plecach z obiema dłońmi wbitymi w okolice kręgosłupa.

Jestem w stanie się poruszać w dostatecznym stopniu, żeby stanąć za Juniorem, przyłożyć mu browninga do ucha i rozpieprzyć pół głowy. Junior pada na jedną stronę, ja na drugą. Candy unosi się na łokciach, podpełza bliżej i opada na mnie.

– Ofiara jest tam, w środku – mówię. – Nie możemy tutaj zostać.

– Wiem – odpowiada Candy. Siada i pociąga mnie za sobą. Oboje ociekamy krwią ludzi i Kissi. Candy chwyta mnie za głowę i składa na moich ustach pocałunek o napięciu tysiąca woltów. W jej ślinie jest coś, co działa jak jad pająka. Czarny język wciąga mój do jej ust, a ostre jak brzytwa zęby przesuwają się po całej jego długości.

Candy puszcza i uśmiecha się. Używa kciuka, żeby zetrzeć trochę krwi, która rozmazała mi się na ustach.

– Dziękuję, że go ze mnie ściągnąłeś – mówi.

– Do usług.

Pomaga mi wstać. Wciąż stoję niepewnie, ale mogę znów chodzić. Mogę stwierdzić, że Junior ją zranił, grzebiąc przy jej płucach. Daję jej browninga i colta navy. Wyciągam spod płaszcza na'at. Obracam rękojeść, żeby zwolnić środkowy trzonek, dzięki czemu broń zmienia się w bicz.

Wskazuję drzwi.

– Sezamie, otwórz się.

Candy podnosi oba pistolety i strzela w podwójne drzwi, otwierając je.

To, co widzę wewnątrz, jest niemal komiczne. Czy czciciele diabła nie mają za grosz wyobraźni? Przypomina to tematyczną imprezę na Halloween. Na środku sali znajduje się krąg utworzony z mężczyzn w długich, czarnych szatach z kapturami. Każdy z nich trzyma srebrny sztylet. Między każdą parą mężczyzn stoi naćpana, rozebrana kandydatka na gwiazdkę z wyciętym na piersi odwróconym pentagramem. Przy ołtarzu stoi główny kapłan i unosi nad nieprzytomnym aniołem długi, srebrny sztylet. Anioły są tym, co sprawia, że ta scena nie jest zabawna. Jest ich trzynaście. Te, które żyją w Avili od dawna, są zaniedbane i brudne. Pocięte, posiniaczone i blade. Nowsze nabytki, mniej zmaltretowane, związane jaskrawymi sznurami.

Biorąc pod uwagę ochronę dostępną na zewnątrz, tym diabelskim półgłówkom nie przyszło nawet na myśl, żeby zapewnić ją sobie w środku. Jesteśmy z Candy w nie najlepszym stanie, ale oni o tym nie wiedzą. Poza tym mamy broń i pokrywa nas dość krwi i brudu, żebyśmy wyglądali jak Piekło, które przybyło na miejsce przed czasem.

Jeden z odzianych w szaty satanistów rzuca się na Candy ze swoim sztyletem, a ona otwiera mu w piersi właz za pomocą colta navy. Kolejni mężczyźni ruszają do ataku, kiedy wielki zegar nad ołtarzem zaczyna wybijać pierwsze gongi północy. Candy wpada w tłum i

zabija każdego, kto jest tuż obok. Obracam na'at nad głową, rozciągam na pełną długość i biorę zamach. Ręka najwyższego kapłana i ceremonialny sztylet lecą w różnych kierunkach. Mężczyzna pada na kolana, drąc się wniebogłosy. Do widzenia, bramo Piekieł.

Pozostała część sabatu starszych panów zdaje się w ogóle nie zauważać, że już przegrali. Otaczają nas niczym rój. Niespodziewanie znów znajduję się na arenie. Walka za pomocą na'at, cięcie kości to wspaniałe uczucia. Unoszę tylko ramię i je opuszczam, pozwalając pędowi na'at zająć się całą resztą. Mógłbym tak zabijać tych gości przez całą noc. Nie mogę jednak całkowicie utracić kontroli. Gwiazdeczki o niewidzących spojrzeniach stoją wokół nas niczym naćpane owieczki. Kiedy tylko mogę, odpycham je poza krąg walki. Przewracają się niczym kręgle z cyckami.

Więcej satanistów pospiesznie opuszcza salę, niż staje do walki, co wcale nie jest takie złe. Kolano rwie mnie przy każdym kroku. Candy nie używa już broni. Wróciła do zębów i szponów – maszynka do mięsa w džinsach i trampkach.

Opuszczam na'at i obie ręce. Kilka ostatnich ciężkich przypadków atakuje mnie sztyletami. Nawet z nimi nie walczę. Nie muszę. Kłują i tną, ale trafiają tylko w moje blizny. Każdy cios boli, ale nie w takim stopniu, by to miało znaczenie, i w ogóle po nich nie krwawię.

I wszystko się kończy.

Ostatni sataniści są martwi lub, kuśtykając, opuszczają salę, gdzie czeka na nich Czuwanie z gorącym kakao i tazerami. Naćpane gwiazdki patrzą na siebie, próbując sobie przypomnieć, gdzie występują i kiedy przyjedzie garderoba.

Nieprzytomna i związana jak prosiak Aelita leży na drugim końcu ołtarza. Czarnym nożem przecinam sznur wokół jej nadgarstków i kostek. Uwalniam Aelitę, po czym podaję nóż Candy i proszę, by uwolniła pozostałych.

Podnoszę Aelitę z zakrwawionej posadzki i zanoszę z powrotem na front klubu.

Nie mam stuprocentowej pewności, ale wydaje mi się, że dwa potwory właśnie uratowały świat. I naprawdę niewiele mnie to obchodzi.

Parker miał być w sali ofiarnej, a z nim powinien być Vidocq i Allegra. Jeśli oni nie żyją, to świat też powinien być martwy. To byłoby uczciwe. Ale nauczyłem się już dawno temu, że uczciwość ma niewiele wspólnego z mechanizmem działania wszechświata. Gdyby istniała uczciwość, Lucyfer nie musiałby zostać buntownikiem. Adam i Ewa nie zostaliby wyrzuceni z Raju. Dzieciak wielkiego faceta nie zostałby przybity na Golgocie. A Kissi nie byłiby kolejnym stadkiem nudnych aniołów. Nie wydarzyłoby się też nic, co miało miejsce w ciągu kilku ostatnich dni.

Kiedy docieram na front, okazuje się, że Wells i jego ekipa już zabezpieczyli Awilę. Właśnie zaczęli oddzielać martwych od żywych, skurwieli z wewnętrznej świątyni od zwykłych durni z klubu. Wszyscy członkowie klubu wciąż żyją i siedzą na dupskach we frontowej sali z rękami i nogami spętanymi plastikowymi opaskami zaciskowymi. Politycy,

producenci filmowi, carowie z giełd papierów wartościowych i jasnowłosi dziedzice babilońskich fortun. Jeśli Czuwanie naprawdę chce oddać światu przysługę, powinno spalić Avilę ze wszystkimi w środku.

Wśród żywych nie widzę ani jednego maga. Może to cała uczciwość, jaką udało mi się dziś w nocy załatwić. Lepsze to niż nic.

Muszę wyglądać gorzej, niż sądziłem, a może chodzi o to, że mam ze sobą Aelitę. Tak czy inaczej wszyscy członkowie Czuwania zastygają w miejscu i patrzą, jak niosę Aelitę do Wellsa.

– Nic jej nie jest – mówię mu. – Powstrzymaliśmy to, zanim się zaczęło.

– My?

– Moja przyjaciółka Candy i ja. Została tam i uwalnia pozostałe anioły. Mógłbyś wysłać kilku swoich ludzi, żeby jej pomogli. I zanieście tam trochę szlafroków.

Wells robi gest głową i kilku agentów Czuwania udaje się w kierunku, z którego przyszedłem.

Wells klęka i kładzie Aelitę na podłodze. Wyjmuje z kieszeni coś, co wygląda jak buteleczka z wodą święconą, i wylewa kilka kropli na powieki Aelity. Otwierają się odrobinę. Zaczyna oddychać. Zespół medyczny Czuwania odsuwa Wellsa i mnie z drogi. Zawijają Aelitę w koc termiczny i podają jej leki wprost z butelek, które wyglądają na starsze niż cały świat.

Zdejmuję to, co pozostało z jedwabnego płaszcza. Teraz to już tylko szmaty z setką dziur po kulach, tysiącem rozcięć po nożach i wystarczającą ilością krwi, żeby przemalować chevroleta camaro.

Ściągam kamizelkę i podaję ją Wellsowi.

– Powinieneś się jej przyjrzeć. Albo przypadkowo wyprodukowaliście kamizelki Kissi-odporne, albo możecie je takimi uczynić, używając Spiritus Dei.

– Dzięki.

Podnoszę marynarkę, którą ktoś upuścił na podłogę, i wycieram nią brud z twarzy.

– Nie znalazłem moich przyjaciół – oznajmiam.

– Przykro mi. Mieliśmy tu mnóstwo złych facetów, ale nie dorwaliśmy twojego koleśia Parkera.

– Parker tu był?

– Tak. Ewakuował się tuż po rozpoczęciu szturm. Zgubiliśmy go wśród drzew pod klubem. Nie wiem, jakim cudem.

– Mason prawdopodobnie dał mu coś, co uczyniło go niewidzialnym lub przeniosło w inne miejsce. Był sam?

– Z tego, co mi wiadomo, tak.

– Jak dobrze przeszukaliście to miejsce?

– Wystarczająco dobrze, żeby trafić na dwoje ludzi. Wskazuję głową szereg ciał

ułożonych po drugiej stronie sali.

– A co z zabitymi?

– Obserwowaliśmy cię, pamiętasz? Wiem, jak wyglądają twoi przyjaciele. Nie ma ich tutaj.

– Będę jeszcze potrzebował tej kamizelki.

– Po co?

– Zamierzam się do nich dostać.

– Bądź realistą. Parker zwiął. Jeśli z nim byli, to już nie żyją. Tak działają ludzie pokroju Parkera.

– Nie. Oni żyją. Parker chce, żebym przyszedł, szukając ich. Wtedy będzie mógł się nacieszyć, zabijając ich na moich oczach. Chyba wiem, gdzie ich trzyma.

– Gdzie?

– W bungalowach Orange Grove na Sunset.

– Obserwowaliśmy kiedyś to miejsce. Dzieciaki z Sub Rosa przez wiele lat korzystały z nich, by uprawiać magię i seks.

– Tak, korzystaliśmy.

– Nikt już tam teraz nie chodzi. Tylko żałośni cywile. Same ćpuny i kurwy.

– Tam ich trzyma. To jego poczucie humoru. – Patrzę na kamizelkę. – Mogę ją odzyskać?

Ku mojemu zaskoczeniu Wells podaje mi kamizelkę. Zakładam ją i ruszam w stronę szeregu ciał. Znajduję faceta nieco wyższego i grubszego ode mnie, z przyzwyczajoną marynarką. Ściągam ją z niego i przymierzam. Nieźle pasuje i jest wystarczająco obszerna, by po jej zapięciu zmieścić pod spodem kamizelkę.

– Znalazłeś jakieś nadające się do użytku strzelby? – pytam Wellsa.

– Za narożnikiem. Cała sterta. Możesz się obsłużyć.

Znajduję niezłą dubeltówkę o obciętych lufach, długą na jakieś trzydzieści centymetrów.

– Zabieram ją – mówię, pokazując Wellsovi broń.

– Nie ma sprawy.

Członkowie Czuwania wychodzą z sali ofiarnej, niosąc anioły na noszach. Candy snuje się za nimi, wyraźnie zakłopotana.

Zabieram czysty ręcznik z zestawu medycznego ekipy zajmującej się Aelitą. Podchodzę do Candy. Wygląda teraz całkiem po ludzku, za wyjątkiem krwi i brudu. Wkładam jej strzelbę w dłonie, odchylam głowę do tyłu i ostrożnie wycieram twarz. Candy śmieje się.

– Z pewnością wie pan, jak zająć się dziewczyną, panie Stark.

– Staram się zapewniać dobrą zabawę przyjaciołom.

– Jak dotąd, nieźle ci to wychodzi.

Gdybym był zwyczajną osobą, Candy była zwyczajną dziewczyną, a to była całkiem zwyczajna chwila, to już bym ją całował, ale tak nie jest. Patrzy na mnie tak, jakby wiedziała, o czym myślę.

– Powinam chyba zadzwonić do doktora i powiedzieć mu, że wszystko jest w porządku.
– Tak. Pewnie się niepokoi.
– Wyglądasz, jakbyś się gdzieś wybierał.
– Wiem, gdzie Parker trzyma Vidocqą i Allegrę. Zamierzam się tam udać.
– Idę z tobą.
– Nie – odpowiadam. – To może być pomyłka. Jeśli tak się okaże, chcę mieć tutaj kogoś zaufanego, żeby ich wypatrywał.
– W porządku – mówi, sprawiając wrażenie nieco urażonej.
– Muszę już iść.
Patrzy na medyków zajmujących się Aelitą. Anielica już siada.
– Zadzwonię za chwilę do doktora i wracam do niego, bo tam jest moje miejsce. Opowiem mu o tym, co się dziś tutaj wydarzyło, ale nie o wszystkim. Chcę, żebyś wiedział, że nie żałuję niczego, co dziś tutaj zrobiliśmy.
– Ja też nie – mówię. – Jediną dobrą stroną tej dziwacznej sytuacji jest to, że im dłużej tu stoimy, torturując się wzajemnie, tym większe są szanse, że któryś z tych gości z Czuwania zleje się w gacie.
Candy uśmiecha się.
– Idź – mówi. – Ja będę miała oko na to miejsce.
– Dzięki.
Odbieram jej spiłowaną strzelbę, żegnam się z Wellsem kiwnięciem głowy i wchodzę w cień za martwymi magami. To wciąż najlepsza randka, jaką miałem.

* * *

Budka telefoniczna za bungalowami Orange Grove nie zmieniła się zbytnio przez jedenaście lat, z wyjątkiem tego, że teraz mieszka w niej facet.

Orange Grove stanowi zbiór dwudziestu kilku domków, które miały już ponad dwadzieścia lat, kiedy schodziłem na Dół. Teraz wyglądają jak kompleks mieszkalny w Hiroszimie po wybuchu bomby. Kuloodporna szyba przy recepcji przeszła bardzo wiele. W ciągu jedenastu lat nikt niczego nie pomalował ani nie czyścił basenu. W nieruchomej wodzie wiją się rzeczy, których nie pamiętam nawet z Piekła. To tutaj fanki Davida Lyncha tracą dziewictwo po balu maturalnym.

Zwykłem imprezować w jednym konkretnym domku, ale nie mogę sobie przypomnieć numeru. Snuję się wzdłuż betonowego chodnika, który wije się między budynkami. Jest sylwester, więc wszędzie kręcą się chude dziwki z czarnymi od metedryny zębami i równie chudzi kolesie niepotrafiący iść po linii prostej. W powietrzu unosi się sporo zapachów. Trawka. Wypalone papierosy. Siki i dziwny smród kiepskiego cracku kojarzący się z palonym plastikiem. Te są najmniej odrażające.

Dostrzegam niegodziwość pod koniec trzeciego rzędu domków. Wygląda jak pozostałe,

ale w moich oczach pulsuje chaotyczną energią. Pola energetyczne wokół okna i frontowych drzwi są jaśniejsze, a kolory bardziej intensywne niż reszty budynku. Kiedy wyciągam rękę, jaśniejsza energia zmienia się w zęby jak wielka kreskówkowa wersja pułapki na niedźwiedzie, i kłapie w moją stronę. Kiedy cywilne dziwki i ich faceci przechodzą obok, nic się nie dzieje. Jedna z nich, ubrana w zbyt krótką jak dla jej żyłastych nóg spódniczkę i wyraźnie zmęczona, idzie sama.

– Hej, skarbie – rzucam do niej. – Chcesz zarobić łatwą kasę?

– Skończyłam na dziś, kochany.

– Żadnego bzykania. Chcę zrobić kawał przyjacielowi. Chcę tylko, żebyś tam podeszła i naprawdę głośno zapukała do drzwi.

– Ile?

Wyciągam kasę Muninna. A co mi tam. Jest Nowy Rok.

– Pięć stówek.

Panna Skończyłam Na Dziś uśmiecha się szeroko.

– Kurwa, za tyle to obciągnęłabym klamce lakier.

Daję jej forszę. Wciska ją do wewnętrznej kieszeni kurtki na wypadek, gdybym zmienił zdanie.

– Nie rób niczego, dopóki ci nie powiem. Potem zapukaj głośno, tak głośno, jak tylko możesz, i spływaj stamtąd.

Zostawiam ją przy drzwiach i przechodzę na tyły domku.

Podnoszę rękę, opuszczam ją i mówię:

– Teraz!

Dziewka podchodzi do drzwi i wali w nie porządnie sześć czy siedem razy. Patrzy na mnie, więc macham ręką, żeby spieszała. Potem wchodzi przez cień do Sali. Przemierzam ją szybko i ruszam ku Drzwiom Pamięci. Upewniam się, że spłowana strzelba znajduje się na swoim miejscu. Zostawiłem ją przy drzwiach, kiedy wychodziłem z Avili. Mam przecucie, że Parker dysponuje zaklęciami, które umożliwiają mu wykrycie broni.

Przez drzwi i do domku. Parker stoi przy drzwiach wyjściowych, trzyma dłoń na klamce i zastanawia się, kto za nimi stoi.

Jestem w łazience bungalowu. Allegra i Vidocq siedzą na podłodze z ustami zaklejonymi taśmą i rękami spletanymi z przodu. Kładę palec na ustach, dając im znak, by zachowali ciszę.

Za toaletą stoi przepychacz z drewnianą rączką. Chwytam go i biegnę w stronę Parkera. Sekundę przed dotarciem na miejsce łamię drewnianą rączkę i wbijam mu ostrą końcówkę w plecy.

Parker krzyczy z bólu, a brzmienie jego głosu sprawia, że uderzam o przeciwległą ścianę.

Parker odwraca się i uśmiecha do mnie. Uderza plecami o ścianę, żeby wbić drewniany trzonek w swoje ciało do samego końca. Kiedy zakrwawiony czubek wychodzi mu z piersi, wyciąga go z siebie i rzuca na podłogę.

– Zabawne, prawda? Ty też zrobiłbyś coś takiego. Mason wiedział, że mnie znajdziesz, więc zrobił mi lewatywę z mocy Kissi. Czy czujesz się tak samo, Ponury Piaskunie? Mam wrażenie, że mógłbym rozedrzeć świat gołymi rękami. Pozwól, że ci zademonstruję.

Wyszczekuję zdanie w języku Infernali i Parker tonie do połowy w dywanie, który wsysa go niczym ruchome piaski.

Nie jest zaskoczony ani wystraszony. Wcisną rękę w roztopiony dywan, szepcze kilka słów i otwór zamyka się, wypychając go w górę. Zanim jestem w stanie uskoczyć, miota we mnie jedną z tych plazmowych kul, których używał na Rodeo Drive. Trafia mnie prosto w pierś. Uderzam w ścianę z takim impetem, że łamię kilka belek i zostawiam w niej dziurę. Kamizelka chroni moje żebra przed połamaniem, ale czuję się, jakby trafił mnie ten sam meteoryt, który wykończył dinozaury.

Parker podchodzi bliżej i przygląda mi się uważnie.

– To najlepszy Nowy Rok, jaki pamiętam. Owszem, trochę nam zepsułeś niespodziankę na wzgórzu, ale nie szkodzi. Mason ma dużo różnych pomysłów, a powiem ci szczerze, że trzymanie się z Kissi to zajebista rzecz. Ci chłopcy naprawdę lubią się zabawić.

Z nadludzkim wysiłkiem próbuję podnieść się na nogi, ale udaje mi się jedynie podeprzeć na łokciach.

Parker uśmiecha się i potrząsa głową. Jeszcze nigdy nie widziałem go takiego uszczęśliwionego. Znika w łazience i wraca z Allegrą, ściskając ją za ramię. Trzyma jej ręce na wysokości twarzy, jakby obawiał się, że może go uderzyć.

– To twoja nowa suczka? Alice w wersji dwa-zero? Cóż, niemal dorównuje jej urodą.

Zrywa taśmę z ust Allegry. Chwyta ją za włosy, całuje w usta i wciąż trzymając, odwraca się w moją stronę.

– Jesteś chodzącą definicją nieudacznika, Stark. Wiesz, kto to jest nieudacznik? Ktoś, kto nie potrafi utrzymać swoich kobiet przy życiu. – Puszcza oko do Allegry. – Wiesz, o czym mówię, kochanie?

Kiedy pochyla się, by ponownie ją pocałować, Allegra dmucha na swoje palce. Z ich końcówek wystrzeliwiają płomienie, które trafiają Parkera prosto w oczy. Wrzeszczy i pada na podłogę.

– Uciekaj! – krzyczę do Allegry, a ona wraca do łazienki.

Wciąż oślepiony Parker wyrzaskuje klątwy, które miotają się po całym pokoju, wywalając dziury w ścianach i suficie. Wyszarpuje spod marynarki pistolet i zaczyna strzelać we wszystkich kierunkach. Trzymam głowę nisko, aż Parker dociera na odległość wyciągniętej ręki. Sięgam w cień pod łóżkiem i wyciągam z niego spiłowaną strzelbę. Przyciskam mu ją do czoła i częstuję z obu luf.

W jednej sekundzie Parker ma głowę, a w następnej już nie.

Mam nadzieję, że Kasabian uczyni cię swoim pieskiem w Piekło.

Allegra pomaga mi wstać, po czym wchodzi do łazienki i rozwiązuje Vidocqę. Kiedy ten

tylko wstaje, podchodzi bliżej i chwyta mnie tak, jak tylko potrafi to zrobić dwustuletni Francuz.

– Dobrze cię widzieć, chłopcze – mówi.

– Dziękuję – dodaje Allegra.

Obliczam szanse, że kierownik motelu albo jakiś wystraszony koleś zadzwoni po gliny. Nie ma powodu, by czekać i się o tym przekonać. Chwytam ich oboje, na wpół wchodzę, a na wpół wpadam w cień przy drzwiach, i pociągam ich za sobą.

Wychodzimy w korytarzu przy mieszkaniu Vidocq. Drzwi są zamknięte i odgradzone żółto-czarną taśmą policyjną. Allegra zrywa ją i wchodzi do środka. Vidocq pomaga mi dojść do sofy, na którą dosłownie się przewracam. Opada na kolana i zaczyna przeszukiwać eliksiry rozrzucone po podłodze. Chwyta pękniętą, niebieską butelkę i wylewa ciecz wokół otworu drzwiowego. Pojawia się eteryczna poświata i drzwi znów zmieniają się w litą ścianę.

Allegra wychodzi z kuchni ze zmoczonym ręcznikiem. Kładę się, a ona przyciska mi go do czoła. Przeprowadzam kontrolę stanu ciała, jak zwykle to czynić po każdym wieczorze spędzonym na arenie. Naprężam, poruszam i oceniam funkcjonowanie każdej części ciała, poczynając od stóp. Stopy i nogi działają. Kolana zginają się (jedno jest wciąż zeszywniałe). Flaki i żebra w porządku. Ręce, szyja i czaszka nietknięte. Dłonie i palce się zginają. Nic mi nie jest. Trudno mi tylko złapać oddech po miłosnym uderzeniu kuli Parkera. Zrzucam marynarkę i resztki zniszczonej kamizelki na podłogę.

Vidocq znów kłęczy na podłodze, dzwoniąc buteleczkami eliksirów i szukając nieuszkodzonych. Podchodzi z kilkoma do sofy.

– Mogłoby być coś lepszego, ale i te się nadadzą. Wypij to.

– Co to jest?

– Perła Mustika. Z Turcji. Poczujesz się silniejszy i szybciej wyzdrowiejesz.

– Chryste. Smakuje jak ugotowane zwierzęce truchło z autostrady.

– Teraz popij tym. Poczujesz się bardzo dobrze i spluczesz smak poprzedniego.

Ma rację. Drugi eliksir jest ciepły i ma lekką nutę goryczki.

– Niezłe. Co to takiego?

– Vin Mariani. Czerwone wino z kokainą.

Nie wiem, czy to Vin czy Perła, ale w ciągu kilku minut znów czuję się sobą. Roztrzęsiona, rozpalona i posklejana wersja, ale to zdecydowanie ja.

– Nie mów nikomu – wyznaję – ale wszystko, co wydarzyło się od chwili mojego powrotu, jest z mojej winy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Allegra.

– Zaczekaj. Robi się lepiej. Mogłem ruszyć za Masonem i Kissi już dawno temu. Ale byłem zwykłym tchórzem.

– Jak to możliwe? – pyta Vidocq. – Dwa dni temu nawet nie wiedziałeś o istnieniu Kissi.

– Wiedziałem o nich. Nie znałem ich nazwy i natury, ale czułem, że mam przed sobą coś

w tym rodzaju. Czego chcieli ode mnie Kissi od chwili, kiedy dowiedzieli się, że to mam? Klucza. Mason im o tym powiedział. Kiedy podążyłem za Kasabianem w Półmrok, wyznał mi, że byli z Masonem i Parkerem w jakimś ciemnym miejscu. Nie pustym, lecz wypełnionym pustką. To dlatego Mason i Kissi chcą klucza.

– Ponieważ są w nicości? – pyta Allegra.

– Ponieważ chcą, abym ja znalazł się w nicości. Przeszedłem przez dwanaście drzwi w Sali Trzynastu Drzwi. Jeszcze nigdy nie skorzystałem z tych ostatnich. Zawsze się tego bałem. Wszystkie drzwi oznaczone były symbolami. Słońce. Półksiężyc. Zamarznięte jezioro. Tylko na trzynastych nie ma niczego. To Drzwi Nicości. Tam znajdę Masona i Kissi. I pomyśleć, że mogłem przez nie przejść od razu, kiedy Azazel dał mi klucz. Lata temu. Ale za bardzo się bałem tych pustych drzwi.

– Zamierzasz teraz przez nie przejść? – pyta Vidocq.

– Już powinienem tam być. – Wyciągam z kieszeni plik banknotów i podaję go Allegrze. – Powinien tu być jakiś tyśiąc. Reszta kasy Muninna schowana jest w kopercie pod gratami w Max Overdrive. Jeśli nie wrócę, jest twoja. Jeśli wrócę, będę potrzebował części z powrotem. Trzeba tam nieco posprzątać.

Ich puls i oddechy dudnią w całym mieszkaniu. Stres zabije ich szybciej niż Mason czy Kissi. Oboje chcą coś powiedzieć. Upewniam się, że mam nóż, i wchodzę w cień, zanim wypowiadają pierwsze słowa.

* * *

Trzynaste drzwi wyglądają na starsze i bardziej podniszczone niż cała reszta. Jeśli inne drzwi można określić mianem portali do różnych wymiarów i miejsc we wszechświecie, to trzynaste są wejściem do więzienia. Dobiegają zza nich dziwne dźwięki. Pomruki. Wibracje. Lekki zapach octu. Szept głosów lub wiatru. Powolne, lecz nieustępliwe skrobanie, jakby coś próbowało wydostać się na zewnątrz.

Chwytam zasuwę i otwieram Drzwi Nicości.

Nazwa okazuje się cholernie trafna. W wypadku niektórych drzwi wciąż nie potrafię pojąć ich znaczenia. Co oznaczają Drzwi Porzuconej Melancholii? Niewiele. Ale Drzwi Nicości są rewelacyjnie trafne.

Za drzwiami nie ma niczego. Ani ciemności, ani pustki. Niczego. Jedynie całkowita nieobecność wszystkiego, w szczególności światła. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Natychmiast docierają do mnie dźwięki. Ciche, ukradkowe. Robaki pod suchymi liśćmi. Coś mokrego, wlokącego się przez błoto. Głodne istoty poruszające pazurami i zgrzytające zębami. Dotykają mnie w nicości. Wpełzają na mnie i próbują dostać się pod ubranie. Nie mogę się poruszyć. Nie wiem, dokąd iść. Wówczas przypominam sobie o przedmiocie, który zostawił dla mnie Mason, wiedząc, że prędzej czy później się tutaj znajdę. Wyciągam zapalniczkę.

Niech stanie się światłość.

Zippo rozbłyskuje, przypominając w całej tej pozbawionej światła przestrzeni płomień szybu naftowego. Miliard delikatnych, bladych, na wpół uformowanych antyaniołów wycofuje się w mrok. Ich wielkie, puste oczy migoczą niczym czarny chrom. Kissi tłoczą się na każdym metrze tej chaotycznej nieprzeźroczystości. Żyją, tworząc rosnące sterty jak martwe i umierające anioły. Kopce z ciał kojarzą się ze zdjęciami z Auschwitz. Tak musiało wyglądać niebo po wojnie Lucyfera.

Kiedy ruszam przed siebie, ściana z ciał Kissi rozsuwa się przede mną niczym Morze Czerwone i zamyka za moimi plecami.

Idę tylko po to, by się ruszać. Stanie w miejscu to jak proszenie się o kłopoty. Każdy kierunek wygląda jednak dokładnie tak samo. Nie potrafię określić, czy stąkam po czymś litym, czy tylko po idei czegośkolwiek. W jednej chwili wydaje mi się, że kroczę po twardej ziemi, by za moment brnąć w gąbczastej nawierzchni. Nie zatrzymuję się ani nie zwalniam. Idę dalej, jakbym dokładnie wiedział, w którym zmierzam kierunku.

Jakiś Kissi kładzie mi na ramieniu świecącą rękę. Patrzę na niego w taki sposób, jakbym codziennie rozmawiał z anielskimi zombie. Jego twarz jest na wpół ugotowana. Nie potrafię się jej dokładnie przyjrzeć.

– Powiedziałem ci, że jeszcze się spotkamy. – Twarz Kissi formuje się na krótką chwilę, zmieniając się w przystojną twarz Josefa Aryczyka. – On czeka na ciebie. Idź prosto przed siebie. Wszyscy czekaliśmy na tę chwilę.

– Nie oddalaj się, paskudo. Kiedy skończę z Masonem, jeszcze sobie pogadamy, zanim zabiję cię ponownie.

Josef śmieje się, obraca swoją ślimaczą głowę i znika w wijącej się stercie ciał Kissi. Podejmują jego śmiech i wkrótce roznosi się on po całej kolonii, otaczając mnie całkowicie w ciągu kilku sekund. Dobiega z miliarda gardeł, atakując mnie jak grom, wstrząsając każdą komórką mojego ciała. Odwracam się i wciskam zapalniczkę w środek najbliższej grupy Kissi. Wrzeszczą i pierzchają. Przenoszę zippo na następną grupę. I jeszcze jedną. Wciąż mnie otaczają, ale już się nie śmieją. Trzymają też dystans.

Tuż przede mną wyrasta rezydencja rodem z Beverly Hills, siedziba Tudorów w świecie nicości. Nie bawię się nawet w pukanie.

Kieruję się prosto ku schodom prowadzącym do piwnicy. Magiczny pokój Masona. Pomieszczenie, w którym zesłał mnie do Piekła i w którym znalazłem zapalniczkę.

Otwieram drzwi u dołu schodów i cofam się w czasie o jedenaście lat.

Piwnica wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Nawet koło wymalowane ołowiem na podłodze jest identyczne. Nigdy nie sądziłem, że Mason to taki nostalgiczny typ.

– Wiem, że i tak mi nie uwierzysz, ale naprawdę dobrze cię widzieć, Jimmy. – Mason brzmi dokładnie tak jak kiedyś. Wygląda również tak samo. Nie sposób stwierdzić, czy utrzymuje młody wygląd dzięki magii, czy w tym miejscu po prostu inaczej płynie czas. –

Kiedy spędziło się tyle lat co ja, nie mając z kim pogadać poza Parkerem i Kissi, to niezwykle emocjonujące natknąć się na kogoś bystrego, kogoś, kto nie przyszedł tu pocałować mnie w dupę ani być moim Renfieldem.

– To zabawne. Zawsze wydawało mi się, że jesteście z Parkerem najlepszymi kumplami, a nie Władem i Renfieldem.

– Nazywałeś go moim psem bojowym. Może to lepsze określenie. Pies to najlepszy przyjaciel człowieka, ale to nie oznacza, że będziesz z nim rozmawiać na każdy ważny temat. Psa się głaszczesz, karmi i przywiązuje przy budzie, żeby pilnował kurnika. Nagradza, kiedy dobrze się zachowuje. Karze, kiedy postępuje niewłaściwie. Tak to mniej więcej wygląda.

– Twój plan świetnie wypalił, jeśli faktycznie było nim siedzenie w pustym domu w samym środku gówna, otoczonym gadającą armią mrówek. Kurde. Naprawdę geniusz z ciebie. Tego się nie spodziewałem.

– Wiesz co? Każdą inną osobę już bym udusił. Ale te słowa, ta krytyka. W twoich ustach ona nie boli, bo ja ciebie szanuję. Naprawdę jesteśmy jedynymi Sub Rosa, których cechuje jakiś talent i styl.

– Dlatego musiałeś mnie zabić.

– Nie zabiłem cię, prawda? Mogłem to zrobić, a ty nawet nie wiedziałbyś, co ci się przytrafiło, nie tak, jak w tym drugiej sytuacji.

– Nie potrafisz tego nawet wypowiedzieć? Wysłałeś mnie do Piekła. Powiedz to.

– Nie chcę otwierać starych ran. Nie dlatego cię tutaj sprowadziłem. A zanim mi powiesz, że sam mnie znalazłeś, to powiem ci, że upewniłem się, iż Kasabian wie wystarczająco wiele, żebyś w końcu sam zdołał to rozgryźć.

– Jeśli tak bardzo chciałeś mnie tutaj zaprosić, to dlaczego nie wysłałeś zaproszenia albo nie poleciałeś jednemu ze swoich Kissi, by przekazał mi linka do mapy na Google?

– Ponieważ musiałem mieć pewność, że sam to potrafisz rozpracować. Nie widziałem cię od jedenastu lat. Może powietrze w Piekło lub wszystkie te ciosy w głowę zmieniły ci mózg w budyń? Chciałem się przekonać, że wciąż się do czegoś nadajesz, i oto jesteś. A skoro pozbyłeś się Parkera, mam w tej chwili wakat. Przyjemna robótka dla kogoś zręcznego. Przyzwoite godziny pracy. Wspaniałe przywileje pracownicze. Możliwe ubóstwienie. Zainteresowany?

– Gadaj dalej. Im więcej kłapiesz, tym bardziej chcę cię zabić. Jestem tutaj z tego jednego powodu, jeśli przypadkiem zapomniałeś, co zrobiłeś mi i Alice.

– Alice to sprawka Parkera. Ja chciałem się tylko upewnić, żeby nie narobiła zbytniego hałasu po twoim zniknięciu. Posunął się za daleko.

– Był twoim psem. Wysłałeś go na polowanie. To ty ponosisz odpowiedzialność.

– A gdybym ci powiedział, że możesz ją odzyskać? Dokładnie taką, jaka była? I moglibyście żyć razem na wieki. Co ty na to?

Jego arogancja i wciskanie gówna bynajmniej mnie nie zaskakują. Wciąż tylko dziwi

mnie młody wygląd Masona, jakby nadal był tym samym pozerem, którego znałem przed laty. Czy on naprawdę siedział tu zupełnie sam przez jedenaście lat? To gorsze od tego, co przydarzyło się mnie. Jestem teraz starszy, ale widziałem i zrobiłem sporo rzeczy. Nie ślizgałem się przez dekadę na mojej nastoletniej dupie. Wyobraźcie sobie jedenaście lat w lalkowej wersji waszego domu z dzieciństwa, spędzone na czytaniu książek o magii i rozmowach jedynie ze swoim pieskiem i gadającymi karaluchami. Jeśli Masonowi nie odbiło wtedy, to teraz z pewnością dołączył do armii czubków.

– O czym ty mówisz? Jak miałbym odzyskać Alice?

– Dlatego właśnie kazałem ci rozwiązać zagadkę, żebyś mógł się tutaj dostać. Musiałem się dowiedzieć, czy zdołasz zachować formę, kiedy ruszy projekt. Etap pierwszy to mój sojusz z Kissi. Przejęcie kontroli nad światem.

Uśmiecha się tak, jakby dostał same najlepsze oceny na świadectwie.

– Dlaczego ktokolwiek chciałby rządzić światem? – pytam. – To brzmi jak wielki kolec w dupsku.

– To tylko pierwszy etap. Gdyby zależało mi wyłącznie na przejęciu kontroli nad światem, to, uwierz mi, wraz z Kissi już dawno byśmy to zrobili.

– To na co ci cały ten świat?

– Podczas kampanii wojennej potrzebujesz kilku podstawowych rzeczy. Żołnierzy. Sprzętu. Personelu pomocniczego. Linii zaopatrzenia i tego typu spraw. Ziemia to idealny punkt zborny do czegoś takiego.

– Kiedy cię poznałem, chciałeś tylko zostać najlepszym magiem w okolicy. Teraz chcesz być drugim Pattonem? Odbiło ci?

Podchodzi do wielkiego, hebanowego biurka zawałonego książkami, papierami i mapami wszechświata, podobnymi do tych, którymi dysponowała Aelita – widzianego od góry z Nieba i od dołu z Piekła. Mason bierze księgę o rozmiarach i ciężarze worka z cementem i pokazuje mi strony, które studiował. Na szerokości obu stron wypisano jedno słowo: „L’Infernus”. Poniżej znajduje się szczegółowa mapa topograficzna Piekła.

– Szykujemy inwazję na Piekło. Mam wojsko i mam plan. Ty dobrze znasz słabe i silne strony Piekła. Już zdołałeś je zmiękczyć pod kątem inwazji. Ilu generałów Lucyfera zabiłeś? Tuzin? Dwa? Więcej?

– Chcesz rządzić tym światem, nie takim znowu wspaniałym miejscem, tylko po to, żeby przejąć władzę nad jeszcze gorszym? Czy o to chodzi? To dlatego zrujnowałeś mi życie, zabiłeś Alice i zerznąłeś dupę każdemu, kto ci zufała?

– Po pierwsze, pierdolić wszystkich tych ludzi, którzy mi ufali. Z wyjątkiem Parkera każdy z nich był chciwy i zmienił się w galarete, kiedy tylko wysunąłeś nos z grobu. Dałem im wszystko, czego pragnęli, a oni podwinęli ogony, kiedy tylko sprawy się skomplikowały.

– Z pewnością nie dałeś Kasabianowi tego, czego pragnął.

– Tak, jego chyba wydymałem, co nie? Ale przyznaj sam. Oni są przeciwieństwem

miłości od pierwszego wejrzenia. Są na tym świecie tacy ludzie, których z miejsca masz ochotę łać w mordę i nie przestawać.

– Nie będę się z tobą spierał na temat Kasa, ale czego chcesz od Piekła? Ono już teraz znajduje się na krawędzi wojny domowej. Chcesz wkroczyć w sam środek walczących Infernali?

– Przy pomocy Kissi i twojej? Owszem. Naprawdę. Dzięki połączonym siłom i twoim kontaktom z generałami Lucyfera moglibyśmy zdecydować, kogo należy pokonać, a z kim zawiązać sojusz. Potem wkroczyć i przejąć Piekło, tak samo jak uczyniliśmy to z Ziemią. Kiedy zabezpieczymy całe to miejsce, połączymy armie z Ziemi i Piekła z Kissi. Wtedy przejdziemy do fazy trzeciej.

– Chcesz najechać Niebo.

– Chcę się tam wbić z impetem. Rozerwać Perłową Bramę i zrzucić ją z firmamentu. Chcę ujrzeć, jak dziewięć szeregów aniołów klęka przed ludźmi, którzy ich podbili. No i chcę wyrzucić tego zgrzybiałego, starego pierdziela, który tam rządzi. Wysłać Go do domu starców dla bóstw. Może dostać jeden pokój z Zeusem czy Odysem. Zrujnował wszechświat na początku czasu i robi to nadal. Powinien zająć się grą w golfa w Boca lub zakupami w centrum handlowym, a nie rządzeniem fundamentalnymi prawami miejsca i czasu. Pewnego dnia zapomni, gdzie odłożył pilota, nie zdoła zebrać myśli i zapomni o grawitacji. Gdzie wtedy będziemy? Wiem, że wiesz, że mam rację. Wiem, o czym myślisz.

Patrzę na niego. Nie mam pojęcia, co innego miałbym teraz robić. On ma oczywiście rację. Zgadzam się ze wszystkim, co powiedział na temat Nieba i Piekła. Z chęcią ujrzałbym Boga i Lucyfera na statku wycieczkowym – ruletka, całodniowy bufet, przyzwoita kapela w barze i znośny pokaz sztuczek magicznych na sali głównej przez całą wieczność. Ale zamienić tych aktualnych porąbańców na Masona? To nie przejdzie i on dobrze wie, że nigdy na to nie pójdę.

– Czyli co, pomogę ci zostać nowym Jahwe, i co dalej? Co ja będę z tego miał?

– Świat. Należy do ciebie. I Alice. Będziecie mogli żyć na wieki. Jeśli tylko chcesz. Kiedy przejmiesz władzę, będziemy mogli kontrolować tego typu sprawy.

– Kto dostanie Piekło? Kissi?

– A kto lepiej poradzi sobie w miejscu udręki niż rasa naturalnych zabójców i dręczycieli?

Nie tego oczekiwałem. Nie wiem, czego spodziewałem się w tej Nibylandii, ale z pewnością nie tego. Przybyłem tu gotowy do stoczenia walki z Dżyngis-chanem, grając w najlepszą sesję Dungeons & Dragons w historii.

– Masz rację. Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto nadawałby się do kierowania Piekłem lepiej niż Kissi.

Krażę po piwnicy, pełen podziwu dla jego pamięci, że tak pieczołowicie zdołał wszystko odtworzyć. Zatrzymuję się przy koszu pełnym map, który wznosi się pod sam sufit. Plany

miast. Mapy świata. Mapy czasu i niebiańskiej mechaniki. Mapy obrzeży wszechświata. Wciąż trzymam zapalniczkę Masona. Zapalam ją i zbliżam do jednej z map.

– Co ty tam robisz?

Stare mapy wydrukowano na dobrym, ciężkim papierze. Taki dobrze się pali. Są wystarczająco suche, żeby szybko spłonąć. Kiedy Mason rusza w stronę map, używam zapalniczki do podpalenia książek i papierów na jego biurku.

– Przestań! – krzyczy.

Przysuwam zippo do książki rozłożonej na stojaku. Napisano ją w języku aramejskim. Wygląda na bardzo rzadką i drogą.

– Przestań!

Na to właśnie czekałem. Zaczyna tracić swoje opanowanie. Nie mówi już o władzy. Demoniczny ton w jego głosie zrzuca dom z fundamentów i kruszy mury. Książki, globusy i słoje ze starymi próbkami spadają z półek. Tracę równowagę i przewracam pajęczy szkielet Kissi.

– Problem w tym, Mason, że znasz mnie tylko z dawnych czasów, kiedy niszczenie wszystkiego wokół było zabawniejsze. Twój plan jest tak doszczętnie popierdolony, że może wtedy bym na to poszedł. Ale teraz liczy się już tylko jedno. Zabiłeś Alice, więc ja zabiję ciebie.

Podpalam schematy anatomiczne i diagramy przedstawiające mistyczne maszyny.

Mason za pomocą dywanika gasi ogień na stojaku.

– Kiedy usiądę na złotym tronie w Niebie, uczynię z ciebie i tej twojej dziwki mój specjalny projekt.

Mason mknie przez piwnicę w moim kierunku, szybciej, niż jestem w stanie zareagować. Odpycha mnie na bok, żeby ratować podpalone przeze mnie papiery. Przez kilka sekund idzie mu naprawdę dobrze, ale czarny nóż, który wbijam mu w bok, naprawdę zaczyna sprawiać mu ból. Sięga, żeby go wyjąć. Ja jednak też jestem całkiem szybki. Upadam na ziemię i uderzam obcasem w rękojeść noża, zanurzając kolejne piętnaście centymetrów ostrza w jego boku. Mason wydaje z siebie przeciągły jęk i upada na twarz.

Siadam na nim i wyrywam nóż lewą ręką. Zarzucam mu prawe ramię wokół szyi i wbijam nóż między żebra, prosto w serce. Mason dygocze, podobnie jak cały dom. Ściany i sufit pękają. Cegły, belki i tynk sypią się na nas z góry. Wciskam nóż dalej i słyszę, jak zapada się piętro.

Od ściany odpada regał z książkami i wali się prosto na mnie. Mason uderza łokciem i trafia mnie w plecy. Potem wskakuje na mnie. W samą porę podnoszę nóż i wbijam mu go prosto między żebra. Ale Mason robi sztuczkę, o którą nigdy bym go nie podejrzewał.

Musiał robić z Kissi dużo więcej, niż tylko wymienianie się morskimi opowieściami i przepisami na ciastka. Wsuwa rękę w moją pierś. Nagle robi mi się zimno i dostaję mdłości, przypominam sobie, co odczuwałem w biurze Josefa. Z każdą przepływającą falą bólu i torsji

obracam nóż, wbijając go głębiej.

Ściany rezydencji zmieniły się w pył, a podłoga kołysze się pod naszym ciężarem. Nad naszymi głowami wisi wielka, czarna kopuła nicości. Potem nawet podłoga znika i jesteśmy w ciemności, otoczeni świergoczącymi głosami Kissi, jedynym śladem świadczącym o tym, że całkowicie nie zapadliśmy się we wszechświecie.

Wykrzykuję infernalne zaklęcia kontroli i trujące klątwy prosto w ucho Masona. Ten grzebie w mojej piersi i zaciska palce wokół klucza. Cały wszechświat przesuwają się jak samochód ślizgający się po czarnym lodzie. Przeciągam czarne ostrze między żebrami Masona. Rzucam bojowe zaklęcia. Mason mamrocze w języku Kissi, usiłując wypełnić moją głowę strachem i niepewnością. Na szczęście jestem już skołowany strachem i niepewnością, więc zaklęcie jest raczej niepotrzebne.

Ciemność wokół nas zaczyna się rozdzierać. Przez ścianę nicości prześwitują jasne pasma. Miliard Kissi wrzeszczy, kiedy światło pali ich kryjówkę.

Spadamy. Albo to inne rzeczy wirują wokół nas. Nie potrafię powiedzieć, jakie. Widzę przez chwilę Salę Trzynastu Drzwi. Za każdym razem, kiedy Mason próbuje wyrwać mi klucz z piersi, Sala przenosi się w miejscu i czasie, wypaczając wszechświat.

Czas płynie jak lawa. Mason pociąga za klucz i ból zdaje się trwać milion lat. Sala przepływa obok, większa od całego wszechświata. Jedne drzwi. Tuzin. Milion. Migający zoetrop* otwierających się, zamykających, pojawiających i znikających drzwi.

Zostajemy ściśnięci do rozmiaru atomów. Rozszerzamy się, by wypełnić Drogę Mleczną. Wyrwam ostrze z boku Masona i przesuwam je przez środek gwiazdy. Tnę rozgrzanym do białości nożem cienką tkaninę, która oddziela chaotyczny świat Kissi od naszego. Kissi wrzeszczą i uciekają, kiedy do środka wlewa się światło. Próbują łątać dziury, ale ja wycinam nowe. Bańka nicości należąca do Kissi puchnie i wybucha, rozrzucając na wszystkie strony ich płonące ciała i wysyłając je z dala od światła w stronę lodowatej otchłani na odległym skraju wszechświata.

Kiedy Sala pojawia się po raz kolejny, unoszę nóż i tnę ramię Masona. Jego wrzask wstrząsa pobliskimi planetami. Wyrwam jego odciętą rękę z mojej piersi i nurkuję do środka Sali. Zahaczam jedną ręką o futrynę Drzwi Cieni i wciągam się do środka. Mason trzyma się swoim jedynym ramieniem. Muszę zabrać go ze sobą.

Przewracamy się na kamienie. Łapię oddech i wstaję. Mason leży na plecach, tuląc odciętą rękę do piersi. Jest błady i roztrzęsiony, a krew przesiąka mu przez ubranie. Przez tak długi czas marzyłem o zabiciu Masona, a teraz on wszystko psuje. W moich fantazjach zabijam napastliwego, aroganckiego Masona. Ale ten człowieczek leżący na ziemi i podrygujący niczym złota rybka, która wypadła ze swojej kuli, nie jest potworem, po którego przybyłem.

* Urządzenie, wykorzystujące efekt stroboskopowy, opatentowane w roku 1834 przez Williama George'a Homera (przyp. tłum.).

Mason coś mówi, ale nie słyszę go. Powtarza swoje słowa, ale wciąż zbyt cicho. Przysuwam ucho do jego ust, kiedy mówi po raz kolejny. To język Kissi. Nie rozumiem ani słowa, ale dobiegają mnie trzaski, jakich nasłuchałem się wystarczająco dużo na arenie, by wiedzieć, że jest to albo odgłos łamanych kości albo magicznie zrastających się na nowo. W wypadku Masona pewnie są to obie te rzeczy, z jakimś jeszcze gorszym elementem dorzuconym dla zabawy.

Z kikuta prawego ramienia Masona wysuwa się coś białego, przypominającego larwę. Spod jego skóry dochodzą dźwięki, jakie mogłyby wydawać termity jedzące szkło. Słychać ostatni trzask i ręka Masona wyrywa się z ramienia jako delikatnie świecąca kończyzna Kissi. Oczy Masona otwierają się. W jednej chwili znów staje się potworem, którego pragnąłem zabić. W tym nowym Masonie jest jednak coś nieokreślonego, co sprawia, że każda komórka w moim ciele decyduje jednocześnie, że chciałaby się znaleźć w odległości przynajmniej jednego kontynentu od tego miejsca.

Mason siada i uśmiecha się. Wie dokładnie, gdzie jest. Miejsca jest za mało, a on jest dla mnie zbyt szybki, żebym próbował odcinać mu tę nową rękę. Wśród walczących na arenie znane jest powiedzenie: „Ucieczka jest równie dobra jak atak, zwłaszcza jeśli twojemu przeciwnikowi właśnie wyrosła anielska ręka”.

Otwieram najbliższe drzwi, zatraskuję je i zaczynam biec. Sekundę później słyszę Masona za plecami. Przede mną rozciąga się jakiś miejski plac. Biegnę dalej, roztrzając ludzi po drodze. Po przeciwległej stronie placu widzę prowizoryczny kontuar, gdzie sprzedają Aqua Regia. Wskakuję na niego i kopię szklanki pijących prosto w ich twarze. Infernalny żołnierz rzuca się na mnie z włócznią. Odskakuję na bok i rozcinam ją na pół jednym cięciem czarnego ostrza. Dzięki, stary. Jeśli ktokolwiek miał do tej pory jakieś wątpliwości co do mojej tożsamości, to właśnie zobaczył nóż Azazela i zyskał całkowitą pewność.

– Witajcie, pierdolone, siarkowe gównojady. Jeśli jeszcze nie zgadliście, jestem Ponury Piaskun i wypęzłem z zatracenia, aby zabrać moment z waszego czasu. A jeśli nie wierzycie, że jestem Ponurym Piaskunem, podejdźcie bliżej, a zabiorę wam coś więcej niż moment. Wiem, co większość z was chciałaby mi zrobić, ale chcę, żebyście najpierw pomyśleli o jednym: mogę być potworem, który zabija potwory i największych skurwielu we wszechświecie, ale to tam stoi wasz największy wróg. Człowiek, który tutaj za mną przyszedł. Spójrzcie na jego rękę. To Kissi. Gonił za mną przez całe Stworzenie, ponieważ chce, żebym pomógł mu w sprowadzeniu tutaj armii Kissi, która uczyni z was niewolników, którymi nie chcieliście zostać w Niebie. Nie przyprowadziłem jego armii, ale jego samego. I daję go wam. To taki prezent noworoczny od Ponurego Piaskuna.

Większość zgromadzonych już skupiła się na Masonie i jego ramieniu. Przekształca je tak, aby wyglądało na ludzkie, ale to wkurwia ich jeszcze bardziej. Naciskają na Masona z każdego kierunku, nikt jednak nie chce zrobić pierwszego ruchu. Podnoszę jeden z infernalnych kufli z piwem i kiedy czuję, że przez tłum przepływa fala napięcia, rozbijam go.

W odgłosie tłuczonego szkła jest coś magicznego, zwłaszcza w tłumie. To działa zarówno na ludzi, jak i na Infernali. Jeśli chcesz wszcząć zamieszki, rozbij butelkę.

W chwili, kiedy kufel rozpryskuje się na ziemi, ciżba rusza do przodu z wyciem, zamykając Masona w samym środku. W stronę placu zmierzają infernalni żandarmi. To gwarantuje prawdziwie diabelskie rozruchy przez całą noc. Przykucam i przemykam od stołu do stołu, aż w końcu udaje mi się opuścić plac. Zrywam się do biegu w stronę Drzwi Ognia.

Przechodzę przez nie i kiedy już mam je zatrzaskać, ktoś chwyta mnie za ramię z drugiej strony.

Kościsty Infernal w mundurze, jakiego nigdy nie widziałem, podchodzi tak blisko drzwi, jak to tylko możliwe.

– Zabiłeś mojego pana, Abaddona. Kiedyś znajdę sposób, by przedostać się do twojego świata i pomszczę jego śmierć.

– Dlaczego po prostu tutaj nie wejdiesz i nie opowiesz mi o tym prosto w twarz, kolego? Ach, no tak. Nie możesz tutaj wejść, prawda? Magia jest taka dokuczliwa. Kiedy już wymyślisz, jak dostać się na drugą stronę tych drzwi, nie zapomnij mnie odszukać. Na razie wracaj do szkoły. Odmów modlitwy. A dziś, tuż przed zaśnięciem, pocałuj mnie prosto w dupę.

Zamykam Drzwi Ognia. Chyba powinienem się martwić, ale nie mogę ekscytować się jeszcze jednym Infernałem, który mnie nienawidzi.

Wychodzę z Sali i wracam do mieszkania Vidocq. Allegra kłęczycy i oddziela potłuczone buteleczki z eliksirami od tych, które nie zostały uszkodzone. Vidocq stoi w kuchni i szykuje kawę. Oboje patrzą na mnie.

– Jeśli właśnie zrobiłem Kissi to, co wydaje mi się, że zrobiłem, to chyba uratowałem świat dwukrotnie w ciągu jednej nocy.

– A Mason? – pyta Vidocq.

– Kiedy widziałem go po raz ostatni, rozdzierał go na strzępy tłum wysoce zmotywowanych Infernali.

– Jak się czujesz? – pyta Allegra.

– Boli mnie pierś, ale będzie w porządku, kiedy tylko dostanę papierosa, drinka i lobotomię.

* * *

Kilka dni później.

Na zewnątrz jest słonecznie, Los Angeles widziane z Donut Universe przypomina obraz z widokówki dla turystów. Wciąż kiepsko orientuję się w datach, ale wiem, że jest niedziela. Doskonały dzień na randkę z aniołem.

Przesuwam w jej stronę papierową serwetkę.

– Spróbuj smażonego ciastka z jabłkiem. Przyjaciel powiedział mi, że robią tu najlepsze

w mieście.

– Dziękuję.

Aelita patrzy na ciastko, jakbym właśnie podsunął jej psią kupe.

– Lepsze zarcie mają w Bambusowym Domu Lalek, ale tam nie chciałaś się ze mną spotkać.

– Nie piję.

– Nie musieliśmy pić.

– Nie lubię zapachu alkoholu.

– A co z całym tym winem w świętych, magicznych pokazach w kościele?

– Wino to nie alkohol. To krew naszego Pana.

Popijam kawę. Jest gorąca i pyszna, ale dobra kawa w restauracjach zawsze wpędza mnie w depresję. Zawsze się zastanawiam, dlaczego nie ma jej w smaku papierosa w miejscach, w których nie wolno palić.

– Władze stanu Kalifornia są innego zdania, inaczej gówniarze prosiłoby mnie, żebym robił im zakupy w całodobowych sklepach z krwią.

– Dokładnie takich słów mogłam się od ciebie spodziewać.

– Wynaturzenie?

– Tak.

– Na następną gwiazdkę kupię ci słownik. Musisz poszerzyć swój zasób słów.

– Niektórych rzeczy nie da się odkupić.

– Myślałem, że każdy może przejść przez Perłową Bramę, jeśli wyrazi żal za grzechy.

– Nie. Nie każdy.

– Chyba powinienem zabrać moje ciastko.

Aelita wzdycha i patrzy przez szybę. Wolalaby pewnie jeść lunch na dnie wulkanu, niż siedzieć tutaj ze mną.

– Nie każdy zasługuje na miłosierdzie Pana, ale wszystko w życiu ma swój cel i użytek. Nawet coś wstrętnego. Mając to na uwadze, przybyłam tutaj zapytać cię jeszcze raz, czy zechcesz pracować dla słusznej sprawy Złotego Czuwania?

– Kiedy pytasz w tak miły sposób, w ogóle nie czuję się wstrętny.

– To twoja szansa na odkupienie, jeśli takowa w ogóle istnieje.

– Jasne. Popracuję dla Czuwania. Ale jako wolny strzelec. I chcę zapłaty. Gotówką, z góry. Nie ufam zbytnio dewotom.

– Chcesz pieniędzy za pracę dla Pana?

– Tak, i to sporo. Macie w swoim magazynie całą Strefę 51. Stać was na to.

– Nie sądziłam, że możesz być aż tak niegodziwy, ale udało ci się mnie zaskoczyć.

– Wiem. Jestem gorszy od straszylek dla dzieci i próchnicy zębów. Ale oferta pozostaje. Nie mam wizytówki, ale wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wyciągam z torebki swoje ciastko i nadgryzam. Kissi miał rację. Naprawdę jest pyszne.

– Tamtej nocy uratowałem twoją niebiańską dupę.

– Umieściłeś mnie w okropnym miejscu.

– Nie. Kissi to zrobili. A może już o nich zapomniałeś?

Odsuwa swoje ciastko i kawę.

– To jedzenie ma zapach śmierci. Z pewnością je uwielbiasz. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia. Wychodzę.

– Zamierzasz się ukryć i zmasakrować mnie na parkingu?

– To kusząca wizja.

– Nie, nie jest, i powiem ci dlaczego. Wybrałem się do pewnych ludzi i pohandlowałem trochę. Załatwiłem sobie przycisk bezpieczeństwa.

– Co to takiego?

– Mają coś takiego w pociągach, na traktorach, w różnego rodzaju maszynach. To przycisk, który musi wciskać operator, aby urządzenie działało. Jeśli dostaje zawału serca i umiera, puszcza przycisk. Ten wyłącza wówczas silnik i maszyna się zatrzymuje.

– Zamierzasz zostać motorniczym pociągu?

– Lepiej. Mam oko na to. – Wyciągam małe, drewniane pudełko, które kupiłem poprzedniego dnia, cyborium, i przesuwam w jej stronę po blacie. – Wiesz, co to jest. Zwykle przechowuje się w tym poświęconą hostię, ale ja włożyłem do środka coś lepszego. Sama zobacz.

Aelita patrzy na mnie przez chwilę, po czym dotyka pudełka. Pewnie korzysta z jakiejś anielskiej magii, by przekonać się, czy nie ma tam trucizny, bomby, a może trującej bomby. W końcu je otwiera i zagląda do środka. Na dnie migocze maleńkie światełko, tak drobne, że dla człowieka byłoby niezauważalne.

– Co to jest?

– Przyjrzyj się bliżej, anielico. Nie rozpoznajesz tego?

Upuszcza pudełko.

– Kawałek Mitry.

– Zgadza się. Fragment fragmentu z jeszcze mniejszego fragmentu. Resztę zostawiłem w Sali Trzynastu Drzwi. Póki żyję, nikomu nic nie grozi. Ale jeśli kiedykolwiek zaatakujesz mnie tym swoim mieczem, szkło otaczające Mitrę pęknie i płomienie przepalą wszystkie trzynaście drzwi.

– Kłamiesz.

– Zabij mnie, a spalę cały ten teatr kukiełek. Potem, kiedy w ogniu stanie samo Niebo, wyjaśnisz swojemu szefowi, że to wszystko twoja wina.

– Nawet ty nie możesz być aż tak szalony.

– Możesz się o tym przekonać w prosty sposób.

Wkładam cyborium do kieszeni i wstaję. Wrzucam jej i moje ciastko do papierowej torebki i zawijam górną część.

– Nie zasługujesz na ciastko.

Zostawiam Aelitę wraz ze słońcem świecącym przez szyby, myśląc o pączkach i końcu wszystkiego.

* * *

Wybieram numer doktora Kinskiego, a ten podnosi słuchawkę.

– Cholera! Od kiedy to ty odbierasz telefony?

– To najnowsza i bardzo tymczasowa rewolucja. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Co u Candy?

– Wciąż nieco podekscytowana. Kiedy ktoś popełnia tyle morderstw, uspokojenie się może zabrać trochę czasu.

– Dlatego niektórzy z nas nie przestają ani na moment.

Cisza. Nic. Świerszcze.

– To był żart – dodaję.

– Trzymam cię za słowo. Ale nie w tej sprawie dzwonisz, co?

– Nie. Dzwonię w sprawie kul. Powiedziałeś, że wyjmiesz je ze mnie, kiedy wszystko się uspokoi. Już się uspokoiło.

– Dobra. Wpadnij dzisiaj.

– O której?

– Może od razu?

* * *

Kiedy wjeżdżam na teren marketu, Kinski stoi na zewnątrz i pali papierosa. Parkuję kradzionego mercedesa SLR McLaren na tyłach parkingu, za furgonetką dostawcy pizzy. Drzwi McLarena nie otwierają się na zewnątrz, lecz podnoszą do góry jak skrzydła owada.

Kinski wyrzuca papierosa i zdeptuje go obcasem.

– Nie mogłeś poszukać czegoś bardziej rzucającego się w oczy, żeby tutaj przyjechać? Sterowca? Transatlantyku?

– Z ulicy nikt go nie zobaczy.

– Pewnie nie. Jesteś gotów?

– Tak. Mam już dość tych gówien dzwoniących we mnie, kiedy tylko kichnę.

– No, to w porządku. Wyjmijmy je.

Prowadzi mnie do kliniki. W poczekalni nic się nie zmieniło. Nawet magazyny leżą dokładnie w tym samym miejscu, w którym leżały uprzednio. Gdybym był w biurze u kogoś innego, uznałbym, że to bukmacher lub diler handlujący przy tylnym wejściu. Czekam, aż doktor umyje ręce.

– Zdejmij koszulkę i połów się.

Kiedy układam się na stole zabiegowym, pytam:

– Użyjesz na mnie swoich magicznych kul?

– Obawiam się, że nie tym razem. Ta procedura wymaga więcej pracy od dłoni. Będę musiał dostać się do środka i wyjąć te pociski ręcznie.

Obserwuję, jak wyciera ręce w mały ręcznik w palmowe drzewa. W narożniku wyszyto czerwonymi literami słowo Orlando.

– Kissi już we mnie grzebali łapskami. Nie podobało mi się to.

– Teraz będzie inaczej. Po pierwsze, niczego nie poczujesz. Mam specjalną maść, która znieczuli cię na dobre.

– To mi się podoba.

– Zaczynamy już.

Zdejmuje z półki zakorkowaną butelkę i wylewa na moją pierś coś gęstego jak syrop. Potem bierze niewielką gąbkę i rozciera maź na moim ciele, od szyi po żołądek.

Odkłada gąbkę na półkę i mówi:

– Powiedz mi, kiedy poczujesz ciepło.

– Chyba już je czuję.

– Zamknij na chwilę oczy.

Zamykam je i słyszę, jak pyta:

– Czujesz to?

– Nie. Już włożyłeś mi rękę do środka?

– Czy coś takiego odczuwasz?

– Nie.

– To dobrze. Zatem jesteś gotów. Możesz nie otwierać oczu.

– Zamierzasz przynajmniej założyć rękawiczki?

– Oczywiście, że założyłem cholerne rękawiczki. Nie jestem pieprzonym Kissi.

– Przepraszam.

– W porządku.

Słyszę brzęknięcie, jakby metal uderzył o metal.

– Co to było?

– Pocisk numer jeden.

– To było proste.

– Widzisz? Mogłem zrobić to dawno temu i zaoszczędzić ci bólu.

– Zadzwoń do ciebie po następnej strzelaninie.

– Raczej staraj się nie dać postrzelić.

– A co ma być w tym ciekawego?

Śmieje się przez chwilę.

– To dlatego ty i Candy pasujecie do siebie. Ona powiedziałałaby dokładnie to samo.

Candy to ostatnia osoba, o której chcę rozmawiać z Kinskim, kiedy grzebie w moich

flakach.

– Ile będzie mnie kosztować ta operacja z użyciem magii?

Kolejne brzęknięcie metalu.

– To na mój koszt.

Nie odzywam się przez chwilę.

– Jak ty, do cholery, zarabiasz na życie? Nie masz żadnych pacjentów i nie pobierasz opłat za operację czy przywleczenie tutaj moich przyjaciół. Co jest grane?

– Spinasz się. Spokojnie. Przy każdym poruszeniu pocisk się przemieszcza.

– W porządku.

– A to, w jaki sposób się utrzymuję, to moja, a nie twoja sprawa. Co do tego, dlaczego nie pobieram od ciebie opłaty, pozwól, że o coś cię zapytam. Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, jak przeżyłeś przez te wszystkie lata w Piekło? Naprawdę sądzisz, że żyłeś z Infernalami i udało ci się przetrwać na arenie dlatego, że taki z ciebie twardziel?

– Nie wiem. Zdarzało mi się o tym myśleć, ale nigdy nie znalazłem odpowiedzi. Poza tym byłem dość zajęty, kiedy kopano mnie w dupę, więc przestałem się tym przejmować.

– Cóż, wróciłeś i nie ma już ścigających cię potworów. Powiedz mi zatem, w jaki sposób przetrwałeś te wszystkie lata.

– Nie wiem.

– Zgadnij.

– Nie mam pojęcia. Nie jestem nikim szczególnym.

– Tak sądzisz? Wylądowałeś na dnie kloaki Stworzenia, przeżyłeś i wylazłeś na zewnątrz. Czy to nie brzmi dość szczególnie?

– Nie wiem.

– Owszem, wiesz. Zwykły człowiek, cywil, nie przetrwałby tam jednego dnia, a co dopiero jedenastu lat.

Upada kolejny kawałek metalu.

– Co to oznacza? – pytam.

– Może to, że jesteś inny. Może to, że nie jesteś tym, za kogo się uważasz. A może to, że nie jesteś tak do końca człowiekiem.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Choć patrzę i słucham z całym wysiłkiem, nie potrafię go zrozumieć. Nie słyszę jego serca ani oddechu. Nic.

– Nie podoba mi się tok tej rozmowy, doktorze.

– Jeszcze chwila. Już kończymy.

Zamykam oczy i uspokajam oddech. Nie podobał mi się widok jego dłoni pod moją skórą.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. Jesteś człowiekiem czy nie?

– Jeśli nie jestem człowiekiem, to kim?

– Tym samym co ja. Aniołem, który nie do końca wpasował się w Piekło i Niebie.

Brzęk kolejnego kawałka metalu. Piąta kula. Czuję, jak Kinski się odsuwa. Słyszę, jak podchodzi do zlewu i myje ręce.

– Możesz założyć koszulkę.

Siadam na stole.

– Co ty do mnie powiedziałeś, stary?

Wyciera ręce w ręcznik i mówi:

– To będzie trudniejsze dla ciebie niż dla mnie. Ja dokonałem świadomych wyborów, które mnie tutaj zaprowadziły. Ciebie nienawidziła połowa wszechświata, zanim się w ogóle urodziłeś.

Porusza się powoli, uważnie dobierając słowa. Tylko tyle mogę dostrzec. Nie jest pijany ani naćpany i nie nuci piosenek ze *Zwariowanych melodii*. Jeszcze.

– Załóż koszulkę i przejdźmy się na papierosa.

Idę za nim na parking. Słońce razi mnie w oczy po tym, jak miałem je długo zamknięte. Obserwuję doktora, wypatrującego jakichkolwiek śladów oczywistego szaleństwa. Mógłbym już pójść do merca, ale jestem jeszcze trochę ogłupiony po operacji.

Kinski patrzy na mnie. Wyciąga papierosa i podaje mi paczkę. Wydłubuję jednego.

– Jeśli nie chcesz tego słuchać, to nie będę cię zmuszał. Pomyślałem po prostu, że może interesuje cię, kim jesteś, dlaczego przydarzyło ci się to czy tamto i dlaczego inne rzeczy przydarzą ci się w przyszłości.

– Słucham.

– Jestem pewien, że panna Aelita opowiedziała ci o wielkiej boskiej wpadce na początku czasu. Prawda jest taka, że są inne opowieści, nieprzeznaczone dla uszu zwyczajnych ludzi. Jedna z nich mówi o tym, jak w pierwszych dniach istnienia świata, po tym, co wydarzyło się w Raju, czyli po kolejnej gównianej wpadce, Bóg wysłał anioły na Ziemię, żeby zaopiekowały się ludźmi. Te anioły nie szybowały po niebie na wielkich, białych skrzydłach, z harfami w rękach. One żyły jak przeciętni ludzie. Pracowały. Uprawiły ziemię. Walczyły w wojnach. Robiły wszystko to co inni. Nie mogły zrobić tylko jednej rzeczy, a mianowicie zbratać się z ludźmi. Musiały trzymać się z daleka i na uboczu, żeby móc ich pilnować.

Wypalam papierosa i obserwuję, jak smog otacza chmury zabawnymi cieniami w niebieskim i złotym kolorze.

– Problem z tym planem polega na tym, że nie możesz wziąć kogoś, nawet anioła, wsadzić go w ludzkie ciało, dać ludzkie życie i oczekiwać, że nie zacznie się zachowywać i czuć tak jak ludzie. Zakochać się. Mieć potomstwo. Dzieci, które miały anioły z ziemskimi kobietami, nazywano nefilim. W pewnym okresie było ich bardzo wiele. Teraz jest ich już znacznie mniej.

– Dlaczego?

– Zabito je. Tak samo jak anioły, które były ich ojcami, i kobiety, z których łona wyszły.

– Dlaczego?

– Tak musiało się stać. Nie mogły istnieć żadne ślady czy informacje o ich istnieniu. Większość z tych, którzy dokonywali mordów, nie nazywali tych dzieci nefilim. Mieli na nie inne określenie.

– Wynaturzenie.

Kinski kiwa głową.

– Mądry chłopak.

– Jeśli nie jesteś doktorem Kinskim, to kim?

– Odebrali mi prawdziwe imię, kiedy wykopali mnie z Nieba. Normalnie, kiedy anioł popada w niełaskę, kończy wraz z innymi upadłymi aniołami w Piekło. To w moim wypadku byłoby zbyt żenujące. Widzisz, ja byłem Archaniołem Urielem, Strażnikiem Ziemi. Gdyby zesłali mnie na sam Dół, wiedzieliby, do czego by doszło. Lucyfer wyprawiliby na moją cześć uroczystą paradę. Bóg nie zamierzał na to pozwolić. A więc jestem tutaj. Prowadzę mały, nierzucający się w oczy zakładzik naprawczy dla ludzi, tuż obok miłych pań, które pielęgnują paznokcie innych miłych pań.

– Co takiego zrobiłeś, że wykopali cię z Nieba?

– Zabiłem innego anioła.

– Dlaczego?

– Bo na to zasłużył.

Wyrzucam niedopałek na ziemię.

– Mogę jeszcze jednego?

Doktor podaje mi kolejnego papierosa, którego podpalam zapalniczką Masona.

– Czy Vidocq wie o tych całych nefilim?

– Pytasz o to, czy wie o tobie? To mądry człowiek, który czyta wiele książek. Potrafi dodać dwa do dwóch.

– To jest, kurwa, po prostu śmieszne. Nie jestem żadnym pieprzonym aniołem.

– Jasne, jesteś zupełnie normalnym chłopakiem. Urodziłeś się, żeby poznać magię lepiej, niż większość Sub Rosa jest w stanie poznać przez całe życie. Przetrwałeś w Piekło. Uratowałeś świat i przegoniłeś Kissi. Typowy nieudacznik.

Chudy chłopak w koszuli w paski i czapeczce bejsbolowej odwróconej daszkiem do tyłu wychodzi z pizzerii, niosąc pudełka do furgonetki.

Doktor kiwa głową w jego stronę.

– Ten chłopak jest bystrzejszy od nas obu. Ma samochód i tyle pizzy, ile zdoła zjeść. Czego więcej potrzeba człowiekowi?

Uśmiecha się w reakcji na własny żart. Po raz pierwszy nie jest tak poważny jak do tej pory.

– Jeśli w to wszystko uwierzę, to w jakim właściwie położeniu się znajduję?

Uśmiech znika.

– W niezbyt dobrym, muszę przyznać. Jesteś Wynaturzeniem. Piekło nienawidzi cię za to,

że jesteś kimś więcej niż człowiekiem, a Niebo za to, że jesteś kimś mniej niż aniołem.

– Nic dziwnego, że nie mogłem znaleźć laski na bal maturalny.

– Musisz wiedzieć coś jeszcze. – Zerka na zegarek. – Wkrótce powinienem zadzwonić do Candy. Sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Podaję jej podwójne dawki substytutu krwi.

– Nic jej nie będzie?

– Trudno stwierdzić. Niełatwo jest pokonać własną naturę. Ja bym nie dał sobie z tym rady. Anioły to stworzenia, którym przeznaczono miłość i opiekę nad ludźmi, bez prawa do zakochiwania się. Ale mnie się to przydarzyło. Candy jest drapieżcą. Doskonałą zabójczynią. Próbuje to jednak zmienić, a ja staram się jej pomóc. Może to błąd.

– Sądziłem, że to ty nakłoniłeś ją do skończenia z zabijaniem.

– Nie. Ona przyszła do mnie.

– Na to bym nie wpadł.

– Jak już powiedziałem, nie jestem pewien, czy dobrze robię, pomagając jej. Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć na temat nefilim. Nie wszyscy zostali wymordowani przez zabójców Boga. Wasz gatunek już w dużej mierze wymarł, ponieważ sami się o to prosiliście. Nie należycie do zbyt stabilnych psychicznie istot, ale o tym już pewnie się przekonałeś.

– To stąd ta rana na twoim ramieniu? Ci goście, którzy próbowali wepchnąć cię do samochodu, byli aniołami usiłującymi cię zabić?

Kinski śmieje się.

– Nie, chłopcze. Niebo już się mną nie przejmuje. To byli Kissi. Wybrali się zapolować na ostatniego anioła na swoje noworoczne przyjęcie.

Wbijam w niego wzrok, starając się go odczytać. Chcę ostatecznego, prawdziwego odczytu, ale natrafiam na lity mur.

Uśmiecha się do mnie.

– Wiem, co robisz. Nie możesz odczytać aniołów tak jak zwykłych ludzi. Nawet anioły nie potrafią odczytać się wzajemnie. W przeciwnym razie nie mielibyśmy w Niebie tego drobnego zamieszania z Lucyferem.

– A mnie możesz odczytać?

– Oczywiście.

– O czym myślę?

– Obawiasz się, że jestem obłąkany, bo byłbym kolejną osobą, na której nie mógłbyś polegać. Boisz się też, że mówię prawdę, gdyż to by oznaczało, że wydymano cię, zanim w ogóle zaczerpnąłeś pierwszy oddech.

O tym właśnie myślę.

– Czy stanę się taki jak ty? Czy pewnego dnia będę mógł cię odczytać?

Wzrusza ramionami.

– Trudno stwierdzić. W wypadku nefilim zawsze jest inaczej. Jedne są bardziej ludzkie,

inne bardziej anielskie i zdolne do robienia niemal wszystkiego, co robią anioły. O tym, czy coś potrafisz, przekonasz się dopiero wówczas, kiedy to zrobisz. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Powiedzmy, że wierzę w tę historię. Możesz mnie naprawić takim koktajlem jak Candy? Zmienić mnie w normalnego człowieka?

– Nawet bym nie próbował.

– Dlaczego nie?

– Zawsze znałeś magię, ale prawdziwą moc zdobyłeś w Piekło. Byłeś zupełnie wolny, nie ograniczałeś się jak nefilim, którzy wyrosli wśród ludzi. Udało ci się żyć bez całego tego lęku, który im zawsze towarzyszył.

– To kim ja właściwie jestem?

– Wojownik to chyba dobre określenie, tradycyjne, ale w ten sposób można grzecznie powiedzieć, że jesteś urodzonym zabójcą. Jesteś Ponurym Piaskunem, potworem, który zabija inne potwory. Nie zamierzam niczym cię faszerować, by to zmienić.

– Nawet gdybym sam tego chciał?

– Zwłaszcza wtedy. Ile innych aniołów pokazało się tamtej nocy, żeby uratować świat? Czy Aelita i jej stadko zniszczyły zło w sercu Avili? Nie. Przejście przez całą tę zgromadzoną tam masę i jej pokonanie wymagało obecności potwora. Nikt inny nie zdołałby tego uczynić.

– Były tam dwa potwory – przypominam mu.

Kiwa głową.

– Tak. Dwa potwory.

Dostawca wynosi drugą stertę kartonów z pizzą, ładuje je do furgonetki, wycofuje samochód i włącza się w popołudniowy ruch. Wyjeżdżając z parkingu, pokazuje nam palec.

– Czuję, że w twojej głowie tłucze się mnóstwo myśli. Chcesz mi powiedzieć, co o tym wszystkim myślisz?

– Jeśli twoja opowieść jest prawdziwa, to jedno z moich rodziców pieprzyło się z aniołem. Które?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie ma, ale chcę wiedzieć.

– Twoja matka.

– Tak myślałem. Mój ojciec ciągle gdzieś wyjeżdżał w interesach, mama była samotna i atrakcyjna. To chyba wiele wyjaśnia.

– Skoro tak uważasz.

– Wiedział, że nie jestem jego synem.

– Ale mimo to cię wychował. Powinieneś odczuwać za to wdzięczność.

– Chciał mojej śmierci.

– Do diabła, chłopcze. W pewnym okresie wszyscy ojcowie chcą pozabijać swoich synów. Tak samo jak ci synowie myślą o wymordowaniu swoich starych. Albo są bardzo do siebie podobni albo niewystarczająco podobni. Nieważne. Najważniejsze jest to, że tego nie

robią.

– Czy są w okolicy inni nefilim?

– Nie ma żadnej oficjalnej listy, ale z tego, co mi wiadomo, ty jesteś jedyny.

– Zawsze martwiłem się tym, że jestem nudny. Teraz mam wrażenie, że to dobra cecha.

– Staraj się nie myśleć o sobie w taki sposób. Świat już cię nienawidzi. Użalanie się nad sobą nic nie da.

Zawsze, kiedy w moim życiu z hukiem opadał młot, zastanawiałem się, co zrobiłby mój ojciec. Potem zwykle robiłem coś przeciwnego, ale zawsze w pierwszej kolejności myślę o nim. Teraz jednak nie widzę twarzy ojca, lecz oblicze matki. I myślę o Alice. O Candy. I o Allegrze wdmuchującej ogień w oczy Parkera. I o Vidocqu, który nie jest ojcem, ale potrafi ułatwić człowiekowi życie lepiej niż rodzina.

Strzepuję popiół z papierosa na szczura, który czai się na parę gołębi na parkingu.

– Wiesz, o czym teraz myślę?

Kinski milczy przez jakiś czas.

– Że bardzo chcesz się napić.

– Tak, ale to zbyt proste. Ja zawsze chcę się napić. Zgaduj jeszcze raz.

– Znow się zastanawiasz, czy jestem obłąkany lub czy nie skłaniam się ku temu.

Kiwam głową i robię kilka kroków w stronę mercedesa.

– Prawdę mówiąc, nie. Gównu mnie to wszystko obchodzi. Mam dość Nieba, Piekła, aniołów, nefilim i całej reszty. Wiedziałem, po co tutaj jestem. I nikt nie powiedział mi, że nie jestem tym, kim jestem. Bądź sobie upadłym archaniołem, jeśli chcesz, ale mnie do tego nie mieszaj. Nie chcę być bohaterem twojej opery mydlanej. Nie chcę być częścią mitologii.

Idę do mercedesa, który teraz wygląda w moich oczach komicznie. Martwa krzyżówka wielkiego konika polnego z kubistyczną corvette. Mijam samochód i wchodzę w cień latarni na skraju parkingu. Kinski odprowadza mnie wzrokiem. Kiedy wkraczam do Sali Trzynastu Drzwi, jakiś dręczący głos w moim mózgu szepcze: „Czy wiesz, że to, co teraz robisz, przechodząc z parkingu do centrum wszechświata, jest bardzo mitologiczne?”.

* * *

Z Los Angeles jest tylko jeden problem.

Ono istnieje.

Los Angeles przydarza się, kiedy banda Lovecraftowskich starszych bogów i gwiazdek porno spędza weekend w Chateau Marmont, wciągając nosem białe ścieżki z pokruszonych kości Jima Morrisona. Jeśli nie wystarczą ci viagra i nielegalne filmy z Traci Lords, to na pewno pomogą japońskie pornole.

W Nowym Jorku kręcą się nawiedzeni kanibale i aligatory z kanałów. W Chicago spotkać można yeti i duchy milionów wściekłych byków z rogami jak młoty. Teksas to melina maniaków, którzy porywają opętane przez demony lolitki i każą im grać w rosyjską ruletkę z

sześcioma nabojami w komorze.

Los Angeles to same dupki i anioły, krwio pijcy i sataniści, czarna magia i potentaci filmowi, którzy zakopali w swoich piwnicach więcej zwłok niż zgromadził John Wayne Gacy*.

Jest tu więcej kamer nadzoru i drutów kolczastych niż wokół papieża. Los Angeles to jeden wielki korek uliczny zmierzający do następnej Hiroszimy. Boże, jak ja kocham to miasto.

* * *

Potrzebuję zarcia. Potrzebuję wody. Muszę zapalić papierosa w uliczce na tyłach baru, gdzie słychać pieprzących się za kontenerem na śmieci bywalców.

Idę z Max Overdrive do Bambusowego Domu Lalek, wciągając pełne smogu powietrze i mrużąc oczy przed zachodem słońca krwistym jak upadek Cesarstwa Rzymskiego.

Kiedy wchodzę do środka, ludzie gapią się i wskazują mnie palcami. Przez moment ogarnia mnie ta typowo senna paranoja i wydaje mi się, że nie mam na sobie gaci. Nikt się jednak nie śmieje, a ja mam kieszeń pełną forsy i nóż zatknięty za paskiem dżinsów, więc chyba nie o gacie chodzi.

W Bambusowym Domu Lalek uśmiecha się do mnie więcej dziewczyn niż przez całe moje dotychczasowe życie. Zapewne zorganizowano w mieście jakiś festiwal dla fetyszystów, a te tutaj lubują się w bliznach.

Starszy facet w purpurowej, aksamitnej kamizelce przytrzymuje mi drzwi, kiedy wchodzę. To nie festiwal fetyszystów, to coś zdecydowanie poważniejszego. Stoję przez chwilę w alkowie, adaptując wzrok do panującego wewnątrz półmroku.

W lokalu zapada kompletna cisza. Carlos wyłącza nawet muzykę. Jaja kurczą mi się w spodniach, a ręka sunie w stronę noża. Otwieram oczy i około setki schizofreników zaczyna wiwatować. Po chwili wszyscy jak jeden mąż skandują: „Piaskun! Piaskun!”. Za barem wisi transparent, na którym srebrną farbą wymalowano napis: DING DONG, WIEDŹMA NIE ŻYJE. Na barze stoi oprawiona w ramkę i otoczona czarnym wieńcem fotografia przedstawiająca Masona. Ktoś dorysował mu flamastrem wusa i diabelskie rogi.

Ludzie opuszczają swoje miejsca i zaczynają ścisnąć mi dłonie. Poklepują mnie po plecach. Kobiety całują mnie, podobnie faceci z dziwnymi akcentami. Niektórzy są ubrani jak zwykli biznesmeni i bizneswoman, studenci, hipsterzy i dorosłe punki. Inni wyglądają tak, jakby byli na przepustce z wariatkoma w Oz.

Jasna cholera. Sub Rosa przejęli mój bar.

Wieści o mojej walce z Masonem i Kissi musiały rozejść się po całym mieście.

Ja pierdołę. Jestem gwiazdą rocka. A przyszedłem tylko po to, by zjeść burrito.

* Amerykański seryjny morderca i gwałcień (przyp. tłum.).

Przedostaję się do baru, gdzie Carlos obdarza mnie promiennym uśmiechem.

– Twoi przyjaciele są kapitalni! – krzyczy mi do ucha. – Dlaczego nie przyprowadziłeś ich wcześniej?

– Nie wiedziałem, że są moimi przyjaciółmi.

Nie przestaje się uśmiechać. Nie słyszy ani jednego mojego słowa. Przywołuje mnie gestem, żeby szepnąć mi coś do ucha. Pochyla się nade mną i mówi:

– Bez jaj, ale niektórzy z nich znają magię!

– A czy ty mógłbyś wyczarować mi trochę ryżu z fasolą? Jestem tak głodny, że mógłbym zjeść całe hrabstwo Orange.

Dwie minuty później Carlos przynosi mi tyle żarcia, że można by nim wykarmić wszystkie kraje nad Pacyfikiem. Podnoszę szklanę pełną Jacka i wznosimy z Carlosem toast na swoją cześć. Wygląda na naprawdę uszczęśliwionego. Sub Rosa może przypominać bandę oszołomów, pozerów i biurokratów, ale tworzą również wielką część podziemnej gospodarki, która utrzymuje Kalifornię. I nie są nieśmiali, jak chodzi o szastanie kasą. Jeśli Bambusowy Dom Lalek zostanie lokalem Sub Rosa, Carlos do piątku zarobi na emeryturę.

Usiłuję jeść, ale ludzie wciąż podchodzą i przedstawiają się. Jeśli czeokolwiek potrzebuję, mam bez wahania dzwonić. Jakies pięćdziesiąt różnych lasek wciska mi swoje numery telefonów. To samo robi również liczna grupa facetów. Nie zapamiętuję żadnego imienia. To jeden wielki festiwal miłości i, choć ludzie są przemili, zaczyna mnie to męczyć. Udaję, że wychodzę na papierosa, ale tak naprawdę potrzebuję tylko cienia, w którym będę mógł zniknąć.

Z drugiej strony potrzebuję również zapalić.

Robię to w alejce za barem. Podchodzi do mnie jakaś kobieta ubrana jak Stevie Nicks. Z bliska wydaje się bardziej interesująca. Ma najbielszą skórę, jaką kiedykolwiek widziałem. Coś dziwnego dzieje się też z jej twarzą – porusza się niezależnie od tego, czy mówi, czy nie. To oblicze kojarzy się z fazami Księżyca, w jednej chwili należąc do fantastycznej dziewczyny, a w drugiej do staruszki o skórze przypominającej strzaskany granit.

– Dobrze się bawisz w środku? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Nieźle, ale trochę tego za dużo. Zamierzam dokończyć papierosa i się ulotnić.

– Cieszę się w takim razie, że cię zastałam. Jestem Medea Bava. Dostałeś paczuszkę, którą zostawiłam twojemu przyjacielowi Vidocqowi?

Pióra. Wilcze zęby. Krew.

– Mam ją. Choć było już po świętach, dołożyłaś starań, by mi coś sprezentować.

Twarze młodej i starej kobiety poważnieją.

– Dla tych głupców w środku możesz być bohaterem, ale nie dla mnie. Jesteś niebezpiecznym człowiekiem. Przestępcą. Dzikim psem, którego należy uspić.

– Należysz do Inkwizycji, prawda?

Śmieje się.

– Mój chłopcze, to ja jestem Inkwizycją. Od tej pory będę obserwowała każdy twój ruch.

– Czy to nie z utworu The Police?

– W taki dokładnie sposób doprosisz się następnej paczuski. Tyle że tym razem będzie ona nieco bardziej, powiedzmy, żywa.

– Szanowna pani, widziałem Piekło, widziałem Hollywood i wiem mniej więcej, jak wygląda Niebo. Zatrzymaj więc swoje pogrożki i wciągnij je przez tą skrzywioną przegrodę nosową. Gdybym miał się martwić twoim kiwaniem palcem, musiałoby mi mocno na czymś zależeć, a ja już dotarłem do granic. Jak będziesz potrzebowała podłego kundla, zadzwoń. Możesz mnie zabić, ale uwierz, zostaniesz kaleką, a ta twoja buźka nie będzie się zmieniać z taką łatwością.

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Żadnej reakcji. Nic. Tylko ta przekształcająca się twarz.

– Baw się dobrze, młody człowieku.

– Zostaw włączone światło. Może nie zaczekam, aż to ty ruszysz za mną.

Śmieje się. Wysoki chichot kojarzący się z pobrękującymi o siebie kryształowymi kieliszkami.

Dość zabawy jak na jedną noc. Rzucam papierosa do kratki ściekowej i rozglądam się w poszukiwaniu wygodnego cienia.

– Śmiecenie jest przestępstwem, nawet w Los Angeles.

To cedzenie przez zęby będzie mnie nękać w snach przez następne sto lat.

– Szeryf federalny Wells. Przyszedłeś pobawić się z chochlikami?

– Nie bądź obsceniczny – ucina. – Nawet z tej odległości wyczuwam ich obłąkanie.

– Nie trać okazji. Może ci się poszczęści? Niektórym z nich spodobałby się facet w mundurze.

Kręci głową.

– Nie zamierzam marnować czasu na gadanie z ludźmi zbyt szalonymi, głupimi lub zepsutymi, żeby zrozumieć, co mam im do powiedzenia.

– W takim razie to, co chciałeś powiedzieć, nie jest pewnie warte mówienia.

– Mylisz się. Jest warte. Tamtej nocy zrobiłeś coś dobrego. Nie dalibyśmy rady powstrzymać tej ceremonii bez ciebie.

– I Candy.

– Tak, twojej przyjaciółki-monstrum. A więc teraz jesteście jak Batman i Robin?

– Sądzę, że to była nasza pierwsza i ostatnia randka.

– Szkoda. Moglibyście się na coś przydać.

– Powiem jej, że mamy błogosławieństwo Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Jeśli chcesz, możesz nas zatrudnić. Jestem pewien, że za odpowiednią cenę wybiję jej emeryturę z głowy.

– Aelita już mi powiedziała o twojej propozycji współpracy. Chyba nigdy nie zrozumie

takich ludzi jak ty. Nie szanujesz niczego. Niczego nie cenisz. Ale jednak zszedłeś ze swojej drogi, żeby zająć się największym złem, jakie widziało to miasto od długiego czasu.

– Cenię sobie wiele rzeczy, ale z pewnością nie należy do nich nic, co by ciebie obchodziło.

– Pewnie byłbyś zaskoczony.

Odwraca wzrok i przyspiesza mu tętno. Coś ukrywa.

– Nie ma nic złego w zakochaniu się w aniele. Zaufaj mi. Nie byłbyś pierwszy.

Kiwa głową, ale wciąż na mnie nie patrzy. Trzyma pod pachą jakiś pakunek i podaje mi go.

– Pomyślałem, że może ci się to przydać. Znaleźliśmy to podczas przeszukiwania Avili. Był tam cały pokój podobnych rzeczy. To prochy twojej dziewczyny.

Los Angeles zapada się o piętnaście kilometrów pod moimi stopami, wchłonięte przez uskok San Andreas. Kręci mi się w głowie, ale nie chcę, by to widział. Chcę mu podziękować, ale słowa nie mogą przejść przez gardło.

Odchodzi i wsiada do jednej ze swoich czarnych furgonetek. Wchodzę w pierwszy cień, na który natrafiam.

* * *

Chcę ukraść samochód. Coś dużego i paskudnego. Hummera albo wypieszczonego land rovera. Wzmocnione zawieszenie, wyciągarka i samouszczelniające się opony, na których można przejechać z napędem na cztery koła przez całą Apokalipsę. Chcę ukraść coś lśniącego, głupiego i drogiego, podpalić, usiąść na siedzeniu kierowcy i z prędkością dwustu kilometrów na godzinę wpaść do oceanu. Poczuć, jak pęka przednia szyba, jak wpada do środka, uderza mnie i łamie mi kark. Chcę poczuć czarną, zimną wodę, która porывa mnie i wypływa na piaszczystym dnie świata, pośród ślepych krabów i białych jak kości rozgwiazd. Nie chcę śmierci. Wiem, co by mnie czekało, a w Piekło jest zbyt jasno, zbyt głośno. Chcę zapomnienia. Chcę niebytu. Chcę poczuć coś, co nie będzie bólem.

Chcę Alice.

Ale Alice nie chciałaby, abym znikł. Nie lubiła, kiedy kradłem lub niszczyłem rzeczy należące do innych ludzi, więc nie zrobię dzisiaj niczego takiego.

Widzicie? Nawet martwa czyni mnie lepszym... kimś tam. Kimś mniej głupim. Bardziej rozważnym potworem.

Wychodzę z cienia i wkraczam na Venice Beach. Alice jest pod moją ręką w brązowym, plastikowym pudełku. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej na piasku palą się ogniska. Magnetofon dudni czymś, co z tej odległości zdaje się tylko basami z przeciążonych głośników. Na ulicy za moimi plecami kwitnie handel prochami. Pary obmacują się i poca w ciemnościach.

Znałem kiedyś jednego dilerę z hrabstwa Marin. Hipis, ale z gatunku tych, którzy sypiają

z czterdziestką pod poduszką. Kiedy zajął się uprawą roślin, przestał korzystać z toalety. Srał na czarny brezent za domem, wystawiał na słońce do wyschnięcia i używał tego gówna do nawożenia roślin. Powiedział mi, że pomysł podchwycił od przyjaciela, który wytwarzał suszone pomidory.

Eksperymentował z nawozem przez jakiś rok. Zbierał każdą wysuszoną bryłkę po miesiącu leżenia na słońcu. Powiedział mi, że pod koniec roku wszystko, co z siebie wywalił na brezent, zmieści się w jednym pudełku po butach.

Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałem. Może dlatego, że jedyna osoba, którą kochałem, spoczywa teraz w czymś zbliżonym do srajpudełka tamtego dilerka?

Na niebie wisi sierp Księżyca. Czy to właściwa noc, aby pozwolić Alice odejść? Gdybym był lepszym magiem niż mordercą, pewnie bym wiedział.

Woda jest zimna i spokojna. Jest faza odpływu. Muszę przejść dobre dziesięć czy dwadzieścia metrów, żeby poczuć na nogach fale. Buty wpadają mi całkowicie w muł. Broczę wśród niemrawych fal, aż woda sięga mi do pasa.

Otwieram górną część plastikowego sarkofagu Alice. Jej prochy spoczywają w foliowym woreczku, takim samym, w jakie pakuje się kanapki do pracy. Wyciągam torebkę i opuszczam, żeby dolna część znalazła się jakieś dwa centymetry pod wodą. Wyciągam czarny nóż i rozcinam bok.

Fale chłozczą woreczek i zabierają prochy. Alice unosi się na powierzchni oceanu, biała chmura rozciągająca się we wszystkich kierunkach. Brnę dalej w mule, podążając za prochami, które stopniowo zabiera odpływ.

Chcę za nią podążać, iść bez końca. Ale to również by jej się nie spodobało.

Zatrzymuję się, kiedy woda sięga mi do piersi i patrzę, jak Alice rozpuszcza się w czarnym Pacyfiku. Próbuję zagarnąć garść jej prochów, ale woda wymywa mi je spomiędzy palców. W głowie wciąż siedzi mi ta cholerna piosenka.

*Cóż za senna dziś pogoda
Pomachałaś wykrzywioną dłońią
W stronę skutego lodem stawu
i zamarznętego księżycy
Ujrzałem morderstwo sylwetek kruków
I łyżę na mojej twarzy
A łyżwy na tafli lodu
Wypisują słowo Alice.*

Kiedy woda zabiera resztkę jej popiołów, mam zupełnie zdrętwiałe nogi. Nie czuję już nawet zimna, choć cały się trzęsę.

Żegnaj, Alice. Wiem, że pewnie nie podobało ci się to całe moje zabijanie, ale to

wszystko, co mogłem ci zaofiarować. Zabrnąłem zbyt daleko, żeby się teraz zatrzymać. Kiedy uzyskam pewność co do Masona, wrócę tam, gdzie moje miejsce, i będę o tobie marzył w Piekło. Na razie śpij dobrze.

* * *

Kto by pomyślał, że Kasabian mógł wpaść na pomysł, żeby wykupić ubezpieczenie od wypadków? Allegra znalazła papiery na dnie sejfów, kiedy zamykała sklep jednej nocy w tygodniu, nadal pracując w Max Overdrive.

Przy schodach prowadzących do mojej sypialni leżą robocze ubrania, drabiny i puszki z farbą. Popękane ściany i sufit pokrywa nowa warstwa tynku. Rankiem (nie za wcześnie, poprosiłem szefa ekipy, żeby nie przychodzili przed jedenastą) rozpocznie się gipsowanie jednej ściany i malowanie drugiej.

Leżę po prysznicu na łóżku i gapię się na pasma zaprawy i taśmy do tynku – długie, białe blizny, które trzymają w kupie nowy sufit. Próbuję przekonać samego siebie do dźwignięcia tyłka z łóżka i pójścia do Bambusowego Domu Lalek na jakieś przyzwoite zarcie.

– Puk, puk.

W ułamku sekundy trzymam odbezpieczonego i gotowego do strzału colta navy. W przejściu stoi Lucyfer i trzyma torbę w czerwono-białą szachownicę. Opuszczam broń i odkładam ją na stoliku przy łóżku.

– Nie wstawaj, to tylko krótka wizyta – mówi.

Książę Ciemności ubrany jest w dopasowany, ciemnoszary garnitur, który wygląda na droższy od całego tego budynku. Odkłada torbę na stół i opiera się o framugę drzwi.

– Ostrożnie. Mogło jeszcze nie wyschnąć – ostrzegam.

– Dziękuję. – Prostuje się i sprawdza, czy nie ma plam na garniturze. – Byłem w okolicy, pomyślałem więc, że wpadnę i pogratuluję załatwienia Masona. Naprawdę nie sądziłem, że jesteś zdolny do takich wyczynów.

– Dopóki go nie załatwiłem, myślałem tak samo.

– Bardzo mądrze pomyślałeś, żeby wciągnąć go za sobą do Piekła. Szkoda tylko, że kiedy go tam zostawiłeś, dałeś mu dokładnie to, na czym mu zależało. Czy naprawdę myślałeś, że rytuał w Avili miał na celu wypuszczenie mnie i innych z Piekła?

– Nie, chodziło o wpuszczenie jego. Dopiero później na to wpadłem. A więc tłum nie rozszarpał go na strzępy?

– Oczywiście, że nie. Mason tak łatwo nie umrze. Teraz swobodnie pełza tam na dole, jak żmija na moim łonie, spiskując z moimi generałami i próbując mnie obalić.

– Bez wsparcia ze strony Kissi będzie mu teraz dużo trudniej.

– Może.

– Chcesz mi powiedzieć, że Książę Ciemności nie może sobie poradzić z jednym wsżawym człowiekiem? Wcześniej sobie radziłeś.

– Nie teraz, kiedy chronią go wszyscy moi generałowie i arystokracja. Jeszcze zanim się pojawił, sprawy toczyły się wystarczająco chaotycznie. Mógłbym zebrać lojalne wobec mnie oddziały, znaleźć go i zabić, ale w tym celu musiałbym zniszczyć połowę mojego królestwa.

– To nie mój problem.

– Jeszcze nie.

Lucyfer wyciąga paczkę cienkich czarnych papierosów ze srebrnymi ustnikami.

– Nie będzie przeszkadzało? – pyta.

– Cholera. To kłątwy?

– Tak. Tutaj ich nie dostaniesz. – Rzuca mi paczkę. – Zatrzymaj je. Mam zapas.

– Dzięki.

Wydłubuję jedną kłatwę z pudełka, podpalam i zaciągam się. Smakuje jak dym z opon w fabryce cukierków przy klubie ze striptizem. Najlepsze papierosy we wszechświecie.

– Słyszałem ostatnio ciekawą historię. Doktor Kinski opowiedział mi o aniołach, ludzkich kobietach i nefilim. Uznał, że mogę być jednym z nich. Wiesz coś na ten temat?

– Wiem wszystko o Urielu i jego niełasce. Sądzisz, że którykolwiek archanioł mógłby upaść bez mojej wiedzy? Miałem nadzieję, że Niebo ześle go na sam dół, aż do mnie. Wyprawiłbym mu paradę.

– A więc mówił prawdę?

– Oczywiście. Słyszałem już wiele opowieści o nefilim, nigdy jednak żadnego nie spotkałem. Kiedy Kissi zrzucili cię do nas, nie byłem zbytnio zainteresowany. W przeciwieństwie do moich braci mnie ludzie nie interesowali. Minęło dziesięć dni, a ty uparcie nie chciałeś umrzeć. Wtedy stałeś się interesujący. Przenosiłem cię z domu do domu. Postawiłem w otwartym konflikcie z potężnymi Infernalami. Decydowałem, z kim możesz walczyć na arenie.

– Byłem twoim projektem naukowym.

– Wciąż nim jesteś.

– Co to ma znaczyć?

Lucyfer odwraca wzrok i podnosi kopię *Zombie – pożeracze mięsa* Lucio Fulciego z importu.

– To wygląda ciekawie. Mogę zabrać?

– Szczęśliwego Nowego Roku. Jest twoja.

Podchodzi do stołu i zaczyna przebierać wśród leżących płyt.

– Zastanawiałem się, ile z tego, co się wydarzyło od mojego powrotu, było twoją sprawką? – pytam.

Lucyfer dalej przekłada płyty.

– Veritas skierowała mnie wprost na Kasabiana. Potem tajemniczy kupiec zamówił u Muninna coś specjalnego, tyle że Muninn potrzebował mojej pomocy i wysłał mnie do Jayne-Anne w Avili, co z kolei doprowadziło mnie do Złotego Czuwania i Masona. Nie sądzisz, że

to całe mnóstwo zbiegów okoliczności?

Podnosi kopię *Córki dla diabła*.

Potrząsam głową.

– Szkoda czasu.

Robi zawiedzioną minę i rzuca płytę na stertę.

– Jesteś dla siebie zbyt surowy, Jimmy – mówi. – Myślę, że jesteś o wiele lepszym detektywem, niż ci się wydaje.

– Nie jestem.

Bierze do ręki płytę z filmem *L'Inferno*, niemałą adaptacją *Piekle* Dantego z 1911 roku.

– Ten ci się spodoba – mówię. – Dlaczego miałbyś wszystko tak ustawić, żebym ja skończył żywy, a Mason w Piekło? Albo nie spodziewałeś się takiego obrotu spraw, albo kłamałeś wcześniej i naprawdę chciałeś, żeby znalazł się w Piekło.

– Dlaczego miałbym chcieć Masona w miejscu, w którym sprawi mi mnóstwo kłopotów?

– Tego jeszcze nie rozgryzłem.

– Nie myśl za dużo. To nie jest twoja mocna strona. Mam pewien ukryty motyw związany z przyjściem tutaj, nie jestem tu tylko po to, by przejrzeć twoją kolekcję filmów. Teraz, kiedy już pokonałeś Masona i Kissi, nie ma powodu, żebyś korzystał z Sali Trzynastu Drzwi. Chcę kupić od ciebie klucz.

– Za ile?

– Rzuć cenę i nie krępuj się. Możesz być najbogatszym człowiekiem na świecie, najbogatszym w całej jego historii.

– Nie, dzięki. To mi się kojarzy z mnóstwem papierkowej roboty.

– Jeśli boisz się, że stanie ci się krzywda, to nie martw się. Nie jestem takim rzeźnikiem jak Kissi. Mogę wydobyć klucz w taki sposób, że niczego nie poczujesz.

– Mam jednak wrażenie, że może mi się jeszcze przydać. Właśnie powiedziałaś, że Mason jest zajęty spiskowaniem z twoimi generałami. Może będę musiał coś z tym zrobić, a klucz może mi się przydać, kiedy będę musiał zabić kilku z nich. Poza tym nie skończyłem jeszcze z Masonem, więc dzięki, ale zatrzymam klucz.

– Jak uważasz.

Lucyfer odwraca się i zaczyna przerzucać kolejną stertę płyt. Szkoda, że nie można odczytać aniołów. Jestem pewien, że jest wkurwiony, trudno jednak stwierdzić, jak bardzo.

– Mogę jednak dla ciebie pracować, jeśli chcesz.

Lucyfer patrzy w moją stronę.

– Wolny strzelec – dodaję. – Kasa z góry. I żadnych oporów co do zleceń.

– Taki sam układ zaferowałaś Aelicie?

– W rzeczy samej.

– W porządku. Ale ja jednak wolę klucz.

Idę do łazienki i biorę kilka kamyków z doniczki na oknie, w której tkwią resztki

wysuszonej roślinki. Zabieram je do sypialni i podaję Lucyferowi.

– Możesz je zabrać.

Patrzy na nie i obdarza mnie wielkim, lśniącym uśmiechem Księcia Ciemności.

– Siedem kamieni. Siedem kamieni, żeby przepędzić diabła. Próbujesz udowodnić, że się mnie nie boisz, Jimmy? To rozkoszne. I takie starotestamentowe. Nie mów mi, że przeczytałeś tę książkę?

– Widziałem to w starym horrorze.

– No, no.

Lucyfer ujmuje kamień między kciuk i palec wskazujący, po czym bierze moją rękę i upuszcza mi go na dłoń.

– Zatrzymaj go. Pewnego dnia możesz go potrzebować, Ponury Piaskunie.

Nie wiem, co to ma oznaczać, ale mówi to w taki sposób, że podnoszą mi się włoski na karku. Spogląda na zegarek.

– Muszę lecieć. Dzięki za filmy.

Puszcza do mnie oko i zaczyna schodzić na dół.

– Zapomniałeś torby – wołam za nim.

Lucyfer odwraca się.

– To dla ciebie. Nie byłem całkowicie pewien, czy powinienem ci to dać, ale po tym, jak dałeś mi ten piękny prezent – podnosi kamienie – uznałem, że zasłużyłeś.

To nie brzmi dobrze. Gdyby jednak chciał mojej śmierci, mógłby to załatwić, nie ujawniając nawet swojej obecności. Otwieram torbę. Ze środka spogląda na mnie głowa Kasabiana.

– Cześć, dupku.

Zamykam torbę.

– Nie mogę przez cały czas pojawiać się osobiście – wyjaśnia Lucyfer. – Kasabian będzie moim głosem, kiedy zechcę coś przekazać. Oczywiście ty również będziesz mógł przez niego przekazywać wiadomości.

– A przez pozostałą część czasu będzie twoim szpiegiem?

– Och, człowieku małej wiary.

Lucyfer znika na dole.

Słyszę stłumiony głos Kasabiana dobiegający z torby. Uchylam ją na kilka centymetrów.

– Daj spokój, człowieku. Myślisz, że chciałem tego przedstawienia? Sam mówiłeś, że bym poszukał roboty.

Otwieram torbę do końca i wyjmuję Kasabiana. Robię wolne miejsce na stole i odkładam głowę.

– Czy to kłótwy? – pyta Kasabian. – Mogę jedną? Biorę mojego peta, wkładam mu między wargi i pozwalam się zaciągnąć.

– I jak to jest być martwym? – pytam.

– Ech. Bywało gorzej.

– Wiesz, myślałem, że już nie będę żył. Tak to sobie wyobrażałem. Kiedy załatwili Krąg, mi też było to pisane.

– Rany. Umieranie ci nie wyszło? Wsadź sobie te marzenia Jamesa Deana w tyłek. Pod koniec dnia wciąż jesteś Ponurym Piaskunem, a ja tylko głową w torbie, która tak cuchnie, jakby ktoś używał jej jako dodatkowej dupy.

– Tęsknię za Alice.

– A ja za moimi jajami. – Kasabian rozgląda się. – Kto mi rozpierdolił pokój?

– To teraz mój pokój, a zrobiłeś to ty, kiedy się wysadziłeś w powietrze.

– Ach, racja. To było do dupy. Słyszałem, że dorwałeś Parkera?

– Tak. W starym motelu.

– O, zapomniałem już o tym miejscu. Myślisz, że go bolało, kiedy go zabijałeś?

– Zdecydowanie.

– Do dobrze.

Zaciągam się klątwą i pozwalam Kasabianowi dokończyć.

– Może utknięcie tutaj to nie najgorsze, co mogło się nam przytrafić?

– Nie zgadzam się. To najgorsze.

– Czuję się winny z powodu tego wszystkiego, co się stało. Potem przypomniałem sobie, że połowa tego gówna wynika z tego, że dla Piekła i Nieba ludzie są żartem. Jesteśmy workami treningowymi w ich rodzinnej psychodramie. Wiem, że tego nie zmienię, ale mogę sprawić, że będzie zabawniej. Komar nie zabije słonia, ale może doprowadzić go do obłądu. Może to wystarczy? Zadzieranie z bandziorami Lucyfera i gliniarzami Boga. To chyba wystarczający powód, żeby pozostać przy życiu.

– To naprawdę pięknie. Dlaczego nie wyhaftujesz sobie tego na sweterku, Heidi? Mam jeszcze lepszy pomysł. Nie gadaj więcej. Włącz jakiś film.

– Co chcesz obejrzeć?

– Porno.

– Nie ma mowy, żebyś miał oglądać z tobą porno.

– Ależ z ciebie stara baba. Co leży na odtwarzaczu?

– *Mistrz latającej gilotyny* i *Dobry, zły i brzydki*.

– Najpierw *Dobry, zły i brzydki*. Potem *Mistrz latającej gilotyny*.

Zabieram Kasabiana na stolik przy łóżku, włączam odtwarzacz, naciskam przycisk odtwarzania na pilocie i kładę się na łóżku. Pojawia się ostrzeżenie o zakazie kopiowania.

– Zamówimy później pizzę? – pyta Kasabian.

– Możesz jeść?

– Mogę żuć.

– Podstawię ci wiadro.

– Zamknij się. Film się zaczyna.